

• DAGMARA •
LESZKOWICZ-ZALUSKA

DZIEWCZYNA
♦ TOM II ♦
Z KAMIENICY



— CZAS WYBORU —

 słowne

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

• DAGMARA •
LESZKOWICZ-ZALUSKA



 słowne

Rodzicom i Karolowi

Prolog

Samochód państwa Szewczyńskich zatrzymał się tuż przed bramą kamienicy.

Feliks rozejrzał się wokół, na tyle, na ile pozwalały mu nieduże okna automobilu. Ulica Piłsudskiego na pierwszy rzut oka wyglądała tak samo jak przed laty, kiedy wyruszał na studia do Poznania. Ten sam bruk, te same wąskie chodniki, kilka domów przytulonych do siebie, a na końcu, tuż przy wylocie na plac Wolności i uliczkę Tyniec, duża kamienica z numerem dziesięć, której właścicielami od dwudziestu pięciu lat byli jego rodzice.

Choć wszystko stało na swoim miejscu, Feliksowi wydawało się, że zrobiło się tu ciasniej, ciemniej i ogólnie biedniej.

– Chłopcy, wysiądźcie tutaj z Wiktorem, Pelagia otworzy wam drzwi. My z ojcem odstawimy auto do pana Foltyńskiego. – Mówiąc to, siedząca z przodu matka odwróciła się i popatrzyła na Feliksa, a później na jego czternastoletniego brata.

W jej oczach malowała się miłość z dozą dystansu i jakby subtelnej drwiny z otaczającego ją świata. Cała matka.

– Może jednak podjadę z wami i wezmę bagaże? – Feliks nacisnął chromowaną klamkę, wpuszczając do środka ciepły i trochę śmierdzący zapach miasta rozgrzanego czerwcowym słońcem.

– Nie martw się o to, pan Foltyński na pewno pozwoli jednemu ze swoich majstrów przynieść twoje rzeczy. Idźcie już, odświeżcie się. Krzysztofa czeka z obiadem. – Matka skinęła w stronę ociągającego się Wiktora. – Szybko, synku, tutaj nie można długo stać.

Chudy i jasnowłosy Wiktor wygramolił się z auta za swoim starszym bratem. Henryka pomachała im jeszcze przez szybę, jakby wybierała się w daleką podróż, a nie za róg, gdzie mieli odstawić pojazd do garażu na pleszewskim rynku. Ojciec siedział milcząco za kierownicą, ale po spojrzeniu było widać, że cieszy się z przyjazdu syna.

Po chwili wiśniowy ford, wybluszczony niemal tak, jakby przed chwilą zjechał z taśmy produkcyjnej, ruszył głośno i zniknął za zakrętem.

– Witaj w domu, bracie. – Wiktor uśmiechnął się do Feliksa.

On również cieszył się z jego powrotu. Mimo sporej różnicy wieku bracia byli ze sobą bardzo zżyli. Zawdzięczali to między innymi częstej wymianie listów. Feliks odwzajemnił uśmiech, poklepał brata po chudych łopatkach i odwrócił się w kierunku bramy. Omiótł ją wzrokiem. Stara, dobra kamienica. Jego rodzinny dom.

Karczma Gellerta jak zwykle okazała się pełna po brzegi – Feliks pamiętał, że kiedy był dzieckiem, nazywała się Gasthaus. Na prawo od bramy, tam gdzie kiedyś mieścił się warsztat szewski Wacława Tokarskiego, rodzice prowadzili teraz sklep kolonialny, w którym pracowała wdowa po panu Tokarskim. Stary pan Lisiak, który niestrudzenie zamiatał obejście, uśmiechnął się szeroko do braci. Feliks zastanawiał się, czy Lisiak w ogóle go poznaje. Mężczyzna żył w swoim świecie, który ograniczał się do podwórka i okolic kamienicy.

– Jak dobrze wrócić – powiedział Feliks trochę do Wiktora, a trochę do siebie.

W ciągu ostatnich pięciu lat, spędzonych głównie na nauce w Collegium Medicus przy ulicy Pawła^[1] bądź też w bibliotece uniwersyteckiej na Mielżyńskiego, nie miał zbyt wielu okazji, by odwiedzać rodzinę. Ot, święta Wielkiej Nocy, Boże Narodzenie, niekiedy wakacje, chociaż i to coraz rzadziej, ponieważ czas wolny od nauki spędzał głównie na praktykach w szpitalu, gdzie pod czujnym okiem profesorów szlifował warsztat lekarski.

Toteż perspektywa dłuższego – a kto wie, może i stałego – pobytu w pleszewskim domu podczas wakacji 1932 roku napawała go radością, ale i strachem. Czy będzie potrafił odnaleźć się tutaj na nowo? A może jednak powinien wrócić do Poznania? Czekala tam na niego świetna posada asystenta profesora Jana Lubienieckiego w Katedrze II Chorób Wewnętrznych. Wakacje dopiero się rozpoczęły, a profesor Lubieniecki zapewniał, że posada poczeka przynajmniej do września.

– Feliksie, jesteś niezwykle utalentowanym studentem, a wkrótce będziesz utalentowanym lekarzem, ponieważ masz to, czego nie nauczy cię nikt w tych salach. Masz intuicję. Nie zmarnuj tego. – Tymi słowami profesor okraślił chwilę wręczenia Feliksowi dyplomu lekarskiego.

W uszach młodego Szewczyńskiego wybrzmiewały one przez całą drogę do Pleszewa i teraz wróciły ze zdwojoną siłą.

Feliks nacisnął klamkę bramy, która po latach doczekała się wreszcie wymiany, i wszedł z bratem na zacienione, duszne podwórko typu studnia. Przez chwilę stał i patrzył na ciemne sklepienie. Odwracał głowę to w kierunku lekko uchylonych drzwi do klatki schodowej sąsiadów, to w kierunku drzwi prowadzących do ich mieszkania, w którym urodził się i dorósł. Wszedł w głąb podwórka i niespiesznie rozejrzał się wokół.

– Hej, idziesz wreszcie? – Wiktor niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Idź już, będę za moment.

Najmłodszy Szewczyński nacisnął guzik dzwonka, a po chwili na podwórku rozległ się lekko skrzekliwy głos wieloletniej gosposi ich rodziny.

– A gdzie to nasz Feluś?!

– Zaraz będzie. – Wiktor nie był wylewny, a jego odpowiedzi zawsze ograniczały się do niezbędnego minimum.

Za najmłodszym Szewczyńskim zamknęły się głośno drzwi. Feliks stanął pośrodku podwórka. Również tutaj niewiele się zmieniło, oprócz jednego – rodzice po latach zainwestowali w jego wybetonowanie. Klepisko pozostało tylko w okolicy chlewika, ogródka i klatek z królikami. Bariereki zewnętrznych schodów prowadzących do poszczególnych mieszkań były już szerniałe, farba odchodziła płatami z gzymsów, ale za to w okolicy mieszkania Białasów dostrzegł rzędy doniczek zapełnionych pelargoniami, a tuż przy drzwiach do mieszkania Stefanii Niemyjskiej stała nieduża drewniana rzeźba. Z dołu nie było widać, co to takiego. Niemyjska znana była z mecenatu nad wszelkiej maści ubogimi artystami ludowymi i zapewne owo dzieło stanowiło dar w podzięce za zorganizowanie jakiejś wystawy tudzież wsparcie finansowe okolicznego rzeźbiarza.

Uśmiechnął się na myśl o pani Stefanii.

Zawsze bardzo ją lubił i aż dziw go brał, że od tylu lat mieszka sama w jednym miejscu. Przecież od momentu odzyskania przez Polskę niepodległości nie musiała już pracować jako panna sklepowa. Została nauczycielką języka polskiego w Koedukacyjnej Szkole Powszechnej na Ogrodowej i z tego, co wiedział, świetnie sobie radziła. Uczniowie ją uwielbiali.

Na podwórku panowała cisza. Słyszeć było tylko szelest siana, po którym chodziły króliki, i dobiegające od czasu do czasu pochrząkiwanie

z chlewika. W uszach Feliksa ta niemal niezmacona cisza brzmiała dziwnie. Za jego dziecięcych czasów podwórko tętniło życiem, a szklarz Dąbkiewicz miał pełne ręce roboty. Lokatorzy zamawiali kolejne szyby, które chłopcy wybijali podczas gry w piłkę lub rzucania kamieniami. Teraz na podwórku nie było ani jednego dziecka.

Feliks odwrócił się i ruszył wolnym krokiem. Z klatki schodowej mieszczącej się dokładnie naprzeciwko wejścia do ich mieszkania usłyszał głośne trzaśnięcie drzwiami i szybkie kroki. Miał wrażenie, że tupot po schodach jest tak prędko, że kroki niemal zlewają się ze sobą.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka, szczupła dziewczyna. Miała rozpuszczone włosy upięte po bokach, sukienkę w groszki, a pod pachą niosła plik nut.

– Helena...? – wydukał. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Miał wrażenie, że stoi przed nim zjawą.

– Feliks! – krzyknęła dziewczyna i w tej samej sekundzie rzuciła mu się na szyję, śmiejąc się przy tym jak szalona.

Pachniała mydłem i kapuśniakiem. Przez moment przypomniał sobie, jak w dzieciństwie zawsze jej przeszkadzało, że śpi w izbie, w której się gotuje, a jej ubranie przesiąka zapachem jedzenia.

– Jezusie Nazareński, tyle czasu nie widziałam, na wakacje i święta wpadałeś jak po ogień. Feluś, Feluś! – Skończyła go ścisnąć i stanęła naprzeciwko. – A ja na próbę chóru „Lutnia” idę, jestem tam pierwszym sopranem! – pochwaliła się niczym mała dziewczynka.

Feliks przez chwilę nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Uroda dziewczyny onieśmieliła go do tego stopnia, że stał jak słup soli. A przecież to była Hela, Helena, jego przyjaciółka z dzieciństwa, z tego podwórka!

– Bardzo miło cię widzieć, Helenko – wydukał w końcu, czując się przy tym jak uczeń.

Na blade policzki wypłynęły mu rumieńce i miał wrażenie, że jego twarz płonie. Przez pięć lat studiów nie miał czasu na takie sprawy jak miłość i dziewczęta, a teraz, proszę, staje przed nim Helena, roześmiana i pachnąca kapuśniakiem, z włosami rozwianymi na wietrze, niebieskooka i piękna, a on nie wie, jak się zachować. Chowa głowę między ramiona, przybierając postawę nastroszonego sępa. Zaśmiał się na myśl o swoim wyglądzie, co paradoksalnie go ośmieliło.

– Wróciłeś już na zawsze? – Młoda Kałużówna nieco się od niego odsunęła.

Machinalnie przebierała palcami po sfatygowanych kartkach nut.

– Właściwie to jeszcze nie wiem, wszystko się okaże. Na pewno zostanę na całe wakacje.

– O, ho, ho, no to się nagadamy. A wiesz, że nadal mam *Serce Amicisa*, które od ciebie dostałam? – Znowu się roześmiała, a jej śmiech poniósł się echem po cichym podwórku.

Przypomniał sobie, jak przed laty wręczył jej tę książkę. Byli wtedy tacy mali i tacy naiwni. Helena, młodsza od niego niemal o cztery lata, biedna wnuczka prasowaczki, zawsze rezolutna i wygadana. I on, wiecznie zamknięty w pokoju, wśród książek i szkolnych kajetów, tęskniący za nieobecny ojcem, który był na wojnie.

Bardzo się wtedy lubili. Nawet wówczas, gdy on poszedł do gimnazjum imienia Stanisława Staszica, a ona do Koedukacyjnej Szkoły Powszechnej, bo jej babki nie było stać na edukację wnuczki w gimnazjum. Helena musiała jej pomagać, a przecież zawsze była bardzo zdolna. Gdyby tylko urodziła się w bogatszej rodzinie, mogłaby być już na studiach, wszak coraz więcej dziewcząt studiuje, nawet na medycynie.

– Bardzo się cieszę, Helenko, że nadal masz tę książkę. Teraz też przywiozłem ze sobą sporo dobrych pozycji, chętnie ci je pożyczę. – Nie

wiedział, kiedy słowa wypływają z jego ust.

On sam był w stanie skupić się tylko na tym, żeby na nią patrzeć. Lekki wiatr zawiewał jej włosy na twarz. Nie odgarniała ich, szkoda fadygi.

– Ha, ha, na pewno! Twoje medyczne skrypty będą dla mnie bardzo ciekawe! – Znow głośno się zaśmiała. – Dobra, tej, bo próbę mam chóru i nie mogę się spóźnić. Bardzo się cieszę, że przyjechałeś! – Pomachała mu ręką na odchodnym i po chwili zniknęła za wielką bramą.

Feliks odwrócił się i wolnym krokiem skierował do swojego mieszkania. Rodzice zaraz przyjdą, z rynku mieli tylko kilka minut drogi, a mama nie lubiła, kiedy domownicy spóźniali się do stołu. Musiał przecież jeszcze odświeżyć się po podróży.

Nacisnął ebonitowy guzik dzwonka. Zza drzwi rozległo się znajome terkotanie.

– Feluś! Witaj w domu, aleś wyrósł! – W objęciach gosposi Pelagii poczuł charakterystyczny zapach rodzinnego domu.

Znowu, po pięciu latach, był u siebie. W Pleszewie.

[1] Obecnie ulica A. Fredry.

I

Cenzurka pachniała farbą drukarską i atramentem.

Przez dłuższy czas Helena wpatrywała się w żółtawy kawałek papieru z nadrukiem „Świadectwo ukończenia gimnazjum”. Sama nie wierzyła, że w końcu jej się udało.

Ten niepozorny świstek ze starannie wykaligrafowanymi jej imieniem, nazwiskiem i wynikami w nauce był dowodem, że Helena zdała „małą maturę” i może pracować jako urzędniczka, tak jak tego chciała babcia Adela. Zdobyła wykształcenie na tyle, na ile pozwoliła jej sytuacja życiowa – mimo trudów codzienności, biedy i światowego kryzysu. I mimo że w gruncie rzeczy były z babcią zdane wyłącznie na siebie.

Czuła się jednocześnie dumna i wzruszona, a oba te uczucia były jednakowo dojmujące. Większość uczniów już opuściła mury szkoły, a ona cały czas stała jak zakłeta przy schodach prowadzących do głównego wejścia Koedukacyjnej Szkoły Powszechnej. Lipcowe słońce prażyło niemiłosiernie, ale szkolne budynki dawały przyjemny cień. Wokół szkoły panowała cisza przecinana jedynie hałasami dochodzącymi z rynku oraz gwizdaniem kolejki wąskotorowej łączącej Pleszew ze stacją kolejową położoną w Kowalewie.

– To co, zaczynasz nowe życie? – Helena poczuła na ramieniu dotyk ciepłej dłoni, a w powietrzu woń werbeny.

– Sama nie mogę w to uwierzyć! – Odwróciła się do ukochanej cioci Stefanii, uśmiechając się od ucha do ucha.

Zdaniem Heleny Stefania wciąż wyglądała tak samo. Jedynie okrągłe okulary, które nosiła od niedawna – zapewne po to, żeby ratować oczy zmęczone nadmiarem czytania i pisania – nadawały jej twarzy wyraz lekkiej surowości i dojrzałości. Cały czas miała krótkie ciemne włosy i dumnie wysunięty podbródek. Stefania Niemyjska, jej ukochana i surowa ciocia, a od paru lat uwielbiana przez uczniów i niezbyt szanowana przez dyrekcję szkoły nauczycielka języka polskiego. Jej niestandardowe metody nauczania budziły wiele kontrowersji wśród przełożonych.

– Powinnam podziękować temu ministrowi, sama nie pamiętam, jak on się nazywał, że dał mi taką szansę. Przecież ja nigdy nie dałabym rady iść do prawdziwego gimnazjum! – Helena ruszyła za Stefanią i obie skręciły w lewo, w kierunku rynku.

– Janusz Jędrzejewicz, Helenko, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego[2]. – Stefania ponownie uśmiechnęła się do swojej wychowawicy, poprawiając jednocześnie stos ciężkich skryptów, które niosła pod pachą. – Właściwie to jesteś pionierką, reforma dopiero co w życie weszła i bardzom rada, że dyrekcja przychyliła się do mojej prośby, byś małą maturę zdawała już teraz i nie czekała na kolejne roczniki.

– Pewnie, nie było na co czekać, ja mam już przecież dwadzieścia lat i dwa lata temu skończyłam szkołę! – Kałużówna zaśmiała się w głos, odrzucając do tyłu niesforne włosy, które jak zwykle opadały jej na twarz.

Adela nieustannie biadoliła, że dziewczyna nie potrafi się porządnie, gładko uczesać, ale Helenie to nie przeszkadzało. Lubiła swoje rozczochrane włosy. Tym bardziej nie przeszkadzało to Stefanii, która na takie sprawy w ogóle nie zwracała uwagi.

– To dzięki tobie, ciociu, żeś przygotowała mnie do egzaminów. Teraz żebym tylko jaką dobrą robotę znalazła, coby babcię i siebie utrzymać. Babcia coraz starsza, nie ma siły ciągle prasować.

– Jestem przekonana, że znajdziesz, wystarczy zasięgnąć języka. Co prawda jest kryzys, ale kiedy go nie było? – westchnęła nauczycielka.

Przez chwilę obie szły w milczeniu, każda pogrążona we własnych myślach.

– A jak Ryfka?

Stefania patrzyła przed siebie, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej. Kiedy tak robiła, Helena miała wrażenie, że ciocia myśli o stu rzeczach naraz, i przez to często wydawała się bujać w obłokach.

– Ma wspaniałe świadectwo, była najlepszą uczennicą w gimnazjum i bez trudu została przyjęta na wydział ekonomii i prawa do nas! – Helena wyrzuciła jednym tchem.

– Czyli jednak Uniwersytet Poznański?

Stefania odwróciła się do swojej wychowawicy. „Do nas” oznaczało oczywiście „do Poznania”. Żadne inne miasto nie było „nasze”.

– Tak, przynajmniej w miarę blisko, chociaż w Breslau też miałyby miejsce. – Ostatnie słowa Helena wypowiedziała cicho.

Nie musiała nawet tłumaczyć Stefanii, jak cieszy się ze szczęścia przyjaciółki, a jednocześnie jak bardzo jej zazdrości. Adeli nie byłoby stać na to, by wnuczka mogła wyjechać na studia. Babcia nie chciała się nigdzie przeprowadzać, a Helena wiedziała, że przecież nie będą wiecznie prasować. W Pleszewie i tak życie było tańsze niż w jakimkolwiek większym mieście, a o wyjeździe do Westfalii, do matki, która od kilkunastu lat była frau Jorgową, babcia nawet nie chciała słyszeć. Podobnie zresztą wyrażała się o Gdyni, w której mieszkał wuja Roman.

W miarę ciepłe uczucia żywiła jedynie do Poznania, ale o mieszkaniu w dużym mieście po prostu nie było mowy.

Stefania jakby czytała w myślach Heleny.

– Jestem z ciebie dumna, Helenko, że zaszłaś tak daleko. Mała matura to poważna sprawa.

Wolną od skryptów ręką poklepała Kałużównę po plecach, żeby ją pokrzepić. Mimo szczerych chęci Stefania Niemyjska nie mogła zrobić nic więcej. Nie byłoby jej stać, by pomóc finansowo w studiach Heleny.

Tak rozmawiając, minęły rynek i po chwili znalazły się na zacienionej ulicy Piłsudskiego. Przed ich bramą stał błyszczący wiśniowy samochód.

– Ho, ho, państwo Szewczyńscy dokądś się wybierają!

– A wiesz, że Feliks wrócił ze studiów? Przyjechał na wakacje! – Rozemocjonowała się Kałużówna.

– Co ty nie powiesz, nie widziałam go całe wieki! – Ucieszyła się Stefania.

Henryka Szewczyńska, matka Feliksa, była jej serdeczną znajomą, ale obie panie nie miały zbyt wiele czasu, by utrzymywać zażyłe stosunki. Henryka wraz z mężem miała swoje sprawy, często przebywali poza domem. Stefania z kolei była zajęta nauczaniem. Niemniej pamiętała Feliksa, od kiedy wprowadziła się na Piłsudskiego – wówczas Gnieźnieńską – ponad dwadzieścia lat temu. Zawsze dobrze życzyła temu nad wyraz inteligentnemu chłopcu.

– Nie wiem, czy zostanie tu na zawsze, ale jest już prawdziwym lekarzem! Najprawdziwszym!

Podeszły do bramy, podziwiając imponującą maszynę. Niewielu mieszkańców Pleszewa miało auta, ale państwo Szewczyńscy byli zamożnymi ludźmi. Pan Leon po kilku latach tułaczki wrócił z nową pasją – motoryzacją. Wraz z panem Foltińskim, pierwszym majstrem

warsztatu samochodowego i sklepu marki Ford, potrafili godzinami rozprawiać o cudzie techniki na czterech kółkach. Dla Heleny, a tym bardziej dla Stefanii, samochód nie był żadnym cudem. Ot, kolejna możliwość szybszego przemieszczania się.

– Dobry, dobry, a co, cacko, tej! – Lisiak przerwał zamyślenie, żeby uraczyć obie kobiety bezzębnym uśmiechem.

Rzadko odzywał się do domowników, pamięć zawsze mu szwankowała, a teraz, na stare lata, zapominał już wszystko. Państwo Szewczyńscy powoli zastanawiali się, czy nie oddać Lisiaka pod opiekę do ochrony księdza Niesiołowskiego, a do pracy przy nadzorowaniu budynku wziąć kogoś silniejszego. Było im jednak żal starego dozorczy, który był z nimi niemal od samego początku.

– W rzeczy samej. – Stefania pokiwała głową.

Za bramą panował przyjemny chłód i było ciszej niż na ulicy.

– Wstąpisz do mnie? – Niemyjska przebierała nogami, bo skrypty bardzo jej ciążyły.

– Nie, muszę pomóc babci, pewnie trochę za nią poprasuję. Ostatnio bardzo narzeka na ból pleców.

– To może zapytaj Feliksa, niechby coś jej przepisał?

Helena znów się roześmiała. Miała donośny śmiech.

– Racja! Nawet o tym nie pomyślałam! – krzyknęła gromko, jakby tym krzykiem miała wywołać Feliksa z jego dużego mieszkania mieszczącego się po drugiej stronie bramy. – No i posprzątać trzeba, i ugotować. Wujka Roman odwiedzi nas niedługo, jedzie w te swoje delegacje na Śląsk i zahaczy w końcu o Piłsudskiego.

– O, to pewnie babcia się cieszy?

Helena popchnęła plecami drzwi klatki schodowej i po chwili zniknęła w ciemności korytarza. Mieszkanie Kałużów mieściło się na drugim piętrze

w klatce tuż przy bramie.

– A pewnie, to jej oczko w głowie! A wiesz, że ktoś ma się wprowadzić do tego pustego mieszkania, co to zawsze miało pecha? Podobno znowu jakiś kawaler ma tu zamieszkać, i to ponoć nie nasz, tylko ze wschodu! – krzyknęła na odchodnym, a jej głos odbił się echem na ciemnej i wilgotnej klatce.

Po chwili słychać było głośnie tupanie. Helena nigdy nie potrafiła spokojnie iść po schodach, zawsze biegiem, najlepiej co drugi stopień. Stefania westchnęła. To mieszkanie nie zawsze miało pecha. Aleksander był świetnym lokatorem. Po latach nauczyła się myśleć bez emocji o czasach, kiedy była pewna, że życie się dla niej skończyło. Zresztą od tego czasu Aleksander stał się jej serdecznym przyjacielem, mimo że od kilku lat nie mieszkał już na Piłsudskiego. Był znanym, zamożnym adwokatem, nie wypadało mu mieszkać w czynszówce. Kawaler... Aleksander też był kawalerem, ale nie był jej pisany. Jej jedyna prawdziwa miłość przepadła w odmętach biologii.

Stefania jeszcze przez chwilę stała na podwórku. Poprawiła skrypty i wolnym krokiem poszła do siebie na piętro.

* * *

W pociągu było duszno i gorąco, ale Romanowi Kałuży nawet przez myśl nie przeszło, by rozpiąć koszulę lub podwinąć rękawy. Kilka lat spędzonych we Francji, nawet jeśli były to lata wojenne, nauczyło go, by trzymać fason zawsze – także w najgorszych warunkach.

Zdjął tylko marynarkę – elegancką dwurzędówkę z jasnoszarej wełny, idealną na upalne lipcowe dni. Niewiele to jednak dało. Gorące powietrze w wagonie sprawiało, że człowiek oblewał się potem niczym lepka mazią.

Wagon klasy pierwszej, którym podróżował, był wypełniony do połowy. Przed Romanem siedziała elegancka pani w średnim wieku, pogrążona w lekturze dwutygodnika „Kobieta w Świecie i w Domu”. Za jej cichą zgodą wyrażoną słabym kiwnięciem głową nieco zsunął górną część okna. Do wnętrza natychmiast wpadł gorący wiatr pomieszany z zapachem spalin, świeżo skoszonej trawy i ziół.

– Widzi pani, niewiele to dało. – Uśmiechnął się do współpasażerki, która odwzajemniła uśmiech, rzucając mu spojrzenie znad gazety. – Na szczęście to już Jarocin, za trzy przystanki wysiadam.

Kobieta złożyła gazetę i poczęła się nią wachlować.

– Och, a ja jeszcze trochę, jadę do Kluczborka, do rodziny. Faktycznie upał straszny, ale może to i dobrze, żniwa będą urodzajne.

– Trzeba na to liczyć. – Roman usiadł ponownie na kanapie obitej czerwonym pluszem i przez chwilę się zamyślił. – Nasz kraj ciągle młody, na dodatek wielki kryzys nie ominął i nas.

– Oj, tak, tak – odpowiedziała dama, nadal się wachlując.

Chyba niespecjalnie miała ochotę na dalszą konwersację, bo odwróciła głowę w bok i wpatrywała się w pola, gdzieniegdzie poprzecinane kupkami rachitycznych drzewek.

Roman też spojrzął za okno.

Patrzył na krajobraz z nieskrywaną czułością. Bardzo dawno nie jechał tą trasą. Praca w koncernie Schneider et Cie, żona i dziecko pochłoneły go do tego stopnia, że nie miał czasu na nic innego. Wyjął z marynarki portfel, a z niego malutkie zdjęcie, na którym była cała jego rodzina – jego piękna Sara i dwuletnia córeczka Marysia, maleńka kopia żony.

Kto by się spodziewał, że założy rodzinę dopiero w wieku prawie czterdziestu lat? Wcześniej nie miał na to czasu. Kilka lat spędzonych w Błękitnej Armii, ciężko przebyta grypa hiszpanka, później walka

w wojnie z bolszewikami, rana od szrapnela, która długo nie chciała się goić. Wreszcie powrót do Poznania, do fabryki Cegielskiego, by po chwili przenieść się do Gdyni, nowo powstającego miasta portowego.

Praca zajmowała mu całe dni, nie miał głowy do tego, żeby uganiać się za kobietami. I pewnie, ku utrapieniu matki, nadal wiódłby całkiem wygodne życie zamożnego kawalera, gdyby nie pewien wiosenny wieczór 1928 roku, kiedy to zmęczony po całodziennej pracy trafił do eleganckiej Alhambry na kolację.

Zwykle jadał kolację U Piątka. Miał tam nawet swój stolik i ulubione danie – sandacza smażonego na maśle. Tym razem jednak chciał uczcić udany dzień w pracy w bardziej ekskluzywnym miejscu. Pomyślał o Alhambrze. Poszedł tam sam, z nadzieją, że skosztuje dobrego homara i wypije kilka kieliszków francuskiego wina, spoglądając ukradkiem na tańczące na dancingu pary. To mu w zupełności wystarczyło, a przynajmniej tak to sobie wówczas tłumaczył.

Wszystko układało się zgodnie z planem, dopóki nie podeszła do niego młoda kelnerka (kolejna, która tego wieczoru go obsługiwała). W rękę trzymała świeczkę, którą zamierzała ustawić na jego stoliku. Roman spojrzał na kelnerkę i wpadł po uszy.

Dziewczyna była szczupła, wielkooka i ciemnowłosa. Biła od niej skromność, a jednocześnie duma. Zaimponowało to Romanowi – mężczyźnie nieśmiałemu, ale obracającemu się w wyższych sferach gdyńskiej śmietanki towarzyskiej.

Nazywała się Sara Rozenblat. Przyjechała do Gdyni w poszukiwaniu lepszego życia z małego miasteczka Sierpc i była Żydówką. Tylko tyle zdążył się dowiedzieć podczas ich pierwszej rozmowy, kiedy stawiała na malutkim okrągłym stole świeczkę na majolikowej podstawie. Nie była

rozmowna, ale Roman zdawał sobie sprawę z tego, że kelnerkom nie wolno spoufalać się z klientami. Właściciel dawał za to surowe kary.

Odtąd przychodził do Alhambry co piątek, ale Sarę spotkał dopiero po miesiącu. Czekał na nią przy tylnym wejściu dla personelu. Nie od razu dała się namówić na randkę, ale Roman był nieugięty. W końcu, pewnego upojnego majowego wieczoru, jednego z tych, kiedy człowiek nie chce się kłaść spać, bo bez pachnie zbyt oszałamiająco, a ptaki nie przestają śpiewać nawet po zmierzchu, poszli na spacer brzegiem morza, aż do Kamiennej Góry.

Sara była prostą, inteligentną dziewczyną, której życie nie szczędziło trosk. Pochodziła z ubogiej rodziny handlarza zbożem. Interes szedł coraz gorzej, bo endecja nakazywała bojkot żydowskich sklepów w Sierpcu i okolicach, a polskie młyny wołały brać zboże od polskich handlarzy. Nadto jej ojciec niedawno zmarł na suchoty i matka została sama z Sarą i jej trójką małego rodzeństwa, bez grosza przy duszy. Rabin Dawid Goldszlak doradził, by Rozenblatowie wyprowadzili się do Gdyni – miasto jest nowe, dokoła dużo gmin wyznaniowych, a i pracy nie brakuje. Matka zatrudniła się w rybackiej rodzinie do oprawiania śledzi, natomiast Sara przez kilka miesięcy tułała się po rozmaitych przybytkach gastronomicznych, z których większość była spelunami dla robotników. W końcu trafiła do Alhambry.

Praca kelnerki w ekskluzywnej restauracji była dla dziewczyny spełnieniem marzeń, a dla całej jej rodziny stanowiła ogromny zastrzyk finansowy. Toteż za żadną cenę nie mogła jej stracić i postać natarczywego klienta – nawet jeśli naprawdę jej się podobał – napawała ją z początku przerażeniem. Jednak po kilku niewinnych spotkaniach Roman Kałuża oczarował dziewczynę na tyle, że zgodziła się na wspólną kolację U Piątka.

Umówili się nietypowo – w poniedziałek, bo był to jedyny dzień, kiedy Sara nie pracowała wieczorem. Po kolacji Roman zaprosił ją do swojego eleganckiego mieszkania na Świętojańskiej na jeszcze jeden kieliszek wina, przy którym wyznał jej miłość. Sara nie mogła uwierzyć, że ten dość zamożny majster, w dodatku katolik (choć, prawdę powiedziawszy, niespecjalnie zwracający uwagę na kwestie religijne), oświadcza się jej, ubogiej Sarze Rozenblat, która mieszka z rodziną w piwnicy i śpi w jednym łóżku z dwiema młodszymi siostrami. Nie brała jego oświadczeń na poważnie. Kiedy Roman podszedł do niej i zaczął ją całować, a potem zsunął jej z ramion sukienkę oraz halkę i znaleźli się w jego dużym łóżku, była pewna, że mówi o miłości tylko dlatego, żeby ją wykorzystać. Nie takie rzeczy już słyszała od mężczyzn. Przekrój społeczeństwa był w Gdyni ogromny, zewsząd nazjeżdżało się tu mnóstwo ludzi.

Spłoszona Rozenblatówna wymknęła się, ku rozpaczy Romana, o trzeciej nad ranem, przerażona, że matka ją zwyzywa. Po upojonej nocy Kałuża przyszedł pod Alhambrę jeszcze raz, a potem kolejny i Sara w końcu zgodziła się na ślub. Na uroczystość przyjechały Adela z Heleną oraz Jadzia z rodziną. Sara od razu przeprowadziła się do mieszkania Romana, a po roku urodziła im się Marysia. Roman świata poza nimi dwiema nie widział.

Westchnął jeszcze raz i delikatnie, by nie zagnieść rogów, schował zdjęcie do przegródki portfela. Spojrzał jednocześnie na puste miejsce obok siebie, gdzie leżała teczka z dokumentami. Zafrasował się przez chwilę na myśl o kłopotach zawodowych. Budowa magistrali węglowej, która miała łączyć nowo powstały port w Gdyni ze Śląskiem i znakomicie ułatwić transport surowców, napotykała nieustanne przeszkody. Światowy kryzys finansowy spowodował, że polski rząd musiał sprzedać koncesję Francuzom. Tak naprawdę nie miał wyjścia – wieczny brak kapitału

powodował zastoje, a te z kolei blokowały inne inwestycje, chociażby produkcję taboru kolejowego, który w dużej części miał powstać u jego pierwszego pracodawcy, czyli u Ceglorza.

Rząd, nie chcąc dopuścić do gospodarczego efektu domina, zgodził się oddać koncesję francuskim firmom aż na czterdzieści lat. Jednak kapitał to jedno, a materiały do produkcji to drugie. Roman po raz kolejny jechał na Śląsk, tym razem w sprawie negocjacji sprzedaży stali, której ciągle brakowało. W Katowicach było pięć hut, rozmowy z jedną toczyły się od tygodni. Miał nadzieję, że zakończą się sukcesem. Czas naglił, odcinek Karsznice – Inowrocław, który obecnie budowali, miał być oddany w przyszłym roku, a z pracą byli daleko w polu.

Patrzył tępo na stronicie maszynopisu, a w głowie układał sobie tok negocjacji, które czekały na niego w Katowicach.

– Czy to nie pańska stacja? Wygląda, jakbyśmy wjeżdżali do Pleszewa. – Pasażerka delikatnie pochyliła się w kierunku Romana, który siedział zatopiony w papierach.

Poderwał się, aż kartki się rozsypały.

– Oj, faktycznie, byłbym przegapił! – Pospiesznie zebrał stosik papierów do skórzanej teczki, chwycił marynarkę, neseser i na odchodnym uchylił kapelusza. – Do widzenia pani, bardzo dziękuję i życzę przyjemnej podróży!

W ostatniej chwili, kiedy konduktor dawał już sygnał do odjazdu, zbiegł z trapu wagonu. W oddali, na niemal pustym peronie, majaczyła postać siostrzenicy. Nie widywał jej często, ale znał ją ze zdjęć. Przypominała mu jego najmłodszą, postrzeloną siostrę Irenę, była jednak od niej stokroć mądrzejsza.

– Wuj Roman! – Podbiegła w mig i rzuciła mu się na szyję z takim impetem, że musiał złapać równowagę. – Już się wystraszyłam, że wujka nie

przyjechał, ale se myślę, że tam, przecież jak wuja babci obiecał, to przyjedzie, tej! – mówiła szybko, cały czas się śmiejąc.

– No tak, widzisz, zagapiłem się w dokumenty i gdyby nie współpasażerka, pojechałbym dalej, aż do Taczanowa!

– To byłby niezły ambaras, z Taczanowa to tylko umyślny by wuja dowiózł, a babcia dostałaby palpacji, że wuja nie przyjechał! – Dziewczyna cały czas się śmiała. – Daj, wuja, tę swoją walizkę, pomogę!

– Helenko, jeszcze czego? Kobieta nie powinna dźwigać za mnie bagaży! – Uśmiechnął się do niej i mrugnął łobuzersko okiem.

Skierowali się w dół szerokiego placu, w stronę mniejszej stacyjki Pleszew Wąskotorowy. Czekala ich jeszcze przeprawa kolejką do miasta.

Helena nieczęsto miała okazję bywać w Kowalewie, bo też rzadko opuszczała Pleszew. Babci nie było stać na podróże. Od wielkiego święta wybierały się do Poznania. Dziewczyna jeden jedyny raz pojechała nad morze, na ślub wuja Romana. Była wówczas niezwykle podekscytowana tym wyjazdem.

Wizyta na dworcu nieodmiennie przywodziła jej na myśl matkę, która wyjechała stąd na zawsze przed szesnastoma laty i nigdy ich nie odwiedziła. Helena zachowała w pamięci jej wygląd, wszak matka czasem przysyłała jakieś zdjęcia, również swoich nowych dzieci oraz męża Antona. Jednak Helena nie żywiła wobec niej już żadnych uczuć. Słowo „matka” było dla niej puste.

Na stacji kolejki wąskotorowej zgromadzili się nieliczni pasażerowie, a ciemnawe i chłodne wnętrze poczekalni dało im chwilę wytchnienia od lipcowego skwaru. Nie na długo, wszak kolejka odchodziła kilkanaście minut po przyjeździe pociągu.

– Jak tam, Helenko, twoje plany życiowe? Gratuluję ci małej matury, to ważna sprawa. – Mówiąc to, Roman rozsiadł się na drewnianym siedzisku

kolejki.

Obok położył neseser i pedantycznie rozprostował marynarkę na kolanach. Dla Heli wuja Roman był nie z tego świata. Nie dość, że zjechał z armią Hallera pół Europy, to jeszcze mieszka dalej niż w Poznaniu!

– Tak, już mogę pracować jako panna księgowa, ale roboty wiele nie ma po kryzysie, wie wuja, jak jest – westchnęła. Kolejka ruszyła, szarpiąc nielicznymi pasażerami i kolebiąc się na boki. Jechała wolno, za oknami przesuwały się okoliczne pola i rosnące tu i ówdzie drzewa.

– Hm, a państwa Szewczyńskich nie pytałaś? Oni mają sporo koneksji.

– E, jakoś tak mi niezręcznie. Wstydzę się. – Okręcała materiał sukienki wokół palca, patrząc w dół.

Roman pomyślał, że wygląda jak mała dziewczynka. Sporo w tym było uroku i niewiele wyuzdania Ireny. Jego najmłodsza siostra lubiła być wyzywająca.

– Co, duma nie pozwala? – Szturchnął siostrzenicę delikatnie w ramię i ponownie puścił do niej oko.

– Trochę. – Helena wiedziała, ile zawdzięcza mieszkańcom kamienicy, i nie chciała prosić o więcej.

Wiedziała przecież, że ona z babcią i z panią Tokarską były najuboższymi mieszkańcami kamienicy przy Piłsudskiego 10. Na co dzień o tym nie myślała, ale kiedy sobie to uświadamiała, czuła się skrępowana. Nie miała jednak większego wpływu na bieg wydarzeń, wszak z dnia na dzień nie stanie się bogatą mieszczańką.

– Jestem w dobrych układach z panem Leonem, zjechaliśmy razem wiele kilometrów, nosiliśmy znoszone mundury tej samej armii i jedliśmy z podobnych obtłuczonych menażek. Jeśli tylko go zastanę, chętnie porozmawiam z nim dyskretnie o tej sprawie.

– Dziękuję, to by było fest! – Helena aż poderwała się z miejsca.

– Ale niczego oczywiście nie obiecuję. – Roman wystraszył się, że jego deklaracja zabrzmiała dla Heleny jak pewnik.

– Łe tam, no wiem przecież, ale za to, że wujowi będzie się chciało, ja bardzo dziękuję, naprawdę! – Zaśmiała się ponownie i usiadła na ławce. – A wie wuja, że ich syn Feluś, z którym się kiedyś bawiłam, jest już lekarzem?!

* * *

Minął już tydzień od przyjazdu do Pleszewa, a Feliks wciąż nie mógł sobie znaleźć miejsca w mieszkaniu. O wyjściu gdziekolwiek nie było mowy. Przywiózł sporo literatury, w tym *Historię medycyny filozoficznie ujętą* Władysława Szumowskiego, i całe dni spędzał na lekturze przerywanej kolejnymi posiłkami, na które ciągnęły go Pelagia i Krzysztofa.

– Pani Szewczyńska kochano, chłopak tak zabidzony jak nieboskie stworzenie, co oni z dzieciorami na tych uniwersytetach robią! – biadoliła Pelagia.

Pocziwa gospoia co rusz donosiła do pokoju Feliksa kolejne przysmaki – a to własnoręcznie robione pączki, a to placek z „kruszanką”. Henryka nie była z tego zadowolona. Nigdy nie lubiła, gdy domownicy jedli w sypialniach.

– Ależ Pelagio, Feliks dobrze wygląda, przecież zawsze był szczupły. To, co jemy przy stole, w zupełności mu wystarcza – oponowała od czasu do czasu, ale jej argumentacja spotykała się z ostrym kontratakiem wieloletniej służącej.

– Łe tam, co pani wie, jak pani też je jak ptaszek – odpowiadała.

Henryka machała ręką i nie kontynuowała rozmowy. Przyzwyczaiała się, że kwestie posiłków przeszły niemal całkowicie na Pelagię, i nawet jej to odpowiadało. Prowadzenie domu nie było jej żywiołem.

Odkąd Stefania przed laty wyciągnęła ją po raz pierwszy na spotkanie Towarzystwa Czytelni Ludowych, Henryka mocno zaangażowała się w działalność społeczną miasta. Nadto przez kilka lat, kiedy Leon był na wojnie, sama prowadziła jego interesy związane z kamienicą. Od paru lat byli właścicielami kolejnego budynku, tym razem na rynku, i sprawy związane z majątkiem całkowicie ją pochłaniały. Mąż zaangażował się całym sercem w rozwijanie biznesu, który wyrósł z jego nowego hobby motoryzacyjnego. Miał udziały w warsztacie samochodowym i każdą wolną chwilę spędzał z majstrami, przyglądając się ich pracy.

Zamknięcie się w sobie Feliksa zaczęło ją lekko niepokoić. Wydawało jej się, że skoro po raz pierwszy od lat przyjeżdża do domu na tak długo, to przede wszystkim będzie chłonał życie miasta, w którym wyrósł. Spotka się z kolegami, a może i koleżankami z gimnazjum, będzie chciał jechać na piknik nad Prosnę, wraz z Wiktorem pobędą trochę z ojcem w warsztacie. Nic z tych rzeczy. Motoryzacja nie interesowała Feliksa w najmniejszym stopniu, a z Wiktorem rozmawiał w swoim pokoju, absolutnie nie czując potrzeby wychodzenia na zewnątrz.

– Czemu taki zamknięty w sobie jesteś, synku? – Cicho popchnęła duże dębowe drzwi prowadzące do pokoju starszego syna.

Jak zwykle siedział na szeszlunku zatopiony w lekturze. Spojrzał na matkę znad książki, którą powoli zamknął, wkładając do środka srebrną łyżeczkę do herbaty. Henryka z dezaprobatą spojrzała na tę prowizoryczną zakładkę, ale powstrzymała się od komentarza. Feliks jest przecież dorosły, nie będzie go karciała niczym uczniaka.

– A, nic takiego. – Zsunął nogi z szeszlonga i wsunął stopy w miękkie domowe pantofle. – Rozterki młodego lekarza. – Uśmiechnął się do niej.

Wiedział, że to wytłumaczenie na pewno nie spowoduje, że matka się uspokoje i przejdzie nad sprawą do porządku dziennego. To nie w stylu

Henryki Szewczyńskiej. Przysiadła obok i uważnie przyjrzała się Feliksowi. Był bardzo wysoki i szczupły, miał twarz marzyciela. Odznaczał się niezwykłą inteligencją. Była z niego naprawdę dumna.

– A czy przypadkiem nie chodzi o rozterki miłosne? – Uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie.

– Co...? A nie, skądże znowu! – odpowiedział niemal natychmiast.

Przysunął się do matki i oparł łokcie na kolanach.

– Wiesz, byłem wczoraj w Kasie Chorych na Ogrodowej.

– O, proszę. – Henryka uniosła brwi. – Chciałbyś zatrudnić się w naszej Dzielnicy^[3]?

– Myślałem o tym, wszak wiesz, mamo, że cały czas wszędzie mamy niedobór lekarzy. – Zamyślił się i na chwilę przerwał.

– A co z zamiarem powrotu do Poznania i szukania tam posady bądź pozostania na uczelni? – Henrykę zaskoczyło wyznanie Feliksa. Nigdy nie był specjalnie wylewny, ale też oboje z Leonem żywili przekonanie, że po wakacjach Feliks będzie się starał o jakieś przyzwoite mieszkanie w Poznaniu i na pewno wróci na uczelnię. Przecież sam profesor Lubieniecki przy okazji wręczania dyplomu lekarskiego nie mógł się młodego Szewczyńskiego nachwalić.

– Zastanawiam się nad tym. Jeszcze nie wiem, co zrobię. Lubię Pleszew, a w niewielkich miastach ciągle jest za mało lekarzy. Umówiłem się na spotkanie w sprawie pracy w przyszłym tygodniu.

Feliks wstał ciężko i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na puste podwórko i bieliznę Białasów łopocącą na sznurkach. Przypomniawszy sobie, jak uwielbiali całą dzieciarnią bawić się w chowanego między rozwieszonym praniem. I jaką burę dostawali za to od każdego, kto akurat przechodził przez podwórko. Uśmiechnął się do tych wspomnień.

– Czy dobrze rozumiem, że chcesz zostać wiejskim lekarzem? – Henryka uniosła się nieco, jakby zamierzała wstać, ale po chwili z powrotem opadła na siedzenie.

Gdyby wstała, Feliks zapewne przestałby mówić, a ona była ciekawa konkluzji.

– Dlaczego wiejskim? Przecież Pleszew to miasto.

Odwrócił się od okna i spokojnie spojrzał na matkę. Rzadko się unosił, nawet jeśli coś go dotyczyło.

– No tak, ale jednak... małe.

Henryka nie wiedziała, jak ująć w słowa pragnienie, które nosiła w sobie od czasu, gdy wyrwała się ze swojego rodzinnego domu. Wydawało jej się oczywiste, że synowi będzie zależeć na tym samym – żeby wyrwać się z tego, z czego się wyrosło. Zacząć od nowa. Odciać się od korzeni, które – jej zdaniem – tylko go hamowały. Ją przecież hamowały.

– Co z tego, że małe? Czy ludzie tutaj są inni? Tak samo albo i bardziej potrzebują pomocy. Tutaj prawie nie ma lekarzy, dopiero mają budować szpital w Kaliszu, a i to w powijkach stoi. – Feliks rozemocjonował się na chwilę, po czym wrócił na szezlong i padł na niego, jakby przebiegł co najmniej maraton. – Nie, ja chyba muszę zostać. Na pewno znajdę jakieś mieszkanie, a w Kasie Chorych przydzielą mi miejsce w Dzielnicy, choć teraz połowę kas polikwidowali. Kryzys.

Henryka machinalnie gładziła plusz szezlonga, a robiła to z taką siłą, jakby od tego zależało życie jej syna. Przez chwilę panowała cisza przecinana tylko donośnym „kukuryku” dobiegającym z podwórka. Stara Tokarska ostatnio kupiła na bazarze wyjątkowo natrętnego koguta, który swoim pianiem mógłby wskrzesić umarłego. Przynajmniej tak twierdzili pani Białasowa i Josif Gellert.

Henryka wiedziała, że w tej chwili nie jest w stanie powiedzieć Feliksowi nic ponad to, co właśnie powiedziała. Po raz kolejny pomyślała, że przecież jej syn jest dwudziestoparoletnim mężczyzną, który wie, co robi. I przecież chce się uniezależnić, nie prosi jej o pomoc. A gdzie będzie pracować, co robić, to już jego sprawa. Ona dawno temu przestała mieć na to wpływ. Mimo to doskonale czuła, że dręczą go nie tylko rozterki natury zawodowej. Nie potrafiła jednak zdobyć się na rozmowę na ten temat.

Powoli wstała z szezlonga i poprawiła ołówkową spódnicę. Feliks spojrział na matkę i pomyślał, że mimo upływu czasu nadal jest piękną kobietą. Cieszyło go, że razem z ojcem tworzą tak zgraną parę. Jak udawało im się to robić? Być może sekret polegał na tym, że oboje dawali sobie wzajemnie duży kredyt zaufania, a każde z nich miało swój świat, w którym się realizowali.

Podszedł do matki i przytulił się tak jak dawniej, kiedy był małym chłopcem. Teraz przerastał ją o pół głowy.

– Mamo kochana, nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Stali tak przez chwilę, trochę niezdarnie okazując sobie uczucia. Szewczyńska oddałaby życie za tego chłopca, ale nie potrafiła fizycznie okazać mu ciepła. Z tej czulej, aczkolwiek lekko krępującej sytuacji wybawił ich dzwonek do drzwi.

– Ciekawe, kto to, przecież nie spodziewamy się gości. – Henryka opuściła ramiona Feliksa i szybkim krokiem zbiegła na dół ku drzwiom.

* * *

– Pan Roman?! Cóż za niespodzianka!

W głosie Henryki było tyle zdziwienia i radości, że zaintrygowany Feliks też zdecydował się wyjść z pokoju i sprawdzić, kim jest ów mężczyzna i dlaczego jego przybycie tak bardzo zaskoczyło matkę. Nie

pamiętał żadnego Romana, ale jego rodzice robili interesy z wieloma ludźmi.

Powoli zszedł na dół. Schody z piętra ich mieszkania prowadziły wprost do drzwi wejściowych. Odkąd Feliks pamiętał, stała tam duża orzechowa komoda w stylu art déco. W drzwiach zobaczył eleganckiego pana w średnim wieku. Twarz mężczyzny wydała się mu jakby znajoma, choć był pewien, że nigdy wcześniej go nie spotkał.

– Feliksie, spójrz, to pan Roman Kałuża, syn naszej pani Adeli. – Henryka odwróciła się do syna z rozpromienioną twarzą. Widać było, że ta niespodziewana wizyta sprawiła jej przyjemność. – Pan Roman zszedł wraz z twoim ojcem cały szlak Błękitnej Armii. Walczyli razem nawet o Pomorze!

Feliks znał na pamięć szlak, który przeszedł ojciec, i nie rozumiał, dlaczego matka tak bardzo podkreśliła walkę o Pomorze. Przecież o Śląsk też walczyli. Może dlatego, że Pomorze wydawało się matce bardzo dalekie i luksusowe. Taki większy Sopot.

– Dzień dobry panu. – Feliks podszedł do pana Kałuży i podał mu rękę.

Roman pomyślał, że jak na tak szczupłego chłopaka młody Szewczyński ma całkiem mocny uścisk. „Zapewne od praktyk lekarskich”, skonstatował w myślach. Z kolei Feliks przypomniał sobie, że pamięta pana Romana ze zdjęcia. Na zdjęciu pan Roman miał więcej włosów i był trochę szczuplejszy.

– Proszę, niech pan wejdzie do salonu. Męża niestety nie ma, jest u państwa Foltyńskich w warsztacie. Mogę posłać po niego Pelagię, byliby za chwilę. – Henryka wskazała dłonią drogę do salonu.

Roman trzymał oburącz kapelusz i co chwila kłaniał się Henryce. Trochę się krygował.

– To ja może innym razem...

– Ależ skąd, będzie nam bardzo miło gościć pana na popołudniowej herbacie. Pelagio! – krzyknęła w stronę kuchni. – Przynieś, proszę, jeszcze jedną filiżankę i talerzyk. – Odwróciła się do Romana z uśmiechem. – Legumina ze świeżymi truskawkami wyszła dziś Krzysztofie wręcz wybornie, grzechem byłoby nie spróbować.

Przeszli do niskiego stolika. Roman usiadł na fotelu naprzeciwko obrazu Matisse'a. Henryka przypomniała sobie dzień, w którym powiedziała matce Romana o tym, że jej syn będzie walczył w Błękitnej Armii. Sama wtedy nosiła pod sercem Wiktora, a teraz jej czternastoletni syn siedzi koło niej, Roman zaś, którego los nie szczędził podczas wojny, cały i zdrowy mości się w fotelu naprzeciwko i czeka na deser. Niebawem.

– Z czym pan do nas przybywa? – Usiadła na rogu kanapy, układając nogi lekko na boku.

Nowa moda nakazująca nosić coraz węższe spódniczki była wprawdzie dość wyzwolona, ale bardzo niewygodna. Owszem, już od dawna nie nosiło się gorsetów, ale wąska spódnica nie sprzyjała wygodnemu siedzeniu przy stoliku kawowym.

Feliks usiadł w drugim fotelu i nie odzywał się ani słowem.

– Widzą państwo, nie chciałbym nadwyręzać dobrosąsiedzkich stosunków ani sprawić, by poczuli państwo, iż wykorzystuję państwa koneksje do prywatnych interesów. Pomyślałem jednak, że kto jak nie państwo Szewczyńscy może nam pomóc.

Henryka patrzyła wyczekująco. Ciekawe, w czym mogliby pomóc panu Kałuży. O ile się orientowała, jest całkiem zamożnym majstrem i mieszka w nowym mieście portowym Gdynia. Sama bardzo chętnie przeniosłaby się w tamte strony.

Roman jakby czytał jej w myślach.

– Nie chodzi o mnie, tylko o moją siostrzenicę Helenę.

Przez chwilę Kałuży wydawało się, że dotąd milczący Feliks lekko uniósł się w fotelu i jakby ożywił.

– Czy coś się stało? – zapytała lekko zaniepokojona Szewczyńska, rozlewając herbatę do filiżanek.

Służąca Krzysztofa wniosła talerz pełen czegoś, co na pierwszy rzut oka wydawało się Romanowi pączkami, ale po spróbowaniu stwierdził, że to owoce w cieście. Henryka miała rację – rozpląwały się w ustach.

– Bynajmniej. Helena ma się świetnie i dopiero co odebrała dyplom ukończenia gimnazjum. Wie pani, tę nową małą maturę, co to ją ustawowo teraz wprowadzili.

– To wspaniale! Ale czy to nie za wcześnie? Wydawało mi się, że ustawa wchodzi w życie dopiero od lipca, a to oznaczałoby, że dopiero od września młodzież może przystępować do egzaminu.

– Owszem, ale Stefania wyprosiła u dyrekcji szkoły na Ogrodowej, by Helena mogła wcześniej zdawać egzamin końcowy. Już dwa lata będzie, jak skończyła szkołę, dodatkowo pani Niemyjska przygotowała ją świetnie do egzaminu. – To mówiąc, sięgnął po kolejną leguminę.

Nie był pewien, czy to wypada, bo zjadł już dwie, ale nie mógł się powstrzymać. Na szczęście patera była jeszcze pełna, widocznie pani domu chciała, by wszyscy porządnie się najedli.

– Wie pani, Helena ma dwadzieścia lat, nie było na co czekać.

– No tak. Zdolna dziewczyna, a pracuje wyłącznie przy prasowaniu. – Henryka zawiesiła głos i kątem oka, jakby od niechcienia, spojrzała na starszego syna.

Nie uszło jej uwadze, że ten po raz pierwszy, odkąd usiedli, zaczął okazywać zainteresowanie rozmową.

– Może udałoby się pomóc Helenie, mamó? Wszak macie z ojcem tyle koneksji. – Pochylił się w kierunku matki, jakby jego własne słowa go

zawstydzają. – Praca dla wykwalifikowanej księgowej na pewno się znajdzie.

Przez chwilę towarzystwo przy stole rozkoszowało się deserem. Prym wiódł najmłodszy i najchudszy Wiktor. Roman przypomniał sobie, jak sam był wiecznie głodnym wyrostkiem, a matka odganiała go od angielki^[4], kiedy wyjadał skwarki i pajdy chleba przeznaczone dla wszystkich. Co zrobić, dojrzewanie rządzi się swoimi prawami.

– A wie pan, wpadłam na pewien pomysł. – Henryka odstawiła talerzyk, otarła długimi palcami niewidzialne okruszki z kącików ust i jeszcze bardziej wyprostowała się na brzegu kanapy, co przydało jej wyglądu naprężonej struny. – Nasz serdeczny znajomy Jerzy Grolewski, który notabene wywodzi się ze Śląska, z Królewskiej Huty^[5], wchodzi na wielkopolski rynek z firmą handlującą nabiałem i dziczyzną. Wielkopolską siedzibę planuje założyć w Pleszewie. Wspominał onegdaj, że szukają panny księgowej.

Roman również odłożył talerzyk i oparł się wygodnie o miękkie siedzisko.

– O, to byłoby wspaniale! Praca w handlu jest dość pewna, szczególnie jeśli chodzi o handel w sektorze spożywczym. – Podniósł się, jakby miał wygłosić jakąś życiową maksymę. – Ludzie mogą przecież nie chodzić do kina i nie kupować książek, ale zjeść muszą i muszą być zdrowi!

– Z tym zdrowiem, panie Romanie, to różnie bywa. Do dzisiaj liżemy powojenne rany. Rozumie pan, zaciągnęliśmy dług zdrowotny – wtrącił się Feliks, ucieszony, że rozmowa zeszła na dobrze znany mu grunt. – Nieznajomość podstaw żywienia, brud i bieda też robią swoje. Dobrze, że rozpoczęliśmy chociaż masowe szczepienia przeciwko suchotom^[6], to znakomicie obniży odsetek zachorowań. – O medycynie Feliks mógłby

rozprawiać godzinami, jednak matka szybko skierowała rozmowę na poprzednie tory.

– Myślę, że zdecydowanie byłaby to spokojna, pewna praca, a z tego, co się orientuję, w grę wchodzi nawet dwieście pięćdziesiąt złotych. – Szewczyńska ponownie pochyliła się nad filiżanką. – Do tego ubezpieczenie.

– Ho, ho, brzmi wręcz bajecznie, Helena byłaby niezwykle kontenta! – Roman zaśmiał się w głos. – Zabawne, że mówimy o firmie pochodzącej ze Śląska, na który właśnie zmierzam. W Pleszewie zatrzymałem się przejazdem, chciałem zobaczyć dawno niewidzianą matkę i siostrzenicę.

– A cóż pan załatwia na Śląsku? – W oczach Henryki Roman urósł jeszcze bardziej.

„Proszę, proszę, rozbija się po całej Polsce!”.

– Stal – odpowiedział krótko. – Widzi pani, jestem pracownikiem francuskiego koncernu zaangażowanego w budowę magistrali kolejowej łączącej Śląsk z Gdynią. Mamy przecież wieczne problemy z dostawami, a Niemcy, z którymi dzielimy port gdański, ciągle go blokują. Stąd państwo zdecydowało się na budowę drugiego portu w nieodległej Gdyni.

– Tak, wiem, czytałam o tym w „Kurierze Polskim”. Niesamowite, miasto powstaje niczym Feniks z popiołów. – Rozemocjonowała się Szewczyńska.

– Och, to raczej Feniks idący po grudzie, wiecznie napotykający problemy, które są wypadkową niekoniecznie tego, co się dzieje w samym mieście, ale sytuacji politycznej i gospodarczej na świecie. – Roman zaśmiał się ponownie, tym razem gorzko. – Również teraz z duszą na ramieniu jadę na kolejną turę negocjacji. Nie wiadomo, czym się to skończy. Katowicka Spółka Akcyjna[?] cały czas boryka się z problemami

finansowymi, a ceny stali są zaporowe. – Westchnął i utkwiał wzrok w paterze.

Chętnie zjadłby jeszcze jedną leguminę, ale nie chciał być posądzony o brak manier.

– Ach, to może zatelefonuję do naszego przyjaciela, pana Grolewskiego? On wprawdzie nie pomoże panu w negocjacjach, ale przynajmniej porozmawiają sobie panowie o ewentualnej posadzie dla Heleny, a i panu będzie łatwiej, wiedząc, że może się pan spotkać na Śląsku z jakąś poczciwą duszą, choćby tylko na kolacji. – Wstała od stołu, a za nią podnieśli się wszyscy mężczyźni – od najstarszego do najmłodszego.

Wizyta dobiegła końca.

– To znakomity pomysł, pani Henryko, jestem niezwykle wdzięczny! – Uśmiechnął się i sięgnął po kapelusz.

W tej chwili szcęknął klucz w drzwiach, a w następnej do salonu wszedł mocno umorusany smarem pan Szewczyński.

– Druhu, cóż za niespodzianka! Uściskać bym ciebie rad, ale pozwól, że najpierw uporam się z toaletą. Wracam prosto z warsztatu, a tam, rozumiesz, brud gorszy niż na froncie. – Leon zaśmiał się tubalnie, a Roman na chwilę zaniemówił.

Pan Szewczyński był niezwykle szanowanym oficerem, a ten śmiech...! Działał kojąco na każdego podoficera na froncie. Krzepił. Dodawał otuchy i podnosił morale.

– Och, panie dowódco – powiedział Roman, kiedy odzyskał głos. – Ja również byłbym niezmiernie rad zostać, ale proszę mi wybaczyć, pójdę teraz do mieszkania matki. Tak rzadko u niej bywam, rozumieją państwo, praca i rodzina. Z największą chęcią innym razem.

Ponownie chwycił kapelusz i począł wycofywać się z salonu, cały czas zwrócony w kierunku Szewczyńskiego. Feliks pomyślał, że Kałuża

wygląda niezwykle zabawnie, kiedy tak idzie rakiem.

– Zrozumiała sprawa! My się stąd nie ruszamy, jest pan zawsze niezwykle mile widzianym gościem. Pańska matka to bardzo porządna osoba i lokatorka, o siostrzenicy nie wspominając. – Szewczyński po oficersku podparł się pod boki.

– Och, bardzo dziękuję, panie dowódco. – Kałuża nałożył kapelusz i nacisnął klamkę.

– Panie Romanie, jeszcze dziś zadzwonię do pana Grolewskiego. Proszę pozwolić, że wyjdę z panem. Muszę sprawdzić, czy pod piątką jest dobrze posprzątane. – Henryka odwróciła się do wszystkich. – Bardzom rada, że po tylu latach użerania się z poprzednimi lokatorami trafił nam się, jak sędzę, porządny człowiek. Przynajmniej takie sprawia wrażenie. To kawaler ze Lwowa, pan Eugeniusz Fridman. Muzyk! – Zaakcentowała ostatnie słowo.

– Pracujący na kolei jako zawiadowca... – dodał wesoło Leon, ocierając dłoń o dłoń, jakby chciał oczyścić ręce ze smaru.

– Och, czy to wiadomo, gdzie nas los rzuci? Pan Fridman wydaje się niezwykle czarującym mężczyzną. – Henryka puściła oko do męża niczym młoda dziewczyna. – Kto wie, może to będzie kolejny lokator na miarę naszego Aleksandra Millera?

* * *

Wielkopolska była dla Eugeniusza Fridmana zupełnie innym światem, ale odkąd po raz pierwszy w wieku czterdziestu dwóch lat zjawił się w Poznaniu w 1929 roku, zakochał się w niej bez pamięci.

Z pozoru wydawać by się mogło, że to właśnie rodzinny Lwów powinien być dla niego tym jedynym miejscem do życia. Lwów, tętniące życiem uniwersyteckim i artystycznym miasto Schillera, Hemara,

Kasprowicza i Zapolskiej. Lwów, w którym prężnie działała formacja artystyczna Artes zrzeszająca malarzy, którzy pobierali nauki nawet we Francji!

Lwów był wymarzonym miejscem dla pianisty. Jednak na przekór losowi Eugeniusz nie czuł się tam dobrze, chociaż nieprawdą było to, co powiedział swojemu pierwszemu pracodawcy w Poznaniu, zarządcy hotelu Belweder. Wcale nie uciekł z miasta ze względu na nasilające się nastroje antysemickie.

Jako Żyd ateista nie przejmował się zanadto tymi nastrojami, bo kilka lat wcześniej, odkąd rozstał się z Fejgą, zerwał wszelkie kontakty z gminą żydowską. Szanował kulturę, w której wyrósł (ach, ten paralelizm Spinozy^[8] kwestionujący poczucie wolności wyboru człowieka!), jednak całkowicie obce mu były wszelkie obrzędy żydowskie, a nawet wierzenia. Czuł się ateistą i obywatelem świata, a jedno i drugie uczucie dojmująco dawało o sobie znać zwłaszcza po paru kieliszkach bimbrowy wypitych po kryjomu. Okazji miał po temu niemało w restauracji hotelu Belweder, a wcześniej w lwowskim Bar-Dancing-Restauracja na skrzyżowaniu ulic Łyczakowskiej i Czarnieckiego, gdzie wieczorami dorabiał jako klezmer. Cóż, musiał radzić sobie po tym, jak po ukończeniu drugiego roku studiów na Wydziale Pomiarów Maszynowych Politechniki Lwowskiej wyrzucono go z hukiem za nieobyczajne zachowanie. Z tego samego względu stracił posadę w przybytku Bar-Dancing-Restauracja.

Na szczęście pozostała mu przynajmniej działalność artystyczna. Jeszcze w czasach małżeństwa z Fejgą grał w teatryku Różowy Monokl. Wówczas również zaczął amatorsko udzielać się w chórze Harmonia. W 1929 roku Eugeniuszowi udało się wyjechać wraz z nim na Wszechsłowiański Zjazd Śpiewaczy, zorganizowany w Poznaniu z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej.

Choć ich chór nie zajął żadnego miejsca, trzeba uczciwie przyznać, że zaprezentował się całkiem nieźle. Dodatkowo, wraz z innymi chórami ze Śląska Opolskiego, Łodzi, Krakowa, a nawet Westfalii, zasadzili wspólnie Lipę Słowiańską oraz odśpiewali *Ojczyznę* Feliksa Nowowiejskiego z towarzyszeniem dziesięciu orkiestr dętych. Wszystko to było wielce patriotyczne i podniosłe, ale Eugeniusza daleko bardziej interesowało nocne życie miasta. Eksplorował je z wielką pasją wraz z kilkoma otwartymi na znajomości chórzystkami.

W ostatnim dniu pobytu w Poznaniu Fridman oświadczył dyrygentowi, że nie wraca wraz z chórem do Lwowa, ponieważ ważne sprawy rodzinne zatrzymują go w Wielkopolsce. Prawda była zaś taka, że nie miał do kogo ani do czego wracać. Fejga zajęła ich okazałe mieszkanie przy placu Bernardyńskim, a on sam mieszkał skromnie w wynajętym pokoiku. Jego rodzice nie żyli już od dawna, z dużo starszym bratem i siostrą nie utrzymywał żadnych kontaktów, a z Fejgą nie doczekali się potomstwa.

Nadto dowiedział się, że ekskluzywna restauracja Belweder mieszcząca się na terenie Targów Poznańskich poszukuje pianisty. Postanowił spróbować szczęścia i ku swojemu zaskoczeniu z miejsca dostał angaż oraz pensję w wysokości stu osiemdziesięciu złotych, co po wielokroć przekraczało jego oczekiwania.

Pierwsze tygodnie pobytu w Poznaniu spędził głównie na szwendaniu się po wąskich uliczkach starego miasta, doskonale oświetlonych i wybrukowanych. Miał wrażenie, jakby znalazł się w innym kraju, w innym świecie. Jego rodzinny Lwów naraz wydał mu się prowincjonalną miejsciną z aspiracjami do bycia metropolią.

W Poznaniu na każdym kroku czuł nowoczesność. W nadawanych przez radio audycjach muzycznych, wśród trzasków i zgrzytów mógł posłuchać Duke'a Ellingtona i orkiestry big-bandowej Benny'ego

Goodmana. Za ostatnie grosze chadzał do Kinoteatru Słońce, dużego kompleksu mieszczącego kilka sali kinowych. Kino dźwiękowe, choć sam dźwięk pozostawiał wiele do życzenia, zrobiło na nim ogromne wrażenie.

W oparach ekskluzywnego moonshine'u^[9] i towarzystwie dam lekkich obyczajów spędził w stolicy Wielkopolski upojne dwa lata. Kiedy jednak po raz kolejny nie stawił się na wieczornym graniu w Belwederze, dyrektor restauracji – dotąd przymykający oko na lekkie podejście do spraw obyczajowych swojego, bądź co bądź, dobrego pianisty – zwolnił Eugeniusza w trybie natychmiastowym. Fridman po raz kolejny stanął przed dylematem, co zrobić ze swoim życiem.

Był rok 1932. Świat lizał rany po kryzysie, pracy było mało, o posadach w branży muzycznej nie wspominając. Do drzwi malutkiego mansardowego pokoiku, który Eugeniusz wynajmował na Sołacz, każdego dnia pukała właścicielka z prośbą o zapłatę zaległego czynszu.

Fridman zostawił na łóżku ostatnie kilkadziesiąt złotych, spakował niewielki dobytek do skórzanego nesesera i wsiadł do pociągu jadącego do Kluczborka. Postanowił udać się na Śląsk, o którym krążyły legendy. Opowiadano niestworzone historie na temat budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego i możliwości, jakie dawało prężnie rozwijające się miasto Katowice.

Jednak plan wyprawy na Śląsk ostatecznie spalił na panewce. Gdy pociąg stanął na przelotowej stacji Pleszew, już z niej nie ruszył. Usterka w układzie spalinowym okazała się na tyle poważna, że opóźnienie miało potrwać przynajmniej kilka godzin. Zrezygnowany Eugeniusz wysiadł z pociągu. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zamiast miejskiej stacji ujrzał wiejski pejzaż. Kilkadziesiąt metrów od dworca stał niemal bliźniaczy budynek dworcowy, również zbudowany z czerwonej cegły, z napisem „Pleszew Wąsk.”. Wiedziony ciekawością, poszedł w tym kierunku i po raz

pierwszy w życiu zobaczył kolejkę w miniaturze. Niewiele myśląc, wszedł do niej, a ta po chwili ruszyła i zawiozła go na stację Pleszew Miasto. Z rozmów pasażerów domyślił się, że okoliczni ludzie nazywali tę zabawną kolejkę „baną”. Kiedy wysiadł, natychmiast udał się do zajezdni z pytaniem, czy nie znalazłaby się robota dla byłego studenta inżynierii.

Pracy w zajezdni nie było, ale jeden z majstrów ubrudzonym od smaru palcem wskazał Fridmanowi główny budynek dworca i krzyknął:

– Panie, pan tu wyfiokowany taki, tam pan idź. Zawiadowca stacji umorł dopiero co i oni szukają kogo, ale nikt tam nie chce robić, bo co to za robota dla zawiadowcy na banie. Wszyscy chcą na prawdziwe pociunki!

Rzeczywiście, tymczasowy zastępca zawiadowcy grzecznie poinformował Eugeniusza, że właśnie ruszył nabór i trzeba się zgłaszać do Państwowej Rady Kolejowej. Mieściła się ona niedaleko, na ulicy Ogrodowej.

Eugeniusz udał się tam od razu. Jakież było jego zdziwienie, kiedy okazało się, że jest jedynym kandydatem na to stanowisko, i dostał je niemal natychmiast. W teczce miał referencje od swojego byłego profesora Katedry Pomiarów Maszynowych Politechniki Lwowskiej, Romana Witkiewicza, który wierząc, że krnąbrny, ale zdolny student kiedyś się opamięta, wystawił mu całkiem niezłą cenzurkę „na dalszą drogę życia”. Eugeniusz był przekonany, że gdyby nie ten niepozorny papier, Państwowa Rada Kolejowa nawet nie pochyliłaby się nad jego kandydaturą.

Świeżo upieczony zawiadowca stacji ulokował się tymczasowo w najtańszym pokoju hotelu Victoria. Po kilku dniach zagadnął kierownika hotelu, czy ten przypadkiem nie poszukuje pianisty. Fridman wierzył z całych sił, że jego zła sława nie dotarła do Pleszewa. Kierownik nie poszukiwał pianisty. Kiedy jednak Eugeniusz zaoferował granie do kolacji codziennie od dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej, a w soboty i niedziele

podczas dancinów do ostatniego klienta, w dodatku za śmieszłą kwotę pięćdziesięciu złotych, właściciel hotelu, pan Zarzycki, przyjął go natychmiast.

Pozostała jeszcze tylko kwestia mieszkania. Przez kolejne dni wdrażał się do nowego zawodu, a tak naprawdę do dwóch zawodów. Jadł byle co i nawet pił niewiele (bo nie było za co). Codziennie też kupował „Gazetę Pleszewską” w nadziei, że znajdzie tam ogłoszenia o wynajmie tanich mieszkań.

Nie mylił się. Pewnego dnia natknął się na ogłoszenie o najmie idealnego – jak mniemał – mieszkania. Było to dwupokojowe lokum z oknami wychodzącymi na ulicę, niedaleko rynku, na ulicy Piłsudskiego. Ogłoszenie zostało zamieszczone przez niejakiego Leona Szewczyńskiego.

* * *

Ławeczka ustawiona w prawej części podwórka od marca do października zawsze była przez kogoś zajęta. Zbudował ją przed laty nieżyjący już Wacek Tokarski, który lubił przesiadywać tam z żoną i patrzeć na kury oraz toczące się na podwórku życie. Odkąd Wacek zmarł, wdowa, Zofia Tokarska, siadała tam czasem sama, czasem z Adelą Kałużą, a czasem ze swoją trzydziestokilkuletnią córką Teresą, która nie zdecydowała się na zamążpójście. Została przy matce i od lat pracowała w aptece pani Anny Suchockiej.

Na całym podwórku było to jedyne przyjemnie zacienione miejsce, w którym można było usiąść i odpocząć, toteż ławeczka cieszyła się wielkim powodzeniem wśród mieszkańców. Małych dzieci w kamienicy już nie było (Adela mówiła, że „jeszcze ich nie ma”, wszak wszyscy czekali, aż młodzi Białasowie, Gellertowie oraz Helena w końcu doczekają się potomstwa), więc nie było też komu biegać po podwórku. Każdy chciał za

to spokojnie posiedzieć, toteż na widok pustej ławeczki Helena natychmiast ruszyła w jej stronę. Do rozpoczęcia próby chóru miała jeszcze chwilę, a umówiła się z Ryfką, że dziś pójdą tam razem. Chciała, żeby jej serdeczna przyjaciółka wreszcie poznała Józka Biadałę, jej kawalera. Ponadto Gellertówna miała piękny, czysty głos, śpiewała altem, a wiadomo, że altów nigdy dość. Helena cieszyła się, że będą mogły razem śpiewać. Cóż, przynajmniej do czasu, kiedy Ryfka pojedzie na studia do Poznania.

Helena patrzyła przez chwilę na kury Tokarskich, potem przeniosła wzrok na drugie piętro, gdzie widać było kwiaty doniczkowe zasadzone przez ciocię Stefanię oraz fragment abstrakcyjnej rzeźby, którą podarował cioci ludowy artysta z Zielonej Łąki. Nikt nie wiedział, co ta rzeźba przedstawia, ale zdaniem cioci odznaczała się prawdziwym kunsztem. Stefania postawiła ją tuż przy wejściu do swojego mieszkania, przez co ludowe dzieło niejako awansowało do funkcji cerbera.

– A co ty tak siedzisz i wpatrujesz się w balkony? – Ryfka usiadła po drugiej stronie ławki, aż ta niebezpiecznie zaskrzypiała.

Ryfka zawsze była pulchna i mimo że przez lata wysmukłała, jej kształty pozostały okrągłe. Adela utyskiwała, że jej Hela „to taka sucha gidyja, Jezusie Nazareński, je jak kuń, a wiór taki, nie to co młoda Gellertówna, ta to, proszę ciebie, jest jak rzepa!”.

– A nic, nie chciało mi się czekać na klatce, tam zawsze ciemno i zimno, to sobie na ławkę wyszłam. – Helena oparła się o chropowatą ścianę kamienicy.

Nie spuszczała wzroku z kwiatów Stefanii. Musiała zrobić sobie daszek z dłoni, bo popołudniowe słońce prażyło niemiłosiernie. Na podwórku kamienicy był taki żar, jakby ktoś zatkał słońce w butelce.

– Fest będzie na chórze, zobaczysz. – Odwróciła się szybko do przyjaciółki, aż włosy zatańczyły jej dokoła głowy.

– Sama nie wiem, trochę się wstydzę tak śpiewać przed wszystkimi. – Ryfka pochyliła głowę i utkwiała wzrok w swoich letnich pantofelkach.

Matka kupiła je aż w Ostrowie, jako część jej wyprawki do Poznania. Miały srebrną klamerkę i zwężane noski oraz – ku uciechu niskiej Ryfki – lekki obcas. Prawdziwe чудо!

– Ryfka, tej, wy na tych waszych świętach to ino śpiewacie i śpiewacie, a tutaj będziesz się wstydzić?

– Ja, ja, ale tam śpiewamy wśród swoich, chociaż teraz to już prawie nie śpiewamy, bo wszyscy nasi u Niemców są albo w Ameryce siedzą. Ze cztery rodziny żydowskie zostały w Pleszewie – westchnęła.

– Ano wiem, wiem... To tym bardziej śpiewać musisz, coby z wprawy nie wyjść. A nuż na tym uniwersytecie jakie chóry akademickie będą? – Zaśmiała się głośno. Lubiła się śmiać.

– Ty się, Heła, śmiejesz, ale dla mnie to taki wielki świat będzie. Jak ja się odnajdę, skromna Żydówka z Pleszewa? – Na twarzy Gellertówny rysował się lekki strach. Nie spodziewała się przecież, że przyjmą jej kandydaturę. Co z tego, że zdała egzamin z maksymalną liczbą punktów? Wiadomo było przecież, że od kilku lat na polskich uniwersytetach liczyły się również punkty „za pochodzenie”^[10] i że Żydom z reguły przyznawano ich mniej. Okazało się jednak, że na Uniwersytecie Poznańskim było inaczej. Tam Żydów z Wielkopolski przyjmowano na takich samych warunkach jak Polaków. Ryfka, która już w gimnazjum pragnęła pójść na studia, kiedy jej marzenie się urzeczywistniło, nagle zaczęła się bać.

– Będę na pewno taka sobie ostatnia Rachela Gellert, meszuga^[11], taka wiesz.

Helena szturchnęła przyjaciółkę, aż ta niemal zleciała z ławki.

– Ty się, Ryfka, nie certol, ty tam będziesz najlepsza na całym uniwersytecie, a ja będę tutaj chodzić dumna po rynku, żeś moją

przyjaciółką!

Ryfka spojrzała na Helenę. Na twarzy Kałużówny malowało się zadowolenie, ale był tam też smutek.

– Ej, Hela, może tobie po tej małej maturze też by się udało, co? Może byś poszła na kursy przygotowawcze, w dwa lata zrobiła maturę i też zaczęła studia?

Hela odwróciła się od przyjaciółki i przez chwilę patrzyła tępo na chlewik, z którego dobiegało chrupkanie Białasowych prosiaków. W tym roku największa maciora urodziła aż szóstkę, a każde zdrowe i tłuściutkie. Białasowa była z tego niezwykle rada.

– Nie stać mnie, Ryfka, przecież wiesz. Ale nie szlochajmy tutaj jak na pogrzebie, tej. Ja jestem zadowolona! Wujka mi może jaką dobrą robotę w buchalterii załatwi, to i babce pomogę, żebyśmy prasować ciągle nie musiały. A Józek jest fest chłopak i wcale mi tu nie jest źle! – Roześmiała się perliście.

– No, ja sobie imaginuję, że tobie tu będzie lepiej niż mi w tym Poznaniu. Tera to mnie strach obleciał przed tym uniwersytetem. – Ryfka cały czas była poważna, chociaż kiedy spoglądała ukradkiem na swoje nowe buciki, robiło jej się nieco lżej na sercu.

„Lepiej frasować się w eleganckich pantoflach niż w łapciach z łyka”, pomyślała.

Nagle Helena poderwała się, jakby ją kto ukłuł w siedzenie.

– Ale my się spóźnimy na próbę, a nasza dyrygentka, panna Loncówna, tego nie lubi. Trzeba się rozśpiewać, Ryfka! Idymy!

Snop światła wpadający z ulicy oświetlił zacienioną część podwórka. Kiedyś mieszkańcy nie musieli nawet patrzeć na bramę, żeby wiedzieć, czy ktoś wchodzi, czy nie. Stare, wysłużone zawiasy skrzypiały niemiłosiernie, obwieszczając czyjeś przybycie. Niedawno jednak państwo Szewczyńscy

wymienili cały mechanizm otwierający, w tym również sfatygowaną klamkę.

W bramie stanęła szczupła czarnowłosa dziewczyna.

– Serwus, Leosia! – zawołała Helena.

Dziewczyna świetnie znała piętnastoletnią Eleonorę Trzaskę, wszak przez jakiś czas chodziły razem do szkoły. Leosia była ulubioną uczennicą ciotki Stefanii, chociaż też najbardziej krnąbrną. Obie z Ryfką wielokrotnie słyszały smutną historię Rozalii Trzaski i chociaż wszyscy wiedzieli, że częściowo w jej trudny los wplątana była również matka Heleny, nikt już o tym nie wspominał. Irena stała się teraz stateczną panią Jorgową, a Rozalia Kościńska-Trzaska uwolniła się od wiarołomnego męża, pokonała pół Europy z małą Leosią u boku i Władzią w brzuchu. Przyjechała do Pleszewa, gdzie z pomocą Stefanii, Henryki i księdza Niesiołowskiego znalazła dom i pracę. Od kilkunastu lat mieszkały we trzy w mieszkaniu czynszowym w twardowskiej gorzelni należącej do majątku hrabiego Żychlińskiego. Rozalia pracowała tam przy butelkowaniu wódki i każdy zarobiony grosz odkładała na wykształcenie córek. Nie było dnia, żeby Leosia i dwa lata od niej młodsza Władzia nie słyszały z ust matki:

– Pamiętajcie, macie same zarabiać, mieć zawód, bo każdy facet to miglanc^[12] i wam w głowie poprzewraca, a potem to się okaże, że to luj ostatni, i będzie poruta!

Stateczna Władzia brała sobie te nauki głęboko do serca, natomiast krnąbrna Leosia miała je w głębokim poważaniu. Żyła tak, jak chciała, ubierała się tak, jak chciała (ku utrapieniu matki uparcie nosiła spodnie), spotykała się, z kim chciała, i mówiła to, co chciała.

Teraz też stanęła przed obiema dziewczynami i bez żadnych ceregieli wyjęła papierośnicę i zapalki. Ujęła papierosa w długie palce, zapaliła i głęboko się zaciągnęła. Helena i Ryfka patrzyły na Leosię jak na

przybyła z innej planety. Obie wiedziały, że dziewczyna zawsze robi, co chce, ale tutaj, na tym podwórku... Żadnej z nich nie śniło się, żeby stać w spodniach, bluzce rozpiętej tak, że ledwo zakrywa nieduży biust, z jedną ręką opartą wyzywająco o biodro, a drugą trzymającą papierosa. A przecież Leosia była od nich młodsza o pięć lat.

– Witajcie dziewczyny, idę do pani Stefanii. A wy dokąd lecicie?

L e c i c i e...? Czy dobrze usłyszały?

– Na chór, śpiewać idziemy. A ty, Leosia, opamiętaj się ino, bo to nie godzi się dziewczynie u nas na Piłsudskiego palić papierosa.

Helena poprawiła teczkę z nutami pod pachą i wyprostowała się jak struna, chcąc przydać powagi swojej pedagogicznej przemowie. Na niewiele się to zdało. Leosia popatrzyła na nią pobłaźliwie, potem przeniosła wzrok na Ryfkę, po czym rzuciła papierosa i przygniotła go znośnym pantoflem.

– Oj, dziewczyny, dziewczyny – westchnęła. Uśmiechnęła się, poklepała każdą po ramieniu i już po chwili usłyszały tupot jej butów na wytartych schodach prowadzących do mieszkania Stefanii.

– Chodź, Ryfka, bo naprawdę się spóźnimy. – Helena nacisnęła klamkę bramy. – A z Leosią to będą jeszcze kłopoty, jak tu stoję.

– Ja, ja.

Ryfka posłusznie ruszyła za przyjaciółką i szybkim krokiem udały się w stronę rynku.

[2] Reforma jędrzejewiczowska unifikowała system edukacji, wcześniej rozproszony ze względu na pozaborowe podziały, i wprowadzała tak zwaną małą maturę.

[3] Dzielnica – ówczesny odpowiednik dzisiejszych przychodni rejonowych.

[4] Rodzaj pieca węglowego z fajerkami. Nazwa wielkopolska.

[5] Nazwa Chorzowa, funkcjonowała do 1934 roku.

[6] Szczepionkę BCG zaczęto produkować w Polsce w 1924 roku, a w 1926 rozpoczęły się masowe szczepienia, głównie w dużych miastach.

[7] Koncern przedsiębiorstw Górnego Śląska istniejący od 1929 do 1939 roku.

[8] Filozof niderlandzki pochodzenia żydowskiego.

[9] Bardziej eleganckie określenie bimbru. Nazwa wzięła się z okresu prohibicji w Stanach Zjednoczonych, kiedy obywatele na własną rękę nielegalnie produkowali alkohol, a żeby ukryć proceder, większość produkcji odbywała się w nocy „przy świetle księżyca”.

[10] Chodziło o tzw. *numerus clausus*, czyli procentowe ograniczenie liczby żydowskich studentów proporcjonalnie do liczby polskich obywateli pochodzenia żydowskiego.

[11] Człowiek niespełna rozumu, w tym kontekście wariat (tłum. z jidysz i hebrajskiego).

[12] Osoba uchylająca się od pracy, leniwy spryciarz. Jeśli nie oznaczono inaczej, tekst przetłumaczono z gwary poznańskiej.

II

Drzwi prowadzące do Kasy Chorych otwierały się ciężko, a tuż za nimi panował całkowity mrok.

W pierwszej chwili Feliks pomyślał, że ma to niemal symboliczny wymiar. Kasa Chorych, jak każda inna instytucja w odnowionej Polsce, przeżywała kryzys. Inflacja, krach na światowych rynkach i problemy młodego państwa nie pozostawały bez wpływu na służbę zdrowia. Kiedy Feliks zaczynał studia, w ich regionie było niemal trzysta Kas Chorych, które całkiem nieźle prosperowały. Teraz zostało ich około stu, a każda ledwo wiązała koniec z końcem. Łączono je i redukowano w ramach oszczędności.

Feliks pomyślał, że może jeszcze się wycofa, wszak wcale nie musi zapisywać się do kasy. Rodzice na pewno pomogą mu w organizacji gabinetu, a on sam może przyjmować pacjentów komercyjnie, dzięki czemu nie wpadnie w tryby administracyjne.

Chwila wahania trwała jednak bardzo krótko, akurat tyle, żeby jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Feliks zobaczył szereg drzwi i długi, ciemny korytarz. Nie wiedzieć czemu, przywiodło mu to na myśl tłumy chorych dzieci z biedoty poznańskiej mieszkających w ochronkach. Wspomnienie to pochodziło z czasów, kiedy jako student medycyny z ramienia organizacji Stowarzyszenia Studentów „Bratnia Pomoc”

odwiedzał tego typu przybytki. De facto nie miał pomagać tym ludziom, ale prowadzić studia przypadków. Z zasobami, którymi wówczas dysponowało środowisko lekarskie, i przy ogromie potrzeb nie było jak leczyć wszystkich chorych. „Lekarze są potrzebni wszędzie, a bogaci ludzie zawsze sobie jakoś poradzą”, pomyślał i bez wahania zapukał do pierwszych drzwi – z napisem „Kancelaria”.

– Proszę! – odezwał się lekko oschły kobiecy głos.

Feliks wszedł do pokoju zastawionego półkami. Pośród stosu skryptów i kwiatów doniczkowych ujrzał sekretarkę pana Rudkego. Była młoda, ale miała surowy wyraz twarzy. Siedziała lekko pochylona do przodu, z zadartą głową, co sprawiało wrażenie, jakby traktowała go z góry. Okulary w grubej rogowej oprawie zsunęły jej się do połowy nosa.

– Dzień dobry, jestem umówiony z doktorem Rudkem w sprawie zapisania się do Kasy Chorych. Nazywam się Feliks Szewczyński.

Sekretarka wstała niespiesznie, opierając się rękami o blat, jakby ta czynność wymagała od niej nadludzkiej siły.

– A, to pan, bardzo mi miło.

Feliks odniósł wrażenie, że ten zwrot pasował do jej surowego wzroku i oschłego głosu jak kwiatek do kożucha.

– Proszę chwilę poczekać, zaraz zaanonsuję pana doktorowi.

Zapukała cicho do kolejnych drzwi i nie czekając na odpowiedź, wsunęła się tam i już po chwili wróciła.

– Proszę, doktor Rudke na pana czeka. – Wskazała drzwi i usiadła za swoim zavalonym papierami biurkiem.

„Najwyraźniej ma mnóstwo pracy i nie w głowie jej uprzejmości”, Feliks próbował usprawiedliwić w myślach sekretarkę, jednak już po chwili całkiem o niej zapomniał. Stał teraz przed doktorem Rudkem, który przywitał go podobnie nieprzychylnym wzrokiem.

Był starszym mężczyzną, niemal łysym i wyraźnie przy kości. W Pleszewie przez całe lata był jedynym lekarzem, a kilka lat temu zdecydował się porzucić praktykę na rzecz urzędniczej posady w Kasie Chorych. Feliks wielokrotnie słyszał, jak rodzice krytykowali jego sposób leczenia. Był doktorem starej daty, nie uznawał nowinek, mówiło się, że nawet salwarsan^[13] był dla niego postrachem. Zdaje się, że matka sama doświadczyła jego niekompetencji, ale nigdy nie chciała o tym rozmawiać ani z nim, ani tym bardziej z młodszym Wiktorem.

– Niech pan siada. – Rudke uniósł się ciężko i od razu oklapł z powrotem. – To co, zachciało się być wiejskim lekarzem?

– Jakim wiejskim? Przecież Pleszew to miasto. – Młody Szewczyński powtórzył to samo, co przed kilkoma dniami powiedział matce.

Nie rozumiał, skąd wzięło się to określenie. Wiejski lekarz, też coś.

– Wie pan, wiejski, czyli taki od czworaków z okolicznych majątków. Brud, smród i ubóstwo. Gruźlica nadal się szerzy, krzywicy pełno, o chorobach układu trawiennego nie wspomnę – Rudke mówił powoli, a niemal każdemu słowu towarzyszyło sapnięcie.

Feliks pomyślał, że przydałoby mu się nieco ruchu i koniecznie badanie ciśnieniomierzem. Na pierwszy rzut oka potrafił ocenić, że doktor ma z tym spory problem.

– Widzi pan, tak postrzegam swoją misję, że skoro wykształciłem się w tym kierunku, to muszę coś oddać innym.

Feliks nie wiedział, co powiedzieć starszemu panu, który zapewne niejedno już wiedział i widział. Dziwił się, że musi tłumaczyć coś tak oczywistego. Wszak pan Rudke pobierał pensję od państwa, żeby zatrudniać lekarzy do leczenia powszechnego, a nie elitarnego.

– Tak, tak, misja. Każdy z nas miał ją na studiach. – Rudke zaśmiał się tak, że aż biurko zadrżało. – Wie pan, każdy z nas w końcu z tego wyrasta.

– Zapewne ma pan rację, ale ja jeszcze nie wyrosłem i bardzo chciałbym zapisać się do Kasy Chorych jako lekarz rodzinny z państwową pensją.

Feliks wyprostował się jak struna, a Rudke pomyślał, że ten nieopierzony młokos wygląda zupełnie jak jego matka Henryka, niegdyś jego pacjentka.

– Ależ ja pana nie zniechęcam, dziwię się tylko... Wszak pańscy rodzice są majątni, stać was nawet na zbudowanie niedużej prywatnej przychodni. – Rudke rozłożył ręce.

– To są, jak sam pan mówi, pieniądze moich rodziców, nie moje.

– Uuu, hardyś, młodzieńcze, ale w gruncie rzeczy takich nam trzeba. Medycyna w obecnych czasach to niełatwy kawałek chleba, oj, niełatwy! – Rudke pochylił się i wyjął duży arkusz z szuflady biurka. – Proszę, niech pan to wypełni. Oprócz pana w Dzielnicy pracuje jeszcze dwóch lekarzy, są też dwie pielęgniarki. Praca jest zmianowa, trzysta pięćdziesiąt złotych na początek plus dwadzieścia złotych za każdy dyżur nocny.

Feliks sięgnął po dokument, szybko go wypełnił, podpisał się zamasyście, po czym wręczył arkusz Rudkemu. Nie chciał przedłużyć rozmowy, która nie była dla niego przyjemna. Nie lubił prywatnych wycieczek, zwłaszcza gdy w grę wchodziło jego rodzice.

– Kiedy zaczynam?

– Jutro o dziewiątej rano. Wejście do Dzielnicy jest w tym budynku.

– Wybornie. Dziękuję bardzo i kłaniam się panu.

Po tych słowach Feliks nacisnął mocno klamkę, pożegnał się z sekretarką lekkim skinieniem głowy i rażno wyszedł z budynku.

Na dworze było słonecznie i gorąco. Feliks stał jeszcze chwilę, patrząc, jak po przeciwległej stronie ulicy, tuż przy budynku dworca Pleszew Miasto, kolejarze przetaczają kilka wagoników wypełnionych węglem.

W tle mignęła mu również postać pana Fridmana, nowego lokatora na Piłsudskiego 10. Jeszcze bardziej pochylił kapelusz, żeby uchronić się przed południowym słońcem, i szybkim krokiem ruszył w kierunku domu. Powinien teraz pomyśleć o wynajęciu dla siebie mieszkania, ale nie spieszył się z tym zupełnie. Mieszkając u rodziców, miał większe szanse widywać Helenę, choć były to jedynie spotkania w przelocie.

Chwilowo wystarczyło mu, że tylko na nią popatrzy.

* * *

– Jak myślisz, czy wuja da nam znać, co tam na Śląsku z panem Grolewskim uradzili?

Helena siedziała za wielkim stołem z twarzą wspartą na dłoni. Wpatrywała się w babkę, która, jak zwykle, w wykrochmalonym do niemożliwości fartuchu krzątała się przy angielsce.

– Da znać na pewno, a czy się udo z tą robotą, czy nie, to Bóg jeden wie – odpowiedziała uspokajająco Adela.

Sama w skrytości ducha miała nadzieję, że Helenie uda się zdobyć dobrą posadę, chociaż nie chciała o tym głośno mówić. Od dwóch lat pracowały razem przy prasowaniu i mimo że praca zawsze była, Adela czuła, że przecież nie takiej przyszłości pragnęła dla wnuczki.

Helena zerknęła na kącik, w którym stało jej łóżko, niegdyś należące do matki. Niewiele się tam przez lata zmieniło. Doszła jedynie wąska półka wypełniona książkami i kajetami, a laleczka Malka służyła wyłącznie jako ozdoba na pościeli. Nad łóżkiem zamiast portretu matki zawisło zdjęcie ze ślubu wuja, na którym była cała rodzina – Zielińscy z Czesią i Rózią, babcia, wuja Roman, ciocia Sara i ona sama. Pięknie było wtedy w Gdyni. Pamiętała fenomenalny zapach morza i długie, ciągnące się kilometrami

plaże. Uśmiechnęła się do wspomnień. Może kiedyś z Józkiem pojedą tam razem na wywczas?

Z korytarza dobiegły dźwięki ciężkich kroków.

– O, to może twój Biadała?

Adela stanęła przy piecu, trzymając się za lędźwie. Było jej coraz ciężiej. Wieczorem, gdy kładła się spać, miała nogi spuchnięte jak balony, ale nie chciała się skarżyć przed Heleną. Dopóki może, będzie z nią pracować. I tak była wdzięczna dziewczynie, że została z nią w Pleszewie. Przecież gdyby tylko chciała, mogłaby jechać do matki, do Westfalii. Irena wielokrotnie pisała, że weźmie Helenę, znajdzie jej jaką pracę, a nawet u niej mogłaby pomagać. Irena dorobiła się z Antonem czworga dzieci, najmłodsze miało zaledwie dwa lata. Było co robić.

Helena jednak nie chciała jechać. Jeszcze jako dziecko wysyłała listy do matki, w których opisywała swoje przeżycia w szkole i na podwórku. Irena również jej odpisywała, wysyłała nawet zdjęcia dzieci i swoje na tle kamienicy w Reclinghausen. Nadal była piękna, chociaż przybyło jej kilogramów. Potem listy pojawiały się coraz rzadziej. Irena też zaczęła pisać tylko okazjonalnie, na święta i urodziny córki. Od niedawna Helena dopisywała już tylko kilka linijek w listach Adeli do córki. Straciła chęć na dzielenie się z matką swoim życiem.

Adeli było z tego powodu przykro. W końcu córka to córka. Choć nawywijała jako siksa, to jednak ustatkowała się, męża chyba ma dobrego, pieniądze są, czasem nawet podesłała trochę marek, czasem paczkę z ubraniami i kanoldami^[14] dla nich. Mimo to Helena się zacięła, jakby po latach dotarło do niej, że jest porzuconym dzieckiem.

– Łe tam, to nie Józek, za ciężkie kroki. To ten nasz nowy sąsiad Fridman, on tak ciężko kłapie, jak z roboty wraca. – Helena odwróciła się w kierunku łóżka babki, nad którym wisiał duży zegar, jedyny, jaki miały

w skromnym mieszkaniu. – Ale Józek to mógłby już przyjść, piąta dochodzi, a na piątą żeśmy się umawiali.

– Bydzie, bydzie, to fest chłopak jest. Ino wysmaruj mnie przed wyjściem tym zajzajerem.

Adela podeszła do kredensu, w którym trzymały lekarstwa, i wyjęła buteleczkę. Był to specyfik, który Tereska Tokarska od lat przynosiła jej z apteki Suchockich. Działał świetnie na heksenszusa[15].

– Teraz cię, babciu, wysmaruję, bo przecież nie przy Józku. – Zaśmiała się głośno.

– A pewnie, co tam bydzie staruchę oglundał.

Babka podeszła do swojego łóżka i po kolei, skrupulatnie zaczęła zdejmować z niego najpierw ciężką narzutę, a potem pierzynę. Zostały tylko prześcieradło i poduszka. Dla Adeli położenie się na zaścielone łóżko było bodaj takim grzechem jak zapraska na koszuli. Niewybaczalnym. Łóżko miało być zaścielone tak, żeby nie było żadnych zagnieceń, i basta.

„Zajzajer” śmierdział terpentyną i jakby czymś miętowym. Helena spieszyła się, żeby szybko otworzyć okno i wywietrzyć. Nie dość, że w ich pokoiku zawsze pachnie jedzeniem, to teraz jeszcze lekami. Ech, jak dobrze byłoby mieć osobną kuchnię!

– A ten Fridman to miły człowiek, całkiem uprzejmy, i tak śmiesznie wymawia literę „ł”, jakby mówił „l”.

Wiotka skóra babci na plecach marszczyła się, kiedy Helena energicznie wcierała lek.

– Bo on hadziaj[16] ze wschodu, ze Lwowa jest, oni tam tak godają. – Głos Adeli był lekko przytłumiony przez poduszkę, ale wyraźnie dało się posłyszeć, jak stęka przy każdym mocniejszym ruchu wnuczki.

– Przydałaby ci się, babciu, wizyta u doktora, nie może tak być, że ciągle cię boli.

Helena zakończyła masaż przy karku, zatkała buteleczkę i szybko poszła do miednicy przepłukać ręce. Już trzy po piątej!

– A idź mi tam z tymi doktorami swoimi. Nigdzie nie poleżę, jeszcze mi co wynajdą i co?

Adela narzuciła z powrotem fartuszek, zapięła się i zaczęła zaścielać łóżko, mimo że za dwie godziny miała kłaść się spać. Nie będzie przez dwie godziny stać niezaścielone!

– Ten Fridman miły, ale miglanc jakiś. Tokarska godała, że nieźle nawywijoł w Poznaniu, a skoro on ze Lwowa, to i pewnie tam też nawywijoł i tu do nos uciekł.

Adela usiadła na chwilę za stołem i wierzchem dłoni poczęła ścierać niewidzialne okruszki z blatu. Nie potrafiła siedzieć beczynnje.

– Łe tam, miglanc od razu, Tokarska to nie ma o czym pleprać. – Hela wzruszyła ramionami. – Zawsze oczko do mnie puści, a jak pięknie śpiewa! On, babciu, muzyk jest, na pianinie gra, a na kolei robi, paradne!

Dziewczyna znów się zaśmiała, ale Adela wyczuła w jej głosie podenerwowanie. Wiedziała, że Helena nie lubi czekać.

– To też dziwne jest, ale czy wiadomo, gdzie to człowieka rzuci? No, dosyć tego siedzenia. – Kałużowa podniosła się i podeszła do pieca.

Zamierzała zrobić zaczyn na chleb, poprzedni już się kończył. Czego jak czego, ale chleba w ich domu nie mogło zabraknąć.

Zza drzwi usłyszały szybkie kroki i po chwili rozległo się stanowcze pukanie.

– Nareszcie. – Na twarzy Heleny malowało się lekkie zagniewanie.

Adela spojrzała na wnuczkę. Ech, gdzie się podziała dawna płochość dziewcząt, kiedy kawaler przychodził w konkury? Teraz to wszystko takie wyzwolone. A już panna Stefania to Helę na taką hardą wychowała, że

Adela nieraz się dziwiła, jak to możliwe, żeby dziewczyna była taka wygadana. Ale to dobrze, poradzi sobie w życiu, jak jej zabraknie.

– Pani Kałużowo czcigodna, ja żem się spóźnił, bo Grajowie dostali zamówienie od przemysłowca Jezierskiego na wielki stół, tośmy heblowali od samego ranka! O, pani patrzy, ile mi drzazg nawłaziło w łapska!

Józek Biadała był wysokim chłopakiem o jasnym spojrzeniu i szczerym uśmiechu. Do tego miał fach w ręku, pracował w stolarni państwa Grajów. Zarabiał nieźle, a w Helę był wpatrzony jak w obrazek. Adela cieszyła się, że taki chłopak stara się o rękę jej wnuczki.

Biadała nieporadnie wręczył Kałużowej bukietek nagietków, a drugi dał Helenie, dygając przed nią niczym uczeń.

– O wybaczenie proszę za to spóźnienie.

– I dobrze, bo wiesz, Józiu, że bardzo tego nie lubię.

Helena niby to w żartach pogroziła Biadale przed nosem i szybko oddała bukietek Adeli.

– Babciu, włożysz też moje kwiatki do wazonu? My już idziemy!

Nacisnęła klamkę, a za nią w mig wybiegł Józek. Słysząc było tylko ich oddalające się kroki na klatce schodowej, a potem mocne trzaśnięcie drzwi wejściowych. Kałużowa stała chwilę z dwoma bukietkami w rękach, bezwiednie się uśmiechając.

– No i patrzcie państwo, kwiatki mi wcisnęła swoje, a Józek nawet tych drzazg nie pokazał.

Wsadziła nagietki do malowanego dzbanuszka i poczłapała z powrotem do pieca. Niezły rojber^[17] z tej jej wnuczki!

* * *

Odkąd komisja egzaminacyjna Wydziału Prawa i Ekonomii Uniwersytetu Poznańskiego ogłosiła listę przyjętych na pierwszy rok studiów, na której

pod numerem jedenaście wyraźnie stało „Rachel Gellert, ur. 5 marca 1912 roku”, Estera chodziła jak w malignie.

Nie mogła uwierzyć, że jej Ryfka wkrótce będzie studentką prawa. Pierwsza kobieta w ich rodzinie, która poszła na studia, była jej własną, rodzoną córką. Ach, co za glik^[18]! Wydawało się, że Josif Gellert, mąż Estery i ojciec Ryfki, podchodził do sprawy z większą rezerwą, ale był to tylko pozór. Każdy klient karczmy wiedział, że Ryfka, jego mądry kind^[19], będzie studiować w Poznaniu.

– Panie kochany, pan wie, co to jest za glik! Bo to jest tak: w żydowskiej rodzinie to pan musi mieć albo rabina, albo nauczyciela, albo prawnika. Ja miał w swojej rodzinie czcigodnego rabina Mosze Gellerta, ale to było land zurik^[20]! – opowiadał klientom, kiedy pod ladą, w tajemnicy przed Esterą, wychylił kilka kieliszków znakomitego bimbrowy przywiezionego z Korzkiew przez handlarza spirytusem.

– U nas też nie było nauczyciela, takie nieszczęście, ale prawnik – w tym momencie dramatycznie zawieszał głos – prawnik to też jest bardzo gut fah^[21], szanowny panie! – dodawał, żeby nikt nie miał wątpliwości, co Ryfka studiuje i kim zostanie w przyszłości.

Najspokojniej do sprawy podchodził dwudziestoczteroletni Dawid, brat Ryfki, który od małego wiedział, że przejmie po rodzicach karczmę. Handlarską żyłkę miał we krwi, a ze szkoły wyniósł jedynie umiejętność dobrego rachowania, żeby nikt nigdy go nie okantował. Nadto miał dalekosiężne plany rozwoju interesu rodziców.

– Tate, przecież nie będziemy ciągle na wynajmowanym mieszkać! Teraz jest tyle możliwości, nasi wyjeżdżają, trzeba dogadać się z jednym czy drugim, kupić kamienicę na Wrocławskiej albo Poznańskiej, geszeft^[22] na dole rozbudować, sklep jaki otworzyć, a nie ciągle kątem u Szewczyńskich siedzieć – namawiał Josifa. – Jak już Ryfka szkoły

pokończy, to tak nam przypilnuje wszystkiego prawnie, że kejner vet ofnam undz^[23]!

Josif wówczas patrzył na syna z lekkim politowaniem i krótko odpowiadał:

– Ty, Dawid, jak chcesz geszeft otwierać, to ty otwieraj, mit Gott's hilf^[24]. Ale gdzie my mamy mieszkać, to ty już nam nie mów, bo my więcej siwych włosów na głowie mamy, twoja mame liczyć umie, a ja geszeftu swojego pilnować też umiem.

Josifowi do głowy by nie przyszło, że miałby wyprowadzać się z Piłsudskiego 10. Jeden atak już odparł, kiedy przed laty Estera zapragnęła wyjechać do Ameryki. Wówczas zaważyły dobro dzieci i strach przed nieznanym. Tym razem na przeprowadzkę nalegał Dawid, a przecież wiadomo, jak to jest z dziećmi – buntują się, a potem idą swoją drogą. To nie znaczy, że on, pięćdziesięcioletni Josif Gellert, ma robić to, co mu jego kind^[25] powiedzą!

– Poza tem, Dawid, ty miarkuj sobie, na świecie różne niedobre rzeczy się dzieją i nam, Żydom, coraz trudniej jest. A w naszym Pleszewie spokój.

Tak na ogół kwitował rozmowę z synem, a Dawid przesadnie się nie buntował. Wiedział, że prędzej czy później założy własny interes, byleby znaleźć mądrą i zaradną żonę. Myślał nawet o Helenie Kałuży, ale ona była zajęta tym Biadałą z Kaliskiej. Nic to, poczeka się.

Tymczasem główna zainteresowana cieszyła się wyjazdem najmniej ze wszystkich, chociaż wizja życia w dużym mieście była kusząca. Rodzice zawczasu postarali się o wynajęcie dla Ryfki przestronnego pokoju u pana Lissnera, pierwszego właściciela kamienicy Szewczyńskich. Pan Lissner miał obecnie kilka kamienic w Poznaniu i chętnie przyjął do siebie studentkę za niemałą sumę pięćdziesięciu złotych miesięcznie. Wszystko było dopięte na ostatni guzik: wpisowe zapłacone, specjalne konto w kasie

oszczędnościowej PKO na potrzeby studiów otwarte, a Estera oprócz kilku par botków i sukienek pokusiła się nawet o kupno niezwykle drogiego płaszcza tweedowego, za którym pojechała aż do Kalisza.

– Ty musisz, Rachela, dobrze wyglądać. Co się nie nauczysz, to dowyglądasz – zwykła mawiać matka.

Bogiem a prawdą Ryfka do niczego nie potrzebowała tego płaszcza. Moda i stroje w ogóle nie zaprzętały jej głowy. Martwiły ją natomiast coraz liczniejsze ekscesy antyżydowskie, o których rozpisywano się nawet w „Gazecie Pleszewskiej”, mimo że dochodziło do nich na Uniwersytecie Warszawskim i Lwowskim.

– Ja się trochę boję, Helena. U nas w Poznaniu Żydów mało, a jak się wszyscy tak będą biesić jak we Lwowie, to co ja biedna zrobię? – zwierzała się przyjaciółce.

– Ale jaki to jest problem, żeś ty Żydówka? Mądraś, to cię na uniwersytet wzięli! A bo to wiesz, skąd te rozruchy i dlaczego były? Może to zwykła łobuzerka, tej! – pocieszała ją Helena.

Była pewna, że Ryfka przesadza ze strachu przed nieznanym, ale Ryfka nie tego się obawiała. Jeszcze zanim zdecydowała się na złożenie dokumentów, przeczytała w „Kurierze Polskim” o niejakim Stanisławie Waclawskim^[26], który zginął w Wilnie uderzony kamieniem podczas zamieszek polsko-żydowskich. Kilka miesięcy później w „Tygodniku Wielkopolskim” ukazał się artykuł o Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego zmagającym się z problemem organizacji, które nie akceptowały obecności obywateli pochodzenia żydowskiego na uczelni.

Ryfke nie mieściło się to w głowie. Postanowiła wypytać o to Feliksa przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie widywali się zbyt często – mimo upalnego lata młody Szewczyński pojawiał się na podwórku niezwykle rzadko, a w ostatnich dniach Ryfka miała wręcz wrażenie, że znika na całe

dnie. Matka wspomniała, że Feliks stara się o posadę w Kasie Chorych. Ryfca nie mieściło się to w głowie. Wykształcony i mądry chłopak miałby wrócić do Pleszewa i pracować w Kasie Chorych?!

A jednak. Pewnego dusznego sierpniowego popołudnia zbiegała akurat do karczmy rodziców. Czasem im pomagała, szczególnie w piątki, chociaż robiła to niechętnie. Nie podobał jej się ten interes, ale nie miała wiele do gadania. W końcu to dzięki karczmie mieli pieniądze, by ona sama mogła studiować. Zaciskała więc zęby i przychodziła od czasu do czasu, żeby stanąć za kontuarem i pomóc matce, ojcu i Dawidowi. Ten dla odmiany czuł się w karczmie jak ryba w wodzie.

Któregoś dnia przy bramie kamienicy natknęła się na wchodzącego Szewczyńskiego. Był jak zwykle lekko zgarbiony i zamyślony, a w jednej ręce trzymał dużą skórzaną torbę. Ryfka wolała sobie nie wyobrażać, jakie narzędzia lekarskie są w środku. Fizjologia ludzkiego ciała zawsze ją brzydziła.

– Serwus, Feliks! – Uśmiechnęła się do wysokiego kolegi.

Zawsze go lubiła, chociaż miała wrażenie, że on w ogóle jej nie zauważa. Był z wszystkimi na dystans i zawsze sprawiał wrażenie bujającego w obłokach. Kiedy byli dziećmi, jedyną dziewczynką, z którą rozmawiał, była Helena. Zresztą tak zostało do dziś. Kilkukrotnie widziała ich stojących w bramie i trąkających niczym przekupkes^[27].

– Ryfko, dzień dobry, jak miło cię widzieć!

Uśmiechnął się na jej widok, położył torbę, a Ryfka miała wrażenie, że chce ją pocałować w rękę. Niedoczekanie, przecież to kolega z podwórka. Odruchowo schowała obie ręce za siebie. Feliks zawsze lekko ją onieśmiał, mimo że nie należała do przesadnie nieśmiałych dziewcząt.

– Co ty taki zmęczony? – zagaiła.

Nie będzie przecież zaczynać od trudnych tematów.

– Ech, nawet nie zdajesz sobie sprawy, z iloma kwestiami trzeba się borykać, żeby móc leczyć ludzi. – Westchnął ciężko, patrząc w głąb podwórka.

– Aha – odpowiedziała z braku lepszego pomysłu na ripostę i od razu przeszła do rzeczy. – Pracujesz teraz u nas, w Pleszewie?

– Owszem, w Dzielnicy na Ogrodowej, przyjmuję codziennie do godziny siedemnastej. – W głosie Feliksa czuć było dumę.

Zaskoczyło ją to nieco, ale postanowiła nie drażnić tematu. Rodzice, a matka w szczególności, i tak wkrótce będą wiedzieli o każdym szczególe życia młodego Szewczyńskiego. Nic nie umknie uwadze właścicielom popularnej karczmy w Pleszewie.

– Feliksie, czy wiadomo ci coś o... Jak to powiedzieć... – Zawiesiła głos, a Feliks jej nie przerywał. Zapytała wprost: – Czy wiadomo ci coś o tym, że Żydzi nie są mile widziani na Uniwersytecie Poznańskim?

Feliks przeniósł wzrok z podwórka na Ryfkę i przez chwilę patrzył na koleżankę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Szybko jednak się otrząsnął i odpowiedział:

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz, Ryfko. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem, a przynajmniej nie dotarło to do uszu takiego prostego sztubaka jak ja. – Zaśmiał się krótko. Pytanie Ryfki wydało mu się tak absurdalne, że zupełnie zbiło go z pantafelów.

– Bo wiesz... – ciągnęła Gellertówna – ...ja gdzieś wyczytałam, że są takie stowarzyszenia i one piszą odezwy, że my jesteśmy tacy... *persona non grata*. I w ogóle, że to problem jest, bo za dużo nas na uniwersytetach niby...

Feliks schylił się po torbę i nie spuszczał wzroku z Ryfki, zapytał:

– Wybacz, że jestem ciekaw, ale czy zauważyłaś kiedy ten problem w swoim życiu?

Przez chwilę myślała, że z niej drwi. On jednak był poważny i patrzył na nią wręcz z troską.

– Wiesz przecież, że na studia się wybieram do Poznania – ściszyła głos. – I że jak tam będę mieszkać, to będzie mi trudniej niż w naszym Pleszewie. W końcu to duże miasto.

Szewczyński zmarszczył brwi i zaśmiał się lekko.

– Rachelo Gellert, jakem tu stoję, mogę cię zapewnić, że niczego takiego w Poznaniu nie widziałem. – Rzekłszy to, zrobił dwa kroki w kierunku drzwi wejściowych do swojego mieszkania. – A poza wszystkim Żydów w Poznaniu teraz jest mało, bo tak jak u nas większość już dawno wyjechała, jeszcze przed wojną. To kto niby miejsca na uczelni zajmuje, co?

Ryfka miała wrażenie, że jej problem wręcz rozbawił Feliksa. Wyglądało to nawet dość pocieszenie, bo młody mężczyzna zaczął się trząść, jakby miał czkawkę.

– No tak, ale wiesz... W imię sprawiedliwości, żeby po równo było... – próbowała przedstawić mu nowy argument, ale sama stwierdziła, że zapędziła się w kozi róg i że jej problem jest chyba nieco wydumany.

– Ryfko, jeszcze raz powtarzam ci, nie ma tutaj żadnego problemu, naprawdę. Nie w Poznaniu. – Nacisnął ebonitowy guzik dzwonka. – Poza tym o czym my mówimy, jacy wy i my? Przecież wszyscyśmy z tego samego kraju i przeszliśmy razem niejedno.

Po chwili drzwi się otworzyły i Ryfka dostrzegła Pelagię, wieloletnią gosposię państwa Szewczyńskich.

– No tak, niby tak... – wymamrotała dziewczyna.

Podeszła w kierunku bramy, położyła dłoń na klamce i przez chwilę tak stała, nic nie mówiąc. Pelagia zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

– Dziękuję, Feliksie! – krzyknęła Gellertówna i zniknęła za bramą.

Ruch był dzisiaj wyjątkowo duży, rodzice mieli mnóstwo pracy, musiała im pomóc. Goście przecież nie obsłużą się sami.

* * *

Stefania lubiła duży i przestronny dom Aleksandra, który w porównaniu z jej dwupokojową kłitką wydawał się pałacem.

Aleksander odkupił go od Niemca, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości postanowił wrócić do swojej ojczyzny. Gruntowna przebudowa budynku zajęła Millerowi kilka lat, aż w końcu ze starej secesyjnej kamienicy wyczarował perłę modernizmu. Jej fasada wyróżniała się na tle innych, podobnych do siebie fasad domów stojących przy ulicy Karola Marcinkowskiego. Dom był otoczony zadbanym ogrodem, w którym prym wiodły róże. Aleksander kochał te kwiaty, miał ich kilkanaście gatunków. Zatrudnił nawet ogrodnika, który przychodził specjalnie po to, by je pielęgnować. Do innych roślin wystarczała mu służba domowa.

Wnętrze domu nie ustępowało fasadzie. Zarówno meble, jak i dywany oraz lampy sprowadzono z Warszawy, wszystko w najlepszym guście i bardzo nowoczesne.

Stefania siedziała w dużym fotelu, wpatrując się w prosty żyrandol z podłużnymi żarnikami imitującymi świece.

– Tuszę, Aleksandrze, żeś wydał na niego mnóstwo pieniędzy.

Sięgnęła po kieliszek szampana, którym uraczył ją przyjaciel. Bąbelki przyjemnie rozchodziły się na języku i gardle.

– Owszem, Stefanio, polecam Spółdzielnię Artystyczną Ład i Fabrykę Żyrandoli Elektrycznych.

Mężczyzna uśmiechnął się do przyjaciółki z drugiego fotela, na którym siedział wraz z ukochaną suczką, pudliczką Bellą. Śnieżnobiały piesek był tak wymuskany, że Stefania czasem zastanawiała się, czy Aleksander przypadkiem nie kąpie jej każdego dnia. Jakim cudem pies może być wiecznie czysty?

– Och, niezmiernie dziękuję za rekomendację, już wsiadam do samochodu i pędzę co koń wyskoczy do stolicy. – Odrzuciła do tyłu głowę, śmiejąc się perliście.

– Nie planujesz wyprawki z Piłsudskiego? To miłe miejsce, ale zakładam, że stać cię na znacznie więcej.

Bella co rusz trącała mokrym nosem rękę pana, gdy ten choćby na moment przestawał drapać ją za uchem. Aleksander pogroził swojej pupilce, odkładając kieliszek na niski stolik.

– Bella, kochanie, bo wylejesz mi szampana!

– Pewnie byłoby mnie stać na wynajęcie większego mieszkania, ale wiesz, nie mam takiej potrzeby, żeby mieszkać gdzie indziej.

Kolejna porcja bąbelków spowodowała, że Stefani zaczęło przyjemnie szumieć w głowie. Wiedziała, że nie powinna pić więcej. Dziś czekała ją jeszcze praca. Zbliżał się koniec wakacji, dyrektor szkoły prosił, by podać preferowane godziny, żeby móc zrobić siatkę zajęć. To wymagało skupienia.

– Poza tym nie wyobrażam sobie zamieszkania daleko od Heleny, która bywa u mnie na co dzień. – Wstała od stołu i zakaszła głośno. – W końcu jednak będę musiała odciąć pępownię. Dziewczyna ma dwadzieścia lat, Józek świata poza nią nie widzi, pewnie zaraz się pobiorą!

Kaszel ustał, ale nadal drapało ją w gardle. Ostatnio często pokasływała. Widocznie dym papierosowy jej szkodził. Chyba będzie musiała rzucić palenie.

Aleksander zdjął delikatnie pieska z kolan i również wstał, by odprowadzić Stefanię do drzwi. Belli się to nie spodobało – raz po raz skakała panu na nogi i poszczekiwała, przywołując go do porządku. Popołudniowe siedzenie w fotelu, kiedy Aleksander oddawał się lekturze i głaskaniu pupilki, było ich codziennym rytuałem.

– Jak ci się widzi wybranek naszej Helenki? – Miller spojrzał badawczo na przyjaciółkę.

Wprawdzie od lat nie mieszkał na Piłsudskiego, ale dziewczyna nadal była mu bliska. Wielokrotnie pomagał przy opiece, kiedy jeszcze Hela była mała, a raz nawet wybrali się we troje, razem ze Stefanią, na długą wycieczkę do Gniezna. Adela cieszyła się, że Aleksander jest taki opiekuńczy w stosunku do dziewczynki, i zawsze się dziwiła, dlaczego ostatecznie Stefania i Miller nie zeszli się ze sobą. W przeciwieństwie do Tokarskiej, którą aż świerbiło, by wypytać ludzi o ich prywatne sprawy, Adela nigdy nie była wścibska. Toteż tylko Stefania i Szewczyńscy wiedzieli o skłonnościach Aleksandra i chociaż Miller był przekonany, że nawet prosta Adela zaakceptowałaby jego odmienną wizję miłości, nie miał potrzeby się jej zwierzać. Zresztą odkąd Knappe wyjechał, Aleksander wiodł żywot zamożnego kawalera, nie szukał przygód i było mu z tym bardzo dobrze.

– Sama nie wiem. Jest miły, oczywiście, a poza Heleną świata nie widzi, ale osobiście wybrałabym dla niej innego chłopca. Chyba jest dla niego za mądra.

Otuliła się mocniej szalem i przechodząc obok dużego lustra w korytarzu, poprawiła zmierzwione włosy.

– Och, droga przyjaciółko, wiesz, jak to jest. Serce nie służy.

Aleksander pochylił się, żeby wziąć na ręce natrętną Bellę, która cały czas poszczekiwała mu koło nogi. Piesek natychmiast się uspokoił.

– Ha, ha, ależ wiem, Aleksandrze! A ty wiesz to najlepiej!

Uchyliła drzwi. W zachodzącym słońcu lśnił bruk na ulicy Lipowej, niegdyś najbardziej reprezentacyjnej, „niemieckiej” ulicy Pleszewa.

– A jak w twoim życiu? Czy ktoś się w nim pojawił?

– Och, paradna jesteś, Stefanio. – Tym razem Aleksander zaśmiał się głośno. – A gdzieżbym miał tu kogoś znaleźć? Nie mówiąc o tym, że całe dnie spędzam w kancelarii bądź też na rozprawach sądowych. Choć, paradoksalnie, mógłbym dłużej nie ukrywać się ze swoją orientacją. Wszak kilka tygodni temu polski Sejm znowelizował ustawę i zdepenalizował stosunki homoseksualne^[28], gdyż wcześniejsze powojenne prawo było zaszczytą po rygorystycznych i bezsensownych ustawach pod zaborami.

Aleksander postawił Bellę na podłodze i ujął dłoń Stefanii, by ucałować ją na pożegnanie. Udali się do furtki.

– Ach tak, słyszałam o tym. W każdym razie mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży. Przecież jesteśmy jeszcze tacy młodzi! – Zaśmiała się, a w jej śmiechu słychać było nutę ironii i sarkazmu.

– Oczywiście, też tak uważam. A... jak w twoim życiu?

Zbliżył się do Stefanii. Choć domy sąsiadów były oddalone, nie chciał, by ich rozmowy dotarły do nazbyt wścibskich uszu. To zbyt intymne.

– Co w moim życiu... – Zamyśliła się przez chwilę, ale wnet otrząsnęła się z letargu. – Widocznie nie było mi to pisane, Aleksandrze. Wiesz, że zakochałam się tylko raz i wolę do tego nie wracać.

– Wiem również, że wartościowszej i piękniejszej kobiety ze świecą szukać i na pewno znajdziesz sobie jeszcze partnera, z którym będziesz dzielić życie.

Położył jej dłoń na plecach, jednak Stefania nie chciała, by ktokolwiek ją pocieszał. Aleksander nie powiedział nic, co miałyby ją zranić. Minęło tyle lat, że jej uczucie popadło w zapomnienie, a nowego nie znalazła.

– Drogi Aleksandrze, jesteś niezwykle miły, ale zważ, że mam już czterdzieści dwa lata, a damy w moim wieku niańczą wnuki, nie zaś szukają miłości.

– Parafiaństwo i staroświeckość, kochana Stefanio. Nie waż się nigdy tak myśleć! Starość, moja droga, jest tylko w głowie!

Aleksander zamknął furtkę za przyjaciółką i przez kraty ogrodzenia pomachał jej na pożegnanie.

* * *

Pytanie Aleksandra o Helenę wracało do Stefanii.

Rozmyślając o młodej Kałużównie, szła niespiesznie wzdłuż ulicy Lipowej. Minęła plac Wolności, niegdyś niemiecki Denkmalplatz, przy którym mieszkało wielu klientów Adeli, i wolnym krokiem zdążyła do ulicy Wrocławskiej^[29], prowadzącej w prostej linii do rynku.

Czy jest zadowolona z Józka Biadały? A niby dlaczego miałyby być inaczej? I jakie prawo ona, Stefania, ma do tego, żeby oceniać wybór Heleny? Wszak dziewczyna nie jest jej dzieckiem, nie jest nawet krewną. Mimo to nikt nie był jej tak bliski jak ta szczupła, wysoka dziewczyna z popielatoblond włosami. Czego dla niej chciała? Żeby wyrwała się do dużego miasta? Zaczęła studia? Zaangażowała się, jak niegdyś ona, w ruchy emancypacyjne? Na szczęście już nie musiała przystępować do ruchów niepodległościowych, bo choć sytuacja w Polsce wciąż była niestabilna, to jednak od kilku lat cieszyli się wolnością.

Helena miała przed sobą świetlaną perspektywę. Jedyne związek z Józkiem w oczach Stefanii był rysą na jej wizji życia młodej Kałużówny. Tak bardzo chciała, by dziewczyna stała się samodzielna. Józek to naprawdę dobry chłopak, ale była przekonana, że jak już się pobiorą, Helena utonie w pieluchach, domu i codzienności. Cóż, widocznie tego

potrzebuje. Stefania znów ściśle owinęła się szalem. Był zrobiony ze śliskiego muślinu i wiecznie zjeżdżał jej z ramion.

Sierpniowe popołudnia nie były już tak gorące jak jeszcze kilka tygodni temu. Słońce osnuwała lekka mgiełka. O tej porze roku w powietrzu unosił się zapach spalonej suchej trawy, doskonale wyczuwalny nawet w mieście. Kiedy Stefania mijала budynek dworca, poczuła jeszcze inną specyficzną woń – rozżarzonego torowiska i podkładów kolejowych. Wciągnęła ją z lubością w nozdrza. Przywodziła jej na myśl dalekie podróże, których niewiele w życiu doświadczyła.

Kiedyś, w dzieciństwie, była z rodzicami w górach, a potem matka – jeden, jedyny raz – zabrała ją nad morze. Od momentu, kiedy zamieszkała w Pleszewie, krążyła w okolicy Wielkopolski i właściwie sama nie wiedziała, dlaczego nie zapuszcza się nigdzie dalej. Pensja nauczycielki, mimo że nie była oszałamiająca, pozwalała jej na dość wygodne życie. Nie miała nikogo na utrzymaniu, a pieniądze przeznaczała głównie na książki i pomoc uboższym.

Może jednak warto pomyśleć o wyprawie nad morze? Helena tyle razy namawiała ją, żeby pojechały do Gdyni odwiedzić jej stryja. To nowe polskie miasto bardzo ją kusiło. A może nawet Warszawa...?

– Halo, halo, sąsiadeczko, coś pani zgubiła! – usłyszała kilka metrów za sobą.

Sąsiadeczko...?

Odwróciła się, słysząc szybko zbliżające się w jej kierunku ciężkie kroki. Tuż za nią stał Eugeniusz Fridman, nowy sąsiad z kamienicy. Widziała go przelotnie kilka razy, ale nigdy nie miała okazji zamienić z nim słowa. Z tego, co usłyszała od Heleny, wiódł barwne życie i pochodził ze wschodu.

Eugeniusz trzymał w ręku jej muślinowy szal. Do pioruna, nawet nie zauważyła, kiedy ześlizgnął się jej z ramion!

– Och, rzeczywiście, to mój szal, dziękuję panu bardzo.

Wzięła do ręki niesforną tkaninę i ponownie zarzuciła ją na ramiona. Eugeniusz stał przy niej blisko, na tyle blisko, by poczuła od niego woń alkoholu. A przecież dopiero co wracał z pracy...?

– Pan z pracy? – zagaiła, sama nie wiedząc dlaczego.

Nie chciało jej się rozmawiać z nowym sąsiadem, mimo że na pierwszy rzut oka wyglądał niezwykle interesująco – wysoki, postawny, mógł mieć ze czterdzieści pięć lat. Włosy miał ułożone gładko do tyłu, ale część kosmyków spadała mu niesfornie na czoło. „To pewnie od czapki zawiadowcy stacji”, pomyślała.

– Ależ owszem, droga sąsiadeczko, wracam do domu i rad jestem bardzo, że pójdziemy razem. – Uśmiechnął się do niej szeroko.

Stefania pomyślała, że wygląda trochę jak Aleksander Żabczyński, którego widziała ostatnio w krótkim filmie *Kobieta, która się śmieje*.

– Proszę wybaczyć, ale... czy mógłby pan nie zwracać się do mnie per sąsiadeczko?

Fridman wydał jej się zabawny, ale miała uczucie, że to określenie jej umniejsza. Nie jest przecież podlotkiem, żeby zwracać się do niej zdrobnieniami.

– Ależ oczywiście, sąsia... Pardon, będę mówić panno Stefanio! – Roześmiał się głośno.

– Może bez „panno”, z pannaowania wyrosłam lata temu.

Stefania uniosła podbródek i spojrzała przed siebie. Ulica Wrocławska była długa, prosta i prowadziła do góry, na rynek. Jeszcze za czasów pruskich osiedlali się tu dość zamożni kupcy. Od tamtej pory nie straciła nic ze swojej świetności, chociaż prostopadła ulica Poznańska mogła pochwalić

się ładniejszymi budynkami i była szersza. Na dodatek, ze względu na wzniesienie, trasa wiodąca ulicą Wrocławską była dość wyczerpująca. Stefania czuła, jak oddech jej przyspiesza.

– Jak to, panna taka młoda i już wyrosła z pannowania?

Co ten Fridman, drwi z niej czy co...?

– Najwyraźniej, proszę pana, a pan, z całym szacunkiem, mógłby się trochę miarkować z tym spoufalaniem.

Mimo zadyszki nie zwalniała kroku, trzymając kurczowo niesforny szal.

– Oj, nie bądźmy już tacy formalni, wy tu w tej Wielkopolsce to jesteście, *par excellence*^[30], strasznie sztywni!

Stefanię aż zatkało. Tego już było za wiele!

– Jak pan śmie tak mówić, przecież to miasto przyjęło pana z otwartymi ramionami!

W oburzeniu nie do końca wiedziała, co mówi, i chwilę później pomyślała, że to komunał, ale nie chciała się już wycofać. W gruncie rzeczy to prawda. Nie dość, że Eugeniusz znalazł tu pracę bez żadnego doświadczenia w kolejnictwie, to ma jeszcze przyzwoite mieszkanie. Na dodatek gra na fortepianie w Victorii!

– Owszem, dlatego tak sobie dworuję, bo zawsze sobie dworuję, jak coś jest bliskie mojemu sercu, droga panno Stefanio! Ot, taka natura lwowskiego batiara^[31]!

„Batiara, dobre sobie”, pomyślała zła jak osa.

Eugeniusz dotrzymywał jej kroku, mimo że szła naprawdę szybko. Sądziła, że wcześniej wypity alkohol utrudni mu ten sprint, ale nie. Szedł równym krokiem i nawet miała wrażenie, że lekko podskakiwał.

– Myślę sobie nawet, panno Stefanio, że pani i ja to z jednej gliny jesteśmy ulepieni! Pani też opiera się konwenansom, bo chociaż pani nie

znam, tom widział to i owo, a też i słyszał co nieco.

Pochylił się ku niej jeszcze bardziej. Przez chwilę Stefania wyczuła zapach bimbru i eleganckiej wody kolońskiej. Mimo że okrutnie ją denerwował, poczuła przyjemne łaskotanie w brzuchu. Na tyle przyjemne, że jeszcze bardziej zezłościła się na jego nieobyczajne zachowanie. Tokarska miała rację. Niezły bawidamek z tego Fridmana!

Na szczęście dochodzili już do bramy. Stefania porządnie się zmęczyła, mimo że droga w gruncie rzeczy nie była taka długa. Nacisnęła gwałtownie klamkę, nie czekając, aż szarmancki Fridman zrobi to za nią. Niedoczekanie!

– Co pan słyszał, to nie moja sprawa, ale zapewniam pana, że nie jesteśmy ulepieni z jednej gliny!

Ruszyła w głąb podwórka, nie oglądając się za siebie. Fridman szedł za nią jeszcze kawałek i kiedy ta zamaszystym krokiem pokonywała kolejne stopnie klatki schodowej, machał jej z taką serdecznością, jakby od lat się przyjaźnili.

– Jakem żyw i zdrów, naprawdę cieszę się, że mam taką sąsiade... Sąsiadkę!

* * *

Z pozoru wydawać by się mogło, że rodzice zaakceptowali zawodowy wybór Feliksa.

Kiedy oznajmił im, że zostaje w Pleszewie i będzie pracował w Kasie Chorych, ojciec kiwnął tylko głową, a matka skonstatowała:

– To twoje życie, synku, i twoje decyzje.

Feliks wiedział, że mija się z ich wyobrażeniami. Szczególnie matki, która – jak zawsze mu się zdawało – przez lata całe czuła się stłamszona przez własną rodzicielkę i dawała starszemu synowi mnóstwo swobody,

sądząc, że on tego właśnie pragnie. Ale on niczego takiego nie oczekiwał, chciał tylko leczyć i widywać się z Heleną.

Choć rodzice nic nie mówili, Feliks czuł, że atmosfera w domu jest nie najlepsza. Nikt wprawdzie nie miał do nikogo pretensji, niemniej dało się wyczuć pewne napięcie. Matka od czasu do czasu sugerowała, żeby może wybrał się do Poznania, wszak zbliża się początek roku akademickiego i nie wiadomo, jakie decyzje zapadły na radzie senatu uniwersyteckiego.

Feliks czuł doskonale, że praca w Kasie Chorych nie jest spełnieniem jego oczekiwań. Owszem, tym, czego się spodziewał i co w pełni się ziściło, było ogromne zmęczenie spowodowane nie samą pracą, ale masą problemów. Borykał się z różnymi kłopotami, począwszy od zupełnie podstawowych spraw, takich jak wieczne deficyty w sprzęcie i artykułach higienicznych w gabinecie, przez niemal całkowity brak urządzeń diagnostycznych, po mnogość chorób, z którymi przychodzili pacjenci. Wielochorobowość była na porządku dziennym – wojna, kryzys i bieda zrobiły swoje, a on miał do dyspozycji stetoskop i naramienny ciśnieniomierz.

Każdy dzień był podobny do poprzedniego. Z rana wybiegał, wypiwszy naprędce filiżankę kawy. Bułeczek maślanych przygotowanych przez Krzysztofę nie zdążał już zjeść, wobec czego żegnało go utyskiwanie gosposi na jego wątłe zdrowie i brak apetytu. Rytuał ten powtarzał się dzień w dzień.

Na Ogrodową przychodził o ósmej rano. Pracował do siedemnastej z przerwą na skromny obiad, który jadł w pobliskiej restauracji dworcowej. Później wracał do domu, gdzie czekał na niego posiłek. Reszta domowników jadła o piętnastej. Czasem matka towarzyszyła mu przy jedzeniu, ojciec przeważnie przesiadywał wówczas w warsztacie. Matka zadawała mu zdawkowe pytania, w stylu: „Jak było?”, „Czy wielu miałeś

dziś pacjentów?”. Czasem opowiadał nieco dłużej o konkretnym przypadku, oczywiście bez podawania nazwisk ze względu na tajemnicę lekarską, po czym każde szło do własnych spraw. Feliks kierował się do swojego pokoju i tam oddawał się lekturze książek, skryptów i kolejnych wydań *Vademecum leków*. Współczesna medycyna robiła ogromne postępy, nowe leki co chwilę wchodziły na rynek. Jeśli chciało się pomóc potrzebującym, trzeba było być na bieżąco.

Czasem, jeśli miał szczęście, podczas przechadzek po pokoju, w trakcie których rozmyślał nad jakimś przypadkiem medycznym, udało mu się dojrzeć przez okno Helenę. Nie zdarzało się to często. Mieszkała pod czwórka, jej klatka schodowa znajdowała się blisko bramy, podczas gdy okna jego pokoju wychodziły centralnie na podwórko. Czasem jednak widział ją, jak szła do Stefanii, bądź też – jeśli dobrze się wychylił – mógł dojrzeć ją siedzącą na ławeczce, a właściwie głównie jej złotopopielate włosy. Na ogół siedziała tam z Ryfką lub też ze swoją babką Adelą.

Widok Heleny zawsze sprawiał mu radość i sam nie wiedział, jak to się stało, że dawna przyjaciółka z dziecięcych lat, która była mu bliska niczym siostra, nagle stała się mentalnie nieprzystępną dziewczyną, a każde zbliżenie się do niej, choćby krótka rozmowa czy wymiana uprzejmości, kosztowało go tyle stresu. Jednocześnie te ulotne chwile były dla niego najważniejsze. Karmił się nimi, gdy z gabinetu wychodzili kolejni pacjenci, a on przed oczami miał jej rozczochrane włosy i smukłą dziewczęcą sylwetkę. Choć życzył jej jak najlepiej, w głębi serca cieszył się, że nie uciekła nigdzie na studia. Tutaj, w Pleszewie, miał ją przynajmniej na oku i mógł z nią porozmawiać, ilekroć się spotkali.

Pod koniec sierpnia, w piątkowy wieczór, który wyglądał tak samo jak każdy inny, stało się coś, czego się nie spodziewał, ale co niestety od dawna

przeczuwał. Odsuwał te przeczucia niczym natrętną muchę, aż rzeczywistość spadła na niego jak grom z jasnego nieba.

Tego dnia Krzysztofa uraczyła go wspaniałym siekanym kotлетem cielęcym, a na dodatek przyniosła duży kryształowy kufel napełniony piwem pszenicznym.

– To na apetyt, Feluś, ino zjedz mi wszystko – przykazała na odchodnym, wracając do kuchni.

W salonie, połączonym z jadalnią rozsuwanymi drzwiami, krzątała się matka. Wyglądała tak, jakby w myślach coś sobie układała. W rzeczy samej, kiedy kufel był już w połowie opróżniony, a pyszny obiad przyjemnie wypełnił żołądek spracowanego Feliksa, matka podeszła stanowczym krokiem, usiadła przed synem i położyła na stole kopertę.

Feliks spojrział na pismo i od razu się domyślił, co to za korespondencja.

– Otworzysz?

Matka patrzyła na niego, a jej wzrok był tak przenikliwy, jakby miała dostęp do najpilniej strzeżonych zakamarków jego wnętrza. Nie było to przyjemne uczucie.

– Potem, jak zjem – odpowiedział flegmatycznie.

– Ale to pewnie coś bardzo ważnego, przecież widziałam nazwisko nadawcy – nalegała spokojnie, ale Feliks widział, jak bardzo jej zależy.

– Mamo, wiem, że to list od profesora Lubienieckiego, z daleka rozpoznałbym jego pismo, ale przecież już wam tłumaczyłem, że nie wrócę do Poznania – odpowiedział spokojnie i odłożył sztucce.

Sięgnął po resztkę piwa, było bardzo smaczne. Henryka położyła rękę na liście i był to tak czuły gest, że przez chwilę rozczulił Feliksa. Jednak nie na tyle, by zmienić powziętą decyzję.

– Synku, to cudownie, że się realizujesz, i my z ojcem naprawdę ci tego nie bronimy, ale na Boga, stać cię na znacznie więcej!

– Mamo, ile razy mam powtarzać, że jestem tutaj potrzebny?

Henryka zdjęła rękę z listu i ponownie spojrzała przenikliwie na syna.

– Wiemy to i nie mamy nic przeciwko. Ale przecież zawsze możesz zdobyć jeszcze więcej wiedzy, popracować na uniwersytecie, ba, może nawet wymyślić jakieś innowacyjne terapie, a na powrót zawsze jest czas.

Feliks odsunął od siebie talerz i oparł dłonie o stół, jakby miał wygłaszać przemowę.

– Mamo droga, nie ma czasu. Ci ludzie potrzebują pomocy teraz. Przecież tylu lekarzy wyjechało po wojnie w głąb Niemiec, wszyscy z niemieckimi korzeniami. Deficyt w ochronie zdrowia jest ogromny, ja tu muszę pomóc. – Ostatnie zdanie wypowiedział lekko uniesionym głosem.

Henryka przez chwilę siedziała cicho. Ważyła słowa i argumenty. Wiedziała, że syn ma rację, ale przecież nie tak wyobrażała sobie jego dorosłe życie. Taki zdolny mężczyzna!

– Na dodatek kieruje tobą ten Rudke!

Był to rozpaczliwy, ale mocny argument. Odkąd doktor Barszczewicz złożył jej wizytę tuż po urodzeniu Wiktora, już nigdy nie poszła do Rudkego. Miała mu za złe, że przez całe lata nie wykrył natury jej wady, która była tylko przypadłością. Nie mówiąc o tym, że od lat nie miała już żadnych ataków arytmii. Rudke zawsze wydawał jej się arogancki i bezczelny.

– A jakie to ma znaczenie?

Feliks przechylił głowę, a jego słowa były ciche i spokojne. Zawsze tak robił, już od dziecka. Henryka przez chwilę zobaczyła w tym wysokim, przystojnym mężczyźnie swojego małego synka w marynarskim kołnierzu. To jeszcze bardziej ją rozeźliło. Dlaczego on jest taki głuchy na racjonalne argumenty?!

– Otóż ma, bo jesteś od niego o stokroć więcej wart! – Podniosła głos, ale nawet jej zdenerwowanie nie wyprowadziło Feliksa z równowagi.

Z oddali zaterkotał telefon. Mimo że aparat stał w korytarzu, na komodzie, słysząc go było w całym mieszkaniu.

– Odbiorę.

Henryka wstała i wyprostowała się jak struna, po czym szybkim krokiem oddaliła się w kierunku korytarza. Feliks odetchnął z ulgą. Wiedział, że matka nie powróci już do rozmowy. Słyszał, jak rozmawia najpierw spokojnym tonem, po czym jej głos przechodzi od cieszącego się do radosnego. Rozmowa trwała niedługo, po chwili Henryka wróciła do jadalni w zgoła innym nastroju.

– Wyobraź sobie, dzwonił nasz serdeczny przyjaciel, pan Grolewski, ten ze Śląska. Otóż pan Grolewski oznajmił, że przyjmie do pracy Helenę na pannę księgową! I to za dwieście osiemdziesiąt złotych!

Henryka położyła dłonie na oparciu krzesła i pochyliła się nieco w kierunku Feliksa. Oczy miała tak szeroko otwarte, jakby wyjawiała mu jakąś niezgłębioną tajemnicę. Feliks zerwał się z miejsca, niemal przewracając krzesło, i oznajmił:

– To wspaniale! Pozwól, mamó, że sam przekażę jej tę radosną nowinę.

Niewiele myśląc, ruszył w kierunku drzwi wyjściowych. Henryka odprowadziła syna wzrokiem. Przez chwilę zastanawiała się, czy jednak to nie ona powinna porozmawiać z Kałużówną, wszak ta posada to był jej pomysł. Jednak entuzjazm Feliksa sprawił, że postanowiła scedować na niego rolę dobrego posłańca. Wyglądało na to, że Kałużówna jest dla niego kimś więcej niż przyjaciółką z dzieciństwa.

Tymczasem Feliks, nie bacząc na to, że był w domowych pantoflach, wybiegł szybko na zewnątrz. Przez chwilę układał sobie w głowie to, jak

ma oznajmić Helenie nowinę tak, żeby ona była zadowolona i żeby nie ujawnić, jak on sam jest podekscytowany.

Stał wpatrzony w lekko uchylone drzwi klatki schodowej prowadzącej do mieszkania Heleny. Z boku usłyszał szczęknięcie klamki bramy i po chwili, oświetlona sierpniowym słońcem, pojawiła się Helena, z włosami świecącymi niczym złoto.

Przez chwilę Feliks stał jak urzeczony, niezdolny, by cokolwiek powiedzieć. Zanim zdążył ochłonać, tuż za Heleną pojawił się chłopak, śniady, rosły i uśmiechnięty, a jego zęby świeciły niemal tak jak włosy Heleny. W rękę trzymał wiecheć sierpniowych astrów, a wzrok miał tak maślany i wpatrzony w Kałużównę, że Feliks odruchowo chciał mu przyfasolić.

– Feluś, dzień dobry! – Helena krzyknęła gromko i odwróciła się w kierunku śniadego chłopaka. – Poznaj mojego dobrego znajomego, Józefa Biadałę. Józku, to jest Feliks, mój przyjaciel, lekarz!

Popatrzyła na Feliksa, potem odwróciła się do Józka i z min obydwu wywnioskowała, że żaden z nich nie jest zadowolony ze spotkania. Obaj jednak trzymali fason.

– Heleno, pan Grolewski zdecydował się zatrudnić cię w charakterze panny księgowej. Będziesz pracować w biurze – przekazał jej beznamiętnym głosem.

Spojrzał na swoje stopy. Ach, jak się wygłupił, wybiegając w domowych pantoflach! Wygląda jak oferma!

– Jezusie Nazareński, to wspaniale! – krzyknęła i bez chwili zastanowienia rzuciła mu się na szyję. – Dziękuję ci, Feluś, za nowinę!

– Och, jestem tylko posłańcem – oznajmił, a jego głos był chłodny i zdystansowany.

Podobnie zresztą jak wzrok Józka Biadały, który przestał się uśmiechać i stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i astrami smętnie zwisającymi przy jego lewej nodze.

– Szanowny panie Szewczyński, dziękuję, żem usłyszał to, co pan powiedział. To fest informacja dla Heli – wtrącił suchym głosem.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie. My tu wszyscy świetnie ze sobą żyjemy w tej naszej kamienicy.

Feliks zdawał sobie sprawę, że mówi banały, ale nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Nie będzie się przecież uzewnętrzniał, tym bardziej że chłopak wydawał mu się – o zgrozo – miły, sympatyczny i na dodatek dobrze wyglądał. Ech...!

– Babcia się ucieszy, ach, jak się ucieszy, a ja jużem się nie spodziewała takiej nowiny. Tera nie będzie musiała już pracować, ruckzuck^[32] skończy z tym prasowaniem!

– Zaiste, pani Kałuża trochę sobie odpocznie – powiedział Feliks sztywno i odwrócił się w kierunku drzwi swojego mieszkania. – Bywajcie zdrowi, a ty, Heleno zwróć się do mojej matki tytułem uzyskania większej liczby szczegółów.

Nacisnął klamkę i po chwili zniknął za drzwiami. Zamknął je na klucz, oparł się o nie i przez chwilę tak stał, a policzki płonęły mu niemal jak podczas dyfterytu.

„Uzyskania większej liczby szczegółów”?! Och, jakiegoż zrobił z siebie głupca!

[13] Środek bakteriobójczy wykorzystywany w pierwszej połowie XX wieku, głównie do leczenia kiły. W latach 40. wyparty całkowicie przez antybiotyki.

[14] Cukierki.

[15] Lumbago.

[16] Ludność napływowa, w lokalnym rozumieniu wszyscy spoza granic byłego zaboru pruskiego.

[17] Nicpoń, urwis.

[18] Szczęście (tłum. z jidysz).

[19] Dziecko (tłum. z jidysz).

[20] Dawno temu (tłum. z jidysz).

[21] Dobry zawód (tłum. z jidysz).

[22] Interes, biznes (tłum. z jidysz).

[23] Nikt nas nie oszuka (tłum. z jidysz).

[24] Z bożą pomocą (tłum. z jidysz).

[25] Dzieci (tłum. z jidysz).

[26] Polski student zabity podczas zamieszek polsko-żydowskich w Wilnie w listopadzie 1931 roku.

[27] Przekupki (tłum. z jidysz).

[28] Chodziło o tak zwany kodeks Makarewicza, który między innymi znosił słynny „paragraf 175” funkcjonujący w zaborze pruskim i zakazujący związków intymnych z osobami tej samej płci.

[29] Dzisiejsza ulica Sienkiewicza.

[30] W najwyższym stopniu (tłum. z francuskiego).

[31] Gwarowe określenie „człowieka ulicy lwowskiej”.

[32] Szast-prast.

III

Lato dobiegało końca. Helena na dobre zadomowiła się u pana Grolewskiego, a ten nie mógł nachwalić się dziewczyny, jaka jest zdolna, punktualna i pracowita. Z kolei dla Racheli Gellert beztroski młodzieńczy czas spędzony w kamienicy powoli dobiegał końca. Wyjazd do Poznania zbliżał się wielkimi krokami, a to oznaczało, że Gellertówna zamyka bezpowrotnie jeden rozdział życia i otwiera drugi, pełen znaków zapytania, niewiadomych oraz lęku przepleczonego z wielką nadzieją.

Stacja była dostępna już od końca września, dlatego, żeby móc spokojnie się przygotować do roku akademickiego, dziewczyna zdecydowała się wyjechać nieco wcześniej. Po wielu burzliwych dyskusjach rodzinnych, w których prym wiodła Estera („Ty przecież, Rachela, z wozakiem nie pojedziesz. Ty młoda dziewczyna jesteś, jeszcze ciebie po drodze gdzie zbałamuci i będzie jedno wielkie umglik^[33]!), Ryfka zgodziła się w końcu, by wszyscy odwieźli ją wynajętym transportem pod sam dworzec główny Pleszewa, do oddalonej o trzy kilometry miejscowości Kowalew. Estera nie zdecydowałaby się posłać córki nawet dojazdową koleją wąskotorową, ponieważ Ryfka była wyposażona niemal tak (i był to wyłącznie bagaż podręczny), jakby wyprowadzała się na dobre z domu – kilka walizek, parę pudeł na kapelusze, a do tego kosz z jedzeniem, same rarytasy rzecz jasna.

– Got, majn Got^[34], Rachela wyjeżdża do Poznania, to tak daleko, musi mieć ubiór dobry i but porządny, i gęsinę nawet wędzoną jej dałam, a co, niech wiedzą, że karczmarz z Pleszewa dobrze córkę wyposażyć może! – opowiadała wszystkim sąsiadom napotkanym w kamienicy oraz klientom swojej karczmy, czym wprawiała Ryfkę w bezustanne zawstydzenie.

Gellertówna bardzo chciała, żeby Helena jechała razem z nią, ale bagaży było tak dużo, że w samochodzie zabrakło miejsca. Przyjaciółka zdecydowała zatem, że pojedzie sama do Kowalewa baną, a w drodze na stację zabierze jeszcze Stefanię, która kończyła lekcje na Ogrodowej i również chciała pożegnać Ryfkę.

Koniec września nadal rozpieszczał pleszewiaków pogodą i po kilkunastu brzydkich dniach na początku miesiąca piękna aura wróciła wraz z szelestem spadających liści, zapachem renet na szarlotkę i babim latem. Pleszew osnuła wczesnojesienna mgiełka, a z podmiejskich pól unosił się zapach pieczonych kartofli i rżyska.

Z siedziby firmy pana Grolewskiego, mieszczącej się przy ulicy Wrocławskiej, Helena miała do szkoły zaledwie kilka minut piechotą. Postanowiła jednak nadrobić drogi, tym bardziej że Ogrodowa była przyjemnie obrosnięta dużymi drzewami, teraz już zażółconymi i lekko ogołconymi z liści. Gęsto zabudowana, pozbawiona zieleni Wrocławska, mimo że była ważną arterią Pleszewa, ciągnęła się niczym pusta kiszka.

Helena stanęła pod płotem szkoły i patrzyła na budynek z nieskrywaną czułością. Owszem, zdarzały jej się tutaj ciężkie dni i nieraz dostała dyscypliną po rękach za wylany inkaust, błąd w kajecie bądź też głośne rozmawianie z Ryfką, ale te drobiazgi nie odebrały jej sentymentu do budynku, w którym się wykształciła, zdobyła zawód i wiele serdecznych znajomości. Z rozrzewnieniem podryfowała myślami do czasów, kiedy wraz z Ryfką, odziane w ciemne sukienki z marynarskimi kołnierzami,

siedziały w wielkiej dębowej ławie i nasłuchiwały, jak ciocia Stefania opowiada o dzielnym Michale Wołodyjowskim albo Babiniczu, albo Oleńce i Krzysi, a wcześniej o Stasiu Tarkowskim i małej Nel.

– Mam nadzieję, że nie musiałaś długo czekać.

Stefania wyszła szybkim krokiem ze szkoły, jak zwykle objuczona teczkami i skryptami. W przeciwieństwie do przyjemnie rozmarzonej Kałużówny Niemyjska była w bojowym nastroju. Helena bardzo dobrze знаła tę pionową podłużną zmarszczkę między oczami Stefanii i ciekawa była, co tak rozsierdziło jej dawną opiekunkę.

– Nie, nie, dopiero przyszłam. Koniec miesiąca jest, dużo pracy, trzeba ubezpieczenia popłacić i podatki.

Helena bez słowa sięgnęła po część rzeczy, które taszczyła Stefania, i niespiesznie ruszyły w dół ulicy, ku stacji kolejki. Przez chwilę Stefania nic nie mówiła, a Helena wiedziała, że nie ma sensu wypytywać. Nagabywanie jeszcze bardziej ją rozsierdzi – jak będzie chciała, to sama powie.

– Ech, nie mam już pomysłów na tę dziewczynę – westchnęła nagle Stefania.

– Co się stało?

Helena domyślała się, o kogo chodzi. Kilka lat temu Stefania objęła opieką Eleonorę Trzaskę, gdy ta po wielu perturbacjach, najpierw w szkole w Twardowie, potem w Jarocinie, ostatecznie wylądowała w Pleszewie. Z tamtych szkół wyrzucono ją za sprzeciwianie się nauczycielom i gdyby nie pomoc Stefanii, Leosia nie miałaby czego szukać również na Ogrodowej. Stefania czasem żałowała, że wstawiła się za dziewczyną, gdyż ta uporczywie wytrącała jej jakiegokolwiek argumenty do obrony. Była krnąbrna i nieposłuszna. Tylko to, że uczyła się całkiem nieźle, ratowało ją przed kolejnym wyrzuceniem ze szkoły.

– Sama dokładnie nie wiem, o co poszło, bo działo się to na lekcji geografii. Wiesz, Leosia jest bardzo czytana. Wypożyczyła podręcznik fizyki z chemią i kosmologią^[35] i zaczęła kłócić się z nauczycielem geografii, że niby wszechświat się rozszerza czy coś, bo takie są ostatnie odkrycia...

Stefania machnęła ramionami w geście bezradności. Nie wiedziała, jak to wytłumaczyć Helenie.

– Ale właściwie jaki tutaj jest problem, ciociu? – Dziewczyna była rozbawiona całą tą sytuacją.

Słyszała już o wielu wybrykach Leosi, ale o rozszerzaniu się wszechświata jeszcze nie. Niezłe kwestie rozstrzyga w głowie ta Trzaskówna!

– Sama nie wiem. Zakładam, że nauczyciel geografii nie wiedział, o czym Leosia mówi, i bardzo go to rozeźliło.

– To chyba jego problem, ciociu, prawda...?

Niemyjska spojrzała na wychowankę, a w jej wzroku były lekkie politowanie i rozbawienie. Ach, jaka ta Helenka jest jeszcze naiwna!

– Helenko droga, przecież wiesz, jak to wygląda na tym świecie. W większości przypadków nauczyciel nie będzie chciał przyznać, że czegoś nie wie, a tym bardziej, jeśli uczeń wie coś więcej niż on sam. – W jej głosie wyczuwalna była nuta zrezygnowania.

Sama umiała przyznać się do własnych błędów, a jej lekcje odbiegały znacząco od tego, w czym wyrosła nawet w Szkole Ludwiki^[36]. Przed wszystkim pozwalała uczniom myśleć samodzielnie, za co przełożona wielokrotnie wzywała ją na dywanik. Wiedziała jednak, że musiałaby pozwolić sobie na nie wiadomo jaki wybryk, żeby zachęcić władze szkoły do zwolnienia jej z posady nauczycielki. Pedagogów było cały czas zbyt

mało w stosunku do potrzeb, a co najważniejsze – jej uczniowie osiągnęli na ogół bardzo dobre wyniki.

Na stacji czekała już podstawiona bana[37]. Helena pobiegła szybko kupić bilety, a Stefania postanowiła zaczerpnąć ostatnich promieni słońca. Kiedy wystawiała do niego bladą twarz, tuż obok usłyszała:

– Kogo ja widzę, szanowną panią sąsiadkę!

Eugeniusz Fridman, najzupełniej trzeźwy i ubrany w mundur, stał z lizakiem kolejowym w ręce i uśmiechał się tak szczerze, że na chwilę zapomniała, jak bardzo ostatnio ją rozdrażnił.

– Dzień dobry panu – odpowiedziała krótko.

Z powrotem zamknęła oczy w nadziei, że Fridman się oddali. Eugeniusz jednak nie zamierzał się oddalać, przynajmniej do chwili odjazdu pociągu w kierunku stacji Pleszew Główny.

– A gdzież to pani się wybiera, panno... eee, pani Stefanio?

– Nigdzie, odprowadzam przyjaciółkę mojej wychowanki na dworzec, wyjeżdża na studia – powiedziała z nieskrywaną dumą, jakby Ryfka była co najmniej jej córką.

– A wiem, młoda Gellertówna. Niech no pani tylko popatrzy, taka Estera i Josif, co to karczmę prowadzą, a dziecko, i to córkę, na studia posyłają. Świat się kończy, panie tego!

– A niby dlaczego to pana tak dziwi? – Stefania nagle zmarszczyła czoło, chcąc, by jej wzrok załapał ostrość.

Niestety, coraz gorzej widziała. Eugeniusz patrzył prosto w jej twarz, a ona zastanawiała się, czy mówi poważnie, czy tylko z niej drwi.

– Oj, dziwi, dziwi, u nas we Lwowie takie rzeczy byłyby nie do pomyslenia. U nas we Lwowie, kochana pani, dziewczęta na pensję dobrą idą, języki znają i maniery mają, ale potem za mąż wychodzą i nie w głowie im studia!

– Natomiast u nas w Pleszewie dziewczęta, jeśli tylko mogą, idą na studia! – powiedziała to z taką stanowczością, jakby oczami wyobraźni widziała tabuny pleszewianek szturmujących wrota uczelni.

– Och! – Eugeniusz teatralnie spuścił ramiona i zrobił równie teatralną smutną minę. – Marny nasz, mężczyzn, los, skoro kobiety przestają myśleć o ognisku domowym. Gdzieżem się zapuścił?

– Dzień dobry!

Do dyskutujących żwawo podeszła Helena. W dłoni trzymała dwie karty biletowe. Przez sekundę patrzyła na Eugeniusza, który najwyraźniej bawił się rozmową, a później przeniosła wzrok na Stefanię. Ta z kolei wyglądała na wyraźnie oburzoną.

– Ciociu, idziemy?

– Oczywiście, nic tu po nas.

Stefania odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem udała w kierunku wagonika kolejki. Helena wbiegła po trapie za opiekunką.

– Ależ ciociu, co się stało? Czemu jesteś taka zła? – Tym razem nie czekała, aż Stefania sama opowie.

Ciocia była najwyraźniej rozemocjonowana.

– Eugeniusz Fridman, ot, co się stało!

Niemyjska usiadła na drewnianym siedzisku tak zamasyście, że aż ją zaboląło. Zaklęła pod nosem, usiadła ponownie i starannie ułożyła skrypty na kolanach.

– Nasz sąsiad? Przecież on cały czas żartuje, kawalarz taki.

Helena usiadła naprzeciwko Stefanii i pochyliła się nieco, jakby chciała wyjawić jakąś wielką tajemnicę.

– Poza tym wydaje mi się, ciociu kochana, że wpadłaś mu w oko!

– Ależ co ty opowiadasz! Ten Fridman cały czas sobie ze mnie dworuje.

Stefania wyglądała na oburzoną, ale jej oczy się śmiały.

– Och, ciociu droga, kto się czubi, ten się lubi, wiesz, jak to jest, my na ten przykład z Józkiem często się sprzeczamy, ale potem jest fest.

Helena miała poczucie, że w kwestiach sercowo-matrymonialnych jest od Stefanii po wielokroć bardziej doświadczona. Niemyjska nie podzielała jednak jej poglądu.

– Owszem, Heleno, ale jeszcze wiele doświadczeń przed tobą, zanim zrozumiesz, że powiedzenie „kto się czubi, ten się lubi” może pasuje do zalotów w szkolnej ławie, ale niekoniecznie do relacji dorosłych ludzi.

Kolejka stęknęła przeciągle i ruszyła w kierunku Kowalewa. Mijała przemysłowe zabudowania Pleszewa, a później łyse pola Malinia należące do hrabiego von Jouanne’a.

– Może masz rację, ciociu. – Helena westchnęła na widok pól.

Zawsze, kiedy jechała tą trasą, przypominała sobie migawki, które zapamiętała z pożegnania z matką. Nie było to dla niej przyjemne wspomnienie.

– Właściwie to nie wiem, dlaczego jesteś do pana Eugeniusza tak uprzedzona. Zupełnie jak babcia, też mówi, że hadzaj i nic tylko chce kobiety sprowadzać na manowce.

Refleksja Adeli rozbawiła Stefanię na tyle, że nieco się uspokoiła. Z Kałużową dzieliło ją wszystko, ale w przedziwny sposób bardzo często łączyła je podobna ocena ludzi i zdarzeń. Stefania ogromnie ceniła Adelę. Ta prosta kobieta potrafiła stworzyć Helenie świat, w którym wnuczka mogła się uczyć i realizować, a to rzadka cecha w kryzysowych czasach Drugiej Rzeczypospolitej.

* * *

Budynek stacji Pleszew Główny i stojąca obok wieża ciśnień znacząco górowały nad niewielką miejscowością Kowalew.

Kiedy pod koniec XIX wieku wytyczano tory pod trasę Poznań – Kluczbork, właściciel ziemski von Jouanne nie zgodził się na sprzedaż części swoich parceli, wychodząc z założenia, że przecięcie torami majątku Malinie znacząco obniży jego wartość. Szybko jednak zrozumiał swój błąd i kiedy kolej ruszyła pełną parą, ludzie zaczęli masowo z niej korzystać, a tereny przykolejowe – w szczególności miasta – zyskały na wartości, on jako jeden z pierwszych zaczął czynić starania w landraturze o przyłączenie miasta do siatki kolejowej. I tak, po kilku latach, z pieniędzy Skarbu Państwa zbudowano Pleszewską Kolej Dojazdową, łączącą stację główną z miastem oraz kilkoma pomniejszymi miejscowościami – Dobrzycą, Rozdrażewem, a nawet Krotoszynem.

Dla pasażerów, którzy przybywali do Pleszewa po raz pierwszy, stacja okazywała się niemałym zaskoczeniem. Budynek był typowo miejski, dość imponujący, zbudowany – jak większość obiektów pod zaborem pruskim – z ciemnoczerwonej cegły, dwuskrzydłowy z kilkoma niedużymi zadaszeniami od strony peronu. Tymczasem za budynkiem na przybyszów czekała niespodzianka – zaledwie kilkanaście skromnych domków, a dokoła pola ciągnące się aż po horyzont. Stację zbudowano na niedużym wzniesieniu, co czyniło ją dobrym punktem obserwacyjnym, zwłaszcza gdy patrzyło się na północ, w kierunku majątku Korzkwy. Połączenie z właściwym Pleszewem było zapewnione przez banę oraz kilkunastu wozaków, którzy na przewozach zrobili całkiem niezły interes. Na brak pasażerów stacja nie mogła narzekać – kolej była podówczas jedynym środkiem transportu do każdego krańca Polski, a nawet dalej. Wszak tylko nieliczni – jak państwo Szweczyńscy – mogli sobie pozwolić na własny

automobil. Toteż stacja, mimo usytuowania na uboczu, tętniła życiem od rana do ostatniego odjazdu pociągu.

Również w dniu wyjazdu Ryfki na stacji zgromadził się spory tłumek pasażerów. Kiedy Stefania i Helena dojechały kolebiącą się kolejką, Gellertowie czekali na peronie. Kałużówna już z daleka widziała grupkę tłoczącą się wokół kilku walizek i toreb. O ile wiedziała, była to tylko część rzeczy, w którą Gellertowie wyposażyli córkę. Większość (również wędzona gęsina, przy której Ryfka stanowczo zaoponowała, że nie weźmie jej do pociągu) miała zostać dowieziona przez wynajętego na tę okazję wozaka, starego pana Szolca.

Zbliżając się do dworca, Helena miała uczucie, że już kiedyś brała udział w tej scenie. Przed kilkunastoma laty również tędy szła, by pożegnać bliską osobę. Wówczas myślała, że tylko na chwilę. Ta chwila rozciągnęła się na siedemnaście lat i kto wie, co będzie dalej. Tym razem żegnała przyjaciółkę. Choć wiedziała, że Ryfka wyjeżdża tylko na studia, rozumiała jednocześnie, że już nie wróci do Pleszewa, chyba że na wakacje bądź święta.

Ryfka była bardzo przejęta. Odziana w lekki ciemnogrnatowy płaszczyk, ze zgrabną walizeczką w ręce, uczesana na pazia, z zawiniętymi z przodu marcelowskimi falami^[38], wyglądała jak ktoś „spoza kamienicy”. Helena jeszcze nie widziała przyjaciółki w tej nowej fryzurce i była mocno zaskoczona zniknięciem kruczoczarnych długich loków. Nowy wygląd Ryfki jeszcze boleśniej uświadomił Helenie, jaka czeka ją zmiana w jej własnym życiu.

– Hela i pani Stefania! – krzyknęła Gellertówna.

Rzuciła walizkę i wpadła w ramiona przyjaciółki, niemal jakby się witały, a nie żegnały.

– Rachelu, ty uważaj na te swoje toboły. Kto jak nie ty powinien ich pilnować? – Estera, jak zawsze do bólu praktyczna, groźnie zawołała za dorosłą córką.

Josif chodził przejęty dwa kroki do przodu i z powrotem, nie odzywając się do nikogo, a nieco znudzony Dawid ożywił się na widok Heleny, której nie spuszczał z oka.

– Gutn avent^[39], pani Niemyjska i Hela! – Gellertowa mimo ogromnego zdenerwowania nie zapomniała o dobrych manierach. – Jak to miło, że dotarliście tutaj na stację. My tu bardzo wzruszeni jesteśmy, taki dzień, taki dzień!

Wzniosła oczy ku niebu i zamachała rękami.

– Oj, tak, pani Estero, my też jesteśmy niezwykle poruszone tym faktem. Tutaj wręcz historia się pisze! – Stefania wiedziała, że ją porusza zgoła coś innego niż Esterę.

Ona była szczęśliwa z tego powodu, że kobiety wreszcie mogą ot tak, po prostu, jechać na studia, Estera – że jej córka wyrywa się do dużego miasta.

– Historia historią, pani Niemyjska kochana, ale jak u nas teraz będzie pusto bez Racheli! – biadoliła Gellertowa, która najwyraźniej oczekiwała pocieszenia.

Nikt jednak nie zwrócił szczególnej uwagi na jej utyskiwania, bo w tym momencie cała uwaga była skupiona na studentce Wydziału Prawa i Ekonomii Uniwersytetu Poznańskiego.

– To jak, Ryfka, jedziesz w końcu? – Helena podeszła do Gellertówny i złapała ją za rękę.

Tak jak kiedyś, gdy jako dziewczynki przysięgały sobie przyjaźń „na Boga i Ojczyznę miłą”. Babcia Adela nic o tej przysiędze, rzecz jasna, nie wiedziała. Gdyby wiedziała, kazałaby Helenie iść się wypowiedzieć. Helena

wiedziała, że babka gniewała się na każde „przyzywanie imienia pana Boga nadaremno”. Jednak przysięga „na Boga i Ojczyznę” była dla obu dziewczynek wówczas niezwykle podniosła, a jednocześnie uniwersalna. Każda bowiem zawierzyła ją swojemu Bogu, a o ojczyźnie nie wiedziały wówczas wiele oprócz tego, że po latach ją odzyskano.

– Ano jadę, Hela, jadę. – Ryfka spojrzała nieco w górę na twarz przyjaciółki, którą znała niemal od urodzenia.

Miotaly nią sprzeczne uczucia: radość i duma z realizacji marzeń, ale też tęsknota za domem, za życiem w kamienicy, za latami spędzonymi z najlepszą przyjaciółką, za wszystkimi psikusami i wspólną nauką, za wieczornym czytaniem książek w małym, ale przyjemnym mieszkaniu pani Niemyjskiej. Wszystkie te emocje sprawiały, że Gellertówna stała niczym w stuporze, nie mogąc ani się śmiać, ani płakać.

– Ale zobaczymy się jeszcze, prawda?

W przeciwieństwie do Ryfki Helenie dość łatwo zebrało się na płacz. Choć nie chciała się rozklejać przy wszystkich, łzy samowolnie popłynęły jej po policzkach.

– Pewnie, Hela, i to już niedługo. Przyjadę na Chanukę, to już w grudniu będzie! – Ryfka potrząsnęła rękę przyjaciółki, a drugą poklepała ją po ramieniu.

Z budki wartowniczej wyszedł zawiadowca stacji i przez wielką tubę ogłosił przyjazd pociągu relacji Kępno – Krzyż, przez Jarocin, Środę Wielkopolską i Poznań.

– Heylik Got^[40], to pociąg Racheli! – nagle zawołał Josif. – Ryfka, ty się żegnaj szybko z twoimi fraynd^[41] i ty stój naszykowana do pociągu, bo różnie bywa, ludzie czasem nie zdążą wejść, nie takie historie jam słyżał!

Gellert, mocno ożywiony, podbiegł do sterty walizek i chwycił wszystkie obiema rękoma.

– Daj, tate, ja coś potrzynam – odezwał się dotychczas milczący Dawid.

Zabrał od ojca większość toreb, ukradkiem zerkając na Helenę. Ta jednak nie zwracała na niego uwagi, wpatrzona a to w przyjaciółkę, a to w daleki zakręt, zza którego za chwilę wyłoniła się czarna lokomotywa, cała w kłębach pary. Pociąg z hałasem wjechał na peron, a kilkunastu pasażerów, wraz z towarzyszącymi im osobami, poczęło biegać w dwie różne strony, jak to bywa po dziś dzień, w napięciu, że może nie zdążyć znaleźć swojego wejścia.

Gellert wraz z synem sprawnie wnieśli walizki. Po tym, jak krótko pożegnali się z Ryfką, jak Estera wyściskała ją, zalewając się łzami, jak Stefania wyszeptała jej do ucha słowa otuchy: „Jestem z ciebie dumna, Ryfko, nigdy nie trać wiary w siebie, nawet jak będzie ci ciężko”, Ryfka podeszła do Heli i mocno ją przytuliła.

– Hela, jeszcze jedna ważna rzecz – powiedziała, ścisząc głos, zupełnie zresztą niepotrzebnie, gdyż hałas na dworcu był tak ogromny, że z trudem dało się usłyszeć własne myśli, a co dopiero czyjś szept. – Ty już tak na serio, na zawsze z Józkiem będziesz?

Helena odsunęła się nieco od przyjaciółki. Jej pytanie było dla niej prawdziwym zaskoczeniem, nie spodziewała się go tu i teraz.

– A nie wiem, Ryfka, nie wiem. Lubimy się z Józkiem, to mój narzeczony i babcia też go lubi. Dlaczego o to pytasz?

– Ryfka, le ma'an ha-szem^[42], wsiadaj już! – Estera w wielkich emocjach uciekła się do języka hebrajskiego, chcąc nadać swoim słowom szczególną moc. Podeszła do córki i chwyciła ją za ramię.

Ryfka wskoczyła na trap i dosłownie po chwili konduktor otrzymał znak od zawiadowcy, że pociąg jest gotowy do odjazdu. Na peronie rozległ się przeciągły gwizd i lokomotywa z wolna ruszyła w kierunku Poznania.

Ryfka stała przez chwilę w otwartych drzwiach, podczas gdy Helena szła wzdłuż toru, patrząc wyczekująco na przyjaciółkę.

– Hela, ja nic nie wiem, ja tylko czuję, ale to moje czucie mówi mi, że powinnaś rozejrzeć się dokoła siebie. Może gdzie indziej twoje serce znajdzie lepsze miejsce? – usłyszała Kałużówna, po czym za Ryfką zatrzasnęły się drzwi.

Po chwili było widać tylko światełka z tyłu pociągu, który stawał się coraz mniejszy, aż wreszcie całkowicie zniknął za horyzontem.

* * *

W 1932 roku początek adwentu wypadł wyjątkowo wcześnie, bo już 27 listopada. Zanim nastąpił okres powagi, wyczekiwania i powstrzymywania się od zabaw, pleszewiacy postanowili wykorzystać czas do maksimum. Kryzys na świecie szalał, ale mieszkańcy miasta tak bardzo przyzwyczaili się do życia w trudnych czasach, że przestali odróżniać je od tych dobrych, bo też niespecjalnie mieli porównanie.

„Kryzys kryzysem, a człowiek musi se czasem potańcować, a już przed adwentem to mus jest, bo potem to tylko na roraty i rozmyślać o panu Bogu”, mawiała Adela, a Helena zgadzała się z nią całkowicie. No, może tylko oprócz tych rozmyślań o Bogu. Kiedy się ma dwadzieścia lat, urodę, pracę, zdrowie i wiele lat przed sobą, ostatnią rzeczą, o jakiej chce się rozmyślać, są życie wieczne i sprawy duchowe, zwłaszcza jeśli nie dotyczą one doczesnej miłości.

Helena bywała już na niejednej potańcówce, jednak przeważnie w niedużym gronie. Czasem panna Loncówna organizowała spotkanie dla całego chóru „Lutnia” w siedzibie Bractwa Kurkowego na Poznańskiej. Innym razem Helena z koleżankami szły na tańce na dechach, na kąpielisku u Rembiasza nad Prosną, trzy kilometry od Pleszewa. Było to niezwykle

popularne miejsce spotkań towarzyskich pleszewskiej młodzieży, niestety otwarte tylko do końca września.

Dlatego też, kiedy pewnego październikowego popołudnia Józek zaprosił Helenę na najprawdziwszy dancing do hotelu Victoria, dziewczyna nie posiadała się z radości. Kałużówna kochała tańczyć. Nieobce jej były tańce współczesne, takie jak fokstrot, swing, a nawet tango. *Tango milonga* było jej ulubionym utworem. Była amatorką, miała jednak świetny słuch, dlatego też panna Loncówna wybrała ją jako pierwszy sopran w chórze. Adela zastanawiała się czasem, skąd u jej wnuczki takie uzdolnienie muzyczne, a swoje przemyślenia na ogół kwitowała: „To pewnie po tym luntrusie^[43] pieruńskim z koszar, co to moją Irkę zbałamucił”.

Z pierwszej pensji, którą otrzymała od pana Grolewskiego, Helena postanowiła kupić najprawdziwszą balową sukienkę. Nigdy takiej nie miała, a jej jedyna elegancka sukienka, przeznaczona na występy chóru, była już lekko znoszona. Nawet kiedy Ryfka mieszkała w kamienicy, przyjaciółka nie mogła niczego od niej pożyczyć – Gellertówna była niższa i tęższa. Na Stefanię Helena nie mogła liczyć, jeśli chodziło o stroje. Nie przywiązywała ona wagi do takich przyziemnych spraw jak sukienki, poza tym na ogół chodziła w spodniach.

Przed tym zakupem Helena krygowała się nieco, wymawiając się licznymi potrzebami domowymi. Od lat z babcią niczego nie ulepszyły w mieszkaniu, a przecież aż się prosiło, żeby chociaż wybielić ściany, przynajmniej glinką.

– Ty, Hela, nie lotej, tylko kup se coś ładnego, mela^[44] jesteś fest i musisz dobrze wyglundać, a nie jak jakaś łazęga. Przecież do Victorii idziecie! – babcia przekonywała wnuczkę.

A kiedy ta cały czas miała wątpliwości, Adela sama wręczyła jej dwadzieścia złotych do ręki i powiedziała:

– Żadne tam malowanie, wuja Roman obiecał, że na przyszły rok przyjedzie i pomaluje.

Ostatecznie sukienka została kupiona i była śliczna. Biała, z przedłużonym stanem, dwuwarstwowa – pod spodem śliski materiał, na wierzchu delikatna koronka. Helena nigdy nie miała w swojej szafie nic tak pięknego, wręcz bała się ją założyć. Jeszcze coś rozerwie!

Kiedy tak pięknie wystrojoną i uczesaną w luźny kok z loczkami po bokach ujrzał Józek, nie mógł oderwać od dziewczyny wzroku.

– Ty jesteś najbardziej fest mela w Pleszewie – powiedział, stojąc w progu.

Tradycyjny bukiet kwiatów – skromny, bo w październiku trudno było o świeże kwiaty w przystępnej cenie – niemal wylądował na podłodze.

– No, a cóżeś myślał, Józek, moja wnuczka najpiękniejsza nie tylko w Pleszewie, ale i w powiecie całym!

Adela, tradycyjnie stojąc przy angielce, trzymała się pod boki, a uśmiech miała od ucha do ucha. Helenie było niezwykle przyjemnie. Józek miał odprasowaną koszulę i porządne spodnie z wyższym stanem, takie, jakie widziała w kilku pismach u cioci Stefani. Miał też najprawdziwszą muszkę, taką jak Eugeniusz Bodo w filmie *Uroda życia*, który widziała kiedyś w pleszewskim kinie Czar.

Czuła się przy nim dobrze i bezpiecznie. A że nie rozmawiali na wszystkie tematy, o których chciałyby porozmawiać? Och, nikt przecież nie jest doskonały. Te sprawy zawsze mogła omówić z Ryfką (teraz już tylko listownie), a przede wszystkim z ciocią Stefanią. Józek podobał się wszystkim jej koleżankom z biura księgowego od pana Grolewskiego. Niektórym do tego stopnia, że miała wrażenie, iż łypią na niego słodkim oczkiem. Czasem zastanawiała się, czy Biadała podoba się jej samej, czy może widzi go oczami koleżanek.

Tego wieczoru jednak nie zastanawiała się nad tym. Była ładnie ubrana, miała przed sobą perspektywę balu, a Józek wyglądał jak wycięty z żurnala. Do Victorii mieli zaledwie kilkadziesiąt kroków, hotel mieścił się w północnej pierzei rynku. Całe szczęście, że Helena zarzuciła swój codzienny płaszcz – gdyby miała iść w samej sukience, zmarzłaby okrutnie, październikowe noce bywają bardzo chłodne. Wyszli z mieszkania i natychmiast dopadł ich chłód wieczoru – choć dochodziła dopiero dziewiętnasta, było już zupełnie ciemno.

Zaraz po wyjściu z ciemnej klatki schodowej Józek objął dziewczynę mocnym uściskiem. W tym objęciu ujrzał ich Feliks, który właśnie wracał z Ogrodowej. Był zmęczony, głodny, a jednocześnie niezwykle zadowolony, bo terapia, którą zastosował u pacjenta z wczesnymi objawami gruźlicy, przynosiła pierwsze efekty. Pacjent nie kaszlał już tak bardzo i nabierał sił.

– O, pan doktor! – zakrzyknął gromko Józek na widok wchodzącego do bramy Feliksa. Ten podniósł głowę. Uśmiech, który gościł na jego twarzy, natychmiast zgasł na widok Heleny i Biadały. Spojrzał najpierw na dziewczynę, później na Józka.

– Dzień dobry, Helenko, uszanowanie panu.

– Feluś! Co tak późno wracasz z roboty?

Helena uwolniła się z uścisku Józka i podeszła do starego przyjaciela. Podskórnie czuła się winna, że Feliks ponownie zastał ją z Józkiem. A przecież miała prawo chodzić, z kim i gdzie się jej żywnie podobało. Jednak przy Feliksie jakoś nie mogła. Nie chciała.

– Przyjąłem ponadplanowych pacjentów, sporo pracy, tak wyszło.

Uśmiechnął się do niej blado. Tego dnia został w pracy dłużej – czekało go mnóstwo biurokracji, nadto przyszło kilkoro nieplanowych pacjentów i mimo że Rudke stanowczo na to nie pozwalał, Feliks przyjął ich po czasie.

Na szczęście kilka dni wcześniej jego pryncypał wyjechał w delegację, więc niesubordynowany młody lekarz mógł przyjąć ludzi spoza listy.

Szewczyński patrzył na Helenę, chłonąc każdy skrawek obrazu, który miał przed oczami. Niewiele niestety było widać – sklepienie między klatkami na Piłsudskiego oświetlała tylko jedna mdła żarówka. Jemu jednak to wystarczyło. Widział kilka kosmyków, które wiały dokoła twarzy dziewczyny, jej błyszczące oczy i fragment czegoś świeżącego pod starym płaszczkiem. Chyba jakaś elegancka sukienka.

– Feluś, ty się zarobisz, naprawdę. Twoja mama opowiadała babci, że bardzo się o ciebie martwi. Tylko praca i praca ci w głowie.

Złapała przyjaciela za ramię, a on miał wrażenie, że jej ręka przenosi jakieś niezwykle fale elektromagnetyczne, które promieniują na niego, aż po głowę i w dół, rozlewając się przyjemnie po całym ciele.

Józek spojrzał na gest Helenki. Na jego twarzy wciąż malował się zdrowy, szczerzy uśmiech. W środku jednak nie było mu do śmiechu.

– A my na dansing idziemy prawdziwy, do Victorii – zagadnął.

Nie zamierzał ciągnąć tematu lekarskiego, był to dla niego tak odległy obszar, że sam nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

– O, to świetnie. Życzę wam zatem szampańskiej zabawy, „żegnajcie burze serc i uniesienia!”^[45] – końcówkę zanucił tak, by pasowało do właściwej melodii.

– To moje ulubione tango! Znasz je?!

Helena aż podskoczyła. Skąd Feliks zna takie rozrywkowe piosenki? Kojarzył jej się tylko z pracą, medycznymi książkami i trudnymi określeniami.

– Och, podczas studiów, kiedyśmy z grupą studentów wraz z profesorem Lubienieckim wyjechali do Warszawy na sympozjum dotyczące chorób wewnętrznych, profesor zabrał nas do kabaretu Morskie

Oko. Tam usłyszałem to tango po raz pierwszy na żywo, a teraz często puszcza ją w radiu.

Feliks dokładnie pamiętał ten wyjazd do Warszawy, ale rewia nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia. O wiele bardziej pochłonął go wówczas referat o odkryciu nieznannej substancji bakteriobójczej^[46] przez niejakiego Aleksandra Fleminga. Teraz jednak błogosławił swoją świetną pamięć, nawet do melodii tanga. Nie dało się zresztą go nie zapamiętać – bez przerwy nadawali je w radiu, którego pasjami słuchała matka.

W oczach Heleny przez moment krótszy niż mgnienie zobaczył błysk zachwytu. To niewiele w porównaniu z oceanem emocji, który zalewał go za każdym razem, kiedy ją widział, ale zawsze coś.

– Feluś, ty to masz światowe życie.

Helena pociesznie pochyliła głowę i puściła oko, ni to zabawnie, ni to zalotnie. Feliks chciał wierzyć, że to drugie. Wtórował jej Józek, ale w jego głosie wyraźnie było słychać nutę ironii:

– O tak, pan doktor to światowo żyje, tej. Hela, idymy już, bal czeka.

Zgarnął dziewczynę ramieniem, stanowczo otworzył drzwi bramy i już po chwili szybko – na tyle szybko, na ile pozwalały pantofelki Heleny na niedużym obcasie – szli do Victorii. Już z dala ich uszu dobiegały dźwięki muzyki. Prym wiodła swingowa melodia grana oczywiście przez Eugeniusza.

Drzwi do hotelu były lekko uchylone, a snop światła oświetlał część trotuaru i bruku rynku. Dancing w Victorii był wypełniony po brzegi. W dolnej części stały nieduże okrągłe stoliki z kilkoma krzesłami, a w górnej, do której prowadziły dwa stopnie, była „sala balowa”. Goście jednak tańczyli, gdzie tylko się dało, nawet między stolikami. Właściciel lokalu, pan Zarzycki, nie mógł narzekać na brak klienteli. Zdawał sobie sprawę z tego, że pleszewiaków i okolicznych mieszkańców – oczywiście

tych, których było stać na tego typu rozrywki – przyciąga do jego lokalu nie tylko dobra gastronomia, przyzwoita wódka, lecz także przede wszystkim muzyka na żywo, którą nie mogły pochwalić się żadne inne hotele, aż po Jarocin czy Kalisz. Fridman, mimo że ochlejus, to jednak uzdolniony i przystojny, działał jak magnes. Grał wszystko, co grało się w poznańskiej Adrii, wyglądał jak filmowy amant i tak się zachowywał, dlatego Zarzycki przymykał oko na jego wybryki. Wiedział, że Fridman gra wieczorami nie zawsze całkowicie trzeźwy.

Helena chłoneła klimat zabawy jak gąbka. Wszystko było tu wspaniałe. W przerwie między graniem, kiedy goście siadali do małych stoliczków, by przegryźć galart^[47] i zapić wódką, Fridman nawet do nich podszedł i ukłonił jej się nisko.

– Dobry wieczór, sąsiadeczko!

Puścił do niej oko, a Helena odrzuciła głowę i zaśmiała się w głos. W przeciwieństwie do Stefanii, nie traktowała słów Eugeniusza poważnie. Zresztą Józek był obok i jakiegokolwiek nieprzystojne traktowanie nie wchodziło w grę.

Fridman nie przestawał się uśmiechać.

– Ma pani ochotę posłuchać jakiegoś wyjątkowego utworu?

Helena chwyciła kieliszek wódki i wychyliła go naraz. Poczowała palenie, a po chwili przyjemne, wibrujące ciepło rozeszło się po całym jej ciele i uwolniło głowę od wszelkich hamulców.

– Owszem, panie Eugeniuszu. Poproszę *Tango milonga*. – Uśmiechnęła się do niego, po czym zwróciła do Józka: – Józiu, idziemy tańczyć!

Biadała nie oponował. Chwycił rękę dziewczyny i powiódł ją na parkiet, zaraz za krocącym do pianina Fridmanem, który rozsiadł się przy instrumencie, dał znać reszcie zespołu i po chwili zaczął grać melodię.

Pianino marki Carl A. Pfeifer było rozstrojone, brzmiało kakofonicznie, niektóre klawisze w ogóle nie wydobywały dźwięku. Mimo to Helena, po wychylnym kieliszku wódki, w silnych objęciach Józka, który trzymał ją za plecy tak mocno, iż myślała, że za moment przełamie ją w pół, czuła się fantastycznie. Nie znała pojęć *volcada*^[48] i *colgada*^[49], nie wiedziała, jak miękko trzymać partnera, by prosty kręgosłup i lekko odchyłona głowa tworzyły perfekcyjną całość, jednak intuicyjnie, niemal na oślep poruszając się w rytm melodii, sunąc obok wirujących par, czuła się dobrze, ekstatycznie wręcz. A kiedy po raz kolejny pochylili się z Józkiem, ich twarze niemal zetknęły się ze sobą, ona zaś poczuła na ustach pierwszy w życiu pocałunek, pocałunek mężczyzny, jego zimne i pachnące wódką usta. Przymknęła oczy i w takt muzyki jej myśli podryfowały gdzieś daleko, a tak naprawdę niedaleko, bo z powrotem do kamienicy.

I, zupełnie bezwiednie, czując pocałunek Józka, w myślach ujrzała śmiejącego się do niej Feliksa.

* * *

– Wejść! – Feliks usłyszał dobiegający zza drzwi głos Rudkego.

Do gabinetu dyrektora wezwano go dużo wcześniej, jednak musiał odczekać swoje pod okiem oschłej sekretarki. Z braku lepszego zajęcia patrzył, jak liście paprotek, starannie przez nią pielęgnowane, falują pod powiewem powietrza, które wpadało z otwartego lufcika. Powietrze w kancelarii było ciężkie, a w świetle dnia widać było wirujące pyłki kurzu. Sekretarka, pani Lusia, siedziała za swoim zawalonym papierami biurkiem i raz po raz zerkała na Szewczyńskiego zza okularów w rogowych oprawkach. Feliks spróbował ją zabawić rozmową, ale po chwili poległ – pani Lusia brała swoją pracę niezwykle poważnie i nie uznawała płytkich

rozmów, szczególnie z tak nieopierzonymi lekarzami jak Feliks. Wołanie przełożonego uwolniło go od tej dość napiętej sytuacji.

Wstał z twardego krzesła, posłusznie wszedł do gabinetu i usiadł naprzeciwko Rudkego. Dyrektor wyglądał na spoconego, mimo że w kancelarii wcale nie było gorąco. Feliks po raz kolejny pomyślał o ciśnieniomierzu i chorym sercu, ale nie powiedział o tym ani słowa. Bądź co bądź, Rudke to też lekarz, sam wie najlepiej, co mu dolega.

Ten przez chwilę w ogóle się nie odzywał, wertując powoli dokumenty z realizacji działań Kasy Chorych. Po chwili zamknął je z trzaskiem i popatrzył na Feliksa, mrużąc oczy.

– Czy orientuje się pan, jaki mamy budżet w tym roku?

Półprzymknięte oczy nadawały jego twarzy upiorny wygląd. Feliks wyczuł kłopoty i zaczął pospiesznie robić rachunek sumienia. Nauczony doświadczeniem, że dla świętego spokoju Rudkemu trzeba albo przytakiwać, albo być potulnym, wybrał jedno i drugie. Zresztą naprawdę nie wiedział, jaki jest budżet, nie leżało to w jego kompetencjach.

– Nie, proszę pana, nie orientuję się.

– Otóż, proszę pana, nieważne liczby, ważny jest jeden smutny fakt. – Rudke ciągnął, trzymając całą dłoń rozpostartą na sprawozdaniach. – A fakt ten jest taki, że przez pana działania my ten budżet w tym roku znacznie przekroczyliśmy!

A to zaskoczenie. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

– A to dlaczego? – zapytał z niewinnym wyrazem twarzy.

Wiedział już, do czego ta rozmowa doprowadzi. Nieraz przyjmował dodatkowych pacjentów, ale nie przypuszczał, że będzie stanowić to jakikolwiek problem. W końcu zdrowie jest bezcenne.

– A to dlatego, że pan sobie tutaj przyjmuje pacjentów bez żadnego umiaru!

Rudke niemal wstał zza biurka, ale po chwili oklapł z powrotem. Wzrok miał nadal surowy.

– Czy pan wie, że zbliża się posiedzenie Rady Kasy, na którym muszę zdać sprawozdanie budżetowe zarządu, którego jestem prezesem? I czy pan zdaje sobie sprawę, że będę musiał się tłumaczyć z nadmiarowych wydatków, które ponieśliśmy w związku z tym, że pan beztrąsko dopisywał pacjentów ponad kwoty, którymi dysponujemy?!

Tym razem to Feliks uniósł się nieco, ale tak jak przed chwilą Rudke po chwili usiadł z powrotem na krześle. Nie będzie przecież prawil kazań przełożonemu na stojąco.

– Proszę pana, powód, dla którego przyjmowałem pacjentów, jest prosty: potrzebowali natychmiastowej pomocy. Nie jest to moje widzimisię, tylko kwestia zdrowia. Sam pan mówił na początku, ile jest tutaj problemów zdrowotnych, że gdzie się człowiek nie obejrzy, to jakiś dług zdrowotny...

– Ale to nie znaczy, że my mamy leczyć ich wszystkich hurtem! – Rudke wyciągnął ręce przed siebie stanowczym gestem. – Przecież to oznacza, że za ten rok przedstawię manko, a wówczas Rada może mi obciąć budżet. A ja planowałem remonty całej Kasy i naszych biur na przyszły rok!

– Ale jak pan to sobie wyobraża? Mam ludziom odmawiać pomocy?! Przecież to jest niehumanitarne, właśnie po to przyszedłem do Kasy Chorych, żeby pomagać wszystkim, a nie wybranym!

Feliks czuł, jak wzbiera w nim złość, ale starał się zdławić ją w zarodku. Począł nerwowo wycierać dłonie o spodnie i po chwili splótł palce, próbując wyrównać oddech.

– Ja rozumiem, że łączy pan obowiązki naczelnego lekarza Dzielniczy z powinnościami kierownika biura. Jednak zakładam, że w tym przypadku

rozmawia pan ze mną jako lekarz! – dokończył myśl.

– Proszę się nie zapominać, panie Szewczyński, i nie mówić mi, czy rozmawiam jako lekarz, czy nie, bo to akurat ja jedyny wiem – odpowiedział, zgodnie z prawdą, Rudke.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie miarowym stukaniem dużego zegara, który stał w kącie za biurkiem kierownika.

– Co zatem zamierza pan ze mną zrobić?

Feliks nie bał się decyzji Rudkego, ostatecznie może pracować gdziekolwiek. Wiedział jednak, jak bardzo przez tych kilka miesięcy pacjenci zżyli się z nim i jak liczyli na jego pomoc. W gruncie rzeczy był tu dla nich. Gdyby o niego chodziło, mógł trzasnąć drzwiami już na początku rozmowy, ponieważ całe tłumaczenie, dlaczego leczy pacjentów, wydawało mu się tak piramidalnym absurdem, że czuł się niemal jak kafkowski Józef K.

Rudke oddychał ciężko. Widać było, że waży słowa, a młody Szewczyński zapędził go w kozi róg swoim pytaniem. Nie mógł przecież wyrzucić go nagle, ot tak. Wiedział, jak bardzo pacjenci go lubią, a do tego nie miał nikogo na zastępstwo. Z drugiej strony najchętniej pozbyłby się tego młokosa. Szewczyński był dla niego za krnąbrny, za zdolny, krótko mówiąc – psuł mu szyki. A taki był wcześniej spokój w jego Kasie Chorych!

– Nie chcę więcej widzieć dopisywania pacjentów, panie Szewczyński. Do widzenia panu.

Feliks wstał, szybko się uklonił i równie szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.

– Do widzenia pani. – Uklonił się sekretarce i pospiesznie sięgnął po teczkę i kapelusz.

W korytarzu Kasy Chorych było jak zwykle ciemno. Szedł do wyjścia na pamięć, nie chciało mu się szukać włącznika światła. Dochodził już do drzwi, kiedy usłyszał za sobą stukot obcasów.

– Panie Feliksie!

Ku jego zaskoczeniu pani Lusia wybiegła za nim niczym strzała. Stała koło niego ze zsuniętymi okularami, a na jej twarzy malowało się coś w rodzaju nieśmiałego uśmiechu.

– Panie Feliksie, proszę wybaczyć, ja nie chciałam tak w gabinecie, wie pan, wszystko słyhać – mówiła głosem tak cichym, że Feliks ledwo rozpoznawał pojedyncze słowa, chociaż w korytarzu było pusto. – My tu się nie spoufalamy z pracownikami, ale wie pan, niedawno chodził do pana mój starszy ojciec. Pan jak nikt pomógł mu zaleczyć zaawansowaną podagrę. Jestem panu za to ogromnie wdzięczna. Proszę. – Wręczyła Feliksowi czekoladę firmy E. Wedel.

Szewczyński popatrzył na czekoladę, potem na zmieszana twarz sekretarki. Ujął jej dłoń i odsunął łagodnie, cały czas się uśmiechając.

– Pani Lusiu, jestem ogromnie zadowolony, że mogłem pomóc pani ojcu. To dla mnie największa nagroda. – Puścił jej dłoń i uchylił kapelusza. – Do widzenia. A czekoladę broszę zachować dla siebie bądź kogoś bliskiego. I proszę pozdrowić szanownego ojca.

* * *

Drzwi w gabinecie przełożonej zamknęły się z lekkim trzaskiem. Stefania popatrzyła na niemal opustoszały korytarz szkolny i przeniosła wzrok na niedużą książkę, którą wzięła z gabinetu. Biała, lekko otarta okładka z czerwonymi akcentami. W prawym górnym rogu widniał tytuł *Pierwsza krew*^[50] oraz nazwisko autorki Ireny Krzywickiej.

Napędce ją przekartkowała. Natrafiła na opis pierwszej menstruacji, potem przeżyć związanych z dojrzewaniem jakiegoś chłopca. Cóż, szokujące, ale prawdziwe.

Podniosła głowę znad książki. W oddali mignęła jej grupka uczniów w marynarskich strojach, zapewne szli na popołudniowe praktyki zawodowe. W kącie, na szerokim parapecie, siedziała chuda dziewczyna z ciemnymi, kręconymi włosami obciętymi na pazia. Jedną nogę miała podwiniętą, a brodę opierała na kolanie. Ubrana była w spodnie, a na nogach miała męskie pantofle.

– Chodź, Leosiu. – Stefania kiwnęła głową do dziewczyny, a ta zeskoczyła z parapetu i podbiegła.

– Oddała? – W głosie dziewczyny nie było słycać cienia skruchy.

– Oddała. – Stefania wyciągnęła książkę w stronę dziewczyny, a ta natychmiast ją przechwyciła.

– Dlaczego czytasz na lekcjach, zamiast słycać nauczycieli? – Niemyjska z góry znała odpowiedź Eleonory, ale musiała zadać to pytanie.

– Bo to, co mówią nauczyciele, jest arcynudne, a już na lekcjach kaligrafii wręcz zionie nudą. Kto teraz uczy się kaligrafii? – Leosia prychnęła i lekceważąco wzruszyła ramionami.

Stefania nie dała za wygraną. Musi wyjaśnić temat. W końcu po raz kolejny osobiście wstawiała się za Trzaskówną.

– Skąd ty bierzesz takie lektury?

– Och, ma się te kontakty, proszę pani. – Uczennica zawiadacko mrugnęła do Niemyjskiej i zapatrzyła się w książeczkę niczym w relikwię. – Takie rzeczy powinno się teraz pisywać, a nie jakieś romantyczne dyrdymały!

– Zgadza się, ale nie od razu Kraków zbudowano, Leosiu. Nie możemy ot tak wywołać rewolucji obyczajowej. Tylko ewolucja,

budowanie nowego przyniesie trwałe efekty.

Stefania miała ogromny problem z prawieniem kazań. Z jednej strony dziewczyna doprowadzała ją do szewskiej pasji swoim buntem przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Z drugiej strony młodziutka Stefania sprzed lat podpowiadała jej: „A ty co robiłaś w jej wieku? Kiedy zrzuciłaś gorset? Kiedy po raz pierwszy wzięłaś udział w zebraniu stowarzyszenia Warta?”.

Teraz już pewnie nawet nie poszłaby na takie spotkanie. Po tych wszystkich latach wiedziała, że pewne rzeczy załatwia się fortelem, że mała praca wokół siebie paradoksalnie daje więcej niż machanie szabelką. Z drugiej strony, gdyby nie bunt młodych, świat pewnie w ogóle nie ruszyłby z miejsca. Ale jak to wszystko sensownie wytłumaczyć piętnastolatce?

Leosia byle jak wcisnęła książkę do skórzanej szkolnej teczki, nie zwalniając marszu obok nauczycielki. Podeszły do szatni, narzuciły palta i wyszły na zewnątrz.

– Muszę lecieć na banę. I tak dojadę już po ciemku, a potem jeszcze muszę z Kotliny dojść do domu.

– Ile masz kilometrów ze stacji w Kotlinie? – Stefanię nieustannie martwiło, jak dużo czasu dziewczyna spędza w podróży. Codziennie szła wiele kilometrów, a Bóg wie, na kogo mogła natknąć się po drodze.

– Będzie ze cztery. Pani Stefanio, proszę się nie martwić, ja sobie ze wszystkimi poradzę! Jakby mnie kto chciał ściągnąć w habręzie^[51], niedoczekanie jego i marny los. Ha, ha, ha! – Energicznie odrzuciła głowę do tyłu, aż jej sfatygowany beret zsunął się i niemal spadł. – A z tą książką, pani Stefanio, to jakem tu stoję, jestem pewna, że pani przełożona jej nie przeczytała. Ona nic nie czyta, okrutnie jest tępa.

Stefania wiedziała, że Leosia specjalnie ją prowokuje.

– Nie zmusisz mnie, Eleonoro Trzasko, bym prawila ci kazania, co panienska z dobrego domu powinna mówić, a czego nie. – Niemyjska uśmiechnęła się łobuzersko.

– Z dobrego domu? Paradne! Moja matka mieszka w gorzelni i pracuje przy butelkowaniu bimbru. Co to za dobry dom?

– Robi to, Leosiu, by wykształcić ciebie i Władzię. Wiesz o tym i znasz jej smutną historię. – Stefania spoważniała.

Czasem aż ją korciło, żeby przeciągnąć dyscypliną przez chude siedzenie Leosi. Trzaskówna przestała się śmiać.

– Tak, wiem, mama jest rychtig^[52] biedna, takie ladaco urodzić i całe życie się gryźć. A jeszcze wcześniej mój ojciec szubrawiec jej się trafił.

Nastolatka zamasyście kopnęła kamyk leżący u jej stóp. Ten zatoczył piękne półkole i wylądował kilka metrów dalej. Stefania popatrzyła na profil dziewczyny.

– Owszem, Leosiu, ale z drugiej strony jesteś dla mamy powodem do dumy. Wszak uczysz się dobrze, jesteś zdolna. Kto wie, może uda ci się nawet dostać na studia?

– Ech, to by dopiero było! – Leosia westchnęła teatralnie. – Chciałabym na to samo, co Ryfka, żeby potem adwokatem zostać. Kobiety bym wszystkie broniła.

Poprawiła niedbale zarzucony płaszcz i mocniej nasunęła beret na czoło.

– Ale tera to ja już muszę lecieć, pani Niemyjska. Bana mi ucieknie, a potem z Kowalewa nie będę miała czym jechać.

Machnęła szybko ręką, odwróciła się na pięcie i pobiegła w dół Ogrodową, gdzie kilkaset metrów dalej widać było ciemnoczerwone budynki pleszewskiego dworca. Stefania popatrzyła za młodą Trzaskówną i zrobiła krok w jej stronę, jakby zamierzała ją gonić.

– Leosiu! – krzyknęła, a tamta natychmiast się zatrzymała. – Skąd wiesz, że pani przełożona nie czytała twojej książki?

Przez całą rozmowę z Trzaskówną zastanawiała się, skąd ta pewność u dziewczyny. Ta zaśmiała się głośno, aż kilku przechodniów odwróciło się i pokiwało głowami z dezaprobatą. Taki śmiech przystoi przekupce, a nie nastoletniej pannie! – Gdyby przeczytała, znalazłaby cienką zakładkę, która została w książce. Na zakładce narysowałam jej karykaturę, więc już by mnie tutaj nie było!

Leosia z powrotem ruszyła marszobiegiem, przez chwilę biegnąc tyłem. Po chwili zniknęła za niedużym zakrętem, w miejscu, w którym ulica Ogrodowa przechodzi w Kolejową.

Stefania jeszcze chwilę stała, próbując przetrwać to, co powiedziała jej Trzaskówna. Skąd w tej dziewczynie bierze się taka chęć prowokacji? Czemu ma to służyć i kiedy ona z tym skończy? Westchnęła, otuliła się paltem i wolnym krokiem ruszyła w stronę rynku. Czekają ją dzisiaj jeszcze mnóstwo prac do sprawdzenia.

* * *

Helena zamknęła książkę. Między karty włożyła zakładkę starannie wydzierganą na szydełku przez babcię.

Oczy jej się kleiły, choć była dopiero dziewiętnasta. Światelko ażurowej lampy stojącej między jej częścią pokoju a stołem było zbyt słabe, by swobodnie czytać. Nie miała jednak siły przenieść się do stołu, żeby dobrze widzieć litery.

Praca u pana Grolewskiego nie była wyczerpująca, jednak Helena czuła się zmęczona codzienną rutyną, pobudką o szóstej rano i pracą przez osiem godzin w biurze. Jej oraz czterem innym pannom księgowym przysługiwała krótka przerwa na śniadanie. Powrót do domu nie oznaczał odpoczynku. Po

szybkim obiedzie na ogół pomagała babci roznieść bieliznę do klientów. Babcia nie miała już siły nosić ciężarów i tu potrzebowała młodych rąk Heleny, ale nie chciała dopuścić wnuczki do samego prasowania. Od roku była dumną posiadaczką żelazka elektrycznego marki Eldec. Ów przedmiot – jej duma, narzędzie pracy i absolutna nowinka techniczna – stał na dużym parapecie w centralnym punkcie mieszkania, owinięty parcianym sznurem. Żelazko kupiła jej Irena w Bochum, na pchlim targu. W liście, który towarzyszył paczce, zapewniała, że tylko nieliczni mogą się pochwalić sprzętem tej firmy. Adela cieszyła się podwójnie – nie dość, że znacznie prościej było prasować żelazkiem elektrycznym niż spirytusowym, to jeszcze był to prezent od najmłodszej, „postrzelonej” córki.

Irena miała rację – sprzęt okazał się niezawodny, stabilnie trzymał temperaturę, a ryzyko przypalenia bielizny było o niebo mniejsze niż w przypadku żelazka spirytusowego. Adela traktowała go niczym relikwię i codziennie, po każdym prasowaniu, pucowała tak, że można było się w nim przeglądać. Heleny do żelazka dopuścić nie chciała.

– Ty, Hela, nie lotej, pilnuj tych swoich tabelek, a mnie zostaw prasowanie, bo to nie jest taka prosta sprawa, tej – kwitowała za każdym razem, gdy wnuczka chciała pomóc.

Helena nie oponowała. W gruncie rzeczy prasowanie ją nudziło, mimo że w dzieciństwie uważała, że jest to najpiękniejsza praca pod słońcem.

Odłożyła książkę na wąski regał i spojrzała na babkę, która – stękając i wzywając co rusz imię Boga – moczyła nogi w dużej cynowej miednicy. Przed kwadransem wróciła z jesiennej zbieronki. Wraz z Tokarską uzbierały sporo późniwnych resztek. Będzie co dawać zimą królikom i kurom. Kałużowa co prawda królików nie hodowała, ale dzięki temu, że nieraz pomagała Tokarskiej, która – tak jak ona – owdowiała i mieszkała sama

z córką, od czasu do czasu mogła liczyć na królicze mięso, a nawet trochę futerka. Zbierała je do lnianego worka, żeby później uszyć z kawałeczków kapę lub nieduże dywaniki do rozłożenia przy łóżku.

– Babciu, po co tak się męczysz? Przecież dobrze zarabiam, mamy za co żyć. Nie musisz cały dzień chodzić po polu.

Dziewczyna podeszła do miski, uklękła i podniosła kostkę szarego mydła, która leżała obok. Obficie namydliła stopy babki.

Skóra na nogach Adeli była usiana niebieskimi żyłkami, a jej stopy pokrywały pęcherze. Szorując zrogowaciałą skórę na piętach babki, Helena myślała o tych setkach czy raczej tysiącach godzin wystanych przy prasowaniu, żeby obie miały co włożyć do garnka.

– A co ja niby mam robić, Hela, jak te swoje prasowania już obrobie? To se z Tokarską choć po polu pochodzę, to nie żadna trudna robota, a korzyści duże.

Adela ponownie stęknęła, tym razem jednak było jej chyba przyjemnie. Helena skończyła namydlać stopy, delikatnie spłukała je wodą z miednicy i podała babce duży lniany ręcznik ozdobiony haftem krzyżykowym. Adela wytarła stopy do sucha, powiesiła ręcznik nad piecem i odstawiła miednicę koło drzwi. Jutro się ją wyniesie, na dzisiaj wystarczy dźwigania ciężarów.

– Już nie musisz prasować, damy sobie radę. Ja nas utrzymam.

Helena uśmiechnęła się do Adeli i ponownie usiadła na łóżku. Babka w życiu nie pozwoliłaby sobie na takie świętokradztwo, ale dla Heli łóżko było miejscem do życia. Potrafiła tam nawet odrabiać lekcje – ku utrapieniu babki.

– Ja, ja, utrzymam, a co ze mną, starą bydzie, jak wy sobie z Biadałą pójdziecie na swoje?

Podeszła do angielski i dorzuciła kilka szczapek drewna. Listopadowy wieczór był wyjątkowo chłodny, mimo że ich mieszkanie na ogół długo

trzymało ciepło skumulowane za dnia. Po co jednak marznąć, skoro mają drewno, a Gellert obiecał, że przywiezie więcej, żeby i dla sąsiadów było po okazyjnej cenie?

Ogień natychmiast zajął drewno, a wokół piecyka rozeszło się przyjemne ciepło. Adela szczelnie zamknęła drzwiczki angielski, wytarła ręce o fartuch, chwyciła motek włóczki, którą trzymała w wiklinowym koszu koło łóżka, i jeszcze zanim dobrze usiadła na krześle przy wielkim stole, zaczęła przebierać drutami. Hele skąd spojrzała na szybko ruszające się palce babci, cicho westchnęła i położyła się na łóżku, splatając jednocześnie ręce na piersiach. Adeli nie podobała się ta pozycja, przywodząca na myśl nieboszczyka. Tak pochowała męża Zdicha – do dziś pamięta, jak musiała mu te spalone palce przeplatać, żeby wyglądało, że żarliwie się modli.

– Babciu, przecież my tylko tak, jeszcze nie na poważnie.

Dziewczyna patrzyła na popękany sufit. Adela kątem oka widziała, że Helena jest w innym świecie – niby leży tutaj, na łóżku, w ich małym mieszkaniu, ale jednak jest gdzie indziej.

– Ady idź^[53], co ty godosz, co nie na poważnie. Józek fest jest, żaden szczun^[54], fach w ręku mo, wyględnny jest, bejmów^[55] ma dość i szplina dostał^[56] na twoim punkcie, Hela.

Kałużowa uśmiechnęła się na myśl o chłopaku i jego minie, kiedy patrzył na jej wnuczkę. Jak baran niemal! Kwiatki za każdym razem, całując rączki, do niej niemal na kolanach. Wymarzony prazieć po prostu!

Kałużówna podniosła głowę, oparła ją o zgiętą dłoń i popatrzyła na babkę.

– Babciu, a co, gdybym ci powiedziała, że zakochałam się w innym?

Adela upuściła robótkę na podolek i spojrzała na wnuczkę. Ta się uśmiechała, a w oczach miała tyle błogości, że Adela nie była pewna, czy

Helena mówi do niej, czy nadal buja w obłokach. W pierwszej chwili pomyślała, że dziewczyna żartuje.

– Co ty godoisz, Hela?

Maślane oczy wnuczki i jej łagodny uśmiech mogły oznaczać tylko jedno – naprawdę była zakochana. I to bynajmniej nie w Józku.

– Ech, nic, babciu, tak mówię. Trochę żal mi Józka, ale wydaje mi się, że kto inny jest dla mnie ważniejszy i dopiero ostatnio to zrozumiałam.

Opadła na łóżko i ponownie utkwiała wzrok w suficie. Adela odłożyła robótkę do koszyka i energicznie wstała. Podeszła do łóżka wnuczki, aż ta poderwała się i usiadła – jak pan Bóg przykazał – na brzegu pościania, z nogami na dole.

– Jezusie Nazareński, co ty za herezje opowiadasz, Hela! Godej, co ci tam do głowy przyszło!

– Oj, babciu, nic mi nie przyszło, przecież ja z Józkiem nie jestem nawet zaręczona, to nie było tak na poważnie.

Helena zdziwiła gwałtowna reakcja babci. Wiedziała, że lubi Józka, ale żeby aż tak...?

– Dobra, dobra, ale co to za ktoś niby ważniejszy?

Adela nieco się uspokoiła i usiadła obok wnuczki, łamiąc swoją świętą zasadę. Helena pomyślała, że babcia faktycznie musi być szczerze wzburzona, skoro usiadła na łóżku w ciągu dnia. Złapała ją za żyłastą, spracowaną dłoń.

– Babciu, to już nie te czasy, że pierwszy chłopiec jest tym, z którym idzie się do ślubu. Ja po prostu zrozumiałam, że Józek może nie do końca jest tym, z którym chciałabym spędzić całe życie. I że to nie jest z mojej strony uczciwe. A ten, którego... o którym trochę myślę... znaczy się coraz bardziej myślę... Ja nie wiem, czy on w ogóle jest dla mnie, czy ja mu się podobam, ale o nim myślę.

Adela przewróciła oczami i podniosła ręce, jakby miała się modlić.

– Ale godej, Hela, co to za jeden!

Helena przez chwilę się zawahała. Czy jest sens mówić babci o czymś, czego przecież nie ma? Co ona mogła sobie ubzdurać? Może jest głupia i naiwna i tylko coś jej się wydaje? Popatrzyła na Adelę, będącą od urodzenia jej całym światem, na tę najbliższą istotę, która ją wychowała, wykształciła, karmiła, wycierała zasmarkany nos i przykładała liście babki do kolana obtartego na podwórku.

– Feliks Szewczyński – odpowiedziała cicho.

Przez chwilę żadna z nich nic nie mówiła. Helena podniosła wzrok na babcię, ale nie potrafiła nic wyczytać z jej miny.

– Bój się Boga, Hela, coś ty wymyśliła. Przecież to dziedzic kamienicy i lekarz!

Jej głos był cichy, ale Helena dobrze go znała i wiedziała, że babcia jest wzburzona, chociaż nie chce tego po sobie pokazać.

– Wiem, ale co z tego?

Adela wstała z łóżka, strzepnęła wysiedziany fragment kapy, podeszła do angielski, przez chwilę popatrzyła na fajerkę, po czym odwróciła się i powiedziała stanowczo:

– Jo stara kobita jestem i wiem, że czasy się zmieniły i że tera to już ni mo jakichś podziałów, ale pan dziedzic to jest pan dziedzic, lekarz w dodatku. Chociażbyś nie wiem, jak go kochoła, to on nie jest dla ciebie. Szewczyńscy na pewno się na taki ten... jak mu tam, takie niedopasowane małżeństwo nie zgodzą.

– Mezalians – odburknęła Helena, patrząc w ciemne okno.

Zła była na siebie, że powiedziała babci o swoim uczuciu. Czego się spodziewała? Że jej przytaknie? Przecież wiadomo było, jakie babcia może mieć do tego podejście.

– Czy ja już do końca życia mam pokutować za to, że jestem biedna?

Adela spojrzała na wnuczkę, która siedziała z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Widać, że sprawiła jej przykrość. Podeszła do niej i pogłaskała ją niezdarnie po rozczochranych włosach.

– Heła, to nie tak, nie godej tak. Ty masz dobrą robotę, bydziesz dobra partia, Józek też jest fachura i dobrze zarabia. Bidno nie jesteś, ale Feliks to jednak Szewczyński, on to pannę posażną i z Poznania może mieć. To nie te progi, mimo że szacunek jest!

Helenie nie chciało się ciągnąć tej rozmowy. Wiedziała, że nic z tego nie wyniknie. Babcine pocieszenie zdało się zaś na tyle, że dziewczyna jeszcze bardziej pograżała się w czarnych myślach.

Adela podeszła do kredensu, wyjęła obtłuczony emaliowany kubek i sięgnęła do wiadra z czystą wodą. Była zimna, jakby wprost ze studni.

– Nic to, Heła, jo ide za potrzebą.

Helena wiedziała, że babcia wcale nie poszła za potrzebą. Zawsze, kiedy coś wywoływało między nimi różnicę zdań, babka przerywała rozmowę, żeby „przemyśleć” sprawę. Potem na ogół nie wracała już do tematu, jakby go nie było.

Helena poczuła, że wzbiera w niej żal na babcię, na życie, na świat. Popatrzyła na nieduży regał, na którym leżały wszystkie jej książki. W oczy rzuciła się gruba oprawa *Serca* Edmunda de Amicisa. Dostała ten tom przed laty od Feliksa, kiedy miała wyjechać do matki, do Westfalii. Miał być pamiątką po ich dawnej przyjaźni z Gnieźnieńskiej 10.

Wyciągnęła energicznie książkę, trzymała przez chwilę w dłoniach, po czym z impetem cisnęła ją pod łóżko.

-
- [33] Nieszczęście (tłum. z jidysz).
- [34] Mój Boże kochany (tłum. z jidysz).
- [35] W przedwojennej Polsce, po reformie jędrzejewiczowskiej, przedmiot obowiązujący w gimnazjum.
- [36] Elitarna szkoła dla dziewcząt funkcjonująca w Poznaniu do 1919 roku.
- [37] Pociąg.
- [38] Charakterystyczna fryzura dla okresu międzywojennego, swoją nazwę zawdzięcza lokówce wymyślonej przez fryzjera Marcela Grateau.
- [39] Dobry wieczór (tłum. z jidysz).
- [40] Boże Święty (tłum. z jidysz).
- [41] Przyjaciele (tłum. z jidysz).
- [42] Na miłość boską (tłum. z hebrajskiego).
- [43] Łobuz.
- [44] Dziewczyna.
- [45] Fragment utworu *Tango milonga*.
- [46] Chodzi o wynalezienie penicyliny w 1928 roku przez Aleksandra Fleminga.
- [47] Nóżki w galarecie.
- [48] Pozycja w tangu, w której partnerzy są ku sobie pochyleni.
- [49] Pozycja w tangu, w której partnerzy są od siebie odchyleni.
- [50] Pierwsza powieść Ireny Krzywickiej, publicystki, dziennikarki, pisarki i pionierki feminizmu w Polsce.
- [51] Krzaki.
- [52] Rzeczywiście.
- [53] Co ty opowiadasz.
- [54] Chłopak, w tym kontekście niedojrzały mężczyzna.
- [55] Pieniądzy.
- [56] Zbzikować.

IV

Kalendarzowa zima zbliżała się wielkimi krokami, a pogoda, jak na złość, cały czas była późnojesienna.

Jak dotąd kwestie pór roku nie spędzały Helenie snu z powiek. Ot, lato następowało po wiosnie, a jesień po lecie. Latem spędzało się całe dnie na zewnątrz, a zimą w malutkim mieszkaniu przy słabym oświetleniu żarówki. Czy padał śnieg, czy deszcz, czy świeciło słońce, nie miało to dla niej większego znaczenia. Przebywało się po prostu tam, gdzie było ciepło i sucho.

Tej jesieni wszystko jednak wydawało się inne. Helena miała poczucie, że mieszka w najbrzydszym miejscu pod słońcem, mimo że jeszcze niedawno myślała, że nie ma piękniejszego miasteczka niż Pleszew. Nie miała wprawdzie wielkiego porównania. Od czasu do czasu bywała w Poznaniu, raz była w Gdyni, czasem też jeździła do Jarocina, gdzie pan Grolewski założył filię swojego magazynu. Była to najprawdziwsza chłodnia, taka, jaką wybudował również w Pleszewie. Dzięki niej mięso i nabiał utrzymywały dłużej niskie temperatury, a co się z tym wiązało – miały dłuższy termin przydatności.

Jednak ani bezpieczna praca, ani tym bardziej nowinki technologiczne, które wprowadzał pan Grolewski, ani nawet fakt spokojnego bytu – coś, co przytrafiło się jej i babce po raz pierwszy, odkąd pamiętała – nie były

w stanie wprowadzić jej w lepszy nastrój. Poczucie narastającej w niej apatii przypisywała aurze. Łyse drzewa, niekończąca się plucha, siwoszare chmury wiszące nad miastem i szybko zapadający zmrok sprawiały, że czuła się przygnębiona wśród wszechobecnej brzydoty. Tak przynajmniej to sobie tłumaczyła. Za wszelką cenę nie chciała dopuścić do siebie myśli, że przyczyną jej fatalnego nastroju jest zgoła coś innego.

Brakowało jej Ryfki i mimo że wymiana listowna między przyjaciółkami była częsta, nie mogła zastąpić wieczorów, kiedy to – bądź w dużym mieszkaniu Gellertów na pierwszym piętrze, bądź też w ich malutkiej dziupelce – przesiadywały godzinami i rozmawiały o wszystkim, o czym mogły rozmawiać młode dziewczyny pełne marzeń, aspiracji i nadziei. Mogła, rzecz jasna, porozmawiać również z koleżankami w pracy, jednak żadna nie była jej bliska. Były miłe, to wszystko.

Wieczory w domu na Piłsudskiego też wyglądały inaczej niż kiedyś. Od ostatniej rozmowy, kiedy Helena wyznała, że ma wątpliwości dotyczące Józka, babcia jakby odsunęła się od niej. Nie kłóciły się, nic nadzwyczajnego się nie działo, ale zapanował między nimi dziwny chłód, którego Helena nigdy nie zaznała od Adeli. Babcia wypytywała o każde jej wyjście, wypytywała o wszystko po każdym powrocie, niemal jak kiedyś, gdy Helena była małą dziewczynką.

Adelę cieszyły natomiast wizyty Józka. Potrafiła wówczas nasmażyć plynarów^[57] ze śmietaną bądź napiec szneków z glancem^[58], choć przecież był adwent, a w adwencie Adela na ogół pościła. Nie przeszkadzało jej to jednak dokarmiać innych, szczególnie Józka. Kiedy Helena powiedziała jej kiedyś, że przecież nie ma potrzeby, że on odwiedza ją tylko tak, żeby porozmawiać, Adela odparowała:

– Ty, Hela, nie lotej, przez żołądek do serca mężczyzny, a mężczyznę trzeba dobrze karmić i już.

Helena się nie sprzeciwiała, sama chętnie zajadała się tymi specjami, a pościć jej się wcale nie uśmiechało. Jednak to nadskakiwanie Józkowi trochę ją męczyło. Wiedziała, jaki babcia ma do niego stosunek i jak zmieniło się jej własne podejście do tego dobrego i poczciwego chłopaka.

Feliksa niemal nie spotykała. Mijali się dzień w dzień. Helena przychodziła z pracy po szesnastej, a Feliks na ogół siedział w Kasie Chorych do samego wieczoru. Nie był też typem zabawowym – trudno go było spotkać w kawiarni Wielkopółka na Poznańskiej (niegdyś kawiarnia Wilhelma Brandta), a tym bardziej nie bywał u Gellerta. Szewczyński takich przybytków po prostu nie odwiedzał.

Helena łapała się na tym, że umyślnie stara się przeciągnąć godziny pracy bądź też aranżować czas tak, by około godziny przyjścia Feliksa koniecznie znaleźć się na podwórku. Spotykała go jednak rzadko, a nawet jeśli, był dla niej miły i grzeczny, ale trzymał ją na dystans.

Jedyną rozrywką było dla Heleny uczestnictwo w próbach chóru „Lutnia”, ale i na tym polu brakowało jej sukcesów i niezapomnianych wydarzeń. Owszem, nadal śpiewali piękne pieśni, ale od czasu, kiedy w 1927 roku wykonali wielki koncert podczas uroczystości Towarzystwa Uczestników Powstania Wielkopolskiego^[59], na który przybył sam generał Józef Haller, a pan Leon Szewczyński wygłosił płomienną przemowę o działaniach Błękitnej Armii, nie zaśpiewali już nic spektakularnego. Raz na jakiś czas byli zapraszani na lokalne dożynki, kilkakrotnie też zaśpiewali koncert kolęd w kościele u Jana, to wszystko.

Helena coraz częściej łapała się na tym, że czuje się zmęczona, a nawet znudzona. Na coś czekała, o czymś marzyła, a kiedy wreszcie zaczęło się to spełniać, okazało się, że to zupełnie nie dla niej, że nijak do tego nie pasuje. Czuła, że patrzyła na Józka wyłącznie oczami swoich koleżanek, a na pracę i życie – oczami babci. Sama siebie ganiła za takie zblazowanie. Czegóż

mogła chcieć więcej, skoro jako wnuczka prasowaczki osiągnęła już tak wiele? Miała dobrą pracę, przyzwoitego chłopca. Starczało im na chleb, a od czasu do czasu nawet na nowe sukienki.

Jednak wyjazd Ryfki, milczenie między nią a Feliksem oraz dziwne zachowanie babci przytłoczyły ją do tego stopnia, że łapała się czasem na myśleniu, iż zazdrości Leosi Trzasce życiowego tupetu. Sama też czasem chętnie tupnęłaby nogą i poszła w swoją stronę. Chciałaby wyjechać do dużego miasta, studiować, a może nawet zacząć gdzieś pisywać? Miała sporą wyobraźnię, nieraz tworzyła do szuflady krótkie opowiadania. Na ogół opisywała w nich a to wesoły żywot króliczka, a to przygody kurki czy kaczuszki. Nie na darmo ciocia Stefania siedziała z nią całymi wieczorami przy lekturach. Żyła nimi przez całe swoje dzieciństwo. I po co to wszystko? Żeby wypełniać księgi bilansowe skądinąd miłego pana Grolewskiego?

Tak sobie czasem myślała. A potem szybko wracała do swoich obowiązków.

* * *

Późnolistopadowe popołudnie w biurze mijało Helenie leniwie, wręcz sennie.

Już przed dwoma godzinami zakończyła wszystkie rachunki, ale właściciel prosił panny księgowe, by zapoznały się z najnowszym artykułem profesora Witolda Skalskiego o zasadach inwentaryzowania i bilansowania w przedsiębiorstwach handlowych^[60]. Do tego dorzucił jeszcze ustawę o tymczasowym stosowaniu wyjątkowych zasad bilansowania^[61], więc dziewczęta zostały w biurze po godzinach.

Helena bezmyślnie kartkowała strony periodyku i dziennika ustaw. Raz po raz wracała do początku, kiedy uprzytamniała sobie, że właściwie

niczego nie przyswaja. Litery zlewały się ze sobą przed jej oczami. Wyjrzała za okno wychodzące na szare podwórko. Z ulicy wpadało tu rozproszone światło latarni. Na parapecie okna przysiadły ponure gołębie z nastroszonymi piórami. Co rusz któryś ześlizgiwał się z parapetu i z początku Helena myślała, że ptakom coś dolega. Z perspektywy jej biurka, nieco oddalonego od okna, wyglądało to tak, jakby padały pokotem. Było to jednak tylko złudzenie, ponieważ po chwili wracały na parapet i z powrotem stroszyły pióra, chroniąc się przed siąpiącym deszczem. Taką miały pocieszną zabawę.

Helena zaśmiała się ni to do siebie, ni to do ptaków i spojrzała na swoje biurko. Omiotła wzrokiem solidną maszynę do pisania Olympia MOD 8, drewniane liczydło, oprawioną w skórę księgę bilansową z wygrawerowanym na okładce znakiem firmowym „Grolewski i S-ka, Export jaj i dziczyzny” i mnóstwo kartek.

Na dziś miała już dość. Naprędce posprzątała rozgardiasz, schowała wieczne pióro do szuflady, zabrała parasol, torebkę i podeszła do wieszaka.

– Idziesz już? – Wanda, której biurko sąsiadowało z biurkiem Heleny, nadal siedziała nad artykułem profesora Skalskiego. – Nie kończysz fascynującej lektury o bilansach handlowych?

Helena uśmiechnęła się do koleżanki, zakładając wełniane grube palto.

– Na dzisiaj wystarczy. Tobie też, Wandziu, radzę: fyrej[62] do domu!

– Łe tam, nie chce mi się. W domu trzech młodszych braci, rozgardiasz. Tutaj cicho przynajmniej i radio nawet u pana dyrektora stoi, to sobie czasem posłucham, jak ma drzwi uchylone. – Wanda poprawiła się na krześle i podparła podbródek na dłoni. – A ty co, widzisz się dziś z Józkiem?

– Nie, ma jakieś duże zlecenie w stolarni. Pójdę do cioci Stefanii, dawno z nią nie rozmawiałam.

– Ech, pamięta się jeszcze lekcje języka polskiego z panią Niemyjską. Ona jedna nigdy na uczniów nie krzyczała.

– Ciocia Stefania nie musi krzyczeć, bo ma charyzmę. Jej się słucha po prostu dla słuchania, a nie dlatego, że trzeba.

Wanda nie знаła słowa „charyzma”, ale domyśliła się z kontekstu, o co chodziło. Helena zawsze była dziwna, inna niż trzy pozostałe panny księgowe. Za dużo wiedziała, za dużo czytała, ale na szczęście była też nieco roztrzepana i to ratowało pozostałe dziewczęta przed blamażem w konfrontacji z panem Grolewskim. One przynajmniej mogły się wykazać ogromną skrupulatnością.

– Tak, tak, ale wiesz, ten twój Józek to naprawdę fest chłopak. A toś masz fifa[63] do chłopów.

Helena w pełnym rynsztunku podeszła do biurka Wandy i lekko oparła na nim rękę.

– Wandziu, ja nie mam żadnego talentu do chłopów, a to, że jestem z Józkiem, to po prostu moja decyzja, nie jakiś fart. – Uśmiechnęła się nieznacznie i pomachała ręką. – Bywaj zdrowa, do jutra!

Zamknęła za sobą drzwi biura i wyszła na ciemną, ciasną klatkę schodową, prowadzącą wprost na ulicę Wrocławską. Miasto o tej porze było jeszcze ożywione, ale skuleni od zimna i wilgoci pleszewianie przemykali szybko, żeby załatwić ostatnie wieczorne sprawunki. Dochodząc do rynku, usłyszała z kościoła Jana Chrzciciela odgłosy wieczornych rorat. Restauracja w hotelu Victoria świeciła pustkami. Nic dziwnego, w adwencie nikt się nie bawił. Pan Zarzycki jednak nie zasypiał gruszek w popiele i w pocie czoła przygotowywał się do balu sylwestrowego. Podobnie zresztą jak tata Ryfki, którego Helena spotkała po chwili przy bramie na Piłsudskiego, kiedy wypakowywał z wozu

drabiniastego skrzyńki z samogonem i chyba jakąś wędliną. Zapach wilgotnego miasta mieszał się z zapachem kaszanki i tłustej kiełbasy.

– Gut avent, Helena! – krzyknął Josif, jak zwykle uśmiechnięty, i zniknął w drzwiach karczmy.

Helenie przypomniało się, ile to razy obchodziła z Gellertami święto Chanuki, jak pyszne pączki przygotowuje Estera i jak melancholijnie wyglądają chanukowe świece, błyskające ognikami w oknie salonu rodziców Ryfki. Cieszyła się już na nieodległy przyjazd przyjaciółki, której miała mnóstwo do opowiedzenia.

Podwórko na Piłsudskiego było ciemne, ale dzięki temu, że Szewczyńscy częściowo je wybetonowali, można było przejść na szagę^[64] względnie suchą nogą.

Zapukała cicho do domu cioci Stefanii. Z głębi mieszkania usłyszała krótkie: „Proszę!”. Wiedziała, że nie musi pukać do cioci, mimo to zawsze wołała dać znać, że przychodzi. Niezręcznie jej było ot tak, po prostu wejść. Stefania siedziała jak zwykle w swoim dużym pluszowym fotelu, z książką na kolanach. Koło niej, na szafce nocnej, stała filiżanka z niedopitą herbatą. Helena zdążyła tylko dojrzeć duży tytuł *Mrs. Dalloway*. Ciocia czytała również w języku angielskim^[65].

– Helena! Dawno cię nie widziałam. – Stefania uśmiechnęła się na widok swojej podopiecznej i odłożyła książkę na bok.

Odkaszlęła kilkukrotnie i wskazała ręką kuchnię.

– Pójdę zaparzyć świeżą herbatę, napijesz się?

– Chętnie – odpowiedziała Kałużówna, zdejmując gruby płaszcz i kapelusz.

Po chwili zapach dobrej herbaty rozniósł się po całym mieszkaniu, a Helena rozsiadła się wygodnie na zwolnionym przez Stefanię zielonym fotelu. U cioci czuła się jak u siebie i chociaż dawno wyrosła z wieku

dziecięcego i żyła już swoim życiem, mieszkanie pod czwórką było jej drugim domem.

Niemyjska postawiła filiżanki na stole, który jak zwykle był zavalony papierami i magazynami, i usiadła. Do dziś pisywała okazjonalnie do „Głosu Wielkopolanek”, traktując tę pracę wyłącznie hobbystycznie. Nie miała ambicji reporterskich, bardziej pedagogiczno-dydaktyczne, które przydawały jej się w pracy nauczycielki. Kochała uczyć i lubiła patrzeć na sukcesy swoich uczniów, choćby najmniejsze.

Spojrzała na swoją wychowanekę, która wydawała jej się nieco zgaszona.

– Co u ciebie, Helenko? Dawnoś u mnie nie była.

– Nie mam czasu, ciociu, naprawdę. A jak mam, to wpada do mnie Józek albo idziemy na przechadzkę.

Stefania odniosła wrażenie, że w głosie Kałużówny pobrzmiewa nuta wyrzutu na własne życie. Nadto mówiła od niechcienia, jakby co innego zaprzętało jej myśli.

– Dobrze, nie ciągnę cię za język. Powiedz lepiej, co cię do mnie sprowadza.

Stefania mrugnęła okiem i naląła herbatę z dzbanka w kwiatki, który był jednym z nielicznych przedmiotów ocalałych po majątku rodziców.

Helena wstała z fotela, podeszła do okna, po czym wróciła i zapatrzyła się tępo w biblioteczkę zapchaną książkami i skryptami.

– Ciociu, powiedz mi szczerze, dlaczego tak naprawdę moja mama wyjechała.

Stefania odłożyła filiżankę i usiadła, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Zupełnie nie spodziewała się tego pytania, od lat nie podejmowały tematu Ireny.

– Mówiłam ci już wielokrotnie, pojechała za chlebem, żeby zarabiać.

– A nie miała chleba tutaj? Przecież babcia już wtedy zarabiała, była znaną prasowaczką. Matka na pewno uczyła się od niej fachu, prawda?

– Prawda.

Stefanii przeszło przez myśl, że dziewczyna zaczyna wyrzucać sobie, iż jest bękartem i to przez nią matka uciekła. Może ma teraz jakiś żal? Ale nie, na twarzy Helenki nie było gniewu. Malowały się na niej za to smutek i melancholia.

– To jaki był prawdziwy powód? Przecież nie ja, bo gdyby chodziło o mnie, uciekłaby wcześniej. – Helena jakby czytała w myślach Niemyjskiej.

Stefania wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie utrzymywała przesadnie zażyłych kontaktów z Ireną, ale z tego, co czasem opowiadała Adela i co sama mogła wywnioskować z nielicznych kartek okolicznościowych przesyłanych przez panią Jorgową, Irena znalazła szczęście w Reclinghausen.

– Helenko, jesteś już dorosła, myślę, że możesz napisać szczerze do swojej matki i ją o to zapytać.

Kałużówna usiadła z powrotem na fotelu. Przez chwilę nie mówiła, tylko patrzyła na obłoczek pary unoszący się znad filiżanki, coraz mniejszy i słabszy.

– Wiesz co, ciociu, ja chyba wiem, dlaczego mama pojechała. Ona po prostu nie miała wyjścia albo przynajmniej tak to czuła. – Sięgnęła po herbatę i wypła jednym duszkiem.

Stefania odruchowo sięgnęła po kartkę i rysik i z podbródkiem opartym na jednej ręce, drugą machinalnie rysowała kółka, kreski i kwiaty. Spoglądała a to na Helenę, a to na kartkę. Zastanawiała się, co powiedzieć.

– Owszem – przemówiła po chwili, ważąc słowa. – Dlatego nigdy jej nie potępiałam, mimo że wiem, co się w mieście mówiło o twojej matce.

Wstała i zaczęła przechadzać się po małym pokoiku. Wyglądała tak, jakby znalazła się w szkole i prowadziła lekcję.

– Zrobiła to twoim kosztem, ale czy to w życiu nie jest tak, że gdybyśmy mieli oglądać się wyłącznie na szczęście wszystkich dokoła, nie tylko unieszczęśliwimy samych siebie, ale na dodatek nie uszczęśliwimy tych, na których nam zależy?

– Babcia zawsze mówi, że nie żyjemy dla siebie, tylko dla innych, i zawsze tak to czułam. Albo chciałam czuć.

– Tak, ale nie możemy żyć dla wszystkich, bo jak żyjemy dla wszystkich, to nie żyjemy dla nikogo.

Stefania sięgnęła po filiżankę i, podobnie jak przed chwilą Helena, wychyliła ją do dna. Zakasłała, podeszła do dziewczyny, uklękła przy fotelu i ujęła jej dłoń.

– W gruncie rzeczy cieszę się, Helenko, że doszłaś do takich wniosków. Myślę, że zrozumienie pobudek twojej matki pozwoli ci zamknąć jeden rozdział w życiu i swobodnie otworzyć kolejny.

Helena drugą dłonią przykryła rękę Stefanii i spojrzała na jej twarz, lekko już zmęczoną, z kilkoma zmarszczkami i fikuśnymi okrągłymi okularami na wąskim nosie.

– Też tak myślę, ale żeby zacząć jakikolwiek rozdział, potrzeba odwagi, której chyba jeszcze nie mam...

Nie zdążyła dokończyć zdania, bo w tym momencie ktoś głośno zastukał do drzwi. Stefania zerwała się jak oparzona.

– A któż to może być o tej porze?

Szybkim krokiem udała się do drzwi, a za nią, wiedzona ciekawością, ruszyła Helena.

W drzwiach stał uśmiechnięty Eugeniusz Fridman. W jednej ręce trzymał bukiet z trzech blad różowych różyczek, drugą nonszalancko

opierał się o futrynę. Helena spojrzała na twarz opiekunki, która wyrażała szczere zdumienie.

– Dobry wieczór droгим paniom! – Fridman wyciągnął rękę z kwiatami w kierunku Stefanii i uchylił kapelusza. – Nie zajmę dużo czasu, mówiąc bez ogródek, przyszedłem szanownej sąsiadce zaproponować wspólne spędzenie świąt i sylwestrowej nocy.

Wciąż zaskoczona Niemyjska pochyliła się nieznacznie w kierunku Fridmana. Przyjście i propozycja Eugeniusza zbiły ją z pantafelów, jednak po przyjrzeniu mu się z bliska wywnioskowała, że jest absolutnie trzeźwy.

– Dobry wieczór, panie Eugeniuszu – zdołała tylko wypowiedzieć i przyjęła od niego bukiet.

Kwiatki były już lekko przywędłe, ale nadal wyglądały ślicznie. Niemyjska zastanawiała się, skąd wziął róże o tej porze roku. Na pewno słono go kosztowały.

– Wejdzie pan?

– Och, nie, bynajmniej, nie chcę zakłócać miru domowego. Dżentelmen nie nachodzi damy wieczorem w jej mieszkaniu!

– Dobry wieczór, panie Eugeniuszu – wtrąciła Helena. – A co pan dziś taki bogobojny? – Zaśmiała się w głos.

– O nie, droga panienko, do bogobojności mi daleko. Nadto, gdybym był bogobojny, to wiara, w której się wychowałem, ma inaczej ustawione święta.

Wszedł poza próg i trzymając w obu rękach rant kapelusza, obracał nim szybko. Helena pomyślała, że Fridman wygląda jak wycięty z żurnala. Stefania natomiast zupełnie nie wiedziała, co myśleć, i wciąż stała jak wryta z kwiatkami w dłoni. Taki stupor zdarzał jej się niezwykle rzadko. Była tak zaskoczona, że nawet nie zdążyła się pogniewać na Fridmana.

– Kicham na konwenanse, ale wywnioskowałem, że jest fantastyczny pretekst, by spędzić czas z piękną kobietą!

Uśmiechnął się do Niemyjskiej, a ta – na złość sobie – mocno się zarumieniła. Do licha ciężkiego, jak jakaś dzierlatka! Wolną rękę przyłożyła do płonącego policzka i westchnęła.

– Panie Eugeniuszu, to ogromnie miłe z pana strony, chociaż dość niekonwencjonalne. – Pąsy powoli zaczęły ustępować, a Niemyjska odzyskiwała trzeźwość myślenia. – Wszelako muszę odmówić, gdyż jestem w tym czasie umówiona z moim serdecznym przyjacielem, panem Millerem.

Rzadko zdarzało się Helenie zdenerwować na własną opiekunkę, ale tym razem stwierdziła, że Stefanii brak elementarnego taktu. Za grosz kobiecej mądrości! Po co mówić o takich rzeczach? Nie mogła zachować tego „serdecznego przyjaciela” dla siebie?!

Eugeniusz jednak nie tracił rezonu.

– Och, rozumiem, oczywiście. – Uśmiechnął się i spojrzał najpierw krótko na Helenę, później nieco dłużej na Stefanię, błyskając białymi zębami. – Moja propozycja jest w każdym razie aktualna, gdyby, nie daj Bóg, serdeczny przyjaciel zmienił zdanie bądź nastąpiły inne nieprzewidziane okoliczności.

Uklonił się, chwycił za kłamkę i po chwili do mieszkania wpadły chłód i wilgoć podwórka. Założył z powrotem kapelusz i na odchodnym jeszcze raz odwrócił się do Stefanii. Na jego ustach błąkał się szelmowski uśmiech.

– I proszę się nie przejmować, że wydałem majątek na kwiaty. Jakiś wystawiony do wiatru absztyfikant zostawił je wieczorem w hotelu, więc grzechem byłoby nie skorzystać.

Zatrzasnął za sobą drzwi, a po chwili skonsternowane panie usłyszały jeszcze:

– Ale dane były szczerze i od serca!

* * *

Gdynia, 3 grudnia 1932 roku

Droga Matko i Kochana Siostrzenico!

Kajam się okrutnie, że dawno żadnego słowa do Was nie napisał, a i sam ciekaw jestem, co u Was słyszeć, jak życie w Pleszewie, a przede wszystkim – jak praca u pana Jerzego. Czy odpowiada Helenie?

Muszę przyznać, że byłem oczarowany osobą pana Jerzego, gdy widział się z nim latem na Śląsku. Takich umysłów Polska potrzebuje – świątłych, przedsiębiorczych i przede wszystkim niebojących się podjąć ryzyka.

Bo wiadomo Wam pewnie, że światowy kryzys sromotnie przygniótł naszą polską gospodarkę, a przecie to młode państwo i taki od razu cios je spotyka. Nic to, bo jakoś dajemy sobie radę, a jak wiadomo, Polak przetrwa najgorsze czasy i zawsze znajdzie wyjście z sytuacji, toteż te czasy kryzysowe też przetrwamy. Oby tylko nie było gorzej i żadnych wojen nijakich, bo ja już sam wiem, co to znaczy być na wojnie, i nie życzę tego nikomu, oj, nie życzę.

Tymczasem spieszę donieść, że u nas wszystko w najlepszym porządku. Marysia i Henio zdrowi, Sara również, zasyłam ich najnowszą fotografię. Ja wiem, że dla rodzica jego dzieci są najpiękniejsze na świecie, ale przypatrzcie się moim pociechom, to są najpiękniejsze dzieci na świecie, czyż nie? Marysia wygląda jak własna matka w miniaturce, a Henio, cóż, Henio jest jeszcze malutki, ale cała rodzina Sary, którą to mamy u boku tutaj, w Gdyni,

i która bardzo nam pomaga przy dzieciach i prowadzeniu domu, mówi, że Henio to wykapany ojciec. Ja jeszcze nie jestem taki łyśy, ale oczy, owszem, ma Henio Kałużów, co niezmiennie napawa mnie dumą. A jaki mądry jest, wszystko rozumie, co się do niego mówi!

Co nas jedynie martwi, to fakt, że zewsząd słyszymy, jakoby coraz częściej rozróby jakieś na tle antysemickim się działy. U nas, w naszej Gdyni, cisza jest, ale też wiecie, że Gdynia to specyficzny tygiel i ludzie tu przyjechali mieszkać nie po to, żeby rozróby jakie wyczyniać, ale po to, by ciężko pracować.

Bo to i o jakowychś gettach ławkowych na uczelniach u nas głośno, a Sara mówi, że tam, w jej rodzinnym mieście, organizacje narodowe działają pełną parą i prowadzić Żydowi jakiegokolwiek biznesu niepodobna, wszystko utrudnią. Doszły do nas również słuchy, że jakieś duże zamieszki we Lwowie się odbywały pomiędzy młodzieżą endecką a żydowskimi studentami, a nienawiść rozlewa się na inne miasta akademickie. Boże, uchron od tego nasz Poznań, ale przecie Poznań na nijakiej bezludnej wyspie położony i tam też pewnie dotrą te animozje. No powiedzcie, proszę, co to za pomysł, by w tym naszym polskim domu, o któryśmy walczyli tyle dziesiątek lat, teraz własne dzieci przeciwko sobie występowały?

Bardzo mnie to frapuje, a moją Sarę kochaną jeszcze bardziej, wszak ona wyznania mojżeszowego. Mówiąc o wyznaniu, chciałem tylko powiedzieć, że w tym roku święta spędzimy w Gdyni. Sara urządzi kolację chanukową, a co do Bożego Narodzenia, tośmy zakupili książkę kucharską Marii Disslowej^[66] i już moja Sara postara się, by zupa z głów rybich i groch z kapustą ugotowane były, jak trzeba, po bożemu!

Co do mojej pracy, w którą zaangażowany jestem całym sercem, nie mogę narzekać. Prace postępują, chociaż na każdym kroku napotykamy problemy. Na szczęście kwestię niedoboru stali już rozwiązaliśmy, ale teraz znów z finansowaniem budowy problem jest ogromny, bo też i bank francuski^[67], który w naszym konsorcjum jest, nie przelał kolejnej transzy pożyczki, a to z powodu niekorzystnego stanu pieniężnego we Francji. Toteż oszczędności szukamy na każdym kroku, od najbliższych, jak kolor wiaduktów, aż po te poważne, jak rodzaj surówki wykorzystywanej do wytopu stali na torowiska oraz rodzaj podkładów kolejowych.

Ale co ja Wam będę opowiadać o pracy, to są zawsze nudne sprawy. Skupię się zatem na czymś bardziej interesującym. Otóż chciałbym przekazać mojej kochanej siostrzenicy, że oboje zapraszamy ją serdecznie na wywczas, na lato, do naszej pięknej Gdyni. Mamy nadzieję, że przyjedzie do nas z panią Stefanią, a i Ryfce Gellert może uda się również dojechać, jeśli obowiązki uniwersyteckie na to pozwolą. Ciebie, kochana Mamo, oczywiście też zapraszamy, nasze piękne mieszkanie przy Świętojańskiej pomieści sporo osób.

Jeszcze raz kłaniam się Wam i całujemy Was oboje mocno, a życzenia bożonarodzeniowe i opłatek od nas przyjdą w osobnej karcie pocztowej.

Syn i Wuj

Roman

* * *

Pociąg z piskiem zatrzymał się na stacji Poznań Główny. Większość pasażerów, w tym Feliks, udała się do wyjścia, żeby po chwili wlać się jednym tłumem do tunelu i wyjść na górę, do głównego budynku.

Szewczyński rozejrzył się dookoła. Lubił ten szklany hol tunelowy i budynek z podcieniami, zawsze rzęsiście oświetlony lampami elektrycznymi. Lubił gwar, uczucie podniecenia, bieganinę w jedną i drugą stronę, zapach pociągów, widok eleganckich maszynistów w liberii i wydobywające się z lokomotyw kłęby białej pary. Dworzec kojarzył mu się z podróżą, a podróż – z obietnicą czegoś dobrego, co miało nastąpić u jej kresu.

Skórzany neseser, dziś wyjątkowo wypełniony nie narzędziami lekarskimi, lecz rzeczami osobistymi: piżamą, proszkiem do zębów i koszulami na zmianę, już nieco mu ciążył. Przerzucił go do drugiej ręki i żwawym krokiem pomaszerował wzdłuż ulicy Dworcowej.

Do siedziby Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, mieszczącego się przy ulicy Mielżyńskiego, miał niespełna półtora kilometra. Postanowił dojść tam pieszo, tym bardziej że był sporo przed czasem i musiał jeszcze zostawić po drodze swoje rzeczy w hotelu Britania^[68].

W Poznaniu nie był od czasu otrzymania dyplomu uprawniającego go do wykonywania zawodu lekarza. Z przyjemnością wrócił na stare śmieci, gdzie jeszcze niedawno w studenckiej czapce biegał a to do siedziby Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w której mieściła się biblioteka, a to na wykłady do Collegium Medicum. Na Jeźycach rodzice wynajmowali dla niego nieduży pokój od spolszczonej bogatej mieszczańskiej rodziny państwa Schmidtów. Jaki był wówczas naiwny i pełen nadziei! Ileż miał planów jako lekarz in spe! Teraz z kolei był dumny, że profesor Lubieniecki osobiście zatelefonował, żeby zaprosić go

na spotkanie bożonarodzeniowe Izby Lekarskiej, które odbywało się rokrocznie w siedzibie PTPN.

Przemierzając miasto, starał się odgonić natrętne myśli o tym, ile przeciwności napotkał podczas półrocznej pracy w pleszewskiej Kasie Chorych. Z zaciekawieniem rozglądał się wokół. Akurat mijał park imienia Karola Marcinkowskiego. O tej porze roku nie było tu czego podziwiać, chociaż w całości obrazek wydawał się nawet interesujący – łyse drzewa wyciągały konary ku szaroburemu niebu, a nad nimi tłoczyły się grupki wygłodniałych gawronów i stada wróbli. Feliks pomyślał, że ten krajobraz przypomina mu japońską rycinę, którą widział kiedyś, gdy gościł na kolacji w willi profesora.

Cieszył się na spotkanie z Lubienieckim i miał nadzieję na głębszą rozmowę w sprawie planów zawodowych. Nie wyobrażał sobie co prawda, że zostawi swoich pacjentów. Wielu z nich przychodziło do niego czasem wyłącznie po to, żeby poutyskiwać na powszechne dolegliwości i na swój ciężki los. Wielu jednak pomógł, i to w poważnych schorzeniach. Jednak przede wszystkim wielu pleszewiakom, głównie tym z niższych warstw społecznych, jawił się niemal jak zbawiciel, który potrafi wskrzesić zmarłych. Ci ludzie, szczególnie mieszkańcy czworaków u bogatych niemieckich właścicieli ziemskich, w życiu na oczy nie widzieli lekarza. Rudke miał rację co do jednego – dług zdrowotny i zacofanie w kwestii medycyny były ogromne. Trzeba było niejednego takiego jak on, by to wszystko wyprostować.

„Od czegoś jednak należy zacząć, a najłatwiej od siebie”, pomyślał Feliks, wchodząc sprężystym krokiem do niedużego holu hotelu Britania. W małym, ciemnym pokoju, na szczęście wystarczająco ciepłym, naprędce się umył i zmienił koszulę. Zrezygnował z poszetki, a zamiast niej założył elegancką jedwabną muszkę, którą niedawno sprezentowała mu matka.

Przyczesał włosy z odrobiną brylantyny, narzucił płaszcz i wybiegł szybko w kierunku ulicy Mielżyńskiego.

Niebawem, był w pokoju zaledwie kilkadziesiąt minut, a tymczasem niebo całkowicie pociemniało. Gdzieniedzie, na rzęście oświetlonych witrynach sklepowych, widział kolorowe wystawy świąteczne, na których prym wiedli kolędnicy i kolorowa choinka. Całe szczęście, że tradycja ozdabiania przed Bożym Narodzeniem przyjęła się w Polsce, w przeciwnym razie miasta o tej porze roku byłyby smutne i szare, pomyślał Feliks. Jednocześnie, nie wiedzieć skąd, przed oczami stanęły mu szczupła dziewczęca twarz, szaroniebieskie oczy i niedbale zawiązane jasnopopielate włosy. Przez chwilę rozmarzył się o Helenie, jednak już za moment złośliwa pamięć podsunęła mu inną twarz, męską, z ostrym podbródkiem i białymi zębami rozchyłonymi w szczerym uśmiechu. „Do licha ciężkiego!”, zaklął pod nosem i wszedł do imponującej bramy prowadzącej do siedziby PTPN.

Sala posiedzeń Wydziału Lekarskiego była już wypełniona po brzegi. Kuliste żyrandole rozświetlały pomieszczenie pełne lekarzy i profesorów różnej maści. Na brzegach sali ustawiono stoliki przykryte śnieżnobiałymi obrusami, na których pyszniły się patery ze śledziami wszelkiego rodzaju i inne smakołyki, których z dala rozpoznać było niepodobna, oraz kieliszki z szampanem. Feliks rzucił okiem na koniec sali, gdzie w części wykuszowej znajdowały się duże witraże przedstawiające sceny z życia znanych polskich medyków oraz medaliony z podobiznami Karola Marcinkowskiego i Jędrzeja Śniadeckiego. Te postaci ze świata poznańskiej nauki wniosły tak wiele do życia tego miasta.

– Kogo ja widzę, nasz doktor Judym z Pleszewa!

Gruby, łysy jegomość stojący obok profesora Lubienieckiego i jeszcze jakiegoś pana z niedużym wąsem, którego Feliks skądś kojarzył, rozłożył

ręce w jowialnym geście powitania. Wyglądał, jakby miał za sobą już kilka kieliszków szampana, a może i czegoś mocniejszego.

– Och, nie przesadzajmy, panie kolego, jaki doktor Judym! To nasza uniwersytecka gwiazda, a osobiście mój ulubiony student.

Profesor Lubieniecki, znacznie szczuplejszy od swojego rozmówcy i lekko przygarbiony, trzymał kieliszek szampana w ręce. Drugą wyciągnął do swojego wychowanka z ojcowską serdecznością i dumą zarazem. Feliks zbliżył się do grupki i przywitał z każdym z nich mocnym, serdecznym uściskiem dłoni.

– Pozwól, Feliksie, że przedstawię ci profesora Alfreda Laskiewicza^[69], wybitnego otolaryngologa, oraz profesora Ignacego Hoffmana^[70], naszego nowego dziekana, a z zawodu świetnego patologa.

Profesor Laskiewicz, który wydawał się Feliksowi znacznie sympatyczniejszy, zagaił:

– Pan, zdaje się, był wielką nadzieją Katedry Chorób Wewnętrznych.

– Z tą nadzieją to gruba przesada, panie profesorze, ale przyznaję, że czułem się znakomicie podczas studiowania u profesora Lubienieckiego.

Feliks stwierdził, że po tak miłym powitaniu może pozwolić sobie na łyk szampana. Nie spuszczać rozmówców z oczu, sięgnął po kieliszek. Musujący alkohol smakował wyśmienicie.

– To czemuż pan wróciłeś do tego Pleszewa, żeby za marny grosz siedzieć w Kasie Chorych? – Profesor Hoffman znany był z bezpośredniości.

Wszyscy przymykali na to oko, bo był świetnym patologiem i człowiekiem niezmiennie oddanym rozwojowi Wydziału Lekarskiego.

– Ponieważ jestem tam potrzebny – odpowiedział krótko Feliks.

Kątem oka spojrzał na swojego mentora. Ten życzliwie przysłuchiwał się rozmowie, kręcąc kieliszkiem w dłoni.

– Komunały, panie kolego, komunały. Może pan powiedzieć to samo o potrzebach w każdej dziedzinie! A bo to tutaj nie potrzebujemy specjalistów? Wie pan, jak trudno o dobrą kadrę profesorską? Przecież my nie bierzemy się znikąd, potrzeba lat, by wykształcić profesora, a przecie nasz uniwersytet młody, większość kadry z zachodu, Berlina czy też z Breslau przyjechała! – gorączkował się Hoffman.

– Pan, panie profesorze, to akurat z Kijowa, a ja ze Lwowa, a to może jest zachód, ale dla Moskwy chyba – zarechotał Laskiewicz, szczerze ubawiony tym, co powiedział.

– Tylko patogeneza, panie kolego, patogeneza to jest przyszłość medycyny! – Hoffman ciągnął swój wywód, nie zważając na żart Laskiewicza.

Dla animuszu odstawił kieliszek i zaczął wymachiwać rękami, aż w pewnym momencie niemal strącił sobolowe futerko z ramion damy, która stała w grupce za profesorem.

– Dlaczego niby tylko patogeneza? – milczący dotąd profesor Lubieniecki odezwał się cicho.

Właśnie takim zapamiętał go Feliks z wykładów – profesor nigdy nie mówił głośno, a mimo to wszyscy słuchali go z zapartym tchem.

– Pan jako świeżo upieczony absolwent Wydziału Lekarskiego doskonale zna grecki źródłosłów. – Profesor Hoffman splótł ręce na okazałym brzuchu opiętym atłasową marynarką. – Otóż *pathos* to cierpienie, natomiast *genesis* – pochodzenie. O ileż łatwiej będzie zajmować się leczeniem ludzi, gdy poznamy mechanizmy powstawania wszelakich chorób. A wyzwania mamy przed sobą ogrom!

– Zgadzam się z panem absolutnie. – Szewczyński pomyślał, że brak zgody byłby nietaktem, wszak stał w gronie uznanych profesorów, a sam był lekarskim żółtodziobem. – Jednakowoż musimy o medycynie pomyśleć

w sposób całościowy. Na szczeblu lokalnym jest to istny dramat, a nie podźwigniemy się z jarzma zaborów, teraz zaś też kryzysu, jeśli ludzie będą chorować, i to na takie choroby, na które dzisiejsza medycyna zna już przecież leki.

– Ale na wiele nie zna i jeszcze wiele lat nie pozna! – Hoffman obstawał przy swoim, ale wyglądało na to, że odechciało mu się gestykulować, bo z powrotem sięgnął po kieliszek i wychylił go duszkiem. – Mówię panu, wracaj pan na uczelnię, pod skrzydłami naszego kochanego profesora Lubienieckiego dokonasz pan wielkich rzeczy!

– Chyba istotne jest jednak to, co pan Feliks w ogóle chciałby robić, jeśli chodzi o medycynę, prawda? – wtrącił się Laskiewicz.

W jego głosie był ten rodzaj stanowczości i spokoju, jakie charakteryzują ludzi absolutnie pewnych siebie, a zarazem skromnych, ponieważ nie potrzebują już nikomu niczego udowadniać.

– Proszę mi wierzyć, Feliks robi w Pleszewie świetną robotę. Słyszałem od moich szanownych kolegów z kaliskiej Kasy Chorych, że ma imponujące wyniki. – Lubieniecki stanął w obronie wychowanka, mimo że sam wielokrotnie namawiał go do powrotu na uczelnię.

– Panowie, ja oczywiście nie przekreślam swoich planów związanych z pracą naukową, wręcz przeciwnie. Niemniej działamy wciąż w kryzysie, kasy się łączą, na wszystko brakuje pieniędzy... Po prostu poczułem, że muszę tam zostać.

– Chwali się to, panie kolego, naprawdę. – Profesor Laskiewicz poklepał Szewczyńskiego po ramieniu. – Nadto pewna myśl mi przyszła do głowy. Otóż mówił mi mój serdeczny kolega, świetny kaliski lekarz, pan Krzymuski, że jakoweś plany są, by wykupić część ziem od Lasów Państwowych pod Kaliszem i tam postawić lecznicę oraz sanatorium dla suchotników. Jestem przekonany, że lecznica zajmie się również

działalnością naukową, a to niedaleko od pana, panie Feliksie. Może tam mógłby pan znaleźć swoje miejsce?

Feliksa zamurowało. Wiedział doskonale, jak wygląda sytuacja w medycynie. Od pomysłu do realizacji mijają lata, ale perspektywa pracy w Kaliszu, zaledwie dwadzieścia parę kilometrów od Pleszewa, była dla niego wielce obiecująca. Mógłby robić jedno i drugie, dzieląc czas między Kalisz a Pleszew. Przed oczami stanęły mu twarz Heleny i jej rozwiane włosy, które odgarniała pięknym gestem, jakby odsuwała upartego motyla.

– Ja również słyszałem o tych planach^[71], ale nie wiedziałem, że prace są tak dalece zaawansowane – mówiąc to, profesor Lubieniecki uśmiechnął się do Feliksa i Laskiewicza.

– Panowie, na mnie już czas, pora wygłosić bożonarodzeniową przemowę. – Hoffman poklepał się po brzuchu, odstawił kieliszek i spojrzał na Feliksa. – Wiesz, złociutki, zawsze możesz jeszcze zrobić specjalizację z ginekologii. Bo wiesz pan, kto to jest ginekolog?

– Kto? – Szewczyński domyślił się, że odpowiedź Hoffmana nie będzie oczywista.

– Uważaj pan, ginekolog to taki człowiek, który szuka problemów tam, gdzie inni widzą same przyjemności, he, he, he! – zarechotał, aż zatrzęsł mu się brzuch, po czym ruszył w kierunku podwyższenia znajdującego się w witrażowym wykuszu.

Pozostali przez chwilę śledzili ciężkie kroki profesora. Wszyscy wyglądali, jakby trawili nie do końca smaczny żart. Ciszę przerwał profesor Lubieniecki.

– A poza wszystkim jesteśmy tylko ludźmi, Feliksie i drogi Alfredzie, i kierujemy się nie tylko pobudkami związanymi z medycyną. – Stanął naprzeciwko swojego wychowanka i ponownie się uśmiechnął. – Kto wie,

co trzyma naszego Feliksa w Pleszewie. Może nie tylko względy zawodowe?

* * *

Helena cieszyła się, że wyjeżdżają na Boże Narodzenie do Poznania. Dwa lata nie widziała się ze swoją kuzynką Czesią Zielińską, która wraz z rodzicami i siostrą Rózią nadal mieszkała w domku na Górnej Wildzie^[72], a Czesia, jak również i Rózia, choć ta druga w mniejszym stopniu, od lat były Kałużównie bardzo bliskie.

Nadto Ryfka, po kilku dniach spędzonych w rodzinnym domu podczas Chanuki, na same święta chrześcijańskie wróciła do Poznania. Obie z Heleną miały poczucie, że nie nazwierały się sobie dostatecznie i na odjezdnym Gellertówna zaproponowała, że skoro przyjaciółka będzie bawić w stolicy Wielkopolski ponad tydzień, koniecznie muszą się spotkać w jednej z poznańskich kawiarni.

Toteż perspektywa ponownego widzenia się z Gellertówną – i to w kawiarni! – a do tego rozmów z Czesią wprowadziła Kałużównę w stan lekkiej ekscytacji. Nawet Adela patrzyła na wnuczkę podejrzliwie. Przecież jeszcze do niedawna chodziła zasepiona i małomówna, a tu proszę bardzo, nawet z powrotem zaczęła śpiewać, kręcąc się po domu!

– Co ty, Hela, już nie stroisz muk^[73], ino kielczysz się jak do syra^[74]? – zagadnęła, gdy obie wekowały mięso w małych słoiczkach.

Przetwory miały pojechać z nimi do Zielińskich. Adela cieszyła się, że Josif odstąpił jej dwa kilogramy wspaniałej wieprzowiny, a do tego kilogram boczku. Będzie z kilkanaście słoików i starczy aż do Wielkiejnocy!

– Teyerer Adela, my i tak khazer^[75] nie jemy, ja tyle do karczmy nie potrzebuję, to co się ma zmarnować, jak dobrzy ludzie mogą się posilić! –

krygował się Gellert, gdy Adela w podzięcie próbowała namówić go na wysprzątanie i przedświąteczne pranie, żeby jakkolwiek się odwdzińczyć. Gellert co prawda wziął zapłatę za mięso, ale była ona tak symboliczna, że Adela poczuwała się w obowiązku zaoferować cokolwiek w zamian.

– U nas Hana jest od sprzątania, a ty, teyerer sąsiadko, skup się na modlitwach świątecznych – skwitował i zrobił gest, jakby więcej nie chciał o tym słyszeć.

Adela nie oponowała. Część weków pojedzie do Zielińskich, a i one same muszą coś jeść. Józek także od czasu do czasu wpadał w porze kolacji, a przecież nie będzie podejmować go chlebem i zsiadłym mlekiem!

– A Józus to gdzie na święta się wybiera? – zapytała niby od niechcienia, upychając do słoja kolejną porcję natartego czosnkiem i majerankiem mięsa.

Beztroski uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Heleny.

– A gdzie ma być? W domu z czterema braćmi, matką i ojcem – niemal odburknęła.

Helena była u Józka tylko raz. Biadałowie mieli spore mieszkanie w czynszowej kamienicy przy ulicy Wodnej, która niedaleko cmentarza odchodziła od Kaliskiej. Z Piłsudskiego było to zaledwie dziesięć minut piechotą, ale nie będzie przecież chodziła do chłopca do domu, nie mówiąc już o tym, że ostatnio miała coraz mniejszą ochotę na spotkania. Zresztą Józek i tak pojawiał się u nich na Piłsudskiego nader często, ku uciechu Adeli i coraz większej irytacji Heleny.

Denerwowała się wyłącznie na siebie. Przecież Józek w niczym nie zawinił. Nadal był tym samym wesołym, gadatliwym kawalerem, który starłby każdy pyłek leżący na jej drodze. O co więc jej chodziło?

Z Feliksem niemal się nie widywała. Zobaczyła go ostatnio tylko raz, kiedy spieszył się na pociąg. Próbowwała, jak niegdyś, porozmawiać z nim

o wszystkim i o niczym, ale miała poczucie, że oboje już nie potrafią tak zwyczajnie zamienić słowa. Wyrósł między nimi niewidzialny mur i żadne nie umiało – lub też nie chciało – go zburzyć. Z pozoru Feliks był dla niej miły, ale brakowało dawnej serdeczności i bliskości, która połączyła ich przed laty.

Cóż, widocznie Feliks stwierdził, że Helena nie jest dla niego najlepszym kompanem. Trudno mu się dziwić, dziedzic kamienicy i lekarz, a ona jest wszak tylko wnuczką prasowaczki – co z tego, że z małą maturą i pracującą u pana Grolewskiego?

Kałużówna zauważyła też, że w ostatnim czasie Feliks zaczął się dość znacząco zmieniać fizycznie. Dotychczas nigdy nie zwracała na niego uwagi – ot, jej serdeczny przyjaciel od wczesnego dzieciństwa. Kiedyś chuderlawy blondynek w marynarskim stroju, potem uczeń w sztubackiej czapce. Teraz miała wrażenie, że rysy twarzy znacznie mu się wyostrzyły, zaczął czesać się bardziej po męsku i zmienił się nawet jego chód – stał się bardziej pewny i szybki. Widok Feliksa dziarsko przemierzającego krótki odcinek między bramą a drzwiami mieszkania wywoływał u niej przypływ ciepła w okolicy brzucha. Jakby widziała kogoś zupełnie innego niż jej przyjaciel Feluś. Było to przyjemne, a jednocześnie okropne uczucie. Jednak nic nie mogła z tym zrobić. Mogła tylko czasem na niego popatrzeć.

Och, chyba oszalała, dość już rozmyślań o Feliksie! Józek też wyglądał całkiem nieźle. Cóż z tego, że nie był lekarzem, skoro miał fach w rękę i potrafił wyheblować w drewnie cuda? Musi zapomnieć o emocjach, które budzi w niej Feliks. Zapomnieć, bo nic z tego dobrego nie wyjdzie.

Z miłosnych rozterek wyrwał ją głos babci:

– Nie wciskej tyle, bo wylezie i zgnije – pouczała Adela. – Trzeba krzynkę zostawić, co by powietrza trochę do weka miało, a jo to mam taki

jeszcze sposób, że listek wawrzynowy na górę położę, zanim zamknę. I taki fest jest zapach chabasu, że tej!

Adela przeniosła kolejną porcję słoików na okno i wystawiła je na zewnątrz, gdzie prowizoryczna drabinka sklecona jeszcze przez jej świętej pamięci męża Zdzicha od lat służyła za chłodziarkę. Po chwili namysłu odłożyła dwa słoiki na bok.

– To bydzie dla Józka. Jak wrócimy z Poznania i przyjdzie do nos, to se poje.

* * *

Strucla makowa pachniała oszalamiająco, choć Stefania nie była zadowolona z jej wyglądu. Miała wrażenie, że wypiek wygląda jak flak. Niemyjska spędziła na pieczeniu cały dzień. Doglądała zaczynu, zawzięcie kręciła mak w żeliwnej maszynie, moczyła rodzynki. Ten rarytas rzadko można było dostać, ale pan Szewczyński dzięki swoim rozlicznym koneksjom nie takie rzeczy sprowadzał do sklepu kolonialnego, toteż sąsiedzi mogli się zaopatrzyć w najróżniejsze produkty delikatesowe, w tym słodkie rodzynki, a nawet banany!

Gotowanie nigdy nie było domeną Stefanii, na ogół jadła byle co. Czasem stołowała się w Wielkopolance, a nawet w karczmie Gellertów. Niekiedy Adela zapraszała ją na obiad, prosili ją także Szewczyńscy, chociaż u tych ostatnich od dawna nie była z wizytą.

Sama od wielkiego święta przygotowała rosół, a i tak miała wrażenie, że nigdy nie wyszedł jej taki, jaki pamiętała z rodzinnego domu. Nad tamtym rosołem czuwali wprawdzie ochmistrzyni i kucharz, a ona była jedna, miała małą kuchnię, a na dodatek nikt nigdy porządnie nie uczył jej gotować. Nawet w Szkole Ludwiki, która kształciła panny z bogatych domów, do sztuki kulinarnej nie przykładano dużej wagi. Znacznie więcej

czasu poświęcano literaturze, rachunkom i językom obcym, a językowi francuskiemu w szczególności.

Stefania popatrzyła krytycznie na flakowatą struclę.

– Mam nadzieję, że przynajmniej smakować będzie przyzwoicie – mruknęła pod nosem.

Rzuciła byle jak lnianą ścierkę, przez którą wyjmowała ciasto z piecyka. Ta wylądowała na krześle tuż przy angiелce. Niemyjska rozejrzała się po kuchni, która wyglądała tak, jakby pani domu szykowała dziesięciodaniową kolację dla dwudziestu osób, a nie piekła mały makowiec dla siebie i Aleksandra.

„Liczą się chęci”, pomyślała i przeszła do sypialni, żeby wybrać odświętną sukienkę.

Często spędzała wigilie wspólnie z Aleksandrem. Po śmierci jego rodziców, kiedy oboje stwierdzili, że w gruncie rzeczy są na tym świecie sami jak palec, polubili swoje towarzystwo podczas rodzinnych świąt. Nie musieli przed sobą niczego udowadniać, nie zaprzęтали sobie głowy tym, czy wszystko jest zgodnie z tradycją, czy na stole stoi dwanaście potraw i czy zmówili modlitwę przed wieczerzą. Jedli to, co przygotowała kucharka Aleksandra, pocziwa pani Zosia, pili dużo szampana, a potem siedzieli w wielkich skórzanych fotelach i rozmawiali, czytali książki lub słuchali muzyki z trzeszczącego gramofonu.

W tym roku Stefania postanowiła jednak się wykazać i przynieść samodzielnie przygotowaną potrawę, stąd pomysł na struclę.

– Mogłam przecież poradzić się Adeli, ona by mi powiedziała, jak zrobić dobre ciasto drożdżowe – utyskiwała, wyrzucając z szafy kolejną sukienkę, która jej zdaniem nie nadawała się na wigilijny wieczór.

Grudniowy chłód przenikał do mieszkań nawet w tak solidnej kamienicy jak ta na Piłsudskiego 10. Zimno było szczególnie dotkliwe w jej

sypialni, w której stała tylko część pieca kaflowego. Niemal w całości stał on w saloniku, a Stefania na ogół zapominała, żeby utrzymać w nim porządną ogień. Teraz, wychodząc z rozgrzanej od pieczenia kuchni, poczuła, że marznie.

Nagle złapał ją ostry kaszel i przez chwilę nie mogła zaczerpnąć tchu. Szybko wróciła do kuchni, nabrała wody z wiaderka i upiła łyk prosto z chochli, po czym wróciła do sypialni. Kaszel się uspokoił. Po chwili namysłu wybrała długą, czarną satynową sukienkę, lekko udrapowaną w okolicy biustu. Wiedziała, że Aleksander kompletnie nie zwraca uwagi na jej wdzięki, a ona sama tego nie oczekiwała. Niemniej przyjemnie jej było pomyśleć, że ładnie wygląda.

Pospiesznie ułożyła włosy, ubolewając, że nie zafundowała sobie rozjaśniania pierwszej siwizny. Wszystkie jej koleżanki farbują teraz włosy na platynowy blond. Gdyby i ona tak zrobiła, wyglądałaby wprost jak Greta Garbo! Zaśmiała się w duchu i założyła niezwykle niewygodne, ale za to urocze pantofelki na niedużym obcasie. Pospiesznie zawinęła struclę w ściereczkę porzuconą na krześle przy angielskiej i wybiegła z mieszkania, zapominając wyłączyć światła.

Do Aleksandra miała dobrych dwadzieścia pięć minut szybkim marszem, ale jak tu szybko maszerować w cisnących czółenkach i ze struclą pod pachą? Rzuciła okiem na zegarek. Niedobrze, było już grubo po osiemnastej, a umówiła się z Aleksandrem na dziewiętnastą. Wiedziała, jak bardzo skrupulatny i punktualny jest jej przyjaciel.

Grudniowa noc nie była mroźna, ale wszechobecna wilgoć potęgowała uczucie zimna. Stefania zbiegła po wytartych drewnianych schodach na tyle szybko, na ile pozwalały jej czółenka, i żwawym krokiem ruszyła w kierunku bramy. Musiała przeciąć na skos całe podwórko, spowite ciemnością. Jasno było tylko w podcieniu między klatką schodową

a drzwiami mieszkania Szewczyńskich. Skupiona na tym, by strucla nie wyslizgnęła się z lnianej ścierki, nie patrzyła pod nogi. Kiedy znalazła się na końcu wybetonowanej części podwórka, nie mogła zauważyć, że część podłoża mocno się ukruszyła. Wdepnęła prosto w wyrwę.

– Aaaaaauuuuu!!! – usłyszała własny krzyk, zanim ból zamroczył ją tak, że niemal zemdląca.

Strucla, którą wypuściła z rąk, zrobiła spektakularne salto i upadła na klepisko, kończąc lot w samym środku niedużej kałuży. Po chwili Stefania odzyskała jasność myślenia, a wraz z nią przyszedł ogromny ból kostki. Siedziała niemal okrakiem na betonie, a kostka była nienaturalnie wywinięta i wciśnięta w wyrwę. Próbowwała się podnieść, ale był to daremny trud – próba wstania na nogi kończyła się takim bólem, jakby ktoś wbijał jej tuzin noży od kolana w dół w lewej nodze.

– Boże Święty, co ja teraz zrobię? – Rozejrzała się dokoła.

Okna u Białasów były rozświetlone. Z drugiej strony, na piętrze, u Kałużów i Gellertów było ciemno. Wiedziała, że Gellertowie są w domu, ale prawdopodobnie przebywali w drugiej części mieszkania, której okna wychodziły na ulicę. Poza tym nie będzie przecież krzyczeć na całe podwórko, wołając o pomoc. Wszak były święta, ludzie mają lepsze zajęcia, niż przenosić ją, Stefanię Niemyjską, gdzieś, gdzie mogłaby wyprostować nogę i najprawdopodobniej ją usztywnić.

Powoli, na tyle, na ile starczało jej sił i na ile pozwalał ból, przeniosła się na kolana i podparła z przodu rękami. Jeszcze raz spojrzała na struclę, ale po szybkiej ocenie sytuacji stwierdziła, że nie da rady jej wziąć, nie teraz. Musiałaby ją chyba nieść na plecach.

Ból był nie do zniesienia, ale jeszcze gorszy był upokarzający fakt, że w swoim mniemaniu wyglądała groteskowo. Nigdy nie należała do zwolenniczek konwenansów, ale obraz kobiety w średnim wieku

czołgającej się przez środek podwórka, na dodatek w powalanej błotem czarnej sukni i z leżącą obok w kałuży struclą, daleko wykraczał poza jej ramy zachowania.

Sunąc na czworaka powoli, centymetr po centymetrze, podparta rękami na podłożu, zastanawiała się jednocześnie, jak u licha ma się wspiąć po drewnianych schodach i jak ma dać znać Aleksandrowi, który na pewno będzie się o nią niepokoił. Aparat telefoniczny mieli tylko Szewczyńscy, był u nich także lekarz w postaci Feliksa, ale prędzej zapadłaby się pod ziemię, niż czołgała do Szewczyńskich niczym pies proszący o pomoc.

W nadziei, że nikt jej nie dojrzy, wlokła się samotnie przez podwórko. Taką czworakującą i utyskującą pod nosem Stefanię spotkał Eugeniusz Fridman.

* * *

„Dobrze, że pan Zarzycki jest bogobojnym właścicielem hotelu i biznes hotelowy dziś zamarł. Przynajmniej ten jeden wieczór w roku mam wolny”, myślał Fridman, wielkimi krokami przemierzając ulicę Sienkiewicza i rynek.

Nie miał wprawdzie żadnych planów na dziś, jak również niczego nie przygotował na Wigilię. Pod pachą niósł jedynie torbę, a w niej opłatek oraz zawinięte w małym kamionkowym garnuszku kluski z makiem. Dary otrzymał od niezwykle poczciwej żony kontrolera rachuby płac Kolejki Dojazdowej, pani Nikoleizigowej. Ona także pracowała na kolei. Brunon^[76], jej mąż, był jego ulubionym kolegą z pracy. Tak jak on latami tułał się po świecie w poszukiwaniu swojego miejsca i tak jak on wylądował ostatecznie „na banie” w Pleszewie. Nikoleizigowie byli sympatyczni i niezwykle rodinni. Przywiązywali wagę do tradycji katolickich i polskich. Na wieść o tym, że Fridman wraca do pustego domu,

a jego jedyną potrawą wigilijną będą krychane pyry^[ZZ], pani Jadwiga nakazała mężowi, by ten zaniósł mu do pracy przynajmniej jedną potrawę, a na dokładkę dorzuciła jeszcze opłatek.

– Wiem, że nasz Eugeniusz jest wyznania mojżeszowego, ale to z jednego Boga religia i to nie po chrześcijańsku, żeby się nie podzielić – oznajmiła mężowi, gdy ten lekko się krygował, by zanieść koledze dary.

Fridman, o dziwo, przyjął posiłek z radością, składając serdeczne powinszowania. Teraz niósł go do domu, myśląc o tym, że perspektywa wieczoru przy kluskach z makiem i krychanych pyrach, kilku kieliszkach dobrego biberku od Gellerta i pianinie jest niczego sobie.

Nacisnął ciężką klamkę bramy i już miał skręcać w kierunku swojej klatki schodowej, gdy dostrzegł jakąś postać przemieszczającą się wzdłuż podwórka. W pierwszej chwili pomyślał, że to wygłodniały pies, i już miał zamiar wyjąć swoje kluski z makiem i podzielić się posiłkiem. Gdy jednak podszedł kilka kroków bliżej, spostrzegł, że to nie żaden psi włóczęga, ale czołgająca się Stefania Niemyjska. Obok niej, w kałuży, leżało coś, co najpewniej kiedyś było ciastem, a teraz jedynie bezkształtną masą.

– Na Boga, pani Stefanio, to tak pani idzie do serdecznego przyjaciela?!

Fridman nie mógł powstrzymać śmiechu, który mieszał się równocześnie z pewnym niepokojem. Stefania lubiła łamać konwenanse, ale są jednak pewne granice.

– Jezus Maria, co pan tu robi?! – wrzasnęła jak oparzona.

Mogła zwichnąć kostkę, być uziemiona i uwalana w błocie, ale bynajmniej nie straciła honoru i godności.

– Wie pani, mógłbym spytać o to samo, ale ja przynajmniej idę na własnych nogach. Tuszę, że coś się wydarzyło. Czy nie może pani chodzić?

Pochylił się nad Niemyjską i z bliska zobaczył na jej twarzy grymas bólu. Niedobrze.

– Pani Stefanio, pani coś się stało. Proszę się nie ruszać, już panią zabieram!

Postawił torbę z kluskami obok poręczy schodowej, a sam uniósł Stefanię, jakby była dzieckiem, i ruszył z nią w kierunku swojej klatki schodowej.

– Dokąd pan idzie? – zapytała niezbyt stanowczo.

Kostka bolała okropnie, a nie zakładała, że Fridman ma jakieś nieczne zamiary, wszak byli sąsiadami.

– Zdecydowanie do mnie, zaraz panią położę na otomanie i wezwę pana Szewczyńskiego.

– Za nic w świecie! Nic mi nie jest, to tylko skręcona kostka, proszę, by pan mnie tylko odniósł do domu!

Patrzyła z bliska na jego nieogoloną twarz, czuła jego ostry zapach przemieszany z zapachem dworca kolejowego i mimo bólu było jej dobrze. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się bezpiecznie. W końcu ktoś o nią zadbał.

– O nie, nie ma mowy. Już panią kładę u siebie i proszę leżeć i się nie ruszać!

Fridman szedł szybkim krokiem i równie szybko pokonał schody klatki schodowej, tak dobrze znanej Stefanii z wizyt u Heleny. Jej wychowanka bawiła jednak w Poznaniu, a ona sama, obolała i lekko upokorzona, została zaniesiona do mieszkania Fridmana, którego topografię również świetnie pamiętała sprzed lat. Teraz to miejsce wyglądało zgoła inaczej niż za czasów Aleksandra.

W środku panował rozgardiasz, który przy odrobinie dobrej woli można było nazwać artystycznym. Biurko stało jak dawniej, zawalone papierami, wśród których Stefania zauważyła niedbale nabazgrane zapisy nutowe. W miejscu, w którym Aleksander miał wielką orzechową bibliotekę, stało

wysłużone pianino z wytartym napisem „Adolf Ernst Voigt”. Otomana była ta sama, ale zamiast sterylnej czystości Stefania zastała na niej stosy zeszytów nutowych. Na okrągłym stoliku stało kilka szklanek z niedopitymi napojami i dwa puste kieliszki do wódki.

Eugeniusz podniósł nogę i sprawnie skopał wszystkie nuty na podłogę, po czym delikatnie ułożył Stefanię na łóżku.

– Proszę wybaczyć ten rozgardiasz, nie spodziewałem się gości... – mamrotał, próbując jednocześnie zebrać wszystko i pospiesznie wynieść do kuchni.

– Nie szkodzi, nawet nie czuję się gościem – odpowiedziała speszona Stefania.

Usilnie próbowała nie zerkać na drzwi do sypialni. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Eugeniusza w stroju wieczornym czy też w bonzurce. Peszyło ją to i jednocześnie irytowało.

– Proszę tu leżeć, ja już biegnę do państwa Szewczyńskich!

Eugeniusz wydawał się naprawdę poruszony. Stefania pomyślała przez chwilę, że być może napędza go cała ta sytuacja. Działo się coś innego, nowego. Artyści niestety tak mają.

– Ależ naprawdę nie trzeba, zaraz mi przejdzie i w ogóle, nic mi nie potrzeba, to zwykłe skręcenie kostki.

Krygowała się, jednak Fridman sprawiał wrażenie człowieka, który robi dokładnie to, co sobie zamyśli. Postanowiła więc wykorzystać jego szlachetne pobudki w dobrym celu.

– Skoro rzeczywiście musi pan iść do Szewczyńskich, czy może pan poprosić, by zatelefonowali do Aleksandra Millera i poinformowali o mojej, ekhm, niedyspozycji? I przeprosili w moim imieniu za to, że nie pojawię się dziś u niego na wieczorze?

– Ależ oczywiście, już lecę. Miller, Miller... Czy to nie ten prawnik z pudlem, który ma kancelarię przy rynku?

Zdaniem Stefanii „prawnik z pudlem” brzmiał ironicznie, ale nie skomentowała określenia.

– W rzeczy samej, najlepszy adwokat w okolicy i dawny lokator pańskiego mieszkania, absolutny pedant. – Ostatnie określenie zaakcentowała dobitnie. Niech Fridman wie, że Miller to klasa sama w sobie!

Eugeniusz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Podłożył jej jeszcze poduszkę pod bolącą nogę i już go nie było. Stefania słyszała, jak zbiega po schodach, po kilka stopni naraz.

Czuła się bardzo osobliwie, leżąc na otomane obcego bądź co bądź człowieka w tak dobrze znanym sobie mieszkaniu, z bolącą kostką, oszołomiona i w ubłoconym stroju wieczorowym. Jakby zdarzenia, do których doszło w ostatniej godzinie, były tylko dziwacznym snem, wytworem jej wyobraźni. Od momentu, gdy zeszła ze struclą w rękach ze schodów, nic nie było przecież takie, jak sobie zaplanowała. Jej niekonwencjonalne, ale w gruncie rzeczy raczej spokojne i usatkwone życie zostało wystawione na niezłą próbę. Czy wyjdzie z niej bez szwanku? Czuła się jednocześnie odurzona, wystraszona i podekscytowana. Co z tego wszystkiego może wyniknąć?

Czasu na wielkie przemyślenia miała niewiele, bo po kilku minutach usłyszała tupot na schodach, jakby przebiegało po nich stado koni. Po chwili w drzwiach pojawił się Fridman, a za nim przejęty Feliks.

Sponiewieraną fizycznie Stefanię czekała kolejna konfuzja. Lekarskich porad młodego Szewczyńskiego unikała niczym ognia. Wiedziała, że ludzie go lubią, że jest cenionym lekarzem, ale ona miała swoje powody. Po pierwsze, nie chciała nadwyręzać dobrosąsiedzkich stosunków, obsesyjnie

wręcz obawiając się, że właściciele kamienicy mogą to źle odebrać. A po wtóre, pamiętała Feliksa jeszcze z czasów, gdy z usmarkanym nosem i kijem do klipy w ręku biegał po podwórku. I on miałby ją teraz leczyć...?

– Dobry wieczór, pani Stefania, co to takiego się stało?

Szewczyński szybko zdjął ledwie zarzucony płaszcz, podwinął rękawy śnieżnobiałej koszuli i usiadł przy obolałej kostce.

– Prosiłbym, by pani zdjęła pończochę.

Stefania zbladła. No tak, przecież to lekarz. Na szczęście Fridman okazał się na tyle taktowny, że wyszedł do kuchni, skąd po chwili zaczęły dochodzić odgłosy krzątania. Powoli, na ile pozwalały jej siły i koszarne skrępowanie, zsunęła pończochę z nogi. Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo spuchła jej kostka. Szewczyński wziął ją w swoje chłodne ręce i po szybkich oględzinach zawyrokował:

– Wygląda na to, że kostka nie jest złamana. Musiałbym to oczywiście potwierdzić zdjęciem rentgenowskim, ale nie będę pani fatygował w same święta. Panie Eugeniuszu! – zawołał w kierunku kuchni. – Ma pan kawałek drewnianka? Może kwirlejek^[78] albo chochlę? I lnianą ścierkę? – Ponownie odwrócił się do Stefanii. – Wystarczy usztywnienie, leżenie i okłady z żywokostu, a jeśli nie będzie się poprawiać, pojedziemy na zdjęcie.

Wyjął z torby paczuszkę ziół i położył na stole, po czym odebrał od Eugeniusza mocno zużyta chochlę, szybkimi ruchami podał ścierkę na paski i usztywnił nogę Stefanii. Feliks naprędce przygotował okład.

Stefania poddała się zabiegom bez słowa sprzeciwu, cały czas myśląc o tym, jak surrealistycznie się czuje. Jak ma się dostać do swojego domu? Po co Fridman ją tu targał?

Szewczyński jakby czytał jej w myślach.

– Moja mama zawiadomiła już pana Aleksandra, który oczywiście natychmiast chciał składać wizytę, ale mama odradziła. Pani powinna teraz

odpoczywać. Proszę nigdzie się dzisiaj nie ruszać. Jeśli pan Eugeniusz może się panią zająć, to wspaniale. Pierwsza noc może być nieco trudna.

Wstał, zarzucił z powrotem płaszcz i wziął lekarską torbę.

– Nie wiem, Feliksie, jak ci dziękować. Przepraszam, że zakłóciłam wigilijny wieczór.

Uśmiechała się blado do młodego sąsiada. W ciągu dosłownie kilku minut przestał dla niej być Felusiem, a stał się doktorem Szewczyńskim. Zaimponował jej spokojem, stanowczością i fachowością.

– Nie ma problemu. Miała pani szczęście, że akurat nadszedł pan Fridman. Nie wyobrażam sobie, by mogła pani wdrapać się do siebie na drugie piętro w takim stanie.

Uśmiechnął się i zniknął w korytarzu. Fridman odprowadził Szewczyńskiego do drzwi, a na odchodnym jeszcze krzyknął:

– Panie Feliksie drogi, to nie pani Niemyjska ma wielkie szczęście, ale ja. Wesołych świąt!

[57] Placki ziemniaczane.

[58] Drożdżówki z lukrem.

[59] Wydarzenie prawdziwe, wówczas jedyny raz generał Haller odwiedził Pleszew.

[60] Monografia w całości ukazała się w 1934 roku nakładem Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu.

[61] Dziennik Ustaw nr 25, pozycja 226.

[62] Biegnij, uciekaj.

[63] Mieć talent, szczęście.

[64] Na ukos.

[65] Pierwsze wydanie *Pani Dalloway* autorstwa Wirginii Woolf ukazało się w Polsce dopiero w 1961 roku.

[66] Chodzi o książkę *Jak gotować* wydaną w 1931 roku nakładem Wydawnictwa Polskiego R. Wegnera w Poznaniu.

[67] Chodziło o Banque des Pays du Nord.

[68] Po wojnie hotel zmienił nazwę na Lech. Został zamknięty w 2019 roku.

[69] Alfred Laskiewicz, 1888–1969, profesor zwyczajny Uniwersytetu Poznańskiego, otolaryngolog, twórca Kliniki Otolaryngologii Uniwersytetu Poznańskiego.

[70] Ignacy Hoffman, 1873–1947, polski lekarz, patolog, w latach 1933–1934 oraz 1946–1947 dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego.

[71] Chodzi o szpital w Wolicy pod Kaliszem przeznaczony głównie dla osób z gruźlicą, którego budowa rozpoczęła się jeszcze przed II wojną światową.

[72] Niegdyś Kronprinzenstrasse.

[73] Dąsać się na kogoś.

[74] Głupio się śmiać, w tym kontekście weselić się, śmiać do siebie.

[75] Wieprzowina (tłum. z jidysz).

[76] Brunon Nikoleizig, postać niezwykle ważna w historii Pleszewa, szczególnie w kontekście walk o niepodległość w 1945 roku. W rzeczywistości rozpoczął pracę na kolei nieco później, w 1936 roku.

[77] Rodzaj tłuczonych ziemniaków.

[78] Kopystka.

V

Poznań, luty 1933

Najmilsza Przyjaciółko!

To niebywałe, ale mam wrażenie, żeśmy dopiero wczoraj siedziały w Grandce^[79] i piły wyśmienitą kawę ze śmietanką, a Ty żeś opowiadała mi o naszym Pleszewie i swoich bolączkach, ja zaś o swoich sprawach studenckich i życiu w dużym mieście!

Tak bardzo brakuje mi Ciebie tutaj na co dzień, że nawet wyobrazić sobie tego niepodobna. Nie mam też za wiele koleżanek na studiach, bo to wiadomo, że mężczyźni na uczelniach zawsze więcej, a już na wydziale prawno-ekonomicznym to są prawie sami panowie. Jedyna dziewczyna, Lodzia, córka bogatych przemysłowców z Poznania, jest cichą dziewczyną, raczej zamkniętą w sobie i nawet z nią od czasu do czasu porozmawiam, ale nie na tyle, by móc wylać z siebie wszystkie rozterki.

Trochę się ich niestety uzbierało. Po części opowiedziałam Ci o nich, chociaż nie o wszystkim, bo czymże jest kilka godzin nieledwie spędzonych z przyjaciółką w porównaniu z całymi wieczorami, kiedyśmy na Piłsudskiego siedziały na mojej otomanie

lub Twoim łóżku i gawędziłyśmy o wszystkim, co nam serce dyktowało?

Jak Ci już wiadomo, gdyż pisałam o tym nieraz, Poznań jest miastem pięknym, ale i narodowo niemal jednolitym. Żydów nie ma tu prawie wcale, a to dlatego, że zaraz po wojnie większość z nich, tak jak Niemcy, wyjechała w głąb kraju, na zachód, bo też tak jak Niemcy oni się czuli. Nie inaczej jest na moim uniwersytecie. Znakomita większość to rdzenni Polacy, którzy wywodzą się głównie z ziem byłego zaboru pruskiego. Żydów jest tu jak na lekarstwo, dosłownie kilkoro studentów i to tyle, a profesora to już nie ma żadnego.

Ja wiem, co się dzieje na innych uniwersytetach, bo prasa i radio teraz w mig o wszystkim donoszą. I nie mogę powiedzieć, że u nas w Poznaniu takie tragedie się dzieją jak we Lwowie czy Warszawie nawet. W porównaniu do tamtych uczelni u nas nic się nie dzieje, spokój jest i nikt nikomu studiować nie przeszkadza, a o *numerus clausus*, czyli gettach ławkowych, u nas ani słowem się nie mówi. Pewnieś, droga przyjaciółko, o nich nie słyszała, ale to taki wymysł niektórych uczelni, że Żydzi mają w określonych ławkach siedzieć, na ogół na końcu sali.

Ale to nie znaczy, że nic się u nas nie dzieje. Chociaż statut uczelni wyraźnie mówi, że Żydzi pochodzący z byłej dzielnicy pruskiej są przyjmowani bez żadnych ograniczeń i traktowani tak samo, do pojedynczych przykrych zdarzeń dochodzi i tutaj, a ja niestety coraz częściej ich doświadczam.

Otóż wyobraź sobie, Helenko, że od jakiegoś czasu dzieją się wokół mnie rzeczy dziwne, przykre i trudno wytłumaczalne. Albo nagle znika mi pakunek z kanapkami, którym sobie przygotowała na

zajęcia, by oszczędzić na zakupie obiadu, a to w większej grupie potykam się o czyjaś nogę i niby to jest normalne, ale mam poczucie, że tę nogę ktoś naumyślnie mi podstawił. A ostatnio, gdy schodziłam z wykładów szerokimi schodami, ktoś biegł i potracił mnie tak, że upadłam i omal nie skręciłam sobie nogi.

To wszystko niby może dziać się przypadkowo, ale chyba niekoniecznie. A teraz napiszę Ci, droga Przyjaciółko, dlaczego tak uważam. Otóż zdarzenie ze schodami mogło dla mnie skończyć się tragicznie, gdyby nie pomocna ręka jednego z moich kolegów z roku. Ten kolega nazywa się Zdzisław Jeziorański^[80]. Ukończył gimnazjum w Warszawie, jest niezwykle zdolnym studentem, bardzo mądrym i, ach, jakże przystojnym i szarmanckim. Jest on również bardzo zaangażowany w sprawy polskie.

To on mnie podówczas złapał, skutkiem czego uderzyłam się jedynie w kolano. On również zabrał mnie do kantyny studenckiej na herbatę i porozmawialiśmy trochę o studenckich organizacjach, które prężnie działają na naszej Alma Mater.

Powiedział mi, że mam uważać na działaczy Młodzieży Wszechpolskiej, bo to oni mogą stać za tymi „przypadkowymi” sytuacjami. Jednocześnie zasugerował, bym zapisała się do Żydowskiej Strzechy Akademickiej, która zrzesza moich, a że ich jest mało, toteż organizacja działa słabo.

Taki mam plan, droga Przyjaciółko. A tymczasem zyskałam poczucie, że znalazłam sobie w kręgach mojego roku przyjaciela i sojusznika, chociaż on niestety w ogóle nie zwraca na mnie uwagi jako na kobietę.

Ale dość już o mnie, kochana Heleno. Wracając do naszej rozmowy w Grandce i tegoś, co mi powiedziała o swoich rozterkach

życiowych związanych z pracą i Józkiem, wiedz, że masz we mnie sojusznika, jakąkolwiek decyzję podejmiesz. Ja rozumiem, że praca panny księgowej może być czasem nużąca, ale w gruncie rzeczy robisz rzeczy niezwykle istotne, w dobie kryzysu pozwalasz na funkcjonowanie firmy, w której mnóstwo ludzi z Pleszewa i Jarocina ma zatrudnienie, a do tego wraz z babcią możecie żyć w spokoju, nie martwiąc się, co do garnka włożyć.

A co do chłopców, cóż... Tak jakieśmy sobie rozmawiały. Nie zgadzam się z Tobą, że Feliks traktuje cię jak powietrze. Widziałam, jak na Ciebie patrzył, jak z Tobą rozmawiał. Coś widocznie stanęło na jego drodze, ale co, nie jestem w stanie powiedzieć, wszak nie ma mnie na miejscu. A co do Józka, Ty już sama będziesz wiedziała, co począć z tą relacją. Może nie warto na razie podejmować radykalnych kroków? Kochana moja, jesteśmy jeszcze tak młode, a kto w ogóle powiedział, że za mąż koniecznie wyjść trzeba? Popatrz na naszą ciocię Stefanię, sama jest od lat i chyba szczęśliwa, chociaż czy ja wiem? Kto wie, co jej do głowy przychodzi, jak zostaje wieczorami sama w swoim mieszkaniu.

Całuję Ciebie, moja droga Przyjaciółko, licząc, że krótka przerwa międzysemestralna na wiosnę pozwoli mi przyjechać do naszego Pleszewa, za którym już bardzo tęsknię.

Twoja Rachela

* * *

Helena starannie zamknęła drzwi biura panien księgowych i zeszła ciemnymi schodami na ulicę. Pracę skończyła kilka godzin wcześniej, ale chciała w spokoju przeczytać po raz kolejny list od Ryfki. Poza tym radio w biurze pana Grolewskiego nadawało audycję z udziałem młodej

skrzypaczki, niejakej Grażyny Bacewicz, i Helena nie mogła oderwać się od odbiornika. Na samo brzmienie słów spikerki, pani Janiny Sztompkówny: „Halo, halo, tu Polskie Radio, fale 480”, Kałużównę przechodziły ciarki. Kochała słuchać radia, a nie miała ku temu wielu sposobności. Audycje na ogół zaczynały się wieczorem, gdy ona właśnie wychodziła z pracy.

Pan Grolewski był jednym z nielicznych szczęśliwców w Pleszewie, którzy posiadali odbiornik. Dzisiaj wyjątkowo był w biurze na Wrocławskiej i nie tylko pozwolił Helenie dosłuchać audycji do końca, lecz także opowiedział jej kilka ciekawych historyjek. Dziewczyna dowiedziała się między innymi, że wielki nadajnik radiowy w podwarszawskim Raszynie, który pozwalał na słyszalność radia w najdalszych zakątkach Polski, zbudowano w ich poznańskim Ceglorzu i przywieziono na miejsce w kilku częściach.

Kałużówna szła niespiesznie do domu, w głowie cały czas mając melodię *Poloneza A-dur* Chopina^[81] oraz słowa Racheli o rzekomym prześladowaniu, o przystojnym Zdzisławie i o jakichś organizacjach, o których ona, prosta dziewczyna z Pleszewa, nie miała pojęcia. Przekraczało to możliwości jej rozumowania. O co tym studentom chodzi? Ona sama, nie mając żadnych możliwości wyjazdu na uniwersytet, czuła się oszukana. Takie niesnaski w tych oazach myśli i nauki? I niby o co? Że ktoś do innego Boga się modli?

„Świat chyba oszalał i oby to się czymś niedobrym nie skończyło”, pomyślała sobie, robiąc tradycyjną rundkę wokół rynku. Nie miała nic lepszego do roboty w domu, a zawsze przyjemnie jest pooglądać witryny. Miała zamiar jeszcze odwiedzić ciocię Stefanię, która co prawda po niefortunnym wypadku w święta chodziła już zupełnie normalnie, ale każdy pretekst był dobry, żeby u niej posiedzieć i napić się wieczornej herbatki.

– Heła, serwus! – usłyszała za sobą głos koleżanki z podwórka, Gieni Białas.

Dziewczyna wychodziła ze sklepu T. Gembalski – artykuły metalowe, porcelana, szkło i fajanse. Helena niedawno słyszała, że Gienia znalazła tam pracę w charakterze panny sklepowej i była z tego powodu niezmiernie dumna. Nie utrzymywała z nią nigdy bliskich kontaktów towarzyskich, ale darzyła ją sympatią, wszak wychowały się wspólnie na jednym podwórku. Babcia powiedziała jej również, że Gienia wkrótce ma wyjść za mąż za niejakiego Kazia Paszkowiaka, chociaż on „bidny jak mysz kościelno, ale rokuje dobrze, bo to i przy żniwach pomoże rodzinie Białasów, i u Dąbkiewicza szklarza okno dobrze wprawi”.

– Dobry wieczór, Gieniu! – ucieszyła się, że spotkała koleżankę. To miło czasem poplotkować, a Gienia zawsze wszystko o wszystkich wiedziała, niemal jak stara pani Tokarska i jej córka Tereska, od lat pracująca u państwa Suchockich w aptece „Pod Białym Orłem”.

– Gdzie tak lotosz wieczorem? – Białasówna zrównała się krokiem z Heleną, zapinając jednocześnie płaszcz i poprawiając kapelusz oraz dużą torebkę w dłoni.

– Z pracy wracam, ale jeszcze radia posłuchać sobie chciałam, piękną audycję nadawali.

– No, ale to jest wynalazek, to radio, tej! Jo ta nigdy nie słyszała, ale nasi państwo Szewczyńscy mają radio.

– Tak, wiem.

Na dźwięk nazwiska „Szewczyńscy” Helenie zrobiło się najpierw zimno, a później gorąco. Dobrze, że było już ciemno, bo zapewne dostała rumieńców, a nie chciała, by Gienia cokolwiek zauważyła.

– A co tam u Felusia? Bo u mnie, to wiesz, że za Kazia Paszkowiaka niedługo wychodzę za mąż, nie?

Helena miała wrażenie, że pytanie o Feliksa padło wyłącznie po to, by zaraz powiedzieć o Kaziu. Nie przeszkadzało jej to, przecież i tak nie miała nic do powiedzenia w tej materii.

– Och, to wspaniale, Gieniu, bardzo ci gratuluję!

Odwróciła się do koleżanki i serdecznie ją uścisnęła.

– No mówię ci, Kazio bidny jest, ale obrotny, że hej. Tera zimą to zatrudnił się przy wydobywaniu kamieni na Karczemce^[82]. Jo ci mówię, ciężka to robota, o takie mięśnie ma mój Kazio!

Gienia machnęła rękami tuż przed nosem Heleny, żeby zademonstrować wielkość Kaziowego mięśnia.

– Ho, ho! – Helena próbowała wykrzesać z siebie entuzjazm. – Całkiem wielkie!

– No! A jaki przystojny ten Kazio, wszystkie kobity za nim lotają!

Helena zastanawiała się, czy ona też ma zacząć się nim zachwycać. Nawet nie wiedziała, jak wygląda narzeczony Gieni.

– Ten twój Józek to też niczego sobie, fest chłop jest i bogaty! – Gienia przeszła płynnie do omawiania kolejnego kawalera. – Kiedy ślub?

Helena stanęła lekko zaskoczona. Były co prawda z Białasówną koleżankami od lat, ale żeby aż tak się spoufalać?

– Gieniu, my nawet w ogóle o tym nie myślimy! Kto wie, może jak uzbieram trochę pieniędzy, to na studia jeszcze pojedę? – Helena wiedziała, że to nierealne, ale zdenerwowała ją paplanina Gieni.

– E tam, te studia, co one dają, bejmów^[83] z tego chyba dużych ni mo. Ryfka pojechała do Poznania i pewnie klepie bidę, a Feluś? On wyglunda, jakby był zabidzony na śmierć!

– No, na śmierć to niekoniecznie, chybaby się już wówczas nie ruszał. – Helena zaśmiała się nerwowo.

Dziewczęta skręciły z rynku w ulicę Piłsudskiego, a Helena przyspieszyła kroku. Wcześniej cieszyła się na pogawędkę z Gienią, a teraz żałowała, że idą razem.

– A ty wiesz, że ja go widziałam ze dwa razy, jak tu lazył z jedną taką, ona chyba w Kasie Chorych pracuje!

Helenę zmroziło, ale nic nie dała po sobie poznać.

– Tak? – Starła się, by jej głos brzmiał jak najbardziej obojętnie.

Gienia jednak w ogóle nie zwracała na to uwagi i niczego się nie domyśliła.

– No, godom ci! Ona jakaś starszawa niby, starsza od nos, ale to wiesz, co te doktory potrzebują? Może on lubi starsze?

Na szczęście doszły już do bramy kamienicy. Helena szybko nacisnęła klamkę i równie szybko podeszła do swojej klatki schodowej. Mieszkanie rodziców Gieni mieściło się w głębi podwórka, tuż pod mieszkaniem Stefanii i obok malutkiego mieszkania Tokarskich.

– Och, niech sobie robi, co chce, przede wszystkim to dobry lekarz.

Drzwi do klatki schodowej skrzypnęły przeciągle.

– Do widzenia, Gieniu, jeszcze raz ci gratuluję!

– A dzięki! A z tym Felusiem to niezła draka jest, bo my na podwórku, nawet Dawid, myśleli, że wy się kiedyś zejdziecie. A tu patrzcie państwo, każde poszło w swoją stronę!

* * *

Duży czarny samochód wyjechał z warsztatu z piskiem opon i po chwili zniknął na ulicy Poznańskiej. Feliks powiódł za nim wzrokiem, zastanawiając się, do kogo może należeć tak duży automobil. Wiedział, że tylko nieliczni w Pleszewie i okolicach mogli cieszyć się własnymi czterema kółkami. Zaliczał się do nich jego ojciec, który jako jedyny

w okolicy, wraz z przyjacielem, panem Foltyńskim, prowadził warsztat samochodowy na licencji marki Ford.

– Niezłe cacko, prawda? – Ojciec podszedł do niego, wycierając szmatką ubrudzone smarem ręce. – To nasz ulubiony klient, pan Belina-Brzozowski z Kowalewa. Kocha swój samochód i często korzysta z naszego warsztatu. – Leon odłożył ścierkę i zaczął zdejmować duży fartuch.

W warsztacie panował spory ruch. Dzisiaj podjechało troje klientów, aż z Ostrowa i Kalisza, pracy było dużo. Młodzi majstrowie pod czujnym okiem pana Foltyńskiego uwijali się jak w ukropie. Feliks zaśmiał się w duchu, porównując swoją sterylną klitkę z biurkiem, białą metalową witryną na leki i kozetką z tym, co tutaj widział.

Całkiem podobało mu się w warsztacie – lubił zapach smarów i benzyny, chociaż nie miał zielonego pojęcia o prowadzeniu samochodu. Ojciec kupił swojego forda A, gdy on był na studiach, a po powrocie do Pleszewa Feliks nie miał zbyt wielu okazji, by się nim nacieszyć, bo całymi dniami siedział w Kasie Chorych. Nie mówiąc o tym, że stosunki z ojcem miał bardzo luźne, wszak gdy tylko ten powrócił z wojny, niedługo później Feliks wyjechał na studia.

– Masz ochotę na małą przejażdżkę po okolicach Pleszewa? – zniecierpliwiony zapytał ojciec. – Zakładam, że nie pracujesz w sobotnie popołudnie?

– Nie, nie, Dzielnica jest dziś zamknięta – odpowiedział Feliks i natychmiast ukłuło go poczucie winy w stosunku do tych, którzy potrzebują natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Jednocześnie był podekscytowany, że ojciec proponuje mu wspólne spędzenie czasu.

– Dlaczegoż by nie? Chętnie pojedę! – odpowiedział po krótkiej chwili namysłu.

– Dobrze, poczekaj tu na mnie, zmienię tylko ubranie.

Feliks usiadł na nie do końca czystym zydelku i ponownie rozejrzał się po warsztacie. Co rusz zawieszał wzrok na reklamie fiata 508. „Samochód przestał być luksusem!”, głosiło hasło reklamowe. No cóż, może w takiej Warszawie nie jest już luksusem, ale w Pleszewie owszem. Tutaj samochody ma dosłownie kilka osób i aż dziw brał, że ojciec zainwestował w tak nierentowny biznes jak warsztat i licencja na sprzedaż forda. Musi to bardzo kochać. Albo wierzyć, że kiedyś samochody będą w powszechnym użyciu.

– Idziemy? – Ojciec zniecierpliwiony wyłonił się przed nim.

Miał na sobie swój codzienny dwurzędowy garnitur i gruby wełniany płaszcz. Feliks pomyślał, że ma przystojnego ojca i sam chciałby tak wyglądać. Chwilowo był jednak jego połówką, do tego lekko zgarbioną.

Szewczyńscy przeszli na tyły warsztatu, gdzie czekał jak zwykle wypucowany automobil Leona. Feliks nieraz zastanawiał się, jak ojciec to robi, że pomimo fatalnego stanu dróg i wszechobecnej pluchy, szczególnie teraz, na przednówku, samochód zawsze jest czysty. Musiał go chyba bez przerwy polerować.

Usiadł na miejscu pasażera i poczuł się nieswojo. To miejsce należało do matki. On sam, jadąc z ojcem zaledwie parokrotnie, zawsze siedział z tyłu z Wiktorem.

Ojciec ponaciskał coś nogami, pokręcił kierownicą i ruszyli.

Wyjechali na ulicę Poznańską i skierowali się na trasę prowadzącą do Kowalewa, a później do Dobrzycy. Feliks świetnie znał tę drogę, wszak prowadziła do dworca kolejowego. Krajobraz wokół nie zachęcał do kontemplacji. Większość śniegu już stopniała, tylko gdzieniegdzie

w rowach i zacienionych miejscach leżały jego brudne łachy. Drzewa nadal były łyse, a niskie ceglane domki, które mijali, sprawiały wrażenie, jakby od dawna coraz bardziej zapadały się w ziemię.

Przez dłuższy moment panowie nie zamienili ze sobą ani słowa. W głowie Feliksa uruchomiła się gonitwa myśli: „A co, jeśli ojciec chce przekazać mi coś ważnego? Może coś się dzieje z matką? A może on sam jest chory?”. Nie był jednak w stanie wykrzesać z siebie ani jednego pytania. Tak bliska obecność ojca i przebywanie z nim sam na sam go onieśmiały.

– Prowadzenie tego samochodu jest niezwykle łatwe, zastosowano tu nowatorską metodę podwójnego wysprzęglania – odezwał się nagle Leon.

– Co to znaczy? – Feliks cieszył się, że ojciec zaczął mówić o czymkolwiek. To oznaczało, że przejażdżka ma służyć miłemu spędzeniu czasu.

– Ach, to system zastosowany w przypadku niesynchronizowanej skrzyni biegów. Po prostu musisz dwa razy nacisnąć sprzęgło, żeby zmienić bieg – mówiąc to, popatrzył na syna i lekko się uśmiechnął.

– No tak, teraz już wszystko jasne! – zawołał Feliks, po czym mrugnął do ojca i obaj wybuchnęli śmiechem.

Dobrze to ojciec rozegrał, lody zostały przełamane.

– I jak ci się, synu, mieszka i pracuje w Pleszewie?

– Dobrze – odparł krótko Feliks.

Tak wiele różnych emocji wiązało się z powrotem do rodzinnego domu i pozostaniem w nim, że gdyby miał o tym wszystkim opowiedzieć, nie wiedziałby, od czego zacząć.

– Słyszę, żeś wylewny jak każdy Szewczyński. – Leon ponownie się zaśmiał.

Zaczął kropić drobny deszcz. Krople uderzały w dach karoserii i spadały na przednią szybę. Mijali właśnie wieś Kowalew, gdzie w centralnym punkcie stał duży murowany kościół, a w wielkim ogrodzie pyszniła się rezydencja Karola Beliny-Brzozowskiego, hrabiego pochodzącego z Podola, który ze względu na zmiany polityczne w Rosji musiał stamtąd uciekać, a swoje miejsce odnalazł w Wielkopolsce. Feliks zdążył tylko przeczytać napis przy wjeździe do pałacyku: „Przystań z Bożej Łaski”.

Cóż, można by to odbierać dwojako, chociaż z tego, co słyszał, Belina-Brzozowscy dobrze zaaklimatyzowali się w tym – bądź co bądź – zupełnie nowym dla nich świecie. Nie wiedzieć czemu, ten dwuznaczny napis ośmielił go do głębszych zwierzeń.

– Widzisz, ojcze, nie wiem, co ci odpowiedzieć. Kocham leczyć, ale napotykam tyle trudności. Wszędzie bieda, Kasa Chorych wiecznie musi oszczędzać, a potrzeby są ogromne.

– Tak, rozumiem. Wielokrotnieśmy z matką rozmawiali na temat twoich rozterek.

Szewczyński skręcił w drogę na Dobrzycę, która przez kilka kilometrów, aż do malutkiej wsi Lutynia, biegła prosto niczym struna.

– Chcę, byś wiedział, że mimo wszystko wspieramy twoje decyzje – odezwał się ojciec po chwili milczenia.

Feliks nie wiedział, co powiedzieć. Z jednej strony był zmieszany, z drugiej – szczerze wzruszony. Jeszcze do dzisiaj miał wrażenie, że rodzice nie podzielają jego chęci, by pozostał w Pleszewie. Ba, zaczął się rozglądać za jakimś lokum do wynajęcia. Owszem, rodzice mieli duże mieszkanie, ale nie chciał im stale siedzieć na głowie. W końcu mają prawo do własnego życia, są jeszcze młodzi.

– Dziękuję, ojciec. – To było wszystko, na co mógł się zdobyć w tym momencie.

Popatrzył jeszcze raz na profil ojca – ostry podbródek, długi nos i gęste jasnoblonde włosy zaczesane do tyłu, teraz już mocno przyprószone siwizną. Uderzyło go, jak bardzo jest do niego fizycznie podobny. I w jak odległych światach obaj żyją.

– Nie dziękuj, to normalna sprawa. Ja wiem, że w tym wieku człowiek miota się ze swoimi decyzjami, a potem i tak decyduje za niego przypadek – zawyrokował filozoficznie. – Ale może byś trochę temu przypadkowi pomógł, co?

A to niespodzianka. O czym ojciec mówi?

– A to niby jak? – Feliks poczuł się na tyle swobodnie, że zaczął z ojcem rozmawiać niczym z kolegą ze studiów. Podobało mu się to, że może mówić bez ogródek.

– Przecież oboje z matką wiemy, że chcesz pomagać ludziom, ale coś cię rwie do świata. Może chciałbyś zrobić jakąś specjalizację, dalej się rozwijać jako lekarz. Wiemy to! – Ostatnie słowa wypowiedział tak dobitnie, że aż Feliksowi ciarki po plecach przeszły. – A co powiesz na zrobienie licencji na prowadzenie samochodu? Znacznie ułatwiłoby ci to życie. Mógłbyś leczyć tu... i tam. Odległość nie byłaby ograniczeniem.

Ojciec nie spuszczał oczu z drogi, ale od czasu do czasu łypał na niego kątem oka, jakby chciał wysondować reakcję syna. Feliks był szczerze zaskoczony. W ogóle nie rozważał takiego rozwiązania. On miałby sam prowadzić samochód? Wolne żarty!

– Ale jak ojciec to sobie wyobraża?

Wjechali do Lutyni, gdzie droga przez chwilę wiodła w dół, aż do niedużej rzeczki o tej samej nazwie, by po chwili wznieść się, wprost w kierunku miejscowości Dobrzyca. Punktem centralnym był tu wielki

majątek, w którym rezydowali obecnie Czarneccy, potomkowie rodziny Gorzeńskich.

– Zwyczajnie, synu – skwitował Leon, jakby kurs uzyskania licencji na prowadzenie samochodu był niczym nauka zmiatania obejścia. – Musisz odbyć trzymiesięczny kurs, nadto praktykę w warsztacie mechanicznym, ale z tym nie ma problemu, po prostu zrobisz to u mnie.

– A koszta utrzymania auta?

Feliks nadal nie był przekonany do szalonego pomysłu ojca. Równie dobrze ojciec mógłby mu zaproponować kurs sterowania aeroplanem.

– Z tym zawsze jest największy kłopot, to prawda. Pomp^[84] w naszej Polsce niewiele, no i podatek od samochodu jest niemały^[85]. Ale przecież na razie mógłbyś korzystać z naszego samochodu. My znowu tak często poza Pleszew nie wyjeżdżamy.

Feliks zamilkł na dłuższą chwilę. Przetrawiał wszystko, ważył argumenty. W gruncie rzeczy to niegłupi pomysł. Mógłby nawet dojeżdżać do Kalisza, do tego nowo powstającego szpitala i kliniki, o której wspominał profesor Laskiewicz. Co prawda od bożonarodzeniowego spotkania upłynęły trzy miesiące, a on ani słowa nie słyszał o tym przedsięwzięciu, wierzył jednak, że profesor – uznany lekarz – nie rzucał słów na wiatr. Za samochodem przemawiało także to, że mógłby objeżdżać okolice Pleszewa z wizytami domowymi.

– A tak poza wszystkim powiedz no mi, synu, ale tak prawdziwie, bo wiem, że przy matce możesz się krępować. Co tak naprawdę trzyma cię w naszym Pleszewie?

Tego pytania Feliks zupełnie się nie spodziewał. Ledwo co oswoił się z faktem, że rozmawia z ojcem sam na sam o rzeczach mu bliskich, w małej kabinie samochodu, a teraz jeszcze to?

– Nic, ojczy, naprawdę. Po prostu chęć niesienia pomocy ludziom – odparł od razu.

Nie mógł ojcu powiedzieć wszystkiego. Nie potrafił, były to zbyt osobiste sprawy. Leon spojrział na syna, a Feliks miał uczucie, że ojciec wie, co w nim siedzi. Jednak nie drażył tematu.

– Rozumiem – odpowiedział tylko. – Co tam w głowie ci siedzi, to tylko twoja sprawa i ty jeden wiesz, jak to rozwiązać.

Przez chwilę obaj milczeli, ale Feliks widział, że ojciec nie zakończył jeszcze rozmowy. Ważył w myślach słowa, Feliks bardzo dobrze znał tę jego minę.

– Mówiła nam szanowna pani Tokarska, że widziała przez szybę sklepu, jakieś parokrotnie z jakąś panią szedł. To ktoś ważny? – zapytał niby od niechcenia.

Feliks był tak zaskoczony, że nawet nie potrafił się zezłościć na zbyt gorliwą sąsiadkę. Raczej ubawiła go ta nowina. A więc to tak! W tym mieście nic się nie ukryje, a już na pewno nie przed panią Tokarską.

– Co, plotki już się rozchodzą, że się z panną prowadzam? – Wcale nie zamierzał szybko wyjaśniać sprawy, zresztą obaj byli w całkiem niezłych nastrojach.

– Wiesz sam, jak to z panią Tokarską jest. Wszystko widzi. – Ojciec roześmiał się serdecznie. – Akurat nie słyszałem tej wieści na własne uszy, pani Tokarska rozmawiała z mamą, którą zresztą też ta informacja rozbawiła.

– To dlaczego pytasz?

– Tak sobie, nie musisz odpowiadać.

Ojciec nie przestawał się lekko uśmiechać i wyglądało na to, że faktycznie nie jest jakoś szczególnie zaciekawiony, z kim Feliks kilkakrotnie przeszedł się pod rękę.

– Wiem, że nie muszę, ale odpowiem. To moja znajoma z pracy, pani Lucyna, Lusia, sekretarka pana Rudkego. W przeciwieństwie do niego jest to niezwykle poczciwa osoba.

– Pani Lucyna? No proszę. – Imię niewiele mówiło Leonowi, mimo wszystko był ciekaw, z kim spaceruje jego syn. Z drugiej strony nie chciał przerywać tej ledwo zadziergniętej nici porozumienia z pierworodnym. Wcześniej jakoś nie mieli okazji, żeby szczerze i swobodnie porozmawiać.

Okrążyli nieduży rynek w Dobrzycy, z którego widać było imponujący pałac otoczony starodrzewem.

– Ładnie tutaj – powiedział Feliks trochę do siebie, trochę do ojca.

– Owszem, a pałac jest naprawdę piękny. Tak to już w tej naszej Wielkopolsce jest, że każda miejscowość ma swój pałac.

Zakręcił do małej zatoczki i zawrócił, ostrożnie manewrując samochodem.

– Musimy wracać, mama na pewno czeka na nas z obiadem.

* * *

W Wielkopolsce większość stolików była pusta, toteż Stefania dojrzała Aleksandra już przy samym wejściu. Przyjaciel siedział jak zwykle z Bellą, która grzecznie przycupnęła przy jego krześle i co rusz podjadała kawałki ciastka, które pan rzucał jej na specjalnie przyniesiony z domu talerzyk. Na ten widok Niemyjska zaśmiała się pod nosem i ruszyła do stolika. Od dnia niefortunnego wypadku rzadko się widywali, ot tyle, co parę razy odwiedził ją podczas rekonwalescencji. Ale wówczas temat kostki plasował się na pierwszym miejscu i nie było okazji, żeby spokojnie porozmawiać o innych sprawach. Nadto ktoś zawsze towarzyszył jej w mieszkaniu – a to Helena, a to Eugeniusz.

Na myśl o nowo poznanym znajomym poczuła ciepło w okolicy serca. Spędziła z nim najdziwaczniejszą Wigilię w życiu, którą zapamięta na zawsze. Do jedzenia mieli jedynie purée ziemniaczane polane tłuszczem, kluski z makiem, o których Eugeniusz przypomniał sobie około północy i pobiegł po nie na podwórko, a do picia rozwodnioną herbatę i bimber od Gellerta, którego Stefania stanowczo odmówiła. O dziwo, Eugeniusz również nie pił, pozostał trzeźwy przez cały wieczór.

Ona leżała, a on siedział przy fortepianie. Grał cicho swingowe melodie, w które co jakiś czas wplatał fragmenty muzyki klasycznej. Przy jednym utworze – Eugeniusz powiedział jej, że był to *Koncert na fortepian d-moll* Jana Sebastiana Bacha – w pewnym momencie przerwał grę i odwrócił się do niej, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Czy pani wie, że od czasów Bacha już nikt nic mądrzejszego w muzyce nie wymyślił?

– Jak to możliwe?

Stefania kochała muzykę, choć zupełnie się na niej nie znała. W dzieciństwie uczono ją – jak każdą panienkę z dobrego ziemiańskiego domu – gry na fortepianie, ale niewiele już z tego pamiętała.

– Sposób frazowania, polifonia, wielogłosowość – ciągnął Fridman. – To wszystko wymyślił skromny organista, który zarabiał na życie grą w kościele. Większość muzyki, w tym jazz, która powstała po Bachu, czerpie garściami z jego odkryć. Nie mówiąc już o tym, że klasyka i jazz absolutnie idą ze sobą w parze.

– Chyba trochę pan przesadza, panie Eugeniuszu, wszak muzyka klasyczna rządzi się zupełnie innymi prawidłami. I jest to jednak sztuka elitarna.

– A co ma jedno do drugiego? Niech pani tylko posłucha.

I zagrał fragment utworu, który Stefania słyszała na jakimś koncercie. Pamiętała, że kompozytor nazywał się Gershwin, a utwór nosił tytuł *Błękitna rapsodia*. Bardzo jej się wówczas podobał.

– Słyszę. I cóż?

Ciekawa była pointy Eugeniusza, ale nie chciała zbyt się ekscytować. Niech nie myśli, że zaimponował jej tego wieczoru.

– Przecież to jest żywcem skopiowane z rapsodii węgierskich Franciszka Liszta! – zawołał Eugeniusz, sam bardzo podekscytowany.

Przypomniała sobie tę scenę teraz, kiedy wchodziła do Wielkopolanki i zobaczyła swojego przyjaciela, „tego prawnika z pudłem”. Wcale nie była już zła na pana Fridmana za te słowa. To niebywałe, jaką emocjonalną ścieżkę przeszła, odkąd po raz pierwszy się spotkali. Wtedy po prostu ją drażnił. Wszystko zmieniło się w ciągu jednego świątecznego wieczoru. Miała jasne poczucie, że spotkała na swojej drodze niezwykłego człowieka, i niedługo trwało, zanim przeszli na „ty”. Chociaż nie stronił od kieliszka, źle się prowadził i włączył z miejsca na miejsce, wiedziała, że tacy jak on nadają koloryt temu światu. Są nie do podrobienia.

Poza tym Eugeniusz był tylko znajomym, więc dlaczego miałoby jej przeszkadzać to, jak się prowadzi? To zupełnie nie była jej sprawa.

– Moja miła przyjaciółko, jak dobrze cię widzieć stąpającą już tak żwawo! – Aleksander wstał na widok Stefanii i podszedł, by ją uściskać. – Patrz, jakie pustki tutaj, ale co się dziwić, zaczął się post.

– Tak, w zasadzie od listopada do kwietnia zawsze trzeba spieszyć się z wyjściami, bo jak nie adwent, to post. – Roześmiała się, próbując się umościć na niewygodnym krześle tyłem do sali.

Przez chwilę złapał ją suchy kaszel. Musiała naprędce chwycić szklanekę z wodą, która stała przed Aleksandrem.

– Oj, oj, oj, czyżbyś się przeziębila na przednówku? – Zafrasował się Miller i dorzucił Belli kolejny kawałek ciastka.

– A nie, bynajmniej, po prostu jakoś tak mam, że od czasu do czasu męczy mnie kaszel. A żeby definitywnie zamknąć tematy medyczne, od razu powiem, że z moją kostką wszystko w porządku, i więcej nie chcę już o tym mówić ani słyszeć.

– Ha, ha! Dobrze, Stefanio, pomówmy o miłszych rzeczach!

– Z miłszych rzeczy to w lipcu wybieram się razem z Heleną i zapewne z Ryfką na wywczas do Gdyni, na zaproszenie Romana Kałuży.

Młody kelner podszedł do ich stolika. Stefania pobieżnie rzuciła okiem na kartę dań, po czym zamówiła kawę i rogalik.

– To wspaniale! Morze Bałtyckie jest fantastyczne, sam byłem kilkukrotnie w Zoppot i muszę przyznać, że takich plaż nie ma nawet na Riwierze Francuskiej!

– Jeśli tak mówisz, muszę wierzyć ci na słowo. Tym bardziej się cieszę, że zobaczę nasze morze i Gdynię. Podobno to niezwykle miasto.

– Tak, powstało na niczym i z niczego, nasz jedyny polski przesmyk do morza.

Miller pochodził z rodziny półniemieckiej, ale tak naprawdę nigdy nie czuł się Niemcem. Nawet jego ojciec, rdzenny Niemiec, swego czasu potentat w produkcji wody selterskiej na dawnych ziemiach zaboru pruskiego, po ślubie zmienił imię z Hans na Jan.

Kelner doniósł kawę i rogalik dla Stefanii i przez moment przyjaciele patrzyli na siebie, sącząc bez słowa swoje napoje. Bella siedziała grzecznie, od czasu do czasu trącając nogę Eugeniusza pyszczkiem, gdy zbyt długo musiała czekać na smakołyk.

– Przekarmisz ją – zawyrokowała Stefania, śmiejąc się do psa.

Faktycznie, Bella była coraz grubsza, co przy gabarytach jej rasy wyglądało dość groteskowo.

– Ach, takie gadanie! Bellunia potrzebuje słodczy, jak każdy z nas. W końcu co nam pozostało na tym padole łez?

Teatralnie przewrócił oczami, ale Stefania wiedziała, że żartuje. „Padół łez” był ostatnim adekwatnym określeniem jego wygodnego, spokojnego i dostatniego życia.

– Ale my tu rozprawiamy o psie, a powiedz mi lepiej, kim jest Eugeniusz. Coś mi się widzi, że robi do ciebie maślane oczy.

Miller nie spuszczał ze Stefanii wzroku i mrugnął do niej zawadiacko. Było mu bardzo dobrze w kawalerskim stanie, ale szczerze pragnął, by jego przyjaciółka ułożyła sobie życie. Sam żył z poczuciem winy, że przez niego Stefania cierpiała, i to wcale nie tak krótko.

– Kim jest, kim jest... Sąsiadem jest i znajomym, to wszystko.

Prawda wyglądała tak, że trudno jej było rozmawiać z Aleksandrem o tej sprawie. Miała poczucie, że człowiek, z którym spędziła Wigilię, i człowiek, o którym sporo się mówiło na mieście, że pijak, a czasem nawet awanturnik, to dwie kompletnie inne osoby. Ponadto nie chciała dzielić się z Aleksandrem wspomnieniami chwil spędzonych z Eugeniuszem. To wszystko było dla niej zbyt ulotne i zbyt intymne.

– Dodajmy: przystojnym, utalentowanym i na pewno nietuzinkowym! – odparł Miller.

– O tak, z całą pewnością nietuzinkowym. Zwłaszcza w kontekście złego prowadzenia się. Helena mówiła mi, a jej z kolei powiedziała to Adela, która dowiedziała się od Tokarskiej, że on z jakimiś metresami prowadzał się po Poznaniu. – Wypowiadając ostatnie słowa, Stefania ściszyła głos.

– No i nie mów, Stefanio, że to cię oburza!

Miller odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tak głośno, że nieliczni goście spojrzeli w ich stronę. Patrzył przez chwilę na kogoś, kto siedział w najdalszym kącie sali. Stefania zauważyła, że jej przyjaciel nagle spoważniał.

– Aleksandrze, czy coś się stało?

– À propos dobrego prowadzenia – mówiąc szeptem, Miller pochylił się nad stolikiem. – Czy to nie Eleonora Trzaska siedzi tam w kącie z jakimś starszym jegomościem?

Stefania zmartwiała jak rażona gromem, po czym odwróciła się, nie zważając na zachowanie dyskrecji. Zobaczyła plecy dziewczyny i jej charakterystyczną krótką fryzurę. Towarzyszył jej dość leciwy, przysadzisty pan. Po ubiorze można było wywnioskować, że całkiem zamożny. Przed nimi stały butelka wina, dwa kieliszki i talerze z niedojedzonymi resztkami ciastek.

– Nie wierzę własnym oczom – mruknęła do siebie Stefania i wstała tak gwałtownie, że jej krzesło przewróciło się z hukiem.

Eleonora jak na złość się nie odwracała. Najwyraźniej zobaczyła nauczycielkę i nie chciała zostać rozpoznana. Stefania bez słowa ruszyła przez środek sali i stanęła przy stoliku, przy którym siedzieli jej uczennica oraz jej towarzysz.

– Dzień dobry państwu! – Niemyjska usiłowała choć w minimalnym stopniu zachować dobre maniery. – Czy pan wie, ile ta młoda dama ma lat?

Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony.

– Za przeproszeniem, a co to panią obchodzi? Kim pani jest, jej matką? – Wstał, ocierając tłuszcz z grubego podbródka. – Ta panna nie jest ubezwłasnowolniona.

– To jeszcze dziecko...! – niemal krzyknęła Stefania, ale zaraz ściszyła głos do półszepotu.

Bądź co bądź, nie chciała robić scen w miejscu publicznym.

– Pani Stefanio, za przeproszeniem, mam szesnaście lat, a to jest moje życie i będę robić, co tylko mi się podoba! – Leosia hardo uniosła głowę i utkwiała zły wzrok w nauczycielce.

– Otóż nie, moja panno. Nie masz jeszcze skończonych szesnastu lat i masz się uczyć, a nie przesiadywać po restauracjach!

Z chwili na chwilę Stefanię ogarniała coraz większa wściekłość. Co też Leosia sobie wyobraża? Taka zdolna dziewczyna, tyle razy wykazała się uporem, wiedzą i mądrością, a teraz nagle rozum jej odebrało? I kim jest ten jegomość? Co się tutaj w ogóle dzieje?!

Dziewczyna ostentacyjnie wstała, a za nią ruszył jej towarzysz.

– Pani Stefanio, za przeproszeniem, proszę się nie wtrącać do mojego życia – dodała na odchodnym.

Stefania stała skonsternowana i – co tu dużo mówić – upokorzona. Ona głupia myślała, że będzie Leosię ratować z rąk jakiegoś draba!

W tej chwili zbliżył się do niej Aleksander.

– Chodźmy już. – Jego głos był spokojny i kojący. – Niepotrzebnieś do nich podchodziła. To prawda, ona ma prawie szesnaście lat, nic już nie wskórasz. Będzie robiła ze swoim życiem, co chce.

Zrezygnowana Stefania podeszła do kontuaru, żeby zapłacić za posiłek. Jej dobry nastrój prysnął wraz ze zniknięciem Leosi z restauracji. Przecież nie będzie za nimi gonić. Leosia nie jest już dzieckiem, ale przesiadywanie w restauracji z dziwnymi typami nie było normalnym zachowaniem panny, nawet tak kontestującej wszystko dokoła jak Leosia. Przecież to jest wbrew jej zasadom. Wszak dziewczyna chciała walczyć o prawa kobiet!

Stefania musi koniecznie coś z tym zrobić.

* * *

– To się po prostu w głowie nie mieści!

Stefania zamasyście machała rękami, po raz kolejny opowiadając Helenie incydent z Wielkopolanki. Stała w drzwiach mieszkania Kałużów, czekając, aż Helena się wyszykuje – planowały jechać do Twardowa i rozmówić się z matką Leosi. Nie wiedziały co prawda, czy ją zastaną, bo była sobota, ale liczyły na to, że łatwo ją znajdą. Różia pracowała całymi dniami w gorzelnii, która, podobnie jak mieszkanie Trzasków, znajdowała się w majątku państwa Żychlińskich. Na szczęście nie był to rozległy teren.

– Jo ta przez nogę by wzięła i lała, a patrzyła, czy ino równo puchnie! – wtrąciła się Adela, wygrażając w powietrzu dużą chochlą.

Stała jak zwykle przy kuchni i coś gotowała. Na nos Stefanii musiało to być białe kwaśne^[86], bo zapach octu przyjemnie drażnił nozdrza.

– To może jednak dobrze, że pani z nami nie jedzie, pani Adelo kochana. – Stefania się roześmiała. – Dziś mamy już nie te metody wychowawcze.

– Nie te? No to widzi, jakie są efekty, że się gelejza z chłopami jakimiś po wyszynkach prowadzi!

Machnęła ponownie, tym razem wyjmując chochlę z dużego garnka. Zupa rozbryzgała się na podłodze. Adela zamasyście wytarła ją leżącą przy angielskiej ścierką. Patrząc na jej energiczne ruchy, Stefania miała wrażenie, że Adela scenę lania odgrywa na własnej podłodze, z braku Leosi pod ręką.

Cóż, Adela się już nie zmieni. Bogiem a prawdą Stefania często miała takie same odczucia względem Leosi, chociaż nigdy nie przyznałaby się do tego na głos. Właściwie zajmowała się dziewczyną z przypadku i głównie przez wzgląd na jej matkę Rozalię, którą znała od lat i z którą życie tak nielitościwie się obeszło.

– Jestem gotowa, chodźmy szybko, bo nam bana ucieknie. – Mówiąc to, Helena sięgnęła po płaszcz i obie zbiegły do drzwi.

Wczesnomarcowe sobotnie popołudnie było naprawdę przyjemne – przechodnie wystawiali twarze do bladego słońca, które miło przygrzewało, wokół przyroda budziła się do życia, a ludzie jakby zwawiej się poruszali w nadziei na kilka miesięcy ładnej pogody. Przed bramą stały wóz drabiniasty i duży automobil transportowy – z tego pierwszego Gellertowie wyładowywali towary zamówione do karczmy. Z automobilu natomiast pracownicy sklepu kolonialnego, w tym pani Tokarska, przenosili różnej wielkości paczki. Egzotyczny zapach kawy i cynamonu mieszał się z zapachem słoniny dolatującym z drugiej strony bramy.

– Ciekawe, czy pan Fridman jest dzisiaj na kolei. Nie słyszałam, żeby grał na pianinie, to pewnie pracuje.

Helena kątem oka spojrzała na ciocię, ciekawa jej reakcji. Stefania była jednak mistrzem kamuflażu i nie dała po sobie poznać, że sama chętnie by z nim pogawędziła.

– Och, kto to wie, on teraz ma różne chałtury, nawet w lokalach w Kaliszu gra i w jarocińskim kasynie. Lubią go tutaj i szanują jako pianistę. Kto wie, może w ogóle zrezygnuje z pracy na kolei? – rzuciła niby od niechcienia.

– A skąd, ciociu, skąd masz takie drobiazgowo informacje o jego życiu, co? – Helena zmrużyła oczy, śmiejąc się szelmowsko.

– Och, przecież jesteśmy sąsiadami, to sobie czasem porozmawiamy, prawda? – odrzekła wymijająco Stefania.

Tak gawędząc, minęły rynek, na którym o tej porze już wzmagął się ruch. Wszyscy, mimo kryzysu – czy to żydzi, czy chrześcijanie – przygotowywali się do świąt, każdy do swoich. Właściciele straganów uwijali się jak w ukropie, by obskoczyć targowisko pleszewskie i inne

okoliczne, włączając w to mniejsze miejscowości, takie jak Chocz, Grab czy Grodzisk. Na straganach można było znaleźć wszystko, czego potrzebowali żydzi do Pesach i katolicy do Wielkiejnocy – białą kiełbasę, cebulę, zeszłoroczne owoce oraz jajka.

– Ryfka niedługo przyjedzie na ich święto. – Helena zmieniła temat.

Wiedziała, że w kwestii Eugeniusza, jakkolwiek by podeszła Stefanię, ta będzie milczeć jak grób. Ciekawe, co tak naprawdę ciocia o nim myślała. Helena bardzo go lubiła i jakoś nie chciało jej się wierzyć nawet w połowę opowieści, które Tokarska przynosiła z miasta i targowiska. A to, że uwiódł jakąś młódkę, a to, że grając w Victorii, zasnął pijany przy pianinie, a to, że wszedł do kościoła i zaczął śpiewać rewiowe piosenki. Dla wszystkich w kamienicy był grzeczny i szarmancki, a że do tego i wyglądał jak aktor filmowy, nic dziwnego, że był bardzo lubiany, zwłaszcza przez żeńską część mieszkańców.

Eugeniusza jednak nie było na stacji. Dziś dyżurował jego zmiennik, pan Czesio, który – w przeciwieństwie do Fridmana – był spokojnym, niewychylającym się człowiekiem, rzetelnie wykonującym swoje obowiązki.

Stefania nie dała po sobie poznać, jak bardzo czuje się zawiedziona. Zabawne, przecież ich mieszkania dzieliło zaledwie kilkanaście metrów, a spotykali się tak rzadko. Może to była jego metoda? Zaprzyjaźnić się z kobietą, oczarować ją, a potem trzymać na dystans? Może w tym właśnie tkwił jego *charm*, który działał na kobiety jak lep na muchy?

Po dojechaniu do Kowalewa podróżniczki przesiadły się do pociągu jadącego w kierunku Poznania. Dotarły do stacji w Kotlinie, niemal nie zamieniając ze sobą słowa. Każda była zajęta swoimi myślami. Choć były sobie bliskie, nie przypuszczały, że ich myślenie biegnie bardzo zbieżnymi torami.

– Jak się układa między tobą a Józkiem? – zapytała Stefania, gdy wysiadły na małej kotlińskiej stacji i zaczęły się rozglądać za jakimś wozakiem.

– Świetnie – odpowiedziała Helena bardzo szybko. Zbyt szybko.

Niemyjska spojrzała na dziewczynę – na jej twarzy zobaczyła jakąś zaciętość, a wręcz zdenerwowanie. Czyżby na Józka? Lub na kogoś innego?

– Oho, to „świetnie” zabrzmiało jak „nie wtrącaj się w moje sprawy, ciociu”.

– Nie, to zupełnie nie tak. W ogóle nie powinnam narzekać, Józek nieba by mi przychylił – wyrecytowała Kałużówna, a jej wypowiedź brzmiała jak nauczony na pamięć wierszyk.

Stefania знаła swoją wychowankę od urodzenia i wiedziała, że ta coś ukrywa. W przeciwieństwie do Heleny, potrafiła ciągnąć za język. W końcu była starsza i mogła sobie pozwolić na więcej. Wypaliła prosto z mostu:

– Ktoś inny pojawił się na horyzoncie?

Helena spłoszyła.

– Zapewniam cię, ciociu, że zupełnie nikt nowy. W ogóle to nie rozmawiamy już na ten temat. O, widzę jakiegoś wozaka!

Helena wskazała palcem smutnego staruszka, który stał obok swojej chabety i klepał ją po szyi. Koń był zaprzężony do zgrzebnego wozu drabiniastego i stał pod rozłożystą lipą, o tej porze całkowicie pozbawioną liści.

– Pięknie potrafiła zmienić temat! – Stefania się roześmiała, po czym mrugnęła okiem do Heleny i machnęła do wozaka. – Zawiezie nas pan do Twardowa?

– Co mom nie zawieźć, jak zawieze – potwierdził flegmatycznie wozak. – Pinć złotych bydzie.

– Dobrze, to jedziemy – odpowiedziała Stefania i obie wgramoliły się na prowizorycznie skleconą tylną ławeczkę na wozie.

Ze stacji kolejowej w Kotlinie miały niespełna pięć kilometrów. Trzeba było przeciąć gościniec, minąć duży cmentarz i skierować się wąską drogą, która prowadziła do wioski, a dalej do Woli Książęcej i na Jarocin. Stefania rozglądała się wokół. Patrząc na łyse pola i nieliczne drzewa, myślała o tym, na ile Leosia Trzaskówna jest tutaj bezpieczna, gdy samotnie przemierza tę trasę.

Do majątku państwa Żychlińskich dotarły po półgodzinnej jeździe. Już z dala słyhać było hałasy dochodzące z gorzelni. Dobiegł je także wszechobecny zapach spirytusu. Helenie przywiódł on na myśl dzieciństwo, które upłynęło wśród stosów bielizny prasowanej żelazkiem spirytusowym. „Paradne, spirytus kojarzy mi się z dzieciństwem!”, zaśmiała się w duchu.

Sam pałac Twardowskich nie był imponujący, chociaż w miarę spory. Powstał zaledwie przed kilkadziesiąt laty i przy odrobinie dobrej woli można go było nazwać modernistycznym. Jego prosta, dwuskrzydłowa bryła bez żadnych ozdób zajmowała centralną część majątku. Tuż obok, przy gorzelni, znajdowały się czworaki zbudowane dla pracowników. To tam od kilkunastu lat Rozalia Trzaska wiodła swój ciężki żywot, wychowując córki i całymi dniami pracując przy butelkowaniu alkoholu. Nigdy jednak nie narzekała. Co więcej, ilekroć Stefania ją widziała, tylekroć miała wrażenie, że pogoda ducha i radość emanują z niej o stokroć bardziej niż od kogokolwiek innego. Jakby Rózia, którą los tak ciężko doświadczył, nauczyła się doceniać to, co ma. Nie miała wiele, ale nikt nie wtrącał się do jej życia. Pracowała ciężko, ale postawiła przed sobą jasny cel: wykształcić obie córki.

Nadto, całe szczęście, nie żywiła żadnej urazy do Ireny Kałużówny. Ba, wielokrotnie powtarzała, że tak naprawdę jest jej dozgonnie wdzięczna. Gdyby nie Irena, kto wie, może do dzisiaj żyłaby z wiarołomnym Leopoldem Trzaską, mężem, który robił, co chciał, traktując ją jak tanią siłę roboczą. Tymczasem od lat mieszkała sama, a o Trzasce słuch zaginął. Ostatnie wieści sprzed lat głosiły, że zszedł się z jakąś panną i wyjechali gdzieś dalej, do francuskiego Lille, gdzie Trzaska zatrudnił się w charakterze urzędnika w górnictwie. „I dobrze, krzyż mu na drogę”, myślała wielokrotnie Różia o ojcu swoich córek, z roku na rok z coraz mniejszą nienawiścią, a za to z coraz większą obojętnością.

Zarówno Stefania, jak i Helena nie wiedziały, które drzwi w czworakach prowadzą do mieszkania Trzasków. Na ławce przed czworakami siedziała stara kobiecina. W ręku trzymała miskę, z której co rusz rzucała ziarno chodzącym koło niej kurom. Kury gdakały, jakby domagały się więcej. Kręciły się tu i ówdzie i płoszyły kaczki, które przychodziły tu z gospodarstwa obok w nadziei, że również uszczkną trochę ziarna.

– Ciip, ciip, ciip, kochanieńkie, ciip, ciip, ciip – wołała kobiecina.

Stefania i Helena wyszukały suche miejsce wśród błota. Zastanawiały się, jak dość suchą nogą do drzwi. Chyba trzeba było mieć gumki.

– Dzień dobry, czy wie pani może, w którym mieszkaniu rezyduje Rozalia Trzaska? – zapytała Stefania grzecznie kobiecinę.

Ta spojrzała na nie podejrzliwie. Chyba nie miała zaufania do „miastowych”.

– Znaczy się mieszko, ja?

Kobieta odstawiła miskę, stęknęła i powoli podeszła do Heleny i Stefanii. W przeciwieństwie do nich obu, ona miała gumowe obuwie.

– Tak, w rzeczy samej. – Stefania poczuła się jak mieszczańka zadzierająca nosa i przez chwilę zrobiło jej się głupio.

– Ło tutaj, dwa drzwi dalej, ale łona tera w robocie jest, w gorzelni, Władzia w szkole, ino z tamtą najstarszą to ni wiem, bo to postrzelone takie, że świnty Boże nie pomoże. – Kobieta założyła ręce i podniosła twarz ku niebu.

– Dziękujemy bardzo.

Helena ujęła Stefanię pod pachę i na tyle szybko, na ile pozwalało im błoto, udały się w kierunku gorzelni. Widać ją było z daleka, dwa kominy fabryki górowały nad całym majątkiem.

W fabryce stężenie zapachu było tak silne, że obie zastanawiały się jednocześnie, czy czasem ci wszyscy ludzie, którzy tam pracują, a było ich całkiem sporo, nie odurzają się już samą wonią spirytusu. Chyba jednak nie, bo praca szła dość wartko.

Stefania wiedziała, że Rozalia pracuje przy butelkowaniu. Przez nikogo niezaczeplane, przeszły w głąb fabryki i zatrzymały się przy wielkiej maszynie, na której stały rzędy butelek z grubego szkła. Taśma ciągnęła się dalej, a na końcu kilka kobiet – wszystkie w białych kitlach i czepkach – ręcznie korkowało każdą butelkę, by potem wsadzić ją do koszyka.

– Róziu!

Stefania podeszła do jednej z pań, które z dala wyglądały identycznie. Poznała ją jednak po niedużym wzroście.

– Łe Jezu, panienska Stefania! – Rozalia zareagowała tak, jakby zobaczyła co najmniej ducha. – I panienska Helena? – dorzuciła, kiedy zobaczyła wychylającą się z za pleców Stefanii Kałużównę.

Szybko odeszła od taśmy.

– Czekojcie chwilę, ja tylko do zmianowej pójde i powiem, że przerwę wykorzystam.

Począpała jeszcze bardziej w głąb sali, gdzie stała wysoka i chuda kobieta w średnim wieku. Jedną ręką podtrzymywała kajet, drugą pisała coś zawzięcie, co rusz śliniąc czubek rysika językiem. Kobiety chwilę porozmawiały i Różia półtruchtem wróciła do Heleny i Stefanii.

Helena nie widywała pani Trzaski zbyt często, ale miała nieodparte wrażenie, że ta jest czymś bardzo zdenerwowana. I nie było to bynajmniej spowodowane ich nagłą wizytą.

– Chodźcie, chodźcie, pójdymy na chwilę do domu, maślanki dobrej wam dam.

Popchnęła lekko obie kobiety i po chwili znalazły się już poza fabryką, na drodze, która prowadziła w dół, do czworaków. „Ktokolwiek budował ten majątek, musiał mieć w głębokim poważaniu swoich pracowników”, pomyślała Stefania, dla której los człowieka, każdego, zawsze był na pierwszym miejscu. Kto to widział, by domy mieszkalne budować w niecce? Przecież wiadomo, że wilgoć i błoto będą się tam utrzymywać cały rok!

– Jak idzie interes? – Stefania nie wiedziała, od czego zacząć. Przecież nie będzie zaczynać z grubej rury. Żal jej było Rózi, która prawdopodobnie o niczym przecież nie wiedziała.

– Dobrze, pan Żychliński dwoi się i troi, żeby interes utrzymać, ale wicie, jak to jest. Jak tera mamy Państwowy Monopol Spirytusowy, to trzeba nieźle się nakombinować, żeby koncesji nie zabrali, państwo wszystkiego pilnuje – opowiadała Różia, kiedy schodziły w kierunku czworaków.

– Co ty mówisz, Róziu, jak to zabrali? Przecież pan Żychliński na własnym terenie prowadzi produkcję, a my nie Rosja Radziecka, żeby zabierać nam prywatne biznesy.

Przemysł spirytusowy interesował Stefanię mniej więcej tyle, ile zeszłoroczny śnieg, ale chciała zachęcić Rózię do mówienia. Jeśli nieco się rozkręci, łatwiej będzie sprowadzić rozmowę na znacznie trudniejsze tematy.

– Wszystko zabiorą, bo to państwo tylko tera pędzić bimber może, ale pan Żychliński jest w tym związku, jak mu tam... Właściciele Gorzelni Przemysłowych i Rektyfikacji, to się jeszcze jakoś broni.

– To dobrze, przynajmniej pracę pani ma stałą – wtrąciła się dotąd milcząca Helena.

Jakoś niezręcznie było jej rozmawiać z dwiema starszymi od niej kobietami, i to o spirytusie. Ponadto cały czas ciążyło na niej piętno matki – ukradkiem zerkała na Rózię, czy aby ta nie patrzy na nią nienawistnie. Ale nie, ciemne, lekko skośne oczy Rozalii Trzaski były łagodne, chociaż jakby przestraszone.

Doszły do czworaków, przy których nie było już ani kur, ani kobieciny. Kury rozeszły się po całym terenie i skubały pierwszą, rachityczną trawę, która pojawiała się w nasłonecznionych i mokrych miejscach. Z dużego fartucha Różia wyciągnęła klucz i machnięciem ręki zaprosiła panie do środka.

Dom na szczęście był murowany, a wewnątrz suche i całkiem przyjemne. Wchodziło się wprost do głównej izby, która jednocześnie pełniła funkcję kuchni i z której odchodziły drzwi do jeszcze jednego pomieszczenia, zapewne sypialni. Było tutaj biednie, ale przytulnie. Okno ozdobiły doniczki z pelargoniami, a na środku stał okrągły stół przykryty obrusem w czerwone maki.

– Siodejcie. – Różia odsunęła krzesła, a sama podeszła do kredensu, z którego wyjęła dwa malowane kubki.

Postawiła je przed Heleną i Stefanią i wprost z kamionkowego naczynia naląła do nich maślanki. Ta była gęsta i pachniała sianem. Różia przyniosła też kilka nierównych pająd chleba.

– Świeżo pieczony – zachęcała Stefanię i Helenę.

Nie trzeba było dwa razy im tego powtarzać. Od rana nie miały nic w ustach, a świeża maślanka i pajda chleba smakowały wręcz niebiańsko.

– Róziu, zapewne się domyślasz, że przyjechałyśmy tutaj nieprzypadkowo. Chciałybyśmy omówić z tobą pewną kwestię.

Stefania dyskretnie wytarła palcami kąciki ust, po czym odsunęła puste naczynie. Różia siedziała z rękami na podolku, a minę miała poważną. Od chwili, gdy ujrzała obie panie, domyślała się celu wizyty. Zawsze niezmiernie lubiła Stefanię, przywodziła jej na myśl czasy, gdy pracowała jako służąca w majątku Tarce. Była wtedy taka młoda i naiwna!

– Tak, wiem, przyjechałyście godoć o mojej Leosi. – Położyła ręce na stole i ciężko westchnęła.

– W rzeczy samej, o Leosi. Zakładam, że z Władzią wszystko układa się dobrze. – Niemyjska uśmiechnęła się, a ten uśmiech miał wyrażać radość i dumę z młodszej Trzaskówny.

– Oj tak, Władzia grzeczno jest, uczy się dobrze, na lofry^[87] nie łązi, istna pociecho z niej.

– Och, Leosia też zapewne jest pociechą. To niezwykle mądra dziewczyna, daleko zajdzie! – Niemyjska próbowała dobrze nastroić Rózię.

Sama też głęboko wierzyła w to, co powiedziała. Leosia jest w trudnym wieku, ale od małego była mądra i zdolna. Zapewne codzienny widok strudzonej, zapracowanej i zdanej tylko na siebie matki nie pomagał w procesie wychowawczym. Niektórzy biorą życie takim, jakie jest, inni się przeciwko niemu buntują. Leosia najwyraźniej należała do tej drugiej grupy.

Różia spojrzała najpierw na Stefanię, a potem przeniosła wzrok na Helenę, która nadal dopijała swoją maślankę. Przez chwilę nic nie mówiła, a w końcu rozłożyła ręce w geście bezradności:

– Co pani godo, pani Stefanio droga, gdzie daleko zajdzie, w tej sytuacji?!

Stefanię zamurowało. W jakiej niby sytuacji? Co Różia ma na myśli? Przecież jeszcze nawet nie zaczęła opowiadać o incydencie ze starszym panem!

– O czym ty mówisz, Róziu? O jakiej sytuacji?

Helena odstawiła kubek i patrzyła najpierw na Rózię, potem na Stefanię. Obie były bardzo zdenerwowane.

– Ech, pani kochana, pewnie nic nie wie – stęknęła Różia, jakby z premedytacją przeciągała pointę swojej wypowiedzi. W rzeczywistości chciała odsunąć moment, w którym będzie musiała powiedzieć, jaka to „sytuacja”.

– Róziu, mówże, proszę, nie trzymaj nas w napięciu. – Stefania mówiła tonem, jakim nauczała podczas lekcji. Kałużówna nie raz słyszała to „mówże, proszę” w szkole. Zaśmiała się w duchu, choć wcale nie było jej do śmiechu.

Różia ciężko wstała od stołu i podeszła do okna. Poprawiła firankę. Po chwili podeszła z powrotem i popatrzyła na twarze obu kobiet. Malowało się na nich przede wszystkim wyczekiwanie.

– Ano, moje drogie panie, Leosia jest przy nadziei.

[79] Właściwie Grand Café-Restaurant, popularna kawiarnia w Poznaniu, istniejąca do 1945 roku.

[80] Zdzisław Jeziorański, od 1942 roku pseudonim Jan Nowak, słynny „Kurier z Warszawy”, w latach 1932–1936 studiował prawo na Uniwersytecie Poznańskim pod kierunkiem profesora Edwarda Taylora.

[81] Do dziś funkcjonujący w melodii rozpoczynającej audycję Polskiego Radia.

[82] Miejsce ćwiczeń wojskowych położone około czterech kilometrów od Pleszewa.

[83] Pieniądzy.

[84] Ówczesna nazwa stacji benzynowych.

[85] W okresie międzywojennym zamiast podatku w paliwie użytkownicy płacili roczny podatek na rzecz Państwowego Funduszu Drogowego.

[86] Rodzaj barszczu białego zaciąganego śmietaną i octem. Popularna potrawa wielkopolska.

[87] Włączyć się bez celu.

VI

– Obawiam się, droga Stefanio, że jakakolwiek pomoc będzie tutaj bezskuteczna – tłumaczył ksiądz Kazimierz Niesiołowski. – Mamy ograniczone pole manewru.

– Ja rozumiem, proszę księdza, ale nie możemy stać z założonymi rękami!

Stefania siedziała w kancelarii domu parafialnego przy kościele ścięcia Jana^[88], u księdza, z którym znała się od lat, jeszcze z czasów Towarzystwa Czytelni Ludowych. Ksiądz Niesiołowski dawno temu pomógł matce Leosi, kiedy ta znalazła się w tragicznym położeniu po ucieczce z Westfalii od wiarołomnego męża. Teraz, po kilkunastu latach, trzeba było pomóc jej córce.

Od czasu wizyty w Twardowie Stefania nie mogła się pozbierać. Leosia przestała pojawiać się w szkole, a Niemyjska nie mogła znaleźć sobie miejsca. Odchodziła od zmysłów, zastanawiając się, co zrobić, by wyprowadzić dziewczynę na prostą. Jakiegokolwiek „spędzenie płodu” nie wchodziło w grę – z tego, co mówiła Rózia, ciąża była już widoczna, to mógł być początek czwartego miesiąca.

Dlaczego Leosia wcześniej nie przyznała się do ciąży? Przecież obecny Kodeks karny – dopiero co znowelizowany – pozwalał kobiecie na aborcję, jeśli ciąża pochodziła z czynu zabronionego^[89]. Bo tego, że ciąża Eleonory

była wynikiem gwałtu popełnionego przez obleśnego, grubego faceta z restauracji, Stefania była całkowicie pewna.

Przez chwilę milczała, rozglądając się wokół. Ksiądz miał obszerną bibliotekę, pełną unikatowych woluminów i wszystko to wyglądało bardzo nobliwie. Jednak bogaty księży księgozbiór był Stefanii w tej chwili obojętny. Miała wręcz wrażenie, że eleganckie wnętrza urąga jej uczuciom i całej tej nad wyraz smutnej sytuacji. Wiedziała, że Leosia nie jest głupia, że na pewno wie, co robi. A jednocześnie czuła, że dziewczyna jest całkowicie niewinna, że została skrzywdzona, a ona, Stefania Niemyjska, dowie się, kto dopuścił się tego czynu.

Westchnęła cicho. Trzeba było znaleźć jakieś rozwiązanie. Choć miała ambiwalentny stosunek do Kościoła, księdza Niesiołowskiego darzyła ogromnym szacunkiem, głównie przez wzgląd na jego szeroko zakrojoną działalność społeczną.

– A Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem? Albo Towarzystwo Pań Świętego Wincentego?

W akcie desperacji Stefania brała pod uwagę wszystkie możliwości. Nie wyobrażała sobie, że Leosia zostanie w twardowskich czworakach. Nie chodziło o to, że tamtejsze były złe, ale na Boga – mieszkanie z nieślubnym dzieckiem w tak małym społeczeństwie narazi ją na okrutny ostracyzm. O niechęci sąsiadów do Rozalii Niemyjska wolała nawet nie myśleć.

Przypomniała sobie sytuację sprzed dwudziestu lat, kiedy nastoletnia Irena Kałuża urodziła Helenę. Ale to jednak było miasto, niemal kamienica zamknięta, a ludzie dookoła zaskakująco życzliwi wobec siebie nawzajem. Nie miała pojęcia, jak jest w Twardowie, ale na wszelki wypadek wolała założyć, że może być jak najgorzej.

– Droga pani Stefanio, ale jak pani to sobie wyobraża? W stacji mamy matki i dzieci, natomiast Towarzystwo Pań zajmuje się głównie sierotami

oraz kobietami z marginesu, które nie mają swojego miejsca na ziemi. Eleonora Trzaska mimo wszystko nie zalicza się do żadnej z tych grup. – Głos księdza był spokojny, a jednocześnie bardzo stanowczy.

Człowiek ten cieszył się ogromnym szacunkiem nie tylko wśród parafian, lecz także wśród wszystkich mieszkańców Pleszewa i okolic, chociaż trudno było nazwać go łagodnym sługą bożym. Znany był ze stanowczości, którą poczytywano za cnotę. Dzięki niej działał tak dużo, a pleszewianie mogli się cieszyć z wielu inicjatyw, które skutecznie doprowadził do końca. Wśród nich prym wiódł imponujących rozmiarów ogród jordanowski.

– Sama nie wiem, proszę księdza. Przecież to jest tragedia dla jej matki... – Stefania oklapła na wielkim rzeźbionym krześle parafialnym. Próbowala już wszystkiego, a teraz zabrakło jej pomysłów.

Ksiądz Niesiołowski wstał zza biurka, poprawił nieduże, okrągłe okulary i przez chwilę, nic nie mówiąc, chodził w jedną i w drugą stronę, niemal jak żołnierz na musztrze.

– A... A jak się na to zapatruje ojciec dziecka? – zapytał nagle.

– W ogóle się nie zapatruje, bo nikt nie wie, kto to jest. Mogę się tylko domyślać! Eleonora milczy jak grób. – Stefania miała poczucie, że wręcz skarży się księdzu.

I tak właśnie było. Trochę miała żal do Leosi, że nikomu nic nie mówiła. I to ona, która jeszcze niedawno czytała książki Krzywickiej^[90]!

– Obawiam się, droga Stefanio, że bez współpracy Eleonory niewiele zdziałamy. Ja oczywiście chętnie pomogę, jeśli sytuacja będzie tego wymagać, teraz jednakowoż Leosi przydadzą się spokój, rachunek sumienia i codzienna msza.

Stefania powoli wstała z krzesła. Prawdopodobnie dotarli w rozmowie do miejsca, w którym nie znajdą konsensusu. Rozumiała księdza, wszak był

duchownym, niemniej ona chciała działać, a nie odprawiać modlitwy. Pospiesznie się pożegnała i wyszła do korytarza kancelaryjnego, gdzie złapał ją atak kaszlu. Była zła sama na siebie. Kaszel stawał się coraz bardziej uciążliwy. I kiedy się pojawił? Wraz z przedwiośnią, kiedy wszyscy inni wokół zdrowieli po zimowych infekcjach.

Leosia z Rozalią czekały na Stefanię na dziedzińcu kościoła. Niemyjskiej przypomniła się pamiętna chwila, kiedy Rózia, brudna, w łachmanach i zaawansowanej ciąży, zjawiała się u nich na Gnieźnieńskiej, z malutką Leosią u boku. Od tego czasu przeszła daleką drogę. Dzielna kobieta.

Leosia siedziała na murku otaczającym kościół i w najlepsze machała nogami, jakby cała sytuacja w ogóle jej nie dotyczyła. Natomiast Rózia, ze złożonymi rękami, patrzyła błagalnie na Stefanię, nie mogąc wydobyć ani słowa.

– Na razie Leosia musi pozostać w domu, nie ma odpowiedniego towarzystwa, w którym czułaby się dobrze. – Stefania postanowiła obrócić wszystko na swoją modłę. W końcu ksiądz powiedział mniej więcej to samo, tylko ujął to inaczej.

– I bardzo dobrze. – Leosia patrzyła spode łba na matkę i Stefanię, a na jej twarzy malowała się złość. Po co ją tu w ogóle ciągnęli, do jakiegoś księdza?! Ona się przecież nigdzie nie zamierza ruszać.

– O Jezusie Nazareński... – stęknęła tylko Rózia, nie rozplatając rąk.

– Róziu, to nic takiego, najważniejsze, by Leosia nie przerywała nauki. A teraz wybacz, czy możesz przejść się na spacer wokół rynku? Chciałabym porozmawiać z Leosią na osobności.

– Pewnie, pani Stefanio. – Trzaskowa rozplotła ręce, poprawiła chustkę na głowie i dość dziarsko ruszyła w stronę rynku, na wprost salonu samochodowego Szewczyńskich.

Stefania podeszła do Leosi, która nie przestawała machać nogami.

– Leosiu – zaczęła cicho. – Proszę, powiedz mi, kto jest... Kto ci to zrobił?

Starła się mówić jak najciszej, żeby nie spłoszyć narwanej Trzaskówny. Nadaremno. Leosia zeskoczyła z murku i wzięła się pod boki.

– Kto mi to zrobił? Razem to zrobiliśmy! A bo to ja nie wiem, skąd się biorą dzieci?! – krzyknęła.

– No właśnie nie wiem, jak mogłaś coś takiego zrobić, wiedząc, jakie będą konsekwencje.

To, że Leosia dobrze wiedziała, co robi, było dla Stefanii trudne do zniesienia. Łatwiej było jej pomagać, kiedy widziała w dziewczynie ofiarę.

– Z ciekawości. – Trzaskówna machnęła ramionami, jakby to wszystko nie dotyczyło jej ciała i życia. – Trochę z przekory – dodała całkowicie szczerze.

– No tak, rozumiem.

Stefanii przypomniały się upojne noce z Dulębą, kiedy jeszcze mieszkała w Poznaniu. Ona tak naprawdę jeszcze bardziej wrywała się konwenansom, wszak dziewictwo straciła w innej epoce, bez zamążpójścia. Gdyby wówczas sprawa wyszła na jaw, najprawdopodobniej odsądzono by ją od czci i wiary.

– A jeśli pani Stefania myśli, że to ten mój towarzysz z restauracji był, to od razu powiem, że to nie on – wypaliła nagle, zbijając nieco Stefanię z pantałyku.

Nie on? To w takim razie kto?! Sytuacja była jeszcze trudniejsza, niż Stefania myślała.

– Leosiu, w jakie towarzystwo ty się wdałaś? Co ty wymyśliłaś?

Pozwoliła sobie na chwilę biadolenia. Właściwie zabrakło jej pomysłów, jak pomóc biednej Trzaskównie. Leosia podeszła do niej

i poklepała ją po ramieniu, jakby to Stefania miała kłopoty i oczekiwała pocieszenia.

– Pani Stefanio, głowa do góry, coś się wymyśli.

W bramie kościoła, przebierając nogami, już czekała na nie Różia.

– No tak, ostatecznie tragedia się nie dzieje, przecież nikt nie umarł – powiedziała Stefania do siebie, ale Leosia to dosłyszała.

– Nie tylko nie umarł, ale i się urodzi! – Mrugnęła do niej i niczym mała dziewczynka wybiegła za bramę kościelną.

* * *

Lusia wyglądała dziś jakoś inaczej.

Feliks miał wrażenie, że zmieniła fryzurę. Chyba miała także nowe okulary...? Z perspektywy ciemnego korytarza niewiele było widać, w każdym razie sekretarka Rudkego na pewno prezentowała się korzystniej niż zazwyczaj, kiedy siedziała za biurkiem zavalonym papierami, otoczona paprotkami i półkami pełnymi kwitariuszy, z malutkimi okularami na czubku nosa i fryzurą, która przydawała jej wyglądu imbryka.

Szewczyński natknął się na nią, kiedy wychodził ze swojego gabinetu, ciężko szurając nogami. Nie miał dziś łatwego dnia – trafili mu się sami pacjenci ze skomplikowanymi schorzeniami albo niepotrafiący precyzyjnie wyjaśnić objawów, a tacy byli najtrudniejsi. A przecież wywiad lekarski, obok badania fizykalnego, to podstawa dobrej diagnozy. Jak może wiedzieć, co komu dolega, kiedy słyszy: „Panie doktorze złociutki, o, tu boli albo tu, pioruna jaśnistego, gdzieś tak tu. A może jednak tu”.

– Dobry wieczór, panie doktorze! Pan do domu? – Czyżby w głosie sekretarki Rudkego słyszał zalotną nutkę?

Chyba tylko mu się wydawało. Odwzajemnił uśmiech, patrząc na Lusię, jakby widział ją po raz pierwszy. Zmiana fryzury spowodowała, że

złagodniały jej rysy twarzy, nie była już taka ściągnięta. Poza tym uśmiechała się lekko, a odkąd ją znał, uśmiech rzadko gościł na jej ustach.

– W rzeczy samej. Nie mogę się doczekać, kiedy tam dotrę. Krzysztofa obiecała dziś pieczeń i pyzy drożdżowe.

Przeszli razem przez długi korytarz i Feliks popchnął ciężkie drzwi. Snop popołudniowego marcowego światła na chwilę rozjaśnił mroki Kasy Chorych. Lusia drobnymi kroczkami wyszła na zewnątrz, cały czas wpatrując się w Feliksa. Odkąd dowiedziała się, że to właśnie Szewczyński wyleczył jej ojca, o sto osiemdziesiąt stopni zmieniła stosunek do młodego lekarza. Ukrywała to przed Rudkem, który najwyraźniej był do niego uprzedzony, ale Feliks wiedział, że w kwestiach administracyjno-organizacyjnych może na nią liczyć, byleby w konspiracji.

„Właściwie to ona jest całkiem niebrzydka”, pomyślał, kiedy szli w milczeniu wzdłuż Kolejowej, by skręcić w lewo i w górę, w ulicę Wrocławską. Miała puszyste ciemne włosy i śmiesznie zadarty nos. Niewiele zdarzyło się okazji, by ze sobą porozmawiać, ale podczas tych kilku spacerów do domu dowiedział się, że ma dwadzieścia osiem lat, mieszka z rodzicami przy Nowym Rynku^[91], czyli zaledwie kilkaset metrów od ich kamienicy, a praca w Kasie Chorych stanowi źródło utrzymania całej jej rodziny.

– Panie Feliksie kochany, pan naprawdę bardzo pomógł mojemu ojcu. On już prawie chodzić nie mógł, a to przecież robotnik najemny, jak nie chodzi, to nie zarabia! – opowiadała szczerze, dysząc lekko.

Feliks wcale nie szedł szybko, ale że był bardzo wysoki, a Lusia dla odmiany niska i drobna, musiała zrobić dwa razy więcej kroków niż on.

– Pani Lusi, to moja praca, nie zrobiłem nic nadzwyczajnego. – Popatrzył na pędzącą obok Lusię i lekko zwolnił kroku. – A wie pani, że to się nazywa choroba królów?

– No patrzcie państwo, a to dlaczego? – Zaśmiała się głośno. A to nowość! Odkąd poznał ją w zeszłe wakacje, ani razu nie zaśmiała się na głos. Widocznie fluidy Rudkego tak na nią wpływały.

– Ponieważ najczęściej spowodowana jest nadmiernym spożyciem mięsa lub alkoholu – zaczął jej tłumaczyć, ale po chwili zdał sobie sprawę, że chyba popełnił gafę.

Lusia przestała się śmiać i patrzyła prosto przed siebie, na wznoszącą się ulicę Wrocławską.

– No tak – odpowiedziała tylko, a Feliks wolał nie ciągnąć tematu. – Ale niech pan nie myśli, że mi pan jakąś przykrość sprawił. To zwykła rzecz, wie pan, jak w naszym Pleszewie jest. – Zebrała się po chwili, a jej głos znów wpadł w szczebiot.

– Wiem, niestety, całe życie obcowałem z karczmą Gellerta. Pan Josif to dobry człowiek, ale pijaństwo u niego okrutne. Chociaż matka opowiadała mi, że kiedyś było jeszcze gorzej.

– Kryzys teraz mamy.

– Pani Lusi, a kiedy my nie żyliśmy w kryzysie? Odkąd sięgam pamięcią, zawsze słyszę o jakimś kryzysie. – W jego głosie pobrzmiwała nuta gorczy.

Wiedział, że sam jest w tej uprzywilejowanej grupie, która najmniej odczuwała zapaść gospodarczą na świecie. Jednak większość otaczających go ludzi w jakiś sposób została nią dotknięta. Szczególnie dotyczyło to osób z najniższymi kwalifikacjami, a przecież wielu ludzi wróciło z emigracji, bo tam, w Niemczech i we Francji, kryzys był jeszcze gorszy.

– Dzień dobry! – Z refleksji nad stanem rynku pracy w Wielkopolsce wyrwał go znajomy głos.

Poczuł, że robi mu się gorąco. Helena Kałuża najwyraźniej wychodziła ze swojego biura – była elegancko ubrana, a w ręce miała torebkę. Jakże

mógł zapomnieć, że ona pracuje na Wrocławskiej! A mogli przejść sobie z Lusią w kierunku rynku ulicą Ogrodową. Od pamiętnego spotkania w październiku, kiedy niemal wpadł na Helenę i Józka, starał się unikać spotkań z Kałużówną. Wystarczyło to jedno spotkanie, żeby jego misternie budowany zamek na piasku natychmiast runął. Co on sobie zresztą wyobrażał – że po latach jego nieobecności padną sobie w objęcia? Przecież ona tutaj miała swoje życie i znajomych. Po jego powrocie ze studiów spontanicznie rzuciła mu się na szyję jeden, jedyny raz, na samym początku. Potem jej stosunek do niego zmienił się diametralnie. No tak, Józek to przystojny i sympatyczny chłopak, nie można powiedzieć. Czy całymi latami miała czekać na niego, przyjaciela z dzieciństwa, skoro ten nigdy nie dawał jej do zrozumienia, jak bardzo mu się podoba?

Od października minęło już niemal pół roku, a on wykonał mnóstwo pracy, żeby przestać maniakalnie wystawać przy oknie tylko po to, by ją zobaczyć z daleka i rozmyślać, jak mógłby zaaranżować niby przypadkowe spotkanie. To wszystko nawet mu się udawało, a popołudniowy spacer z Lusią aż do tego momentu sprawiał mu przyjemność.

– Dzień dobry, Heleno! – odpowiedział miło, ale bardzo sucho.

Zresztą Helena też nie wyglądała, jakby była zachwycona tym spotkaniem.

– Pozwól, że przedstawię ci moją przyjaciółkę z pracy. Lucyna Grzybek.

Na dźwięk słowa „przyjaciółka” Lusia skłoniła się i nieśmiało wyciągnęła rękę do Heleny.

– Helena Kałuża. – Dziewczyna energicznie uściskała małą dłoń Lusi, aż ta cała się zatrzęsała.

Wyraz twarzy Heleny zaskoczył Feliksa. Wyglądała niemalże tak, jakby odbywała oficjalną wizytę u królowej angielskiej.

– Może drogie panie się znają, wszak obie chodziłyście do szkoły na Ogrodowej? – próbował podtrzymać rozmowę w przyjaznym duchu.

– Znam Helenkę tylko z widzenia. To wnuczka prasowaczki Adeli, prawda? – W głosie Lusi nie było pogardy, ale Helena odczuła, że przyjaciółka Feliksa chce ustawić ją w szeregu.

– Tak, owszem, najlepszej – odpowiedziała hardo. Nie zamierzała bynajmniej wstydzić się zawodu babci. – Dotychczas nie miałam przyjemności poznać pani, pani Lucyno.

– Ja chyba jestem dużo starsza, jeszcze za Niemca do szkoły chodziłam – wyjaśniła.

Ruszyli we troje w kierunku rynku, ale żadne nie odzywało się ani słowem. Feliksowi zabrakło tematów do wspólnej rozmowy, a panie zachowywały się, jakby były na siebie obrażone.

– Wiecie co, już was zostawię, podlecę na Ogrodową do cioci Stefanii. – Helena nagle zrobiła zwrot w kierunku ulicy Zamkowej. – Wy sobie tam spacerujcie, uszanowanie!

Oddaliła się szybkim krokiem. Feliks przez chwilę stał, nic nie mówiąc, Lusia również była milcząca. Pojawienie się i zniknięcie Heleny były tak gwałtowne – albo jemu tylko tak się wydawało – że zbiły go zupełnie z pantałyku.

– Chodźmy, Lusi, w domu czeka na mnie pieczeń – zwrócił się do koleżanki i dłonią lekko popchnął ją w stronę rynku.

* * *

Drzwi do sklepu kolonialnego Szewczyńskich przeciągle skrzypnęły, a egzotyczny zapach przypraw, kawy i owoców z dalekich krajów uderzył w nozdrza zaraz po przekroczeniu progu.

Stefania nieczęsto odwiedzała ten przybytek, bo też za bardzo nie miała ku temu powodów. Ostatnim razem, kiedy kupowała tutaj produkty do upieczenia strucli, biedne ciasto wylądowało w błocie. Niemyjska – twardo stąpająca po ziemi i odrzucająca wszelkie gusła i przesady – ubzduriała sobie wówczas, że ponowny zakup rodzynek spowoduje kolejne nieszczęście w jej życiu.

Bogiem a prawdą to „nieszczęście” przyniosło jej znajomość z Eugeniuszem. A z drugiej strony: co to za znajomość, skoro widywali się tylko sporadycznie? On wiecznie chałturzący po okolicy bądź też pracujący na kolei, a ona jak zwykle zaangażowana w ratowanie świata. A konkretnie Eleonory Trzaski.

– O, pani Niemyjska, dzień dobry!

Stara pani Tokarska krzątała się za kontuarem. Do wielkiego słoja wsypywała kolorowe karmelki, nad którymi unosił się pudrowy dymek. Tokarska co rusz kichała, jakby zażyła mocnej tabaki.

– Dzień dobry, pani Tokarska.

Starsza sąsiadka miała na imię Zofia, ale nikt tak do niej nigdy nie mówił.

– Co tam panią do mnie sprowadza, pani Stefanio kochana?

Karmelki zapełniły cały słoje, a Tokarska rzuciła worek na ziemię i chwilowo zajęła się wachlowaniem powietrza nad słojem, żeby rozproszyć nieznośną mgiełkę.

– Chciałabym kupić trochę kawy. Wie pani, Wielkanoc idzie, trzeba to jakoś uczcić.

– Ja, ja, dobra kawa nie jest zła, ale co pani Niemyjska, kawę tylko pani będzie kupowała? Toż to Wielkanoc jest, co se pani odmawiać będzie! Może rodzyneków jakichś albo o! – Sięgnęła do słoja stojącego za jej plecami. – Nawet daktyle mamy, na sztuki sprzedajemy.

– Dziękuję, chwilowo kawa mi wystarczy.

Wizja strucli w kałuży i skręconej kostki była wiecznie żywa, a lichy nie śpi. „Lepiej nie wywoływać wilka z lasu”, pomyślała.

– Nawet Gellertowie na te swoje Paschy też już owoce kupili, oni jakieś tam inne potrawy robią – opowiadała Tokarska, przesypując pachnące ziarna z kamionkowego słoika z napisem „Kaffee” do niedużej torebki. Zapach kawy mieszał się z wonią pudrowych karmelków, przyjemnie drażniąc kubki smakowe. – Szanowny pan Szewczyński zaś to wszystkiego więcej do składu^[92] zamówił, żeby na Wielkanoc mieli. Kałużowa najmniej kupiła, łona tylko trochę rodzynków wzięła i szlus.

W ciągu minuty Stefania zdążyła dowiedzieć się ze szczegółami, kto z kamienicy co kupił i w jakich ilościach. Tak było od zawsze, odkąd Stefania wprowadziła się na Gnieźnieńską, czyli późniejszą Piłsudskiego. Życie Tokarskiej od lat ograniczało się do przekazywania wiadomości o sąsiadach innym sąsiadom. Kobieta czerpała z tego prawdziwą przyjemność i chociaż Stefania czuła się nieswojo i denerwowała ją ta paplanina, w gruncie rzeczy lubiła starą sąsiadkę, bo była pocziwa i uczynna.

– Ile się należy? – Odebrała torebkę od Tokarskiej i zaczęła grzebać w portmonetce.

– Dwa złote, pani Niemyjska kochana. A u pani co słychoć?

Stefania miała nadzieję, że uniknie tego pytania, i chciała załatwić sprawę jak najszybciej. Jednak przed Tokarską nie dało się tak łatwo uciec. Kiedy nie było jej w sklepie, to siedziała na ławce, a jej bezpośrednie pytania zbijały z pantafelku tak szybko, że człowiek nawet nie zdążył się zorientować, a już śpiewał o swoim życiu jak na spowiedzi świętej.

– Och, nic takiego. Wie pani, codzienność, praca, dom, praca, dom.

Nie opowie przecież pani Tokarskiej o problemach z Leosią, bo za dwie godziny będzie o tym huczało całe miasto.

– Och, pani to jest dobra somsiadka, taka spokojna, kulturalna. Białasowie i Kałużowa też. Ino z tym Eugeniuszem cały czas jakieś kłopoty są!

Stefanii zadrżała ręka, gdy wkładała torebkę do dużej siatki. Z Eugeniuszem...?

– Z panem Fridmanem? Jakie mogą z nim być problemy? Bójek chyba tu nie wszczyna? – Starła się, żeby jej głos był jak najbardziej obojętny.

– Niby nie, on tutaj to greczny taki, uczynny, że tej. Ino za tą bramą to chyba jakby pierun jaśnisty w niego trafił, a przecie dostał po klucze^[93], jak go z roboty wywalili w Poznaniu.

– Och, pani Tokarska, każdy z nas ma swoje grzechy przeszłości. – Stefania uśmiechnęła się łagodnie.

Przez chwilę starała się zobrazować sobie grzechy przeszłości pani Zofii, ale jej wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko.

– Pani nie godo, pani Niemyjska, jo ta swoje widziołom i swoje wiem. Mówiła mi jedna taka, co w Victorii pracuje, że on pijany często brzdąka na tym swoim pianinie. A jak raz sama widziołom, że albo z jedną taką lafiryndą się prowadzi, albo z drugą. A pani wie, że pełno ich tu wciąż po tych zamtuzach^[94], co to na Kaliskiej jeszcze za Niemca były.

Stefania poczuła, że jej nerwy napinają się jak postronki. Miała dosyć tych opowieści. Co ją obchodzi, co robi Eugeniusz Fridman po godzinach? Dla niej mógłby nawet dom publiczny na Piłsudskiego prowadzić. To nie jej życie, nie jej rodzina i nie jej sprawa.

– Och, pani Tokarska, już naprawdę bardzo się spieszę. – Wcisnęła byle jak torebkę z kawą do siatki. – Dziękuję za pogawędkę, a jeśli się już nie zobaczymy, to wesołych świąt życzę!

– Co się mamy nie zoboczyć, jak się zoboczemy – stęknęła Tokarska, wkładając z powrotem słoje z kawą na półkę. – A pani Niemyjska to lepiej na tego Fridmana uwoża, bo on jeszcze gotów panią zbałamucić. Z takim to nigdy nic nie wiadomo!

Stefania przystanęła na chwilę, kilkakrotnie odkaszlnęła, zamasyście otworzyła drzwi, po czym odwróciła się do Tokarskiej.

– Mnie się tak łatwo zbałamucić nie da.

Zeskoczyła z progu, a drzwi zatrzęsły się za nią z hukiem.

* * *

W mieszkaniu Gellertów aż kurzyło się od marcowego „wykoszerowania”^[95]. Ryfka przyjechała już kilka dni przed samym Pesach, żeby pomóc rodzicom w przygotowaniach, ale odkąd zaczęła studiować, własna matka zaczęła traktować ją w domu jak gościa.

– Ty się, Ryfka, za bardzo nie przemęczaj. Ty lepiej siadaj i się ucz tych swoich kodeksów – mawiała, gdy córka oferowała pomoc w szorowaniu garnków lub w układaniu w spiżarni.

– Ale mame, ja już mam wiosenne egzaminy zdane, a sprzątanie to jest tradycja i dla mnie odpoczynek! – stawiała się Ryfka, ale stawianie się Esterze na ogół było bezcelowe, o czym najlepiej wiedział jej mąż Josif.

Oprócz domowych porządków Gellertowie zarządzili również porządne szorowanie w karczmie, mimo że ten przybytek był absolutnie niekoszerny i przeznaczony głównie dla osób zupełnie innego wyznania niż oni sami.

– Pani Adelo kochana, pani słucha – tłumaczył sąsiadce z góry, gdy ta schodziła akurat z praniem. – Nasz pan Bóg patrzy z góry i widzi, że ja, skromny Josif Gellert z Pleszewa, mam taki gasthaus i to moje, żydowskie gasthaus jest, no więc jak ja mogę nie wykoszerować mojego gasthaus, jak pan Bóg wszystko widzi? – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– A że pan niekoszerne mięso tam sprzedaje, to pan Bóg nie widzi? Bo to przecież kiełbasa z chabasu świńskiego zrobiona. – Adela zbyt długo znała się z Gellertami, żeby jakiegokolwiek certolenie się wchodziło w grę.

Całe lata temu Gellertowie bardzo jej pomogli, zatrudniając ją w charakterze kelnerki i sprzątaczką w karczmie. Ledwo wówczas wiazała koniec z końcem, żeby utrzymać siebie i Helenę w czasie wielkiej wojny. I chociaż już od lat nie pracowała w karczmie, a jej stopa życiowa znacznie się podniosła, szczególnie po tym, jak Helena poszła do pracy, Adela niezmiennie darzyła sąsiadów z pierwszego piętra ogromnym szacunkiem i czuła do nich wdzięczność za okazaną pomoc.

– Tutaj, uważa pani, pan Bóg ma więcej zrozumienia, bo pojmuję, że zarabiać uczciwie dobremu żydowi, żeby majątek swój powiększał i dzieci kształcił, to najważniejsza rzecz jest. Tak że dos is der fal^[96].

– No, jak tak sprawa wyglunda, to co robić, sprzuntać trzeba.

– A nie chciałaby Adela trochę złotych zarobić i pomóc mojej Esterce w tym wykoszerowaniu? Bo ja to nawet malować ściany będę. Moja froy zarządziła, to ja pomaluję, ale tsayt^[97] brakuje, żeby wszystko skończyć, oj brakuje.

Adela postawiła kosz z praniem na ziemi, podparła się pod boki i chwilę pomyślała.

– Jo ta bejmów nie potrzebuję, ale jak trzeba, to ja wam, somsiad, pomogę, to żaden problem – orzekła po chwili.

– Adela pomoże? To mecujan^[98], to ja lecę mojej Esterce nowinę przekażę i jak Adela może, to Adela przyjdzie do nas jak najszybciej.

Gellert wbiegł do swojego mieszkania. Najwyraźniej odpowiedź Kałużowej niezmiernie go zadowoliła, bo ledwo Adela podniosła kosz, żeby znieść go na dół, a już za drzwiami usłyszała podniesiony głos sąsiada, oznajmiającego żonie, że Adela im pomoże, i to fray^[99]!

Sprzątanie odbywało się nie tylko u Gellertów. U Tokarskich pani Zofia wywiesiła na ramie poręczy od zewnętrznych schodów wszystkie pierzyny do wietrzenia. Białasowa pucowała okna i podłogi, a Pelagia i Krzysztofa przez kilka dni wносиły na podwórko wszystkie po kolei dywany państwa Szewczyńskich. Miarowe odgłosy trzepania dochodziły do uszu sąsiadów kilka godzin dziennie.

Jedynie w mieszkaniach Eugeniusza i Stefanii nie działo się nic, co nosiłoby znamiona przygotowań do nadchodzących świąt. Helena skrupulatnie korzystała z azyłu u cioci. Wpadała od czasu do czasu na herbatkę, a po przyjeździe Ryfki przyszły we dwie. Taka okazja nie zdarzała się często, dlatego Stefania wyjęła z przepastnej szafy kuchennej karafkę z pigwową nalewką i trzy kieliszki.

– Bardzo się cieszę, że możemy sobie razem posiedzieć – powiedziała z uśmiechem.

Patrzyła z przyjemnością a to na Helenę, a to na Ryfkę i zachodziła w głowę, kiedy jej małe podopieczne zdążyły tak wyrosnąć. Zarówno Kałużówna, jak i Gellertówna były już kobietami i każda z nich – tak jak ona kiedyś – sprawiała wrażenie, że wie, czego chce. Wiedziała, że dziewczęta stoją dopiero na początku drogi. Jednak w przeciwieństwie do niej miały znacznie większe możliwości. Ona mogła najwyżej walczyć o to, żeby kolejne pokolenia kobiet mogły po prostu normalnie żyć.

– I jak, Ryfko, na studiach? Ciężko jest?

Pigwówka była lekko cierpka, ale doskonale rozgrzewała, a Stefania miała wrażenie, że jest jej ostatnio wiecznie zimno.

– Ciężko to nawet nie, ale trzeba się dużo uczyć. Wkuwanie i wkuwanie. Na pierwszym roku to głównie prawo rzymskie i człowiek ma wrażenie, że mu się kodeksy i paragrafy zlewają w jedno.

Ryfka studiowała dopiero kilka miesięcy, ale Stefania już teraz miała wrażenie, że dziewczyna bardzo się zmieniła. Nie tylko wysmukłała, lecz także inaczej się zachowywała i nosiła. Nadal miała na głowie marcelowskie fale, ale włosy nieco jej odrosły i spadały teraz miękko na ramiona. Wyglądało na to, że podkreślała sobie oko czarną kreską.

– Początek studiów zawsze jest najtrudniejszy, przynajmniej tak słyszałam, bo nie było mi dane studiować na uniwersytecie.

Stefania zaśmiała się, ale w jej głosie nie było zgorzknienia. Szkoła Ludwiki, bądź co bądź, dała jej solidne wykształcenie, przynajmniej na miarę tamtych czasów.

– Ja to bym nawet wkuwać mogła, byleby mi pozwolili studiować. – W głosie Heleny dla odmiany można było wyczuć spory żal.

Ryfka szturchnęła przyjaciółkę ramieniem i popatrzyła na nią pobłażliwie:

– Ile będziemy to jeszcze wałkować, co, Helena? Ty tutaj potrzebna jesteś, każdemu jego los w jego miejscu pisany – zakończyła niemal tak, jakby to powiedział jej ojciec.

Wszystkie zaśmiały się w głos i przez chwilę atmosfera zrobiła się iście biesiadna. Stefania dołała kolejną porcję alkoholu i wszystkim trzem zaczęło już delikatnie szumieć w głowach. Gdzieś wokół nich, w swoim rytmie, toczyło się prawdziwie wielkopolskie życie, w którym wszystko musiało być na czas poukładane i posprzątane. Dywany musiały być wytrzepane do ostatniego pyłku, a ciasta drożdżowe „z kruszanką” upieczone tak, żeby zadowolić podniebienia wszystkich biesiadników. Tymczasem one, trzy kobiety, w tym dwie bardzo młode, a jedna dojrzała i po przejściach, wymknęły się z tego nurtu, by za chwilę wrócić do niego z pokorą i szacunkiem dla wszystkich, którzy przez lata te tradycje kultywowali.

– Dziewczęta, dość tych zmartwień i frasunków. Lepiej mi powiedzcie, jak tam wasze życie uczuciowe! – Po kilku kieliszkach nalewki Stefani rozplątał się język.

Łatwo jej było zadawać pytania, ale jakiegokolwiek bodźce docierały do niej o wiele później. Dlatego też dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że chyba palnęła gafę. A wydawało jej się, że to taki niewinny temat do dyskusji! Zarówno Helena, jak i Ryfka siedziały nieruchomo. Każda tępo wpatrywała się w swój kieliszek, ozdobiony pięknym srebrnym rantem. Był to spadek po rodzicach Stefani. Przywieźli je lata świetlne temu ze swojej podróży poślubnej, podczas której odwiedzili większość najważniejszych europejskich metropolii, w tym włoskie Murano^[100]. Sama nie mogła uwierzyć, że jej rodzice kiedyś byli zakochaną parą. Zapewne nie byli, natomiast ktoś świetnie skojarzył to małżeństwo i tyle.

– Spotykam się z Józkiem i tak jest dobrze. Babcia Adela jest zadowolona i ja też... jestem zadowolona, że ona jest zadowolona – pierwsza odpowiedziała Helena.

Stefania popatrzyła na swoją wychowankę i parsknęła nieopanowanym śmiechem.

– O, ho, ho, to nie brzmi dobrze!

– Wiecie, co wam powiem? – ciągnęła Helena. – Nie ma co za bardzo się nad tymi sprawami zastanawiać, trzeba brać życie takim, jakie jest.

Oparła się o krzesło i spojrzała najpierw na Stefanię, później na Ryfkę, niemal jakby wygłaszała przemówienie.

– Tak naprawdę to w życiu trzeba urządzać się tak, żeby w każdej sytuacji móc liczyć na siebie. Bo na końcu i tak zostajemy sami.

– To zrozumiałe, ale co ma jedno do drugiego? – Ryfka co prawda wypila najmniej, ot tyle, żeby rodzice nie zauważyli, ale miała wrażenie, że jej głowa zrobiła się ociężała. Myślenie niestety również.

– Ja bym raczej powiedziała, żeby po prostu przede wszystkim myśleć o sobie. Zachować zdrowy egoizm. – Stefanii przypomniały się miesiące, ba, lata całe, kiedy cierpiała po cichu z powodu niespełnionej miłości do Aleksandra.

Teraz, po latach, nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Wówczas nie myślała o sobie, ale oddawała się pielęgnacji cierpienia, smutku i bólu. Gdybyż wtedy wiedziała to, co teraz, o ile łatwiejsze byłoby dla niej życie!

– Tak, to miałam na myśli. Pielęgnowanie niezdrowych uczuć do niczego nie prowadzi. Nie da się kogoś zmusić, by nas... by obdarzył nas uczuciem. – Helena westchnęła, drapiąc zawzięcie dziurkę w obrusie z klockowym haftem.

– Heła, ale jak to w końcu z tobą jest? Ja mam nadzieję, że w głowie ci nie namieszałam, jak powiedziałam ci kiedyś, żebyś rozejrzała się dookoła. – Ryfca przypomniała się scena z dworca, do której już nigdy więcej nie wracali.

Zawsze myślała, że mówi Helenie o sobie wszystko, a ta odwdzięcza jej się tym samym. Tymczasem zdała sobie sprawę, że w zasadzie nic nie wie o uczuciach przyjaciółki. Żyła w przeświadczeniu, że jakoś się Helenie z tym Józkiem układa, a Feliks istnieje dla niej tylko jako przyjaciel.

– Nijak jest, tak samo. W pewnym momencie ubzdurałam sobie, że faktycznie, tak jak mówiłaś, że... ulokowałam uczucia gdzie indziej, i to z wzajemnością. Ale się myliłam – dokończyła cicho Helena. Sięgnęła po kieliszek i jednym haustem wypila resztę nalewki. – Myliłam się co do tej wzajemności.

Obie w mig zrozumiały, o co Helenie chodzi, jednak żadna z nich nie miała nic mądrego do powiedzenia.

– Tylko ty nie myśl, Ryfka, że to twoja wina, to ja sama tak myślałam. Ale zamykam ten temat i do widzenia – Uśmiechnęła się do przyjaciółki, na

której twarzy malował się frasunek.

– To niebywałe! Odnoszę wrażenie, że możemy być w podobnej sytuacji – niespodziewanie głos zabrała Stefania. – Ja również ubzdurałam sobie, że komuś się podobam. Tak, tak... – Znad okularów popatrzyła na dziewczęta. – Nie myślcie sobie, że w moim wieku to się nie zdarza, bo zdarza się, a ja się jeszcze na tamten świat nie wybieram.

– No, i co było dalej? – przerwała jej Helena, nagle ożywiona.

– No i po prostu to wszystko sobie ubzdurałam, ha, ha! – roześmiała się w głos Niemyjska. – Na szczęście mam wystarczająco dużo lat i rozumu, żeby z takiego powodu nie rwać sobie włosów z głowy. Tym bardziej że na początku nie znosiłam... tego kogoś.

– Oj, ciociu, przecież my tu wiemy, o kogo chodzi. – Helena złapała przez stół szczupłą rękę opiekunki. Ta była ciepła i lekko wilgotna. – Pamiętam, jak go nie znosiłaś jeszcze kilka miesięcy temu i jak się ostatnio zachowywałaś, jakeśmy go czasem przypadkowo spotkały.

– No właśnie, tak to już jest z czarującymi draniami.

Stefania wstała od stołu i swoim zwyczajem zaczęła chodzić tam i z powrotem, na tyle, na ile pozwalały jej nieduże gabaryty saloniku.

– Niezła draka. Widzę, że nie tylko wy dwie, ale i ja mogę wstąpić do tego klubu prawie złamanych serc.

Ryfka odsunęła nieco krzesło i założyła nogę na nogę. Stefania wyobraziła ją sobie ubraną w spodnie i z papierosem w ręku. Nawet bez tych atrybutów Ryfka wyglądała jak pewna siebie kobieta, która nie musi kryć się za parawanem konwenansów i tradycji.

– Kilka sytuacji życiowych, przez które miałam kłopoty, sprawiło, że ja również wyimaginowałam sobie, jakobym podobała się jednemu chłopcu. – Podparła podbródek na rękach i przez chwilę spoglądała w okno, w którym delikatnie falowała muślinowa firanka poruszana wiosennym

wietrzykiem. – I owszem, lubi mnie bardzo, ale jako partnerkę do rozmów o prawie, praworządności i polityce.

– To akurat dobrze, wielu mężczyzn w ogóle nie rozmawia z kobietami na te tematy. – Stefania usiadła za stołem.

Od czasu do czasu pokasływała. Sięgnęła do papierośnicy leżącej tuż obok, ale po chwili zrezygnowała. Znowu ją złapie kaszel, a nie chciała robić scen przy dziewczętach. Zdecydowanie musi odstawić palenie, nie służy jej ostatnio.

– Tak, ale ja chciałabym z nim rozmawiać nie tylko na tematy stosunków polsko-żydowskich i pogarszającej się sytuacji w Niemczech w związku z powołaniem na stanowisko kanclerza nacjonalisty Hitlera – odpowiedziała gorzko Ryfka.

Stefanii ponownie przypomniała się sytuacja z Aleksandrem i zaśmiała się w duchu. Ona również czekała tygodniami, aż Aleksander zacznie z nią rozmawiać o uczuciach, a on ciągle opowiadał o rodzącej się państwowości. I co z tego, że ją również to interesowało, skoro wtedy, właśnie w tych konkretnych momentach spędzonych tylko z nim, ona woląла raczej, by ją porwał w objęcia i zdarł z niej ubranie, a nie rozprawiał o Józefie Piłsudskim?

O Ryfce Niemyjska nie wiedziała zbyt wiele. Helena była lojalna wobec przyjaciółki i milczała jak grób. Stefania zapytała:

– To jakiś twój kolega ze studiów?

– Tak, nazywa się Zdzisław Jeziorański, przyjechał na studia z Warszawy i jest piekielnie zdolny – westchnęła. – To on kilka razy wyciągnął mnie z opresji spowodowanych dokuczaniem nacjonalistycznych organizacji studenckich.

– To akurat jest bardzo poważny temat, Ryfko, i myślę, że powinnaś mu być wdzięczna. – Stefania nagle spoważniała.

Z tych dziwnych rozrób na uniwersytetach wyniknie coś złego, czuła to.

– Tak, wiem. Dlatego odpędziłam myśli o jakichkolwiek miłostkach. Skupiamy się na pracy, a profesor Taylor, nasz mentor i założyciel wydziału, jest z nas niezwykle zadowolony.

– I to najważniejsze, Ryfko, udowodnij im, że jesteś najlepsza! – Stefania podniosła pusty kieliszek do toastu. – W gruncie rzeczy nad czym my tu biadolimy. To nie są poważne problemy wobec tych, o których wspomniała Ryfka, i wobec takich nieszczęść, jakie spotkało chociażby Leosię.

– Na czym stanęły sprawy? – Helena do dziś pamiętała wyraz twarzy pani Rózi Trzaski.

Mimo wrodzonego optymizmu stan błogosławiony córki, tak przecież młodej, przybił ją kompletnie.

– Na niczym – odpowiedziała krótko Stefania. – Jak na razie próbuję tylko dostarczać Leosi materiały ze szkoły, żeby nie straciła nic z nauki. Poproszę panią przełożoną, by mogła zdawać egzaminy zaliczające rok bez narażania jej na chodzenie do szkoły w tym stanie. Ale co Leosia planuje, tego nie wiem. Zacięła się.

Zegar ścienny wybił szóstą. Helena zerwała się od stołu.

– Rany Julek, muszę lecieć pomóc babci, bo babcia sprząta w karczmie!

– Oj, ja też, rodzice mają jeszcze dużo pracy przed Pesach.

W przeciwieństwie do Heleny Ryfka podniosła się wolno, jakby wcale jej się nie spieszyło.

– Pewnie, lećcie dziewczęta, lećcie, mam jeszcze swoje pisanie. – Stefania wskazała brodą na maszynę stojącą jak zwykle na końcu stołu.

Dziewczyny podeszły do drzwi, zza których było słychać trzepanie dywanów.

– A co do Leosi. – Helena odwróciła się nagle do opiekunki. – Ja z nią porozmawiam. Może mi coś powie.

* * *

Nowy ford A stał na środku warsztatu i błyszczał każdą starannie wypolerowaną chromowaną częścią. Szef majstrów, pan Foltyński, cmoknął z uznaniem:

– Niezła maszyna, panie tego, niezła i do tego z takim silnikiem! – rozprawiał pod nosem, a stojący obok Feliks nie wiedział, czy mówi do siebie, czy do niego.

– Tak, świetny samochód – przytaknął, chociaż na motoryzacji znał się tyle, co od kilku tygodni zdołali mu przekazać ojciec oraz pan Rzeczycki na kursie dla szoferów w Automobilklubie Wielkopolskim w Kaliszu.

– Szkoda, panie Foltyński, żeś nas pan nie widział, jakeśmy go z Gdyni prowadzili. – Leon Szewczyński wyszedł z niedużego biura i podszedł do obu panów, śmiejąc się jednocześnie tubalnie. – Muszę powiedzieć, że Feliks spisał się na medal!

– Jak wyście go dotorgali, to jo nie wiem, przecie to bez siedzeń przyjechało.

Foltyński drapał się po łysiejącej głowie w podziwie dla cudu techniki. Szkoda, że zaraz po złożeniu go w całość samochód pojedzie do swojego właściciela, bogatego ziemianina spod Ostrowa. Pojeździłoby się nim trochę, nawet jeśli tylko po to, żeby przetestować maszynę.

– Ano, łatwo nie było, aleśmy dali radę, co? – Leon mrugnął do syna i obaj zaśmiali się lekko.

Od pamiętnej przejażdżki do Dobrzycy spędzali ze sobą sporo czasu, na tyle, na ile pozwalały im codzienne obowiązki. Feliks odkrył, że z ojcem można porozmawiać, i chociaż ich wspólne tematy ograniczały się

właściwie do motoryzacji, było mu przyjemnie, że mają jakąkolwiek płaszczyznę porozumienia.

Zaraz po świętach ojciec musiał odebrać z portu w Gdyni zamówione auto. Prowizja za dostarczenie była ogromna, zarobek dla warsztatu niebagatelny, tymczasem pan Foltyński zachorował na katar kiszek i cały transport zawisł na włosku.

Leon nie mógł jechać sam, ponieważ przepisy wymagały, by nowe auto transportowały co najmniej dwie osoby. Niespodziewanie zaproponował wycieczkę Feliksowi, czemu na początku stanowczo sprzeciwiła się Henryka.

– Przecież Feliks nie ma nawet zdanego egzaminu szoferskiego. Jak ty to sobie, Leonie, wyobrażasz?! – grzmiała na całe mieszkanie.

Leon wiedział jednak, że udobrucha małżonkę, a pójdzie mu tym łatwiej, jeśli będzie miał sprzymierzeńca w postaci głównego zainteresowanego.

Miał. Feliks przeczuwał, że kroi się wielka przygoda, co po kilku monotonnych miesiącach spędzonych w Kasie Chorych traktował jak orzeźwienie, cudowną odskocznię. Mógł przecież wziąć trzy dni wolnego, świat się od tego nie zawali, a jemu też się coś od życia należy.

Ostatecznie Henryka została udobruchana („Duszko, nic nam nie będzie, to nowy samochód jak spod igły, wszystko tam jest dopracowane na medal!”), zarządziła, by Krzysztofa i Pelagia przygotowały solidną wałówkę, i pewnego kwietniowego poranka obaj Szewczyńscy – starszy i młodszy – wyruszyli na wyprawę.

Feliks w istocie nie pomylił się, sądząc, że czeka ich nie lada przygoda. Podróż w jedną stronę była co prawda banalna – pojechali pociągiem do Poznania, później do Bydgoszczy, a na końcu z Bydgoszczy do Trójmiasta. Do portu w Gdyni dotarli bez większych przeszkód, chociaż nie było to

najprostsze, bo port cały czas był w budowie. W świetnych nastrojach dobili ostatecznie do urzędu celnego – i tutaj czekała ich niespodzianka. Samochód, który mieli odebrać, owszem, dotarł, ale bez kanap. Te miały dotrzeć nieco później. Ford w specjalnym piśmie, które urzędnik celny wręczył skonsternowanemu Leonowi, zapewniał, że wyposażenie zostanie dowieszone zaledwie kilka dni później, i to bezpośrednio na koszt Forda. Niewiele to pomagało panom Szewczyńskim. Musieli przecież tym fordem jakoś dojechać do Pleszewa, a jak jechać bez kanap?

Jedynym wyjściem było rozwiązanie chałupnicze. W sukurs przyszedł im Roman Kałuża, u którego Szewczyńscy mieli zatrzymać się na noc. To on wypożyczył im dwa drewniane zydelki, a że w przeszłości był również niezłym majstrem, przytwierdził je do podwozia tak, żeby nie przewracały się przy byle zakręcie oraz żeby nie uszkodzić konstrukcji samochodu.

Panowie założyli czapki pilotki oraz szczelne gogle i tak uzbrojeni wyjechali z portu Gdynia w kierunku Torunia, Inowrocławia, Gniezna i Wrześni. Po trzynastu godzinach morderczej podróży, w trakcie której modlili się, żeby nie spotkać żadnego patrolu policyjnego, dotarli wreszcie do Pleszewa.

Henryka, rzecz jasna, nie miała pojęcia o tym, w jakich warunkach Leon i Feliks odbyli podróż niemal przez całą Polskę. W kolejnych dniach obaj musieli nieźle się nagimnastykować, by ukryć, jak bardzo mają obolałe siedzenia.

– Wybierasz się do domu? – Leon pożegnał się pospiesznie z panem Foltyńskim, a teraz zgarniał jakieś papiery.

– Tak, tak, już idę. Chciałem dziś trochę posiedzieć i poszperać, mam trudny przypadek leczniczy. Płuca schorowane, pacjent pali dużo papierosów, sam nie wiem, może to ma jakiś związek? – Zawsze gdy

wchodził na tematy medyczne, zawieszał wzrok tak, że jego rozmówca nie wiedział, czy Feliks patrzy na niego, czy w bliżej nieokreślony punkt.

– To pójdziemy razem, na dziś mam już dość.

Wyszli szybkim krokiem i skierowali się ku północnej pierzei rynku.

– No a co tam u panny Lucyny? – zapytał Leon ni z tego, ni z owego.

Nie poruszał tematów damsko-męskich podczas podróży na zydelkach. Bał się, że Feliks może się zaciąć, a wtedy krucha nić porozumienia między nimi bezsensownie pęknie. Ale tym razem do domu mieli kilka minut, w sam ram na niezobowiązującą pogawędkę. Co szkodziło zapytać, tym bardziej że Henryka również była żywo zainteresowana tym, co się dzieje w życiu uczuciowym ich pierworodnego. Sama nie miała tylu możliwości porozmawiania z Feliksem, mimo że przecież mieszkali wszyscy pod jednym dachem. Feliks jednak nigdy nie był wylewny.

– Chyba wszystko dobrze, nadal pracuje u Rudkego – odpowiedział wymijająco.

– Ale planujesz zabrać ją gdzieś, no nie wiem, może do Marciniaków na potańcówkę albo do Wielkopolanki na kawę?

Feliks odwrócił się i pobłaźliwie popatrzył na ojca. Te nieporadne próby rozmowy o sprawach sercowych wydawały mu się zabawne. Wiedział doskonale, że stoi za nimi matka.

– Ojczy, to nie taka znajomość, zupełnie nie taka. – Poklepał go po ramieniu, śmiejąc się pod nosem.

– Nie taka? – Leon poczuł się lekko zawiedziony. Nie wiedział co prawda, kim jest panna Lucyna, ale oboje z Henryką mieli nadzieję, że ich lekko aspołeczny syn wreszcie kogoś sobie znajdzie. – To jaka?

– Inna, ha, ha – Feliksowi wydawało się, że był to przedni żart, ale ojciec się nie roześmiał.

– Aha – odpowiedział tylko, bo zabrakło mu pomysłu, jak może kontynuować tę rozmowę.

Na szczęście doszli już do domu. Pelagia musiała ich widzieć z okien salonu, bo ledwo przekroczyli bramę, drzwi do mieszkania otworzyły się na oścież, a oddana służąca krzyknęła na całe podwórko:

– No i dobrze, że panowie już są, bo gzik^[101] zrobiony i pyry ugotowane!

Leon poszedł przebrać się do sypialni. Chwilę później do pokoju wślizgnęła się jego żona.

– Czy Feliks cokolwiek ci opowiedział?

Sama dziś z rana prosiła męża, by poruszył z Feliksem tematy osobiste. Odkryła, że ostatnimi czasy jej pierworodny ma o wiele lepszy kontakt z ojcem niż z nią. W gruncie rzeczy bardzo jej to odpowiadało. Przez pół życia martwiła się, że Feliks nie będzie miał ojca – najpierw bała się, że ten zginie na wojnie, potem, że zamknie się w sobie po wojnie. Szewczyński jednak przetrwał wszystkie próby, a Feliks mógł wreszcie korzystać z jego obecności, a nie tylko podziwiać go na fotografii z czasów Błękitnej Armii.

– Nie bardzo, niestety. – Leon spojrzał w kierunku swojej żony, siedzącej z założonymi nogami w głębokim fotelu stojącym obok dużego lustra.

Pomyślał sobie, jakim był szczęściarzem, kiedy przed laty zdobył się na odwagę i podszedł do niej w Cafe George. Ani razu nie żałował swojego wyboru i do dziś czuł się zakochany. Była to jego pierwsza i jedyna miłość.

Może Feliks pójdzie w jego ślady?

– Myślę, że nasz syn coś przed nami ukrywa. – Henryka odwróciła głowę i oparła podbródek na smukłej dłoni.

Leon podziwiał jej profil. Wyglądała niczym piękny posąg. Jak zawsze wyprostowana, z nienaganną fryzurą i dobrze ubrana.

– Z pewnością, jak to z dziećmi bywa. – Leon pomyślał o podróży na drewnianych zydelkach.

Wyobraził sobie, jak obaj musieli idiotycznie wyglądać w pilotkach, siedząc na domowych stołeczkach. Z trudem powstrzymał śmiech. Jednak nie o takich sekretach mówiła Henryka.

– A nie sądzisz, że to może mieć coś wspólnego z Heleną Kałużówną? – zapytała nagle.

– A co miałyby mieć wspólnego z Heleną? – Leon zapiął koszulę i teraz, stojąc przed dużym lustrem, poprawiał kołnierzyk.

Chętnie by już skończył tę rozmowę, wolał dyskutować o konkretach, a co do życia uczuciowego, cóż. W końcu, prędzej czy później, samo przyjdzie.

– Myślę, że tam mogło coś się stać. – Henryka patrzyła niewidzącym wzrokiem, ale po jej minie od razu można było rozpoznać, że sporo się dzieje w jej głowie.

– Ale, duszko, co ty opowiadasz? Feliks i Helena? To przecież nasza sąsiadka, wnuczka Adeli Kałuży.

Ciężko mu było powiedzieć, że „to wnuczka prasowaczki”, chociaż to właśnie miał na myśli. Wiedział jednak, że Henryce to się nie spodoba. Miała znacznie bardziej postępowe podejście do świata. Henryka jednak znała męża nie od wczoraj i wiedziała, co chciał przemilczeć. Uśmiechnęła się lekko i podeszła do swojej szafki nocnej, na której leżała nieduża książeczka. Wzięła ją do ręki i podeszła do męża.

– *Biblija cygańska i inne wiersze* – przeczytał Leon.

– Wiesz co, kochanie? – Uśmiechnęła się do niego i otworzyła książeczkę na zaznaczonej stronie. – Właśnie wczoraj czytałam ten wiersz i zobacz... – Powiodła palcem po wersie:

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach

Strasznie mieszkają straszni mieszczanie.

Pleśnią i kopćem pełzną po ścianach

Zgroza zimowa, ciemne konanie^[102].

– O, ho, ho, a to o kim? – Spojrzał na żonę, która zawiesiła głos, nadal trzymając palec na czytany wierszu.

Zatrzasnęła głośno książeczkę i odłożyła ją z powrotem.

– Dla mnie najważniejsze, żeby tylko nie było to o nas.

Podeszła do drzwi i rzuciła na odchodnym:

– Chodźmy na obiad. Krzysztofa zrobiła pyszny gzik.

* * *

Adela Kałuża niezmiernie rzadko wyjeżdżała z Pleszewa. Jednak krótko po świętach Wielkiejnocy oznajmiła Helenie, że wybiera się na kilka dni do Jadzi, a potem być może nawet do Romana. „Bo ja ta nie zamierzam jechać w lecie, serce już nie te, nie wytrzymom tych upałów, a wnuki chcą zobaczyć, kto wie, może to ostateczni raz”. Helena ucieszyła się na myśl o kilku dniach wolności w ich małym mieszkaniu.

Atmosfera między nimi nie była już taka zła. Ostatecznie dziewczyna pogodziła się z poglądem babci dotyczącym relacji damsko-męskich. Niebagatelną rolę odegrał w tym wszystkim Feliks. Gdyby tylko kiwnął palcem, Helena inaczej podeszłaby do sprawy.

Jednak on nie tylko nie kiwnął palcem, lecz także, żeby pogorszyć sprawę, prowadził się pod ich kamienicą z jakąś Lucyną. I to nie jeden raz, toteż Helena postanowiła na zawsze wyrzucić go ze swojego serca. Do tego stopnia, że nawet nie wyciągnęła książki *Serce* spod łóżka i dopiero w czasie porządków wielkanocnych znalazła ją tam Adela.

– Ty byś, Hela, większy porzundek trzymała z tymi swoimi klunkrami^[103], a nie je rozrucosz byle gdzie – pouczyła wnuczkę.

Ostatecznie Bogu ducha winna książka wylądowała z powrotem na półce, ale Helena ostentacyjnie pomijała ją wzrokiem, kiedy tylko miała ochotę poszukać sobie czegoś do czytania.

Wyprawa Adeli do Poznania i Gdyni była okupiona wielodniowymi przygotowaniem. Co prawda Kałużowa wybierała się w podróż zaledwie na tydzień, ale że wyjeżdżała rzadko, reisefieber sięgał zenitu. Już kilka dni przed wyjazdem wielka tekturowa waliza leżała na środku mieszkania, przeszkadzając w swobodnym poruszaniu się, a Adela metodycznie, po kolei, składała w niej uprasowaną bieliznę, sukienki, a nawet poszewki na pościel.

– Jo ta nie wiem, co oni za pościele mają, a nuż jakie niewykrochmalone porządną glanszterką^[104]? Jo nie byde w takich spała! – tłumaczyła Tokarskiej, kiedy w przeddzień wyjazdu siedziały obie na ławeczce, utyskując na trudy tego świata i rozliczne dolegliwości ciała.

Helena zawiozła Adelę baną na dworzec w Kowalewie i wsadziła ją do pociągu. Wcześniej wysłała telegram do cioci Jadzi z informacją, o której godzinie babcia przyjedzie do Poznania. Cała droga z Pleszewa do Kowalewa zeszła Adeli na przekazywaniu wnuczce licznych porad życiowych na czas jej nieobecności. Kiedy doszła do ciepłych majtek, które Helena musi codziennie zakładać, „coby się wilka nie nabawić”, cierpliwość tej ostatniej się skończyła:

– Ty mnie, babciu, za mąż chcesz wydać, a jeszcze mi mówisz, jakie majtki mam zakładać?!

To ostatecznie uciszyło Adelę w kwestii porad. Jednak, stojąc już na trapie pociągu odjeżdżającego do Poznania, krzyczała:

– Ty, Hela, uwożej na siebie, bo ty młoda jesteś. Jo wrócę niebawem!

Helena wracała do Pleszewa jak na skrzydłach. Kochała babcię, ale ponad dwudziestoletnie wspólne mieszkanie w jednym pomieszczeniu zaczęło ją już nieco uwierać. Co z tego, że za jedną z pierwszych zarobionych pensji kupiła sobie parawanik, dzięki czemu zyskała coś w rodzaju pokoiku? Ich mieszkanie było tak małe, że nie było mowy o jakiegokolwiek intymności. O zapachach kuchennych, które przenikały wszystko, nie wspominając.

Nadto Józek zapowiedział jej, że w najbliższą sobotę wybierają się do Marciniaka na potańcówkę. Helenie na samą myśl nogi rwały się do tańca. Ostatni dansing, na którym była, współorganizował chór „Lutnia”. Józek nie mógł wtedy przyjść, bo mieli dużą robotę w stolarni. Helena wprawdzie nie podpierała ścian, ale mimo wszystko wolała tańczyć z Józkiem. Był świetnym tancerzem.

Jej nastroju nie popsulo nawet przypadkowe spotkanie z Feliksem. W sobotę, przed potańcówką, wracała z pracy, nucąc pod nosem piosenkę *Ja chcę tylko szczęścia mieć trochę*, którą zapamiętała z filmu *100 metrów miłości*.

– O, Feliks, dzień dobry! – Dochodziła już co prawda osiemnasta, ale kwietniowe wieczory były coraz dłuższe, a słońce nadal przyjemnie świeciło.

Feliks zapewne również wracał z pracy, miał przy sobie nieodłączną torbę medyczną.

– Serwus, Heleno – odpowiedział spokojnie, ale w przeciwieństwie do niej bez żadnych emocji.

– Co u ciebie, drogi przyjacielu? Dawnośmy nie gawędzili!

Weszli oboje na podwórko i przystanęli na środku, pomiędzy jej klatką schodową a wejściem do jego mieszkania.

– Ano, tak widzisz, jakoś tak rozchodzą nam się drogi. Dziękuję, dobrze, pracuję ciężko. Rozważam dalszą specjalizację. Takie, widzisz, wielkie atrakcje życiowe. – Zaśmiał się trochę gorzko. – A co u ciebie?

– Ach, po staremu. Praca u pana Grolewskiego, dom, pomoc babci. Ale teraz kilka dni sama będę, bo babci nie ma. Wyjechała do Poznania i Gdyni.

Przez chwilę Feliks wyobraził sobie samotną Helenę w mieszkaniu, jak wchodzi do pokoju, zrzuca z siebie ubranie i naga kładzie się do łóżka. Szybko jednak otrząsnął się z tej wizji.

– No proszę, dorosłe życie! – skwitował tylko.

– Ano, właśnie. Lecę, bo dzisiaj idę na potańcówkę. – Machnęła mu lekko ręką i weszła do klatki schodowej. – Przekaż ode mnie pozdrowienia dla panny Lucyny! – krzyknęła zza zamykających się drzwi.

Feliks zastanowił się przez chwilę.

– A ty ode mnie dla pana Józefa!

Helena już nawet nie dosłyszała tego „Józefa”. Wielkimi susami przeskakiwała po dwa stopnie, pędząc na drugie piętro. Musiała jeszcze zmienić toaletę i fryzurę. Dansing u Marciniaka zaczynał się wszak za półtorej godziny. Józek będzie zapewne chwilę wcześniej, zawsze stara się być nieco wcześniej.

Oczywiście był, i to jak zwykle z kwiatami, czym tak bardzo ujmował Helenę i jej babcię. Zabawa okazała się przednia, chociaż mniej elegancka niż w Victorii. Nie było też tak świetnego zespołu. Cóż, w końcu Eugeniusz Fridman jest tylko jeden. Tego dnia najwidoczniej również pracował, ponieważ w jego mieszkaniu pod piątką było cicho. Kiedy był w domu, na ogół włączał gramofon lub grał na pianinie. Na szczęście nie przeszkadzało to ani Adeli, ani tym bardziej Helenie. Adela była nieco głucha, natomiast Helena – złałkioną muzyki.

Kałużówna przetańczyła z Biadałą cały wieczór. Czuła się fantastycznie. Józek, jak zawsze zresztą, stanął na wysokości zadania. Tańce skończyły się nieco po północy. Wyszli zgrzani i zadowoleni, a Helena ledwie co narzuciła na ramiona wiosenne paletko. Gdyby teraz zobaczyła ją Adela, załamałaby ręce, a utyskiwaniom nie byłoby końca. Adeli jednak tu nie było, za to ciepła, wiosenna, rozgwieżdżona noc zachęcała do tego, by w ogóle nie kłaść się spać.

Józek odprowadził Helenę pod samą bramę, a kiedy doszli do klatki schodowej, Kałużówna, sama nie wiedząc dlaczego, zaproponowała:

– Wstąpisz do mnie?

– Hela, no rychtig, że wleżę! – zakrzyknął Józek, na co Helena przyłożyła palec do ust.

Szepnęła karcąco:

– Cicho, tu wszystko słyhać!

Weszli, skradając się niemal tak, jakby popełniali jakieś przestępstwo. Gellertowie najwyraźniej już spali – z ich mieszkania nie dochodził żaden odgłos, nawet Josif z Esterą się nie kłócili, znaczy się: śpią. Cicho było również w mieszkaniu Eugeniusza. Helena trochę tego żałowała – lubiła te przytłumione dźwięki jazzu, które Eugeniusz, zapewne po kilku głębszych, fundował mieszkańcom kamienicy.

Weszli do ciemnego mieszkania i kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Józek natychmiast chwycił Helenę w pól. Znów poczuła jego pocałunek, tak jak miesiące temu, na dansingu w Victorii. Tym razem byli jednak sami, w pustym mieszkaniu. Józek chwycił Helenę za plecy i odnalazł rząd guziczków, które dzieliły go od jej ciała. Powoli, po jednym od góry, zaczął je rozpinać. Sukienka ześlizgnęła się z jej ramion, a Helena została w samej halczce. Po chwili i ona podzieliła los sukienki.

Po raz pierwszy w życiu Helena Kałuża stała naprzeciwko mężczyzny zupełnie naga. Czuła jednocześnie skrępowanie i podniecenie tym, co się zaraz stanie.

Józek całował ją jak szalony, zaczynając od ust i schodząc w dół, do szyi, piersi i brzucha, a potem jeszcze niżej.

– Nie! – krzyknęła nagle, jakby coś ją obudziło.

– Ale co się stało, Hela, krzywdę ci robię? – Józek nie podniósł się z kolan, a jego twarz była tuż przy jej łonie.

Odsunęła się i szybko zebrała rozrzucone na podłodze ubrania.

– Józus, nie mogę, jeszcze nie teraz. – Naciągnęła naprędce halkę, zakładając jedno ramiączko. Drugie gdzieś się zapodziało, ale chwilowo nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

– Ale Hela, ja cie Kocham i chcę, byś moją żoną była. To nie żadne gżenie, ty się nie frasuj – próbował ją uspokoić.

Podszedł do niej i zaczął ją całować, a to w policzek, a to w ramię. Jednak im bardziej ją uspokajał, tym bardziej się odsuwała.

– Ja wiem, Józek, to piękne jest, ale ja nie mogę. Coś się jeszcze może stać, ja nie mogę być w stanie błogosławionym przed ślubem. – Usiadła na krześle i przysunęła się do stołu.

Wiedziała, że to wykręt. Owszem, bała się strasznie, że powieli los swojej matki. Tyle razy obiecywała sobie, że sama nigdy nie zgotuje takiego losu swojemu dziecku, jaki jej zgotowała matka. Tyle razy wyrzucała jej, jak ona mogła, przecież tak się nie robi. A nagle, nie wiadomo skąd i dlaczego, robi dokładnie to samo albo coś jeszcze gorszego. Wszak wierzyła, chciała wierzyć, że matka przynajmniej kochała jej wiarołomnego ojca!

W jednej chwili zupełnie straciła ochotę na zbliżenie z Biadałą. Ot tak, po prostu.

Józek stanął po drugiej stronie stołu, bezradny, z rozpiętą koszulą. Helena spojrzała na niego i pomyślała, że wygląda żałośnie. Skarciła się jednak zaraz – wszak sama do tego doprowadziła, to ona zaprosiła go do mieszkania. Boże, co ona sobie przed chwilą myślała?!

– Jaki stan błogosławiony. Hela, ja wiem, jak to robić, nie bydziesz w żadnym stanie błogosławionym – zapewniał ją, uderzając się jednocześnie w piersi na potwierdzenie swoich słów.

Nie tylko nie przekonał Heleny tym gestem, lecz także jeszcze bardziej ją zniechęcił.

– To się tak zawsze mówi, a potem tylko kłopoty są. Józek, proszę, idź do domu, nie dziś, nie teraz. – Wstała i otworzyła drzwi, wskazując Biadale ręką, by wyszedł.

Pech chciał, że w tym momencie do swojego mieszkania wchodził Eugeniusz Fridman – wesoły i lekko podchmielony, ale nie pijany.

– Sąsiadeczko, dobry wieczór! – Mrugnął do niej, a Helena nie wiedziała, czy najpierw ma się zapaść pod ziemię, czy spłonąć ze wstydu.

Jednak, o dziwo, przyjście Fridmana pomogło jej staraniom, by Józek się wyniósł. Naprędce poprawił koszulę i szybko pocałował ją w dłoń.

– Dobranoc, Helena. – Kiwnął głową na pożegnanie i zniknął w czeluściach klatki schodowej.

Słysząc było tylko, jak szybko zbiega po schodach. Helena czym prędzej przymknęła drzwi, żeby tylko nie musieć rozmawiać z sąsiadem. Czuli się fatalnie, a przecież nic takiego nie zrobiła. To jej życie i jej sprawa. Fridman jednak z niejednego pieca jadł chleb i nie trzeba mu było niczego tłumaczyć. Zanim całkiem zamknęła drzwi, zauważyła, że mrugnął do niej porozumiewawczo, wchodząc do siebie.

– Nie martw się, sąsiadeczko. Tajemnicę zabiorę do grobu!

[88] Kościół pod wezwaniem Ścięcia św. Jana Chrzciciela, przez pleszewiaków zwany kościołem u Jana bądź kościołem ścięcia Jana.

[89] 11 lipca 1932 roku przyjęto Kodeks karny, który zabraniał aborcji oprócz wyjątkowych sytuacji, między innymi gdy ciąża pochodziła z gwałtu.

[90] Irena Krzywicka wraz ze swoim kochankiem, Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, działali aktywnie na polu planowania macierzyństwa i uświadamiania dziewcząt.

[91] Dzisiejszy plac Powstańców Wielkopolskich.

[92] Sklep.

[93] Mieć nauczkę.

[94] Domy publiczne.

[95] W kulturze judaistycznej przygotowanie domostwa do Pesach (koszer szel Pesach), czyli oczyszczenie go ze wszystkich pokarmów, które powstają w wyniku fermentacji lub kwaszenia.

[96] Sprawa wygląda tak (tłum. z jidysz).

[97] Czas (tłum. z jidysz).

[98] Cudownie (tłum. z hebrajskiego).

[99] Za darmo (tłum. z jidysz).

[100] Grupa siedmiu wysp włoskich słynąca od średniowiecza z wyrobów ze szkła.

[101] Rodzaj twarogu, podaje się go z ugotowanymi w mundurkach ziemniakami, typowa potrawa wielkopolska.

[102] Julian Tuwim, *Biblia cygańska i inne wiersze*, wyd. I, J. Mortkowicz, Warszawa 1933.

[103] Rzeczami.

[104] Krochmal.

VII

Majowe słońce zdołało osuszyć twardowskie błota tak skutecznie, że zamiast po mokrej ziemi dochodziło się do czworaków w koszmarnym pyle.

Helena miała wrażenie, że z każdym krokiem, który stawia, kurzy się za nią tak, jakby ruszała samochodem na piaszczystej drodze. Trudno, po powrocie trzeba będzie porządnie wyczyścić pantofle i sukienkę.

Cicho zapukała do drzwi Trzasków w nadziei, że zastanie Leosię, ale samą, bez towarzystwa Rózi. Taki był plan – Rózia pracowała cały dzień w gorzelnii, a Leosia nie wychodziła z domu, chyba że po zmroku, żeby nikt jej nie widział. Władzia natomiast o tej porze powinna być w szkole w Jarocinie. Helena na okoliczność wizyty u Leosi wzięła specjalnie dzień wolny od pana Grolewskiego, tłumacząc, że musi załatwić niezwykle ważne sprawy rodzinne.

Drzwi skrzypnęły, a za nimi pojawiła się Leosia. Nie wyglądała dobrze. Jej szczupła twarz była jeszcze bardziej pociągła, włosy miała w nieładzie. Narzuciła na siebie obszerną sukienkę, zapewne Róziną, pod którą mogła ukryć pojawiające się krągłości. „Widocznie brak słońca tak na nią działa”, pomyślała Helena i zrobiło jej się żal dziewczyny. Jak dotąd żywiła do niej raczej gniewne uczucia, ale widok bladej Leosi w drzwiach wydawał się tak żaloszny, że nie sposób było jej nie współczuć.

– Dzień dobry, Leosiu, ja do ciebie przyszedłam – starała się mówić jak najbardziej swobodnie. Wiedziała, że Trzaskównę łatwo spłoszyć, a w jej obecnym stanie mogło być pewnie tylko gorzej.

– O, Helena, proszę, wejdz. – Rozwarła mocniej drzwi i zamaszystym gestem zaprosiła ją do środka. Weszły obie do głównego pokoju, w którym panował taki sam porządek jak wówczas, kiedy w marcu złożyły wizytę ze Stefanią. Na okrągłym stole rozrzucone były podręczniki i kajety oraz ołówki. Najwyraźniej Leosia się uczyła.

Na szczęście nikogo poza nimi nie było w domu. Helena odetchnęła z ulgą.

– Co teraz przerabiasz? – Podeszła do stołu i zobaczyła ciągi obliczeń.

– Algebrę. Tutaj trzeba skrupulatności i spokoju, a ostatnio mi tego brakuje. – Leosia podeszła do dużego pieca kaflowego. – Napijesz się czegoś? Mam świeże mleko i wodę.

– Poproszę wodę. – Helena usiadła za stołem, nie przestając się rozglądać.

Na ścianach w domu Trzasków wisiało sporo obrazów religijnych – po jednej stronie reprodukcja obrazu Jezusa z Ostrej Bramy, po drugiej Święta Rodzina z małym Jezusem. Różia zawsze była osobą niezmiernie religijną, bodaj nawet bardziej niż babcia Adela. Ciekawe, jak w tym wszystkim czuje się Leosia.

Ta postawiła przed Heleną kubek z zimną wodą i usiadła za stołem.

– Co cię do mnie sprowadza? – Jej głos był spokojny, tak spokojny, że Helena zaczęła się obawiać, czy aby z Leosią wszystko w porządku.

– Leosiu, posłuchaj. – Postanowiła od razu przejść do rzeczy. W zasadzie nie wiedziała, o czym innym mogła z nią porozmawiać, nie ma co tracić czasu. – Powiedz, co ty zamierzasz zrobić z... znaczy się: po rozwiązaniu?

– Pytasz, co chcę zrobić z dzieckiem i ze sobą po porodzie, tak? – Jej głos był cichy, ale stanowczy.

– Właśnie tak, co chcesz zrobić z dzieckiem. Przecież wiesz, że twoja matka nie będzie w stanie was wszystkich utrzymać, poza tym musisz skończyć szkołę. – Wiedziała, że wpada w zrzędlivy ton, ale nie potrafiła w tej sytuacji inaczej.

– Tak, zdaję sobie z tego świetnie sprawę, najwyżej się wyprowadzę. – Leosia wzruszyła lekko ramionami.

– Wyprowadzisz? Dokąd? – Helena upiła łyk wody.

Jakoś szybko zaschło jej w gardle.

– Gdziekolwiek. Na pewno do większego miasta. Myślę, że najlepiej będzie do Warszawy. Chciałabym zapisać się do jakiegoś stowarzyszenia promującego świadome życie.

Kałuzówna przez chwilę patrzyła na Leosię, nie rozumiejąc, co ta do niej mówi.

– Jakie świadome życie? Co to znaczy?

Leosia wstała i podeszła do jednego z dwóch łóżek, spod którego wyjęła kilka lekko podniszczonych pism. Helena dojrzała tytuł „Wiadomości Literackie”. Trzaskówna położyła wszystkie pisma na stole, rozkładając je niemal tak, jakby rozwijała talię kart.

– Znasz tę gazetę?

– Owszem, tak, ciocia Stefania czasem ją kupuje i często od niej ją pożyczam. Ale co ma gazeta do twojego życia?

– Dużo. – Leosia usiadła z powrotem na swoim miejscu. – Od niedawna w tej gazecie ukazuje się dodatek „Życie Świadome”^[105] autorstwa Ireny Krzywickiej. Słyszałaś o niej?

– Owszem. – Helenę powoli zaczęły irytować te pytania. Przecież to ona przyjechała tutaj wypytać Leosię, a nie na odwrót.

– Irena Krzywicka robi dla kobiet znacznie więcej niż ktokolwiek inny. To przede wszystkim ona mówi o tym, żeby zlikwidować podziemie aborcyjne i zacząć myśleć świadomie o swoim życiu i ciele – tłumaczyła Leosia, a w miarę jej opowieści Helenie mijała irytacja, za to nachodziła ją refleksja, że w gruncie rzeczy Leosia jest naprawdę inteligentna i czytana. W takim razie dlaczego tak głupio wpadła?

– Skoro zaczytujesz się w takich lekturach, które mówią o świadomości, to czemuś uczyniła tak nierozsądną rzecz? Czemu skazałaś siebie, matkę i to dziecko na taki los? – Helena starała się mówić w spokojny i zrównoważony sposób.

– Właśnie po to, żeby przełamywać tabu. Krzywicka mówi nie tylko o planowaniu, ale też o satysfakcji kobiety. O przyjemności, którą kobieta może czerpać ze zbliżenia z mężczyzną. I nie tylko z mężczyzną! – Leosia tak się rozemocjonowała, aż lekkie rumieńce wystąpiły na jej policzki. – Ja to robię z ciekawości świata. Spotykam innych ludzi, umawiam się, to nie jest nikt związany z moim życiem na co dzień, ze szkołą. Po prostu to lubię.

Helenie przypomniawszy się niedawna noc, kiedy prawie doszło do zbliżenia między nią a Józkiem. Czy myślała wtedy o jakiej satysfakcji dla siebie? Chyba nie. Satysfakcję czerpała... chyba z chwilowej władzy nad mężczyzną. O przyjemności nie było tutaj mowy. Nikt nigdy jej nie powiedział o tym, że kobieta może przecież czerpać przyjemność z obcowania z mężczyzną. Co więcej, oprócz Stefanii nikt jej w ogóle nic na ten temat nie powiedział. Tabu, tajemnica, nie ma.

– Ale Leosiu, tutaj nic się nie zgadza. Po pierwsze, jesteś jeszcze dzie... znaczy się, jesteś bardzo młoda. Po drugie, o jakich przyjemnościach mówimy, skoro konsekwencją jest ciąża? A po trzecie, właśnie myśląc o kobietach, przede wszystkim powinnaś pomyśleć o swojej matce, a nie przydawać jej problemów!

W miarę jak Helena mówiła, coraz wyraźniej docierały do niej słowa babci Adeli. Teraz najchętniej sama przełożyłaby Trzaskównę przez kolano i sprząła jej siedzenie. Co to za buntowanie się dla samego buntowania?!

– Helena, tutaj wszystko się zgadza. Poszłam obcować z mężczyzną, bo tak mi się podobało. Spróbowałam, wiem, co mi się podoba, a co nie. A że z tego ciąży jest, to już nic nie poradzę. – Leosia mówiła to takim tonem, jakby sprawa była zupełnie błaha. – Nie ciągnij mnie za język, bo ja i tak nie powiem, kto jest ojcem dziecka. Postanowiłam jedno, że zrobię wszystko, żeby znaleźć mu rodzinę. – Ostatnie słowo zaakcentowała plaśnięciem dłonią w stół.

Helena siedziała przez chwilę w milczeniu. Przynajmniej czegokolwiek się dowiedziała, chociaż miała nadzieję, że mimo wszystko Trzaskówna wyjawi, z kim obcowała. Być może robiła to z wieloma mężczyznami, skoro tak bardzo chce eksperymentować i „przełamywać tabu”, a teraz sama nie wie, kto jest ojcem jej dziecka. Helenie niezręcznie było jednak pytać. Teraz przede wszystkim trzeba było się zastanowić nad rozwiązaniem sytuacji.

– A jak to zamierzasz zrobić, Leosiu? Co, urodzisz i rozwieszisz na słupach ogłoszenie: „Oddam dziecko w dobre ręce”? Przecież to nie jest zwierzę ani przedmiot! – zachnęła się Helena.

– Nie, pójdę do wszystkich ochronek w okolicy i przekażę informację, że oddam dziecko tylko do dobrej rodziny, najlepiej takiej, która jest bezdzietna. Coraz więcej jest takich ludzi – odparła Trzaskówna zupełnie spokojnie.

Położyła obie dłonie na stole, co przydało jej wyglądu nienagannie grzecznej uczennicy.

– Do ochronki? Wiesz, ile tam jest dzieci, które tylko czekają, aż ktoś je przygarnie? – Pomysł Trzaskówny wydawał się Helenie nedorzeczny.

– Wiem, ale to są starsze dzieci, których nikt nie chce, bo już niosą garb doświadczeń i problemów. A noworodki, jeśli takie się znajdują, są na ogół zabiedzone, chore, znalezione byle gdzie – ciągnęła Trzaskówna. Sprawiała wrażenie, jakby naprawdę wiedziała, o czym mówi. – Ja urodzę dziecko w normalnych warunkach, to jest tutaj, ale ze zgodzoną akuszerką. I ono będzie czyste i odkarmione.

Helena westchnęła. W gruncie rzeczy nie spodziewała się aż tak przemyślanej wypowiedzi. Choć cała ta idea brzmiała jak fantasmagoria, uspokoiło ją, że Leosia potrafi myśleć w racjonalny sposób.

– A... co z tobą, Leosiu? Jak to sobie dalej wyobrażasz?

– Skończę szkołę i wyjadę do Warszawy – odpowiedziała krótko. – Chcę uczestniczyć w organizacjach, do których należy Krzywicka. Pomagać ludziom z samego dołu. Sama wiem, jak to wygląda, bo się stąd wywodzę.

Helena dopiła wodę, patrząc tępo w obraz Świętej Rodziny, na którym pochylona z troską Maryja patrzyła z miłością na małego Jezusa. Na tylnym planie stał Józef z nieodłączną laską. Piękna rodzina.

– A czy nie bierzesz pod uwagę ewentualności, że pokochasz to dziecko? I że trudno ci będzie się z nim rozstać?

– Biorę, ale o tym nie chcę teraz myśleć. Miłość może się przejawiać również w rozsądku. Dla tego dziecka rozsądne będzie, jeśli to nie ja je wychowam. Ja mogę zawsze mieć je w sercu.

Kałużówna pomyślała przez chwilę o swojej matce. Irena Kałuża, piękna córka prasowaczki, jej matka, która wyjechała za chlebem, gdy Helena miała zaledwie trzy lata. Może ona również kocha ją rozsądnie, na odległość? Kto wie, wielokrotnie przecież ją zapraszała. Tylko Helenie jakoś trudno pokochać matkę. Minęło zbyt wiele czasu, zbyt wielka była

trauma, którą musiała udźwignąć jako dziecko, żeby potem móc ot tak, po prostu o tym zapomnieć.

Spojrzała na zegar ścienny i podniosła się od stołu. Za godzinę odchodził pociąg z Kotlina. Musi się spieszyć, ma przed sobą jeszcze długi spacer przez pola.

– Dziękuję ci, Leosiu, za rozmowę. Jakbyś czegoś potrzebowała, to...

– Ja wiem, wy w porządku jesteście razem z panią Niemyjską, ale nic mi nie trzeba. Obym tylko te egzaminy zdała i żeby się do mnie ta potworna przełożona nie przyczepiła! – Po raz pierwszy od przybycia Helena usłyszała śmiech Leosi. Był szczery.

– Na pewno dasz radę, jesteś zdolna. – Zeskoczyła z progu domu, zapominając o kurzu. Zapyliło. – Zdrowia dla ciebie, siostry i pani Rózi. I dla tego dziecka.

* * *

Plakat zawiadamiający o koncercie wisiał na rynku, na słupie reklamowym, który Stefania codziennie mijała w drodze do pracy. Był całkiem prosty – duże czarne litery głosiły: „Dancing z muzyką na żywo! Prawdziwy zespół będzie grać szlagiery światowej sceny big bandu i swingu! Tylko w Victorii!”. Pod spodem, drobnym drukiem, podano cenę za wejście.

Tak często wpatrywała się w ten anons, że w końcu stwierdziła, iż w gruncie rzeczy mogłaby się wybrać na ten koncert. Tyle już lat nie była na żadnym balu, dansingu czy chociażby zwykłej potańcówce, że aż zatęskniła za atmosferą beztroski i energii, którą na ogół czuje się podczas tego typu wydarzeń. Jeśli już gdziekolwiek wychodziła, było to na ogół kino, a od wielkiego dzwonu teatr w Poznaniu, chociaż ten odwiedziła tylko dwa razy. Ale potańcówka, i to w hotelu, który od jej mieszkania dzieliło jakieś dwieście metrów? Grzechem byłoby nie skorzystać, tym bardziej że

Eugeniusz wielokrotnie jej proponował, żeby przyszła choćby tylko po to, żeby posiedzieć i posłuchać.

Co prawda od samego rana lekko pobolevały ją plecy, co zrzucała na karb nocnej pracy przy maszynie, ale w odpowiednim momencie natarła się terpentyną, położyła na chwilkę i jakoś przeszło. Musiała napisać krótki artykuł do „Przeglądu Pedagogicznego” o zmianach, jakie zaszły w nauczaniu po wprowadzeniu reformy jędrzejewiczowskiej. Temat był strasznie nudny, ale chwilowo Stefania nie miała lepszych ofert. Dawno już przestała pisać artykuły z pogranicza „zaangażowanych”, a do typowo kobiecych pism nie miała dojścia. Zresztą mimo świetnie rozwiniętego rynku wydawniczego w Poznaniu, który znała jeszcze sprzed lat, to warszawski rynek zdominował sektor prasy kobiecej. Trudno, trzeba się było posiłkować tym, co się dostawało.

Przez chwilę pomyślała, że zabierze ze sobą Aleksandra, wszak wychodzili razem od czasu do czasu, dając pleszewskim przekupkom pożywkę do plotek. Po namyśle stwierdziła jednak, że nie jest to najlepszy pomysł. Aleksander, mimo że nie zwracał na kobiece wdzięki najmniejszej uwagi, mógłby działać... odstrasza­jąco na Eugeniusza, który wszak nie wie o jego skłonnościach. Odstraszenie tego pierwszego było ostatnim, czego Stefania oczekiwała po pójściu na dansing do hotelu Victoria, z Eugeniuszem Fridmanem w roli pianisty i szefa bandu.

Problemem był też wieczorowy strój. Czarna sukienka, jedna z nielicznych, które miała w swojej garderobie, nadająca się na taką okazję, była zniszczona przez nieszczęsny upadek. Stefania z wrodzoną sobie beztroską odkładała oddanie ubrania do Białasowej, żeby ta je podreperowała. Toteż sukienka wisiała w szafie, pozaciągana i nieużywana, a Stefania wpadła w panikę. Za chwilę się okaże, że nigdzie nie wyjdzie, bo nie ma w co się ubrać! Ostatecznie zdecydowała się na granatową taftową

bluzkę w groszki i białą, wąską spódnicę. Strój ten wymyśliła sobie na wzór ubioru Toli Mankiewiczówny, który widziała na okładce jednego z magazynów, a uszyła go oczywiście niezawodna Stasia Białasowa. Co prawda na Mankiewiczównie ubranie wyglądało daleko lepiej – Stefania z wiekiem nie przybrała niestety ani jednego kilograma, a wręcz miała wrażenie, że z miesiąca na miesiąc jest coraz szczuplejsza – ale nie przysporzyło jej to dodatkowego frasunku. Tola to Tola, nie będzie się z nią przecież równać. Była na dodatek dobrych kilka lat starsza.

„Na szczęście włosy mam ładne, zmarszczek niewiele i całkiem młodą duszę”, uśmiechnęła się do siebie w lustrze, zawiązując kokardę na bluzce.

Zabrała niedużą kopertową torebkę i już miała wychodzić, kiedy obleciał ją strach. Przecież Eugeniusz nie zapraszał jej na ten konkretny dansing, po prostu mówił wielokrotnie, żeby przyszła posłuchać, jak gra. A co, jeśli dzisiaj będzie z jakąś panią? Lub też – o zgrozo! – nie spodoba mu się jej wizyta?

„Trudno, nie mam nic do stracenia”, pomyślała. Energicznie nacisnęła klamkę i wyszła. Przez całą drogę tłumaczyła sobie, że przecież idzie tylko posłuchać muzyki, że to zwykły dansing i tak dalej. Wiedziała jednak, że sama się okłamuje. Ubrała się dla Eugeniusza i dla niego tam poszła.

Tak mało mieli okazji, żeby ze sobą porozmawiać. Od pamiętnej Wigilii dosłownie kilka razy spotkali się przypadkowo, gdy wracali z pracy. Ze dwa razy byli na kawie w Wielkopolance i wymienili parę zdań na podwórku. To wszystko.

Tymczasem ona w głębi ducha chciała więcej. Miotła się z tym jak szalona, bo pamiętała dobrze, jakie zdanie miała o Eugeniuszu Fridmanie na samym początku. Pamiętała też, co powiedziała dziewczętom podczas wielkanocnego spotkania przy pigwówce i jak bardzo była obruszona, kiedy Helena twierdziła, i to od samego początku, że to sympatyczny

i ciekawy człowiek. Stefania czasem myślała sobie, że wolałaby patrzeć na niego oczami Tokarskiej, tak byłoby jej znacznie łatwiej. Nigdy nie spotkała Eugeniusza z żadną kobietą, choć wielokrotnie widziała go na rauszu czy też wręcz pijanego. Mój Boże, a kto w tych smutnych czasach nie pije?!

Wieczór majowy był jeszcze zupełnie jasny, a z otwartych drzwi Victorii muzyka roznosiła się na cały rynek. Już z oddali Stefania słyszała charakterystyczne dźwięki niezbyt dobrze nastrojonego pianina. Pan Zarzycki dawno temu kupił je po okazyjnej cenie od bogatego Niemca, który wyprowadzał się w głąb swojego kraju i nie chciał ze sobą targać instrumentu.

Niewielka sala dansingowa była już zapełniona. Na niedużym podeście Eugeniusz grał z kilkoma kolegami z sekcji dętej. Jeden z nich od czasu do czasu wchodził w rolę wokalisty, prawdę mówiąc – absolutnie pośledniego.

Stefania znalazła sobie wolny stolik z boku sali. Liczyła na to, że nie dosiędą się do niej żadne niepowołane osoby. Nauczyła się radzić sobie z podchmielonymi amantami całe lata temu, kiedy jako młodziutka panna wprowadziła się na Gnieźnieńską 10. Teraz, co prawda, tych zalotów było znacznie mniej, ale podchmielonemu mężczyźnie wystarczy samotna kobieta, która nie wygląda jak ostatnia łachudra, skonstatowała ze smutkiem i zamówiła u kelnera kieliszek szampana.

Eugeniusz nie mógł jej widzieć, bo siedziała za jego plecami, co było jej na rękę. Mogła rozejrzeć się dookoła sali i zorientować, czy nie ma tu samotnych kobiet czekających na Fridmana. Owszem, było kilka, siedziały przy kontuarze i piły wytworne drinki. Przebywały w grupie, więc Stefania oceniła, że są niegroźne.

Czuła się całkiem przyjemnie, siedząc w kącie sali i słuchając muzyki na żywo, może niekoniecznie w wirtuozowskim wykonaniu, ale na pewno

porywającym i od serca. Patrzyła na plecy mężczyzny, którego do niedawna uważała za straszne ladaco, a teraz w niewytłumaczalny sposób żywiła do niego ogromną sympatię. Sączyła szampana, który nie dorównywał trunkom serwowanym przez Aleksandra, ale przyjemnie drażnił podniebienie.

Zespół skończył grać kolejny kawałek i wodzirej zaanonsował piętnastominutową przerwę. Stefania bezwiednie wyprostowała się i przybrała lekko zblazowaną minę. Chętnie sięgnęłaby teraz po papierosa, miała niespokojne palce, ale ostatnio postanowiła, że nie będzie palić, nie służyło jej to.

– Stefanio, jaka miła niespodzianka! – Eugeniusz szybkim krokiem zszedł z podestu i przysiadł się do sąsiadki, zanim ta zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Wreszcie się zdecydowałaś przyjść i zobaczyć, jak gram!

– Owszem, miałam wolny wieczór i zachciało mi się posłuchać muzyki. – Upiła szampana i założyła nogę na nogę.

– Bardzom rad, żeś odwiedziła mnie wreszcie. Co prawda to nie Adria ani Belweder, a zespół mam nie najlepszy, ale to wszystko, co zdołałem wyciągnąć z tutejszej orkiestry. – Pochylił się nieco, rozejrzał na boki i zza pazuchy marynarki wyciągnął niedużą piersiówkę.

– Eugeniuszu, czy ty aby nie jesteś w pracy? – szepnęła Niemyjska, również pochylając się do niego.

Pachniał dobrą wodą kolońską i burbonem.

– Stefanio, a czy ty aby nie bawisz się w panią Tokarską? – Udatnie naśladowując głos Stefanii, łyknął z piersiówki i schował ją jeszcze szybciej, niż wyjął.

– Nie zamierzam, tak tylko mówię...

– No widzisz, na ogół to się tak tylko mówi, a słowa, moja droga sąsiadko, słowa potrafią jak najbardziej ranić. – Przybrał minę zbolalego

psa, a Stefania po raz enty zastanawiała się, czy on z niej drwi, czy chce być zabawny. – Na ten przykład mnie się ciągle oskarża o niemoralne prowadzenie, a to jest bardzo, bardzo krzywdzące – ciągnął w tym samym tonie.

– A nie prowadzisz się niemoralnie? – Stefania poczuła, że to dobry moment, by wziąć go na spytki.

– Ha, a co to znaczy niemoralne prowadzenie się? Czy to na przykład, że odprowadzę jedną lub drugą damę po wieczornym dansingu, ponieważ przyszła sama, a wiele pułapek czeka na piękne panie w godzinach nocnych?

– Niby nie, zależy, jakie po tym odprowadzeniu masz dalsze... plany. – Upiła szampana, nie chcąc mówić za wiele.

Skoro Fridman już się otworzył, trzeba pozwolić mu mówić.

– Och, jakie plany, jakie plany! Plany są takie, jakich życzy sobie dama. Damie się nie odmawia – odpowiedział wymijająco.

Stefania oczami wyobraźni ujrzała Fridmana obskakującego garsoniery kobiet lekkich obyczajów. Co do jednego Tokarska miała rację – sporo kobiet trudniło się tym fachem. Było to pokłosiem tego, że Pleszew przez całe lata był miastem przygranicznym, na dodatek z dużymi koszarami wojskowymi. Cóż, krew nie woda.

– Dobrze, a co powiesz na śpiewanie nieprzyzwoitych piosenek w kościele? – Przypomniał się jej jeszcze jeden zarzut pani Tokarskiej.

Wprawdzie nie miała pojęcia, co stara pani Zofia rozumie pod słowem „nieprzyzwoite” – zapewne zupełnie co innego niż ona sama – ale nie zaszkodzi pociągnąć Eugeniusza za język.

– Jakie nieprzyzwoite, jakie nieprzyzwoite! – Fridman był szczerze ubawiony. – Jeśli dla pleszewskich plotkar *negro spirituals*^[106] są nieprzyzwoite, to ja w takim razie jestem tybetańskim mnichem.

Negro spirituals...? Nie miała pojęcia, co to takiego, ale głupio jej było zapytać. Na szczęście Fridman, widząc jej minę, wyjaśnił:

– To murzyńskie pieśni religijne. Refren jest dość skoczny, oni tam w Stanach, szczególnie w czarnych dzielnicach, sporo tego śpiewają. Ale nie nazwałbym tego nieprzyzwoitym.

– Coś musi być w nich takiego, skoro Toka... inni ludzie stwierdzili, że są nieprzyzwoite. – Broniła stanowiska starej sąsiadki bardziej na przekór, niż z przekonania.

– Owszem. Są wesołe. – Eugeniusz niepytany sięgnął po kieliszek Stefanii i upił z niego łyk, czym wprowadził ją w absolutną konsternację. – A co, myślisz, że Wszechmocny lubi, jak się w pieśniach kościelnych bicujemy? „Aaaanielski oorszak nieeech twąąą duuuuszę przyyyyjmieeee” – naśladował głos starszych kobiet śpiewających na pogrzebach.

Stefania nie mogła powstrzymać śmiechu. Niemniej to, co mówił, było obrazoburcze.

– Eugeniuszu! – skarciła go półszepem, nie pokazując, jak bardzo chce jej się śmiać.

– Stefanio! – Ponownie ją sparodiował, tym razem pochylając się niebezpiecznie blisko jej twarzy.

Zrobiło jej się przez chwilę gorąco.

– Panie Fridman, powinniście zacząć drugi set kilka minut temu! – Właściciel Victorii, pan Zarzycki, niespodziewanie pojawił się przy ich stole, a wyraz jego twarzy zdradzał ogromne zdenerwowanie.

Dobry nastrój Stefanii natychmiast prysł. Spojrzała na Eugeniusza i stwierdziła, że on z kolei nie wygląda na przesadnie przejętego.

– Już lecę, już lecę, panie Zarzycki kochany, i tak to panu wynagrodzę, że będę grać jeszcze dłużej, niż pan mi zapłacił!

Wstał szybko od stołu i zapiął marynarkę. Mrugnął do Stefanii, potrząsnął rękę skonsternowanego Zarzyckiego i już po chwili zaanonsował kolejny utwór.

– Proszę państwa, specjalnie dla państwa zagramy *Money Blues* Fletchera Hendersona, króla jazzu i swingu, który to utwór przeniósł na fortepian skromnie stojący przed państwem... – Ukłonił się głęboko, po czym zaczął grać.

Stefania pokiwała głową z uśmiechem. W jeszcze jednej kwestii zgadzała się z Tokarską – Eugeniusza po prostu nie dało się nie lubić.

* * *

– Mam same czarne myśli, jeśli chodzi o pomysł Leosi. To się po prostu nie uda.

Stefania zamknęła wielkie drzwi Katolickiego Domu Sierot, usiadła na stopniu i podparła twarz rękami. W całym budynku, choć był zamknięty, słychać było gwar i rwetes bawiących się dzieci. Nad tą wrzawą wzbijały się głosy sióstr Służebniczek prowadzących ten przybytek. Stefania miała wrażenie, że dzieci były całe setki, chociaż siostra zapewniała, że jest ich zaledwie pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt, rozumiesz? To o pięćdziesiąt za dużo! – W jej głosie słychać było wyrzut przemieszany z bezradnością.

– Może jednak nie wszystko stracone. Słyszałaś, co powiedziała siostra przełożona: jeśli ktokolwiek zgłasza się po dziecko do adopcji, to tylko po takie maluchy^[107]. Nikt nie chce brać sobie na głowę kłopotu w postaci już ukształtowanego dziecka. – Helena usiadła obok swojej opiekunki i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Tak, wiem, ale kto w takim Pleszewie może zgłosić się po dziecko do adopcji? To są najczęściej ludzie zamożni albo średniozamożni, a już na

pewno świadomi tego, co robią. Takich nie ma tutaj za wielu – skonstatowała z goryczą.

– Trzeba zatem rozejrzeć się za innymi domami sierot w okolicy. Przecież nam nie chodzi o znalezienie miejsca dla dziecka, tylko o informację, że takie dziecko może być adoptowane. – W Helenie obudził się zew działacza. – Ostatecznie przecież nawet przez jakiś czas Leosia może zajmować się dzieckiem, dopóki ktoś się nie znajdzie!

– Pomyślałam już o tym i nawet rozmawiałam z Aleksandrem. – Stefania sięgnęła do torebki i wyjęła złożoną na czworo karteczkę. – Wypisał mi domy sierot z Wielkopolski. Popatrz: Wolsztyn, Lisków, Cerekwica, Antoniewo, Szamotuły i oczywiście Poznań.

Schowała karteczkę z powrotem i spojrzała na Helenę.

– Aleksander obiecał, że roześle wici w sierocińcu w Szamotułach, wszak to jego rodzinne miasto, chociaż nikogo z Millerów już tam nie ma.

– No widzisz, na pewno się ktoś znajdzie. Trzeba byłoby objechać pozostałe sierocińce, ale prawdę mówiąc, zupełnie nie wiem, gdzie są te miejscowości. Słyszałam tylko o Wolsztynie.

Helena podniosła się ze schodów i ruszyła w kierunku bramy wyjściowej. Jeszcze raz spojrzała na budynek sierocińca – był całkiem ładny, trzykondygnacyjny, oczywiście ceglany, z dużymi oknami i fikuśnym metalowym wykończeniem na wieżyczce. Dobrze, że siostry założyły tutaj Szkołę Przysposobienia w Gospodarstwie Rodzinnym. Jaką te dzieci mogłyby mieć przyszłość, gdyby nie to? Pomyślała o sobie i swoim dzieciństwie. Kto wie, jaki los by ją czekał, gdyby nie babcia Adela?

– Zapewne żadną. – Stefania podniosła się ciężko ze schodów i dołączyła do Heleny. – Stałyby się wyłącznie tanią siłą roboczą. Zresztą niewykluczone, że część z nich czeka właśnie taki los.

Szły powoli ulicą Podgórną w kierunku placu Wolności, gdzie zbiegała się równoległa ulica Karola Marcinkowskiego, przy której mieszkał Aleksander. Piątkowy majowy wieczór był słoneczny, lecz dość chłodny. Niska temperatura powodowała, że powietrze zdawało się krystalicznie czyste, niebo – jeszcze bardziej niebieskie, a zachodzące słońce – jaskrawopomarańczowe.

Helena spojrzała na cienie roztańczonych od wiatru drzew kładące się na kamienicach. Pomyślała o niedalekim wyjeździe nad morze. Bardzo już tego potrzebowała, cieszyła się na myśl o tym, że zostawi tutaj wszystko, co ją martwi, być może ułoży sobie w głowie sprawy sercowe, a przede wszystkim – pobędzie u stryja wraz z przyjaciółkami.

Jej myśli przerwał nagły kaszel Stefanii.

– Ciociu, może byś wreszcie udała się do lekarza z tym pokasływaniem?

Martwiło ją to, że Stefania nie może się wyleczyć mimo licznych specyfików, które zaczęła zażywać. Nawet Adela podsuwała jej a to syrop z cebuli, a to wywar z dziurawca. Niewiele to jednak pomagało.

– Tak, muszę się w końcu wybrać. – Stefania nie lubiła rozmawiać o swoich słabościach, traktowała je jak dopust boży.

Zdrowie było ostatnim, czym chciała zaprzętać sobie głowę, chwilowo zajęta Leosią i po trosze też Eugeniuszem. Ten drugi, nawet jeśli tylko w myślach, był jednak dla niej przyjemną odskocznią od rzeczywistości, takim małym, słodkim sekretem.

– No, a z tym świadomym życiem, o którym mówiła Leosia... Myślisz, ciociu, że to kiedyś przebije się do ogółu? Takie racjonalne podejście do rodzicielstwa chyba nie jest niczym złym. – Helenie przypomniało się to, co Leosia pokazywała jej w „Wiadomościach Literackich”.

Po spotkaniu, wiedzona ciekawością, poszła do biblioteki, by wypożyczyć kilka tygodników. Tezy pani Krzywickiej wydały jej się niezwykle śmiałe, ale na tyle interesujące, że wciąż wracała do nich myślami. Jak niewiele wiedziała o tych sprawach. Gdyby nie Stefania, nie miałyby o nich bladego pojęcia.

– Musi się przebić, Helenko, w nowoczesnych społeczeństwach właśnie tak się stanie. – Stefania patrzyła przed siebie, jakby przed oczami miała wizję przyszłego świata płynącego mlekiem i miodem.

– Tylko spójrz, przecież najwięcej dzieci rodzi się na ogół w najbiedniejszych rodzinach. Większość z nich nawet nie dożywa dorosłości. A jaki los czeka te, które dożyją? – skonstatowała gorzko. – Dużo dzieci powinno rodzić się tam, gdzie rodziców stać na ich wykształcenie i wychowanie.

– Właśnie to samo pisze pani Krzywicka, ale ja jakoś pojąć tego nie mogę. To brzmi... jak eugenika.

– Nie przesadzaj. – Stefania odwróciła się do podopiecznej i uśmiechnęła się lekko. – Ja nie mówię o żadnych pożądanym cechach ludzkich, tylko o warunkach, w których dziecko ma szansę jak najlepszego rozwoju.

– Może... – Helena musiała poukładać sobie to wszystko w głowie.

Co do większości spraw zgadzała się ze swoją opiekunką całkowicie, ale w tym przypadku, gdy myślała o tym, kto ile może mieć dzieci, ogarniały ją wątpliwości. A gdzie ten dar boży, o którym zawsze mówiła jej babcia?

Minęły ulicę Zamkową, a przechodząc przez rynek w kierunku Piłsudskiego, obie ujrzały szybko zbliżającą się do nich postać. Była to Gienia Białasowa.

– Co ty tak lecisz, jakby się paliło? – Helenę ucieszył widok Gieni.

Mogła przynajmniej pomyśleć o czymś innym, dość już ciężkich tematów na dziś.

– Pani Niemyjsko, Heła, dzień dobry, jo lecę, bo was zobaczyłam i tylko chciałam szybko powiedzieć, że my już z Kaziem Paszkowiakiem po słowie, ale żeśmy na zapowiedzi jeszcze nie dali, bo ślub bydzie w październiku dopiero, jak się roboty w polu skończą, u Jana oczywiście, i my bydymy mieć wesele u Kazia w chacie, w Dobrej Nadziei, bo tam jego łożeciec ma zagrodę małą – wypaliła jednym tchem i odsapnęła. – Ale my to jeszcze chcemy małą potańcówkę dla somsiadów moich zrobić, i to u nos na podwórku. Szanowny pan Szewczyński już się zgodził i no tera zapraszam wszystkich, coby wiedzieli. I bydzie wódka od Gellerta i kiełbasa, i tańce tyż bydą. Ino jo mam trochę fefry^[108], że pogoda bydzie zła, ale od dzisiaj dziesiątkę różańca za pogodę bydę mówić!

– Fantastycznie, Gieniu, gratuluję ci bardzo! – Stefania nie była wtajemniczona w matrymonialne plany Genowefy Białas.

Nie utrzymywały nigdy bliskich kontaktów z Gienią, natomiast lubiła tę rodzinę, szczególnie matkę Gieni, krawcową Stasię. Byli to porządni, cisi ludzie.

– Ja również jeszcze raz ci gratuluję. – Helena uściskała koleżankę.

– To jak, bydziecie? – Gienia założyła ręce w geście oczekiwania.

– Ależ oczywiście, już się cieszę na jesienną potańcówkę! – Mimo sceptycznego podejścia do tego typu imprez Stefania szczerze się uradowała.

W głębi ducha miała nadzieję, że Gienia obskoczyła z zaproszeniem wszystkich sąsiadów, a przecież Eugeniusz Fridman nie przepuściłby okazji do zabawy. No, chyba że akurat wtedy będzie pracował. Oby nie!

* * *

Siedziba Automobilklubu Ostrowskiego mieściła się w uroczym, ale niedużym dworku w niedużej wsi Topola Mała. Przyszli szoferzy tłoczyli się w saloniku, gdzie jeden z założycieli klubu, pan Józef Kwiatkowski, po kolei wręczał dokumenty poświadczające odbycie odpowiedniego kursu i uzyskanie licencji szofera dżentelmeńskiego^[109].

Feliks rozejrzał się dokoła. Otaczali go młodzi mężczyźni, na ogół z rodzin ziemiańskich, chociaż było tu również kilka kobiet.

– Panie i panowie, dziś jest dla was wielki dzień, gdyż oto tymi dokumentami – mówiąc to, pan Kwiatkowski wskazał na nieduży stosik leżący na stole obok niego – otwieracie przed sobą możliwości poruszania się cudem techniki, jakim jest automobil.

Młody Szewczyński zaśmiał się pod nosem. Stał w niedużym oddaleniu od Kwiatkowskiego, opierając się o piec kaflowy, o tej porze na szczęście nieopalanym. „Trochę to zbyt pompatyczne jak na uzyskanie zwykłego pozwolenia na prowadzenie auta”, pomyślał rozbawiony. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że wielu spośród zebranych to prawdziwi zapaleńcy, którzy zamierzają wręcz ścigać się autami po torach. To podobno coraz popularniejszy sport, chociaż Feliks nie widział w nim najmniejszego sensu, raczej same kłopoty. Przecież to jak proszenie się o wypadki, złamania, wstrząsy mózgu, a nawet śmierć!

– Pozwólcie, że zacytuję prześwietnego inżyniera, najlepszego w Rzeczpospolitej szkoleniowca oraz publicystę, pana Witolda Rychtera, który tak oto napisał na łamach „Tygodnika Automobilisty i Lotnika”: „Drogi Kierowco, który przeszedłeś już piekło egzaminu na prawo jazdy, zgasiwszy w czasie jazdy trzy razy silnik, wjechawszy trzy razy na chodnik i stuknąwszy z lekka latarnię magistracką! Nie myśl, żeś uzyskał już pozwolenie na jazdę, o nie! To nowiutkie, niepogniecione jeszcze prawo

kierowania jest dopiero pozwoleniem na samodzielne płacenie kar za nieprzepisową jazdę...”.

Pan Kwiatkowski zawiesił teatralnie głos, założył ręce do tyłu i już miał dalej prowadzić swoją przemowę, ale słysząc lekki szmerek zniecierpliwienia, stwierdził, że to chyba bezcelowe, bo i tak nikt nie będzie go słuchał.

– Drodzy państwo, zapraszam wszystkich po odbiór dokumentów! – zawołał.

Feliks odebrał niedużą dwuskrzydłową książeczkę, sprawdził prawidłowość danych i po pospiesznym pożegnaniu się z działaczami automobilklubu wyszedł przed dworek, gdzie w samochodzie czekała na niego cała rodzina.

Trudno mu było się do tego przyznać, ale był z siebie dumny. Naprawdę nie przypuszczał, że w ciągu kilku miesięcy nabędzie taką umiejętność, i w głowie mu się nie mieściło, że będzie kiedyś jeździć samochodem. O ileż łatwiejsze mentalnie było dla niego uzyskanie dyplomu lekarza!

– Feliksie! – Głos matki rezonował pośród innych głosów niecierpliwie nawołujących szczęśliwców, którzy nabyli prawo do prowadzenia auta.

Sporo ich było na podjeździe, ale niewielu przyjechało samochodami. Wśród grupy czekających dostrzegł nawet kilka bryczek.

Szewczyński podszedł do rodziny. Chudy Wiktor stał oparty o samochód, jak zwykle z lekka dystansując się od otaczającego go świata. Matka, w obcisłej sukience z guzikami od góry do dołu, wyglądała jak z żurnala. Ojciec, trzymając ramię tak, żeby matka w każdej chwili mogła się na nim oprzeć, odziany w bryczesy i tweedową marynarkę, wyciągnął przed siebie dłoń, w której trzymał kluczyki do swojego forda.

– To jak, synu, pierwsza przejażdżka do Pleszewa?

Feliks lekko zmartwiał. Nie spodziewał się, że ojciec tak od razu da mu usiąść za kółkiem. Jak dotąd miał do czynienia tylko z samochodem kursowym. Był to znacznie tańszy i mniejszy od forda fiat 508. Prowadząc go, Feliks zawsze miał u boku instruktora. Tym razem był już pełnoprawnym szoferem, ale doświadczenia nie miał żadnego.

Nie dał po sobie jednak poznać, że się boi. Spojrzał najpierw na ojca, na jego twarz mężczyzny w średnim wieku, absolutnie pewnego siebie, przystojnego, i chwycił kluczyki. Zamaszystym gestem, jakby od lat był szoferem, zaprosił rodzinę, by wsiadała.

Matka z Wiktorem umościli się z tyłu, a ojciec zajął miejsce pasażera obok Feliksa. Żeby dojechać do Pleszewa, musieli przejechać przez Ostrów, a tego Feliks obawiał się najbardziej. Wszak w mieście, mimo że drogi były znacznie lepsze, także ruch był większy – bryczki, wozy, przechodnie, wszystko to mogło spowodować problemy podczas jazdy.

„Poradzę sobie, poradzę sobie, poradzę sobie”, powtarzał w myślach. Spokojnymi ruchami, żeby ojciec nie zauważył, jak bardzo drżą mu dłonie, włożył kluczyk do stacyjki, nacisnął sprzęgło i odpalił silnik.

Nic nie zgasło.

Z całej siły nacisnął manetkę zapłonu, która w tym modelu była za kierownicą, ponownie nacisnął sprzęgło, przekręcił gałkę skrzyni biegów i powoli ruszył w kierunku bramy dworku.

– O rany, brachol^[110] jedzie! – nagle zawołał milczący dotąd Wiktor, a w jego głosie było takie zaskoczenie, jakby dopiero co się obudził.

Matka nie odzywała się w ogóle, a Feliks na szczęście nie mógł widzieć, że siedzi z tyłu napięta jak struna. Twarz Henryki była ściągnięta i skupiona, a ręce trzymała mocno na kolanach, ściskając je kurczowo.

Wolną jazdą minęli Ostrów i skierowali się na trasę poznańską, która prowadziła przez Pleszew.

Do samego domu mieli nieco ponad trzydzieści kilometrów – trasa nie była długa, ale młody Szewczyński miał poczucie, że ciągnie się godzinami. I że ojciec śledzi każdy jego ruch, mimo że z pozoru zachowywał się swobodnie. A może tak mu się tylko wydawało? Zawsze miał wrażenie, że w oczach ojca jest jego kochanym synem nie dlatego, że po prostu jest, tylko dlatego, że coś osiąga. Chciał mu zaimponować za każdym razem, cokolwiek robił – a zwłaszcza w obszarze motoryzacji, który była konikiem Leona, chciał pokazać się z jak najlepszej strony.

Poza miastem Feliks pozwolił sobie na szybszą jazdę. Prędkościomierz podniósł się najpierw do czterdziestu, potem do pięćdziesięciu, a nawet sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Gościniec był wyboisty, chociaż dopiero co utwardzony, ale Szewczyński i tak miał wrażenie, że mkną jak po lustrze. Minęli wieś Franklinów, potem Szczury, Krzywosądów i Kuczków. Po niemal godzinnej jeździe wjechali do Pleszewa ulicą Kaliską, dotarli spokojnie do rynku i skręcili w Piłsudskiego. Feliks pewnie stanął tuż przed bramą i równie spokojnie wyłączył silnik.

– Brawo, synu, spisałeś się na medal! – Leon poklepał go po plecach, a Feliks miał tylko nadzieję, że jego marynarka jest na tyle gruba, iż ojciec nie poczuł, jak bardzo jest spocony. Ręce miał aż świecące od potu, a serce waliło mu jak oszalałe.

– Syneczku, dojechałeś pięknie, jestem z ciebie taka dumna! – Henryka klasnęła dwa razy w dłonie.

Feliks nie mógł oczywiście wiedzieć, że matka cieszy się nie tylko z jego osiągnięć, lecz także z tego, że w ogóle dojechali. Odkąd usłyszała od Leona o pomyśle, by Feliks prowadził w drodze powrotnej, drżała ze strachu. Jak to możliwe, że jej synek, którego niedawno nosiła w pieluszkach i kołysała do snu, będzie teraz wiózł ją automobilem, i to z jakąś zawrotną prędkością?! Nie chciała jednak wtrącać się w decyzje

Leona. Nie w tej sytuacji. To był świat ojca i syna, do którego ona nie miała wstępu i nawet nie chciała mieć.

– Brachol, fest jazda! – zakrzyknął gromko Wiktor, dołączając się do rodzinnego chóru gratulacyjnego.

Leon naprędce wysiadł z auta, otworzył drzwiczki małżonce, która wraz z Wiktorem udała się w kierunku bramy i do mieszkania. Panów czekało jeszcze odstawienie samochodu do warsztatu na rynek, ale Feliks stwierdził, że odbyta jazda – i to tak długa – jest dla niego jak na jeden dzień absolutnie wystarczająca. Dość miał już wrażeń na dziś!

Wysiadł z auta, żeby zamienić się miejscami. Podał ojcu kluczyki, a kiedy w jego oczach ujrzał prawdziwą dumę i radość, poczuł, jak rosną mu skrzydła.

– Synu, jestem z ciebie bardzo dumny. I chciałbym, żebyś wiedział jedno. – Gestem wskazał Feliksowi miejsce pasażera, a sam usiadł za kierownicą.

Wsiedli do auta, ojciec wcisnął sprzęgło, manetkę, a samochód ponownie warknął, gotowy do jazdy.

– Otóż chcę, byś wiedział, że cokolwiek zrobisz, cokolwiek robiłeś i jakiegokolwiek decyzje podejmiesz w przyszłości, zawsze byłem i będę z ciebie dumny.

Powoli ruszyli spod bramy, zostawiając za sobą mocny zapach spalin.

* * *

Feliks nawet nie przypuszczał, że uzyskanie licencji szofera tak bardzo doda mu skrzydeł. Miał poczucie, że od tego momentu jest zupełnie inaczej odbierany przez otoczenie. Dodało mu to odwagi, czaru, a przede wszystkim – męskości. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to nie inni go inaczej odbierają, tylko on sam zaczął się inaczej zachowywać. Tak jakby

ten niepozorny papierek usankcjonował jego emocjonalne przejście spod skrzydeł nadopiekuńczej matki pod skrzydła ojca.

Było to dla niego uczucie całkiem nowe i bardzo przyjemne. Do tego stopnia, że nawet w pracy przestał przejmować się personalnymi wycieczkami Rudkego. Wiedział też, że choćby nie wiadomo co przeszkrobał w Kasie Chorych, Rudke i tak nie podziękuje mu za pracę z jednej przyczyny: chwilowo po prostu nie miał nikogo, kto mógłby Feliksa zastąpić.

Zresztą jak ognia unikał czegokolwiek, co mogłoby rozeźlić przełożonego. Co więcej, znalazł na to sposób i miał w tym cichego sprzymierzeńca pod postacią Lusi Grzybek. Otóż wszyscy ponadnormatywni pacjenci nie byli ewidencjonowani w księgach Kasy Chorych, ale żeby zachować ich historię chorób i grafik wizyt, Lusia prowadziła dla Feliksa specjalny kajecik, w którym skrupulatnie, starannym pismem, notowała wszystko, o co poprosił. Robiła to rzecz jasna po godzinach pracy, a kajet przezornie zabierała do domu – nigdy nie wiadomo, czy Rudke nie grzebie jej w szufladzie lub w kwitariuszach.

Feliksowi dobrze pracowało się z Lusią i jeszcze kilka miesięcy temu do głowy by mu nie przyszło, że się zaprzyjaźnią. Pamiętał jak dziś jej spojrzenie, kiedy zjawił się w Kasie Chorych po raz pierwszy. Bynajmniej nie było to spojrzenie osoby otwartej na jakąkolwiek znajomość.

– Feliksie, dzień dobry! – Tuż za plecami usłyszał znajomy głos.

Nie zauważył jej w biegu, gnając co koń wyskoczy, żeby zdążyć do Kasy Chorych na ósmą. Musiała jak zwykle drobić kroki, żeby dotrzymać mu tempa. Wstał niestety wyjątkowo późno, bo do późna w nocy czytał najnowszy numer „Przeglądu Lekarskiego”. Znalazł w nim niezwykle fascynujący artykuł, w którym opisano historię wynalezienia insuliny oraz konfliktu, który przez całe lata toczył się na ów temat pomiędzy dwoma

wielkimi uczonymi – profesorem Bantingiem i profesorem Macleodem. Czytało się to jak najlepszą powieść kryminalną i zanim Feliks się spostrzegł, wybiła druga, co oznaczało, że zostało mu marne pięć godzin snu.

Pelagia ledwo go dobudziła, biadoląc, że jest zabiedzony, wymęczony i powinien więcej wypoczywać.

– Lusi, witaj w ten piękny poranek! – Uśmiechnął się do koleżanki i nawet puścił do niej oko.

Spłonila się jak mała dziewczynka.

– Nie chwaliłeś się wcześniej, ale słyszałam, żeś uzyskał pozwolenie na prowadzenie samochodu.

Grzybkówna była tak drobna, że Feliks widział, jak promienie słoneczne, które przebijały się przez wielki drzewostan na Ogrodowej, zabawnie tańczą na jej ciemnych włosach. Wyglądało to uroczo i jeszcze bardziej dodawało jej dziewczęcości. Od kilku miesięcy Grzybkówna przestała nosić się jak mniszka, zmieniła fryzurę, a w jej garderobie pojawiły się barwne sukienki.

Podniosła głowę, a na jej twarzy malował się szczerzy podziw, żeby nie powiedzieć – uwielbienie. Feliks poczuł się trochę skrępowany.

– A tak, owszem, ojciec mnie namówił i uznałem, że to będzie dobra decyzja. – Próbował mówić spokojnie i bez emocji, nie chcąc dolewać oliwy do ognia.

– Och, to fantastyczne, osiąść takie umiejętności. Dla mnie to jakaś magia, że takie blaszane pudło z czterema kółkami jeździ, i to niezaprężnięte do konia!

Feliks przez chwilę wyobraził sobie wybłyszczanego forda ciągniętego przez konia, i zaśmiał się w głos.

– Ano, widzisz, droga Lusi, taki to cud techniki. Myślę sobie, że wkrótce będzie coraz więcej samochodów na drogach!

– Jakoś mi się wierzyć nie chce, tej. Gdzie to będzie stało, na ulicach? Trzeba będzie domy dla tych pojazdów budować, jak stajnie dla konia?

– Owszem, zapewne garaże, ale to chyba nie będzie stanowiło większego problemu. Urbanizacja postępuje bardzo szybko, nawet mimo kryzysu. Jest nas wszak coraz więcej, a to dzięki Polkom, które zaczynają rodzić coraz więcej dzieci, i Polakom, którzy stają na wysokości zadania.

Lusia nie spodziewała się, że jej refleksja na temat motoryzacji sprowadzi rozmowę na kwestie prokreacyjne, i spłonęła się ponownie, tym razem na purpurowo.

Feliks uśmiechnął się do niej jeszcze raz i na moment objął ją ramieniem. Widząc jednak, jak bardzo jest spłoszona, puścił rękę i delikatnie szturchnął ją w ramię.

– Lusi, Lusi, my przecież pracujemy w Kasie Chorych, dla nas nie ma tematów tabu, nawet jeśli chodzi o to, skąd się biorą dzieci, prawda?

– Oj, Feliksie... – Uśmiechnęła się nieznacznie.

W jej głosie nie było wyrzutu, raczej forma podekscytowania, ale tego Szewczyński nie usłyszał.

– A może Lusia wybrałaby się ze mną na małą potańcówkę, co?

Krótką konwersacją tak go rozochociła, że postanowił iść za ciosem. Właściwie dlaczegóżby nie miał zaprosić miłej koleżanki na wspólne wyjście? W końcu nie ma zbyt wielu znajomości w Pleszewie, z nikim z gimnazjum nie utrzymuje kontaktów, a przyjaciele ze studiów rozpiechli się po Polsce i świecie. Z Lusią przyjemnie mu się rozmawia, do tego jest miła i chyba go lubi.

– Pan tak naprawdę? – zapytała cicho, zapominając, że od dłuższego czasu nie są już przecież na „pan” i „pani”.

– Oczywiście, nie śmiałbym sobie z Lusią dworować – odparł, zastanawiając się naprędce, gdzie mógłby ją zabrać.

Znał tylko Victorię, słyszał też o sali państwa Marciniaków, ale nigdy tam nie był.

– A dokąd Lusia chciałaby się wybrać?

– Może na kąpielisko do Rembiasza? Tam są dechy i tańce co sobota, muzykanci aż z Jarocina przyjeżdżają! – Lusia znalazła odpowiedź niespodziewanie szybko, jakby tylko oczekiwała na propozycję Feliksa.

– Niech będzie u Rembiasza. Możemy nawet w najbliższą sobotę, nie mam żadnych planów. Chyba że ty masz, Lusią?

– Nie, nie, żadnych – odparła równie pośpiesznie.

– W takim razie bardzo się cieszę... – Nie zdążył dokończyć zdania, bo koło budynku dworca kolejowego, stojącego nieopodal Kasy Chorych, zauważył Eugeniusza Fridmana.

Lokator spod piątki bynajmniej nie był pod wpływem alkoholu, przynajmniej nic na to nie wskazywało, ale jego widok zaniepokoił Feliksa. Fridman wyglądał tak, jakby był czymś mocno przybity – ledwo szedł, ciężko powłócząc nogami.

Feliks przeprosił na chwilę Lusię, która szybko oddaliła się w kierunku Dzielnicy, a sam pobiegł za lokatorem. Nie znali się zbyt dobrze, ot tyle, ile spędzili razem czasu podczas akcji ratunkowej w feralną Wigilię. Mimo to Feliks bardzo lubił Eugeniusza, podobnie jak jego rodzice, choć wiedzieli, jaką ma opinię i że nie zawsze wpasowuje się w standardy mieszkańców małego miasteczka, jakim jest Pleszew. Dla właścicieli był jednak idealnym lokatorem – nie awanturował się, płacił na czas, zawsze był uprzejmy, a do tego inteligentny i niezwykle czarujący.

– Panie Eugeniuszu! – Zbliżył się do Fridmana, który, ubrany po cywilnemu, trzymał w ręku kolejarską torbę.

Najwyraźniej wracał z nocnej zmiany, wyglądał na zmęczonego.

– O, pan doktor Szewczyński. – Skłonił się lekko i wyciągnął rękę na przywitanie.

Feliks uścisnął mu dłoń, zastanawiając się, kiedy słyszał określenie samego siebie „pan doktor Szewczyński”. Chyba nigdy. Dla pleszewiaków był Feliksem Szewczyńskim, synem Leona, dla rodziny i sąsiadów – Felusiem.

– Proszę wybaczyć, że tak pana nachodzę, ale zaniepokoiła mnie pańska postawa. Czy coś się stało? – zapytał i w tej samej chwili pomyślał, że się wygłupił.

Po co tak biegł do Fridmana? Przecież człowiek nie zawsze musi chodzić w podskokach i rozdawać uśmiechy na prawo i lewo.

– Ano widzi pan, stało i nie stało – odpowiedział Fridman wymijająco, a Feliksowi spadł kamień z serca.

Przynajmniej tyle, że jednak jest jakiś problem i nie były to wyłącznie jego głupie imaginacje.

– Och, nie chciałbym dopytywać o sprawy osobiste. Po prostu tak się jako zląkłem, jakem pana zobaczył, pan jakby ledwo szedł. Takie skrzywienie zawodowe już mam.

Eugeniusz odetchnął ciężko i przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Feliks stwierdził, że chyba trudno czasem być smutnym człowiekowi, którego wszyscy mają za bawidamka i wesołka. Jak raz się weszło w te buty, trzeba grać w tę grę, inaczej ludzie pomyślą, żeś zwariował.

– A widzi pan, w sumie nie powinienem tego mówić, boś pan syn właścicieli kamienicy, ale niestety doszły mnie dziś słuchy, że spółka Pleszewska Kolej Dojazdowa w związku z kryzysem zamierza już zimą zredukować zatrudnienie.

– Jak to? Pociągi nie będą jeździć? – zawołał spontanicznie Feliks.

Od razu zrobiło mu się głupio. Przecież tutaj Fridman mówi o własnych kłopotach z tym związanych, a on się martwi, co będzie z pociągami. Ech, doprawdy!

– Będą, będą, nie w tym rzecz. Wie pan, mechanizacja postępuje, na kolei nie potrzeba tylu ludzi. – Feliks nie wyglądał na urażonego. – To oczywiście tylko moje przypuszczenia, ale słyszałem, że redukcja w pierwszym rzucie może dotyczyć osób, które nie mają rodziny na utrzymaniu. A ja, widzi pan, nie mam tutaj nikogo, do tego jestem łajdak i nieporządnie się prowadzę, więc zapewne będę pierwszy do wyrzucenia na zbity pysk.

Fridman uśmiechnął się i przez chwilę stał z rozłożonymi rękami, ze zwisającą torbą kolejarską, zabawnie dyndającą mu pod ramieniem.

– Niech pan tak nie mówi, bzdury pan opowiada – obruszył się Feliks. – Porządny z pana człowiek i my w kamienicy bardzo pana lubimy.

– A dziękuję, niezwykle rad z pana słów. – Eugeniusz opuścił ręce i skłonił się lekko. – Jak pan widzi, pracę jeszcze mam, nadto dorabiam graniem, ale jeśli stracę główne źródło utrzymania, już nic nie będzie trzymać mnie w Pleszewie.

Feliks poklepał Fridmana po ramieniu.

– Proszę nie frasować się zawczasu. Jeżeli pan mówi, że jeszcze nic nie jest postanowione, może to są po prostu plotki. Różne rzeczy ludzie gadają.

– Owszem, ale w każdej plotce jest ziarno prawdy. – Fridman zapiął marynarkę i poprawił dużą torbę w ręce. – Dziękuję panu ogromnie za okazaną troskę, proszę kłaniać się rodzinie. Na mnie już pora, wieczorem znów mam granie!

Uchylił kapelusza i szybkim krokiem oddalił się w kierunku Ogrodowej.

Feliks postać chwilę, patrząc na szybkie ruchy Fridmana. Nie przyjaźnili się, niemniej przykro mu się zrobiło na myśl, że mógłby opuścić kamienicę. Zapewne przykro byłoby także jego rodzicom. „Cóż, Fridman to dorosły człowiek, robi, co uważa”, pomyślał i zreflektował się, że jego dyżur zaczął się już kilka minut temu. Przeciął ulicę i biegiem wpadł do wielkiego budynku Kasy Chorych.

[105] W latach 30. Irena Krzywicka zaczęła publikować w „Wiadomościach Literackich” felietony pod taką wspólną nazwą.

[106] Afroamerykańskie pieśni religijne, które powstały pod koniec XIX wieku w Stanach Zjednoczonych. Dały początek bluesowi.

[107] Małe dzieci.

[108] Bać się, obawiać.

[109] W międzywojniu tak nazywano amatorskie prawo jazdy, niezwiązane z zarobkowaniem.

[110] Popularne określenie brata w Poznańskim.

VIII

Różia nerwowo przechadzała się wzdłuż parkanu okalającego Koedukacyjną Szkołę Powszechną, od czasu do czasu przeciągle wzdychając lub też żegnając się pospiesznie. Z daleka słychać było, że mówi coś do siebie, chociaż Stefania nie mogła zrozumieć słów. Zapewne była to jakaś modlitwa.

Stefania patrzyła na zdenerwowaną Trzaskową z perspektywy ławeczki. Siedziała pod lipą na terenie szkoły. Jej nie chciało się tak chodzić, zresztą w przeciwieństwie do Rozalii była przekonana, że Leosia świetnie poradzi sobie z egzaminami, a pani przełożona, mimo niechęci do dziewczyny, dopuści ją do nauki w kolejnej klasie. Tym bardziej że będzie to już ostatnia klasa przed egzaminami „małej matury” i jeżeli Leosia chce dalej się uczyć – a Niemyjska wierzyła, że tak jest – musi nieźle się przyłożyć do pracy. Co prawda sama nie wiedziała, w jaki sposób to wszystko się ułoży, ale na razie nie chciała wybiegać myślami aż tak daleko. I tak nic sensownego teraz nie przyjdzie jej do głowy.

Cały czas nurtowała ją myśl o ojcu dziecka. Jakoś nie chciało jej się wierzyć, że ten podstarzały, antypatyczny jegomość nie ma z tym nic wspólnego. Leosia milczała jak grób. Cóż, jak będzie chciała, to kiedyś przecież powie.

Stefania wystawiła bladą twarz do słońca i przymknęła oczy. Zawsze, kiedy tak robiła, wydawało jej się, że zaraz zaśnie, bo słońce działało na nią usypiająco. Wyobraziła sobie, że siedzi na nadmorskiej plaży, a w rękach przesypuje miarki biały piasek. To już niedługo, zaledwie kilka tygodni. Nie mogła się doczekać.

Otworzyła oczy, przez chwilę ogarnięta pomrocnością, by po chwili dojrzeć zbliżającą się od strony ulicy Zamkowej Helenę.

– Tutaj! – Pomachała jej ręką, nie wstając z ławki.

– I jak? – Helena podeszła do Stefanii i na chwilę zasłoniła sobą prążące światło. Usiadła obok niej, wyciągnęła przed siebie nogi i położyła ręce wzdłuż oparcia ławki. – Alem dziś zmęczona! Zbliża się koniec miesiąca, siedzimy z Wandzią nad bilansami, już wszystko mi się w głowie miesza.

– Jeszcze czekamy, strasznie długo ją trzymają. – Stefania odwróciła się w kierunku drzwi prowadzących do szkoły, ale te cały czas były zamknięte. Zaraz ona sama zacznie się denerwować, już nawet nie o wyniki egzaminu, ale o to, że skoro Leosia jest w stanie błogosławionym, musi się jednak trochę oszczędzać.

– Jo zara dostanę szplina, ileż można czekać?! – Różia podeszła do nich żwawym krokiem i stanęła przed ławką. Trzymała się przy tym pod boki, a minę miała taką, jakby za chwilę miała wpaść do salki pani przełożonej i narobić tam rabanu.

– Spokojnie, Róziu, to w końcu zaliczenie ze wszystkich przedmiotów, musi trochę potrwać. – Stefania wskazała jej lewą ręką wolne miejsce obok siebie, ale Rózię roznosił niepokój i nie w głowie było jej rozsiadanie się na ławce.

– Dzień dobry, pani Rozalio – wtrąciła Helena, której Różia z nerwów nawet nie zauważyła.

– A dzień dobry, Hela, chociaż ja to nie wiem, dobry czy nie – odpowiedziała Różia.

Stwierdziła, że jednak się przysiędzie, ale tylko na brzeżku, żeby po chwili się poderwać i znów zacząć krążyć.

– Jo już wszystkie modlitwy zmówiła, i do świętego Józefa z Kupertynu, bo to on patron nauki i tych wszystkich uczonych, i do Judy Tadeusza, bo ten patronuje sprawom beznadziejnym, i tera nie mam już czym zająć głowy, nie byde przecież drugi raz mówiła tej samej modlitwy. No, chyba drogie panie, że ze mną odmówicie dziesiątkę różańca – zwróciła się do Stefanii i Heleny, patrząc to na jedną, to na drugą.

– Myślę, Róziu, że to nie jest konieczne. Skoro już odmówiłaś modlitwy, to chyba wystarczy – odpowiedziała Stefania. Ostatnią rzeczą, którą chciałaby teraz robić, było odmawianie różańca.

– Tyż prowda. Ale ja się tak boję o tę moją Leosię, Boże, Boże...! Co to byndzie, nawet jak ona te egzaminy swoje zda? Jaka adopcja, co ona opowiada, ja nic z tego nie rozumiem.

Pocziwa kobieta liczyła, że pani Stefania i panna Helena coś jej wytłumaczą. W pionie trzymała ją tylko myśl, że Niemyjska zajęła się sprawą jej krnąbrnej córki. Odkąd dowiedziała się o ciąży Leosi, miała wrażenie, że żyje w jakimś strasznym śnie, z którego zaraz się obudzi i wszystko będzie jak dawniej.

Wiedziała, że nie poświęciła córkom tyle czasu, ile powinna, ale od lat była na tym świecie zupełnie sama i po prostu musiała pracować. Nieraz zdarzało się, że biegła do pracy w gorzelni, a dziewczynki, jeszcze bardzo małe, zostawały same w domu. Przy taśmie nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, czy im się co nie stało, czy przypadkiem nie przyłożyły ręki do gorącej fajerki pieca, czy nie zaprószyły ognia. Na szczęście nigdy nic poważnego się nie zdarzyło. Wiedziała, że jeśli już,

może liczyć na Władzię, która co prawda była ponad rok młodsza od Leosi, ale znacznie od niej poważniejsza i bardziej stateczna. Co prawda nauka nie przychodziła jej tak łatwo jak starszej, ale uczyła się dobrze. W tym roku kończyła naukę w jarocińskiej szkole, a że nie chciała dalej się kształcić, Różia znalazła jej wieczorowy kurs szkolący na krawcową. Będzie miała fach w ręku i pewne utrzymanie.

Leosia z kolei nigdy nie miała talentu do żadnych prac ręcznych, o gotowaniu nie wspominając. Ziemniaki zawsze podawała niedogotowane, skwarki kroїła nierówno, gdyby mogła, przypaliłaby nawet wodę w garnku, bo akurat czytała jakiś ciekawy artykuł, zapominając o bożym świecie. Była natomiast bardzo mądra, w lot łapała wszystkie nauki i bez przerwy siedziała z nosem utkwionym w książce bądź czasopiśmie. Każda okoliczna panna bibliotekarka ją знаła, bo Leosia namiętnie wypożyczała książki – a to z ludowej biblioteki w Kotlinie, a to w Jarocinie, a teraz, odkąd chodziła do szkoły, również z pleszewskiej biblioteki szkolnej. Tylko co jej z tych nauk teraz przyjdzie, jak dzieciaka ma do odchowania? Jak ona sobie to wyobraża, tę adopcję?

– Przecie jo serca ni mom, żeby dzieciaka do ochronki oddawać! – krzyknęła ni stąd, ni zowąd.

– Róziu droga, nikt tu nie mówi o oddawaniu dziecka do ochronki, nikt go tam nie odda. – Stefania położyła dłoń na spracowanej ręce Rózi.

Uderzyło ją, jak bardzo różniły się ich ręce – Różia była przecież od niej kilka lat młodsza, a miała je zniszczone, spracowane, paznokcie czarne i nierówno obcięte. Stefania miała blade dłonie i długie, czyste paznokcie, nadto nosiła na palcu pierścionek po matce. Jej też nie było łatwo samej na świecie, ale nigdy nie musiała pracować fizycznie, żeby się utrzymać. I nie miała dzieci, które musiała wykarmić. Ta myśl wcale jej nie pocieszyła. Przeciwnie, zrobiło jej się smutno i w jednej chwili poczuła się strasznie

samotna. Może i Rózia ma ciężko, ale ma dla kogo żyć, ma córki, które bądź co bądź będą ją wspierać. A ona...?

– Zdałam!!!

Drzwi szkolne rozwarły się z hukiem, a w nich pojawiła się Eleonora. Krzyknęła tak głośno, że liczne ptactwo chowające się w konarach dużych drzew uleciało spłoszone.

– W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, dzięki Ci, Boże! – krzyknęła Rózia, patrząc w niebo ze złożonymi rękami.

– Ha, wiedziałam! – Helena poderwała się pierwsza i podeszła do Leosi. – Daj się uściskać, Leosiu, gratulacje, to wielka sprawa!

– W rzeczy samej. – Stefania podeszła tuż za Heleną i poklepała Leosię po ramieniu.

– Pani Niemyjska, poproszę panią na chwilę. – Sekretarka pani przełożonej nagle pojawiła się w drzwiach i służbowym gestem wskazała Stefanii korytarz szkoły.

Niemyjska niechętnie wspięła się po schodach i poszła za sekretarką. Przeczuwała kolejne kłopoty. Przełożona Stanisława Beretówna, postrach wszystkich dziewcząt i chłopców w szkole oraz niemal całego grona pedagogicznego, siedziała za wielkim biurkiem z kamienną twarzą. Pod jej rządami szkoła prowadzona była wzorowo, a uczniowie osiągali dobre wyniki w nauce. Nadto udało się wyremontować boisko oraz wyłożyć brukiem teren przed szkołą. Niemniej kobieta była niezwykle surowa, a Stefania unikała bezpośredniego kontaktu z nią jak ognia. Wszelkie sprawy – w tym sprawę Leosi – załatwiała z zastępcą przełożonej, panem Kaczorowskim.

– Pani Stefanio, pozwalam sobie porozmawiać z panią, gdyż wiem, że objęła pani Eleonorę, ekhm, niejakim protektoratem. – Od razu przeszła do

rzeczy, zanim jeszcze Stefania zdążyła usiąść naprzeciwko, po drugiej stronie stołu.

– Owszem, tak, zajmuję się niejako... sprawami organizacyjnymi dla Eleonory, gdyż jej matka jest zapracowaną kobietą i nie zawsze ma możliwość wsparcia córki w tych kwestiach.

Nie chciała, by przełożona w jakikolwiek sposób pomyślała źle o Rózi. Jednocześnie wiedziała, że jej własne zaangażowanie w tę sprawę wykracza poza zwykłą pomoc. Przełożona zapewne uważa, że zajmowanie się nieokrzesanymi dziewczętami, i to niespokrewnionymi, jest jakąś formą perwersji.

– Eleonora zupełnie dobrze poradziła sobie z egzaminami. Co prawda miała niejaki problem w niektórych tematach z przyrody, ale wybrnęła. – Pani Stanisława nie patrzyła na Stefanię, tylko wertowała jakiś duży zeszyt. – Znając jej trudną sytuację, absolutnie w drodze wyjątku pozwoliliśmy jej przystąpić do egzaminu i, co oczywiście nas cieszy, Trzaskówna stanęła na wysokości zadania. Zaliczyła każdy przedmiot, ale...!

No tak, Stefania wiedziała, że w tej rozmowie głównie będzie chodzić o jakieś „ale”. Przecież przełożona nie wołałaby jej tylko po to, żeby chwalić Leosię.

– Ale założenie jest takie, że najdalej pod koniec października czyli, ekhm, ekhm, po rozwiązaniu, Eleonora wraca do szkoły. Na drugi taki egzamin zgody nie wyrażam. Jeśli tak się nie stanie, nie uzyska promocji ani świadectwa ukończenia szkoły oraz nie zostanie dopuszczona do małej matury. – Powiedziawszy to, Stanisława Beretówna z hukiem zamknęła zeszyt, dając Stefanii sygnał, że ta ma się oddalić.

– Oczywiście, rozumiem i jestem bardzo wdzięczna za wszystko, ale... czy musimy być tacy radykalni? Dziewczynę spotkało nieszczęście, musi

sobie jakoś poradzić. Wiadomo, że w pierwszych dniach po porodzie będzie musiała zostać z dzieckiem, jeśli... jeśli zawiodą inne plany. – Niemyjska nie zamierzała wtajemniczać pani przełożonej w plany Leosi.

– Pani Stefanio, to było moje ostatnie słowo. Żegnam i życzę miłych wakacji.

* * *

Na potańcówkę u Rembiasza nie trzeba było się stroić. Odbywała się tuż przy kąpielisku, pod gołym niebem, na nowo wybudowanym molo.

Szumna nazwa „kąpielisko” została nadana nieco na wyrost – był to po prostu nieduży staw, który właściciel, pan Rembiasz, pierwotnie wykopał po to, by go zarybić, a potem sprzedawać ryby na okolicznym targowisku. Biznes łowiskowy szedł dobrze, ale że staw leżał na obrzeżach Pleszewa, nadto miał uregulowane brzegi i łagodne zejście do wody, właściciel wpadł na pomysł, by za niedużą opłatą udostępnić go okolicznym mieszkańcom do pływania.

Okazało się to strzałem w dziesiątkę – już w pierwszym roku funkcjonowania od czerwca do września każdy metr kwadratowy prowizorycznej plaży zajęty był przez koce, leżaki i opalających się pleszewian. Pan Rembiasz poszedł zatem za ciosem i wybudował podest, zwany przez mieszkańców „molo”. Podest był spory, częściowo podwieszony nad wodą i okolony solidnymi bramkami – wystarczyło tylko zawiesić lampiony, zaprosić lokalną orkiestrę i miejsce na potańcówki było gotowe.

W sezonie wiosenno-letnim dansingi odbywały się regularnie, każdej soboty. Było to ulubione miejsce okolicznej młodzieży, której nie stać było na wypad do Victorii czy nawet do sali zabaw u Marciniaka. Centrum miasta od kąpieliska dzieliły niespełna trzy kilometry, toteż młodzież

garnęła się tam lawinowo, jadąc na miejsce, czym popadnie – a to na rowerach, a to czasem korzystając z podwózki podpleszewskich chłopów, a to nawet idąc pieszo. W końcu czym jest dla młodych nóg taka trzykilometrowa trasa?

W przeddzień potańcówki Józek poinformował Helenę, że specjalnie na tę okoliczność wynajął wozaka. W końcu jak jechać na dansing z piękną dziewczyną, to z fasonem! Helenę nawet to ucieszyło – pantofelki miała na niedużym obcasie, a kilkukilometrowa podróż w upale po brukowanej ulicy Marcinkowskiego, która prowadziła do stawu, byłaby udręką. Tym bardziej że zamierzała bawić się do białego rana! Rower też nie wchodził w grę – co prawda Józek był szczęśliwym posiadaczem jednoślada, ale ona nie, a jazda na ramie przez kocie łby nie uśmiechała się jej zupełnie.

Pozostała tylko kwestia stroju. Po kilkuminutowym odstaniu przed szafą ostatecznie wybrała swoją ulubioną sukienkę w groszki zapinaną z przodu, a do tego dorzuciła nieduży biały kapelusik. Nakrycie głowy dostała od babci, która zakupiła je na Rynku Łazarskim podczas ostatniego pobytu u Jadzi w Poznaniu. Kapelusik był uroczy, z granatową wstążką, idealny na letnie spacer. Helena czuła, że w jego zakupie maczały palce jej kuzynki bądź też ciocia Jadzia – babcia Adela nie znała się na modzie zupełnie, a jedyną „elegancką” sukienką, którą miała, była ta do trumny, zresztą już mocno podstarzała i przesiąknięta zapachem naftaliny, która miała odstraszać mole.

Punktualnie o dziewiętnastej Józek zapukał do drzwi.

– O, Biadała przyszedł. – Adela kiwnęła głową, zajęta szypułkowaniem truskawek.

Udało jej się zdobyć dwa kilogramy na targu, a teraz skrupulatnie, żeby żadnej nie naruszyć, obierała je i wrzucała do dużego garnka. Zasypie się je

cukrem, wygotuje, sok oddzieli do butelek, a miąższ do słoików. Na zimę będzie jak znalazł.

– Zobocz, jaki on punktualny, ten Józek. Fest chłop – dorzuciła niby od niechcenia, kątem oka spoglądając na wnuczkę. Ta nie zareagowała zupełnie, zajęta chwilowo poprawnym układaniem kapelusika na głowie. – No weź, idź mu łotwórz!

– Dobrze, babciu, ja już lecę! – W przelocie pocałowała Adelę w policzek i wybiegła z mieszkania. Chwyciła rękę Józka, który nawet nie zdążył wręczyć Adeli bukietu.

– Dobrze, dasz później albo ja jej przekażę po potańcówce! – uspokoiła chłopaka, który był czymś wyraźnie zestresowany.

– To dla ciebie, Helena. – Dał jej drugi, o wiele większy.

Był to bukiet groszku pachnącego przewiązany różową wstążką, rozsiewający obłądny aromat. Helenie aż żal było zabierać go na potańcówkę, gdzie zmarniałby bez wody. Chwyciła więc obydwie bukiety – również ten malutki, z niecierpków, dla babci Adeli – i wbiegła z powrotem na górę.

– Ty, Hela, Boga w sercu ni mosz, żeby tak kwiaty i chłopaka traktować. Trzeba było go tu wpuścić, coby elegancko było i mógł dać je w spokoju! – usłyszała jeszcze, kiedy zbiegała schodami.

Józek miał na sobie nowy, jasnoszary letni garnitur, na głowie słomkowy kapelusz i wyglądał prawie jak model z ilustracji w magazynach dla kobiet. Tylko ręce nie pasowały do tego obrazka – od wewnątrz pełne zgrubień i odcisków od trzymania dłuta, na zewnątrz pełne obtarć i drobnych ranek. „To dobry fach jest i Józek jest dobrym człowiekiem”, przekonywała samą siebie, wsiadając na rozklekotany wóz. Położyła dłoń na jego dłoniach, które trzymał na kolanach. Spojrzał na nią, a jego wzrok wyrażał zarówno miłość, jak i zdenerwowanie. Wolała nie pytać, dlaczego

jest taki spięty. Obawiała się, że może to całkowicie zepsuć atmosferę wieczoru. Józek nie lubił być brany na spytki.

Sama podróż, trwająca zaledwie pół godziny, była również bardzo przyjemna. Józek milczał, a ona mogła oddać się obserwowaniu wieczornego życia w Pleszewie. Był to widok zaiste uroczy – większość mieszkańców miasta wyległa na zewnątrz, by zasmakować najdłuższych dni w roku, kiedy każda godzina snu zdaje się niepotrzebną stratą czasu. Na rynku biegało pełno dzieci – odziane w jasne stroje, bawiły się w jaworowych ludzi, toczyły koło, rzucały prowizoryczne piłki i robiły przy tym, jak to dzieci, mnóstwo gwaru. Wzdłuż ulicy Wrocławskiej przechodziło wiele par, a część z nich prawdopodobnie wybierała się na zabawę do Rembiasza. Z otwartych okien ciasno przyklejonych do siebie kamienic czynszowych niósł się zapach skwarek, ziemniaków i zupy warzywnej, dobiegały odgłosy szczękających sztućców, nawoływania do posiłku. Czasem w którymś z okien na wielkiej poduszce opierała się jedna czy druga babina, uważnie obserwując życie na ulicy.

Helena pomyślała, że życie w małym mieście latem jest całkiem przyjemne, i przypomniała sobie swoje jesienno-zimowe przemyślenia, które doprowadzały ją do melancholii. „Dlaczego nie moglibyśmy, niczym niedźwiedzie, zaszyć się w gawrze i zasnąć na tych kilka miesięcy, po czym obudzić się na wiosnę i przez kolejne miesiące nie spać wcale?”. Chciała podzielić się tą myślą z Józkiem, ale stwierdziła, że jednak tego nie zrobi. Józek zapewne uznałby to za fanaberię.

Kąpielisko było już pełne gości. Pan Rembiasz w tym roku wprowadził nowość – nieduże okrągłe stoliczki oraz punkt sprzedażowy, w którym niedrogo można było nabyć lemoniadę i piwo oraz kiełbasę z chlebem. Amatorów takiego posiłku najwyraźniej było mnóstwo, bo większość stoliczków została już zajęta. Helena chwilowo przejęła się, że nie będą

mieli gdzie usiąść. Nie wiedziała jednak, że kilka godzin wcześniej Józek pofatygował się do Rembiasza, żeby za drobną opłatą (poprawioną pętem kiełbasy) właściciel zarezerwował dla niego najlepiej położony stolik, tuż przy dechach, a jednocześnie niedaleko wody, z najprzedniejszym widokiem.

Zajęli zarezerwowane uprzednio miejsce i w tym momencie zaczęła grać kapela. Większość muzykantów na co dzień grała w zespole teatralnym, który prowadził niejaki pan Józef Radomski. Dryg do grania mieli, a że na bieżąco śledzili najważniejsze wydarzenia kulturalne – wszak grali w teatrze, co z tego, że amatorskim – u Rembiasza mogli się popisać znajomością największych szlagierów kinowych i nie tylko.

- Co ci przynieść do picia? – Józek z galanterią pochylił się nad Heleną.
- Lemoniadę poproszę – odpowiedziała, nawet na niego nie patrząc.

Orkiestra zaczęła grać przebój pana Warsa *Już taki jestem zimny drań*, a na dechach pojawiało się coraz więcej par. Dziewczęta w kolorowych sukienkach, panowie w jasnych koszulach z podwiniętymi rękawami i szerokich spodniach z wysokim stanem. Po chwili podest był już wypełniony parami. Nagle w tanecznym tłumie dostrzegła Feliksa.

Początkowo myślała, że się pomyliła. Co Feliks robiłby w takim miejscu jak kąpielisko u Rembiasza? Ale nie, to był on, Feliks, Feluś, doktor Szewczyński.

Ubrany był oczywiście z fasonem, niby tak samo jak inni, ale jednak lepiej – nawet z daleka łatwo dało się dostrzec jakoś jego koszuli i spodni. Włosy miał zaczesane do tyłu, tylko jeden niesforny kosmyk spadał mu na czoło. Stał oparty o balustradę i uśmiechał się lekko. Kiedy tłum nieco się przerzedził, Helena dostrzegła obok niego Lusię. Grzybkówna wyglądała zupełnie inaczej niż wówczas, kiedy Helena ją zobaczyła pierwszy i jedyny

raz. Tak jak inne dziewczęta, miała kwiecistą sukienkę, rozpuszczone włosy, a w ręku trzymała nieduży bukiet nagietków.

– Proszę – usłyszała za sobą głos Józka, który postawił przed nią dużą szklankę lemoniady.

Upiła łyk – była chłodna i słodko-kwaśna. Odstawiła szklankę i spojrzała na duży kufel piwa, który Józek przyniósł dla siebie. Bez pytania chwyciła go i duszkiem wypiła kilka łyków. Nie lubiła piwa, było gorzkie i pienne, na dodatek to okazało się ciepłe.

– Ho, ho, ho, jak się bawić, to się bawić! – Józek się zaśmiał, cały czas patrząc na jej twarz, po czym duszkiem wychylił cały kufel.

– Idziemy tańczyć? – Wierzchem dłoni otarła usta, zmazując resztki piwnej piany.

Wstała zamaszyście i chwyciła rękę chłopaka przez stół, niemal przewracając przy tym pusty kufel i szklankę z lemoniadą.

– A pewnie! – Józkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Orkiestra skończyła *Drania* i po chwili na kąpielisku rozniosła się melodia *Rebeki*. Józek przycisnął do siebie silniej Helenę, aż przez krótką chwilę zabrakło jej tchu. Jego oddech pachniał wypitym przed chwilą piwem, a koszula przesiąknięta była ostrą wonią potu. „O ty wymarzony, o ty wytęskniony, nie wiesz o tym przecież ty, że w małym miasteczku za tobą ktoś wypłakał z oczu łzy”^[111]. Helena kątem oka zauważyła, że Feliks i Lusia również weszli na parkiet i zaczęli tańczyć. Nie było to piękne wykonanie, Józek tańczył o niebo lepiej. Feliksowi jakby plątały się nogi, w tańcu wydawał się niezgrabny, ale najwyraźniej się starał.

Dla Lusi się starał.

Odwróciła głowę w innym kierunku, żeby nie psuć sobie humoru. W końcu przysła tutaj w szampańskim nastroju, chciała się bawić, a Józek był szarmancki i uroczy.

Zatańczyli kolejnych kilka utworów, po których Helena stwierdziła, że bolą ją nogi, więc wrócili do stolika. Cały czas bezwiednie spoglądała na Feliksa i Lusię. Cóż, robili to samo co oni – mieli również stolik dla siebie, raz tańczyli, raz siedzieli i pili piwo. W pewnym momencie wzrok Heleny napotkał oczy Feliksa – nie mogła przecież wiedzieć, że on robił dokładnie to samo, tylko w innych momentach, więc musieli się w końcu spotkać spojrzeniami. Feliks zachował zimną krew. Uśmiechnął się do Lusi, coś jej szepnął do ucha, po czym wstał i podszedł do stolika Heleny i Józka.

– Dobry wieczór, Heleno, witaj, Józefie! – Uśmiechnął się najpierw do niej, później przeniósł wzrok na Biadałę.

Ten skinął głową, ale twarz miał poważną.

– Wybaczcie, że tak obcesowo włączam się w wasz wieczór, ale czy wolno mi zapytać, Heleno, jak wygląda twój karnecik tańców? Wszystkie masz już zajęte czy znajdzie się jeden dla starego przyjaciela? – Nadal się uśmiechał. Od niego również Helena poczuła zapach piwa. Ho, ho, ho, rozbawił się młody Szewczyński. Jego staroświecka przemowa rozluźniła ją i nieco przełamała lody.

– Feliksie, przecież wiesz, że już nie nosi się takich karnetów. – Roześmiała się. – Bardzo chętnie zatańczę!

– Józefie? – Feliks spojrział na Biadałę wyczekująco.

– Richtyg, skoro Hela chce, to czemu nie, ja tu zaczekam – odpowiedział ten spokojnie, siląc się na niemrawy uśmiech.

Helena wstała, starając się nie myśleć o tym, jak szybko bije jej serce. Miała nadzieję, że nie spocą jej się w tańcu ręce i Feliks nie poczuje, jak bardzo jest zestresowana. Feliks chwycił jej dłoń i powiódł ją na parkiet, gdzie orkiestra szykowała się już do kolejnego utworu. Zabrzmiały dźwięki akordeonu i po chwili popłynęło *Tango milonga*.

Naprawdę: dlaczego właśnie ten utwór?! Helena była zaskoczona. Wszak od paździenikowej potańcówki kojarzył jej się wyłącznie z Feliksem, mimo że przecież nie było go wtedy na dansingu. Od tamtego czasu nie przespala wielu nocy, myśląc o tym, co by było, gdyby zamiast Józka do jej mieszkania wpadał Feliks z dwoma bukietami kwiatów. Gdyby razem z nim chodziła na spacerunki na Plantach, gdyby on tam, na tych ławeczkach, nieśmiało łapał ją za rękę, patrząc głęboko w oczy. A potem wszystko się rozsypało, niczym domek z kart. Babcia Adela odarła ją ze wszystkich złudzeń. Ona rzuciła się z powrotem w objęcia Józka, Feliks zaś zaczął prowadzić się z Lusią Grzybkówną.

Nie zamienili ze sobą ani słowa, ale Helena słyszała szybkie, miarowe bicie serca Feliksa. Czuła również dyskretny zapach wody kolońskiej zmieszanej z potem. Cóż, noc była gorąca, nie dało się nie spocić. Utwór trwał zaledwie kilka minut, ale w jego trakcie Helenie przeleciało przez głowę całe życie – wszystkie decyzje, które podjęła, szanse, które miała i których być może nie wykorzystała, oraz stojące przed nią przeszkody, których nie mogła przeskoczyć, bo takie było jej społeczne położenie i możliwości.

Feliks tańczył tak sobie, plątały mu się nogi, ale Helena nie zwracała na to uwagi. Miała wrażenie, że pod dotykiem jego rąk przez jej ciało przepływają jakieś magiczne prądy, powodujące, że robi jej się gorąco. Utwór się skończył, Feliks uklonił się Helenie, po czym odprowadził ją do stolika, przy którym siedział zasepiony Józek z kolejnym kuflem piwa i uśmiechem przyklejonym do ust.

– Dziękuję bardzo, już nie będę przeszkadzał, wracam do swojej towarzyski. – Feliks uśmiechnął się do Heleny, a w jego wzroku było coś mętnego, ledwo wyczuwalnego.

Helena widziała, że nie był to zwykły przyjacielski uśmiech.

– Do widzenia. – Z zamyślenia wyrwało ją krótkie, żołnierskie pożegnanie Józka.

Feliks oddalił się do stolika, przy którym siedziała Lusia, również sącząc piwo.

– Mogłeś też zaprosić ją do tańca. Wyłącznie nie ma, patrz, tutaj wszyscy się mieszają – zachęciła Józka.

W głębi ducha miała nadzieję, że Feliks jeszcze raz do niej podejdzie. Ale on już zaprosił Lusię na parkiet. Na twarzy Grzybkówny malowała się nieskrywana radość. Helena zauważyła, że Lusia patrzy na Feliksa z wręcz psim uwielbieniem. Co zrobić, Feliks sam zapewne nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo pociąga kobiety, mimo – a może właśnie z powodu – swojej niezgrabności i pozornej nieśmiałości.

– Dzie tam, Hela, ja byde zapraszał inne mele. Z tobą przyszedłem.

Józek wyciągnął ręce przed siebie, chcąc chwycić dłonie Heleny, ta jednak cały czas uparcie trzymała je na podołku. Co rusz zerkąła na parkiet – Feliks i Lusia tańczyli niebezpiecznie blisko nich.

– Hela – nagle odezwał się Józek, a w jego głosie słychać było dziwne drżenie.

Kałużówna odwróciła się do niego, upijając łyk lemoniady.

– Co tam? – zapytała lekko.

Józek trzymał ręce pod stołem i jakby coś tam gmerał. Po chwili wyciągnął je z powrotem na stół. W jednej trzymał malutkie aksamitne pudełeczko. Niezgrabnym ruchem je otworzył – na atłasowej poduszeczce leżał malutki pierścionek z niebieskim oczkiem, cały otoczony brylancikami, chociaż zapewne nie były to prawdziwe brylanciki. Józek aż tak bogaty nie był.

W pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć. Tańczący z Lusią Feliks, Józek wpatrzony w nią jak obrazek, a teraz ten pierścionek.

– Ja żem chciał na samym końcu zabawy ci to powiedzieć, ale jak żem zobaczył, jak tańczysz z panem doktorem, ja wiem, że to twój znajomy, ale coś mnie tak ścisnęło w dołku, że nie wytrzymam dłużej. – Głos mu drżał, podobnie zresztą jak ręce, które nadal trzymał na stole. – My ze sobą narzeczeni tak długo, że ja pomyślał, że to już czas dać na zapowiedzi i żebyś ty została moją prawną żoną. Ja otrzymał od pana Grai promocję i będę tera kierownikiem zmiany, to i bejmy się zgadzać bydą. Ja mogę nam wynająć mieszkanie nawet niedaleko rynku, cobyś do babki Adeli bliżej miała, i bydymy dobrze żyć – powiedział na jednym tchu, patrząc wyczekująco na Helenę.

– Józus, co tak nagle? – Helena oparła się o siedzenie, dzięki czemu uzyskała większy kąt patrzenia.

Tańczyli nadal, Feliks chyba nie spoglądał w jej stronę.

– Jakie nagle, jakie nagle, Hela? To już dwa lata bydzie, jak się poznaliśmy w chórze „Lutnia”!

– Tak, faktycznie, ach, jak ten czas leci. – Helena zwlekała z odpowiedzią.

Pierścionek błyskał, raz na jakiś czas rozświetlany lampionem, który wisiał tuż nad ich głowami. Józek siedział nieruchomo z dłońmi położonymi na stole i nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Musiała przecież coś odpowiedzieć. Ach, dlaczego właśnie w takiej sytuacji, dlaczego teraz?!

– Józek to piękne, co zrobiłeś, i jestem ogromnie wzruszona, ale wiesz, teraz jadę z ciocią Stefanią i z Ryfką nad morze. Zrobimy tak, że porozmawiamy o zapowiedziach, jak wrócę, tak na spokojnie, dobrze? – Zdobyła się na najbardziej dyplomatyczną odpowiedź, na jaką było ją w tym momencie stać.

Nie chciała okłamywać Józka. Jeszcze wczoraj myślała, że przecież ten moment wkrótce nadejdzie i ona po prostu się zgodzi. Co miała do

stracenia? Dzisiaj jednak zmieniła zdanie. A przynajmniej nie chciała podejmować decyzji w takich okolicznościach.

Józek chwilę posiedział bez słowa, patrząc to na nią, to na pierścionek.

– Dobrze, Hela, ale weź pierścionek. To po mojej babce jeszcze jest! – wyjaśnił dumnie.

Helena ujęła w dłoń pudełeczko, żeby obejrzeć pierścionek z bliska.

– Bardzo ładny, niezmiernie ci dziękuję, jestem naprawdę wzruszona – powiedziała zgodnie z prawdą.

W końcu znalazła się w takiej sytuacji po raz pierwszy i istotnie bardzo ją ona poruszyła. Nie mogła wiedzieć, że właśnie wtedy Feliks, który w najlepsze bawił się z Lusią, spojrzął w kierunku Heleny jeden, jedyny raz. Właśnie w momencie, kiedy ona przyjmowała pierścionek od Józka Biadały i chowała go do małej torebki, uśmiechając się miło do swojego narzeczonego.

* * *

Poczekalnia w Kasie Chorych była przepelniona, co w pierwszej chwili skłoniło nieznoszącą tłumów Stefanię do tego, by natychmiast się wycofać. Widziała matki z dziećmi, starszych ludzi, rżężących, kaszlących, stękających i trzymających się za brzuch. Na samą myśl o tym, że będzie musiała spędzić tutaj trochę czasu, robiło jej się słabo.

Miała również nadzieję, że natknie się na Feliksa. Co prawda nie korzystała z jego usług od czasu skręcenia kostki, nawiasem mówiąc, nie korzystała w ogóle z usług lekarskich, jednak zaimponował jej wtedy w Wigilię spokojem, fachowością i pewnością siebie. Zresztą niejednokrotnie zewsząd słyszała, że mimo młodego wieku jest świetnym lekarzem i bardzo dobrym diagnostą.

Usiadła tuż pod drzwiami z napisem „Kancelaria” i czekała na wywołanie, starając się nie rozglądać dokoła. Żałowała, że nie wzięła ze sobą żadnej książki.

Zza drzwi wychyliła się postać młodej kobiety, która ze stosem dokumentów weszła po schodach na piętro. Stefania domyśliła się, że to musi być Lusia Grzybek, o której opowiadała jej Helena. „Lusia, wybranka czy też przyjaciółka Feliksa, nie wyróżnia się niczym szczególnym, chociaż na pewno jest miła i dobra”, pomyślała Stefania. Zaraz jednak zganiła samą siebie w myślach za to, że ocenia dziewczynę wyłącznie na podstawie wyglądu. Na dodatek widziała ją dosłownie przez chwilę.

Upłynęło kilka minut, podczas których żaden pacjent nie został zawołany do gabinetu, natomiast przybyło sporo nowych. Lusia pojawiła się z powrotem na schodach.

– Dzień dobry. – Stefania wstała, by przywitać się z młodą sekretarką.

Ta stanęła na ostatnim stopniu, ale nawet wówczas była niższa od Niemyjskiej. Na nosie miała okrągłe okulary, a włosy zaczesane w dwa loki z przodu, a z tyłu w kok. Wyglądała sympatycznie, chociaż miała poważną twarz.

– Przepraszam bardzo, czy orientuje się pani, w którym gabinecie przyjmuje doktor Szewczyński? – Stefania wołała nie mówić, kim jest.

A nuż Feliks opowiadał o życiu w kamienicy? Ona zaś przecież była związana z Heleną, której ta dziewczyna miała prawo nie lubić.

– Dzień dobry pani, oj, Feliksa, znaczy się doktora Szewczyńskiego, dzisiaj nie ma. Wie pani, wziął kilka dni urlopu, zresztą nie tylko on. Jak zwykle mamy niedobór lekarzy, zaczął się sezon letni i nawet dyrektor Kasy Chorych, pan Rudke, musi przyjmować pacjentów, po prostu nikogo nie ma – mówiła szybko i co chwila kciukiem poprawiała okulary.

– Oj, to niedobrze. W każdym razie dziękuję za informację. – Stefania usiadła zrezygnowana.

Lusia zniknęła za drzwiami, a Niemyjską ogarnęły wątpliwości. Może przyjdzie kiedy indziej? Wszak nie zna tutaj nikogo, żadnego lekarza. Rudke, Rudke, czy to przypadkiem nie pierwszy doktor działający w powiecie pleszewskim, jeszcze z czasów, gdy Stefania pojawiła się na Gnieźnieńskiej?

Odczekała kilka kwadransów, w trakcie których nieco zmieniła się konfiguracja oczekujących – zniknęło kilka osób i pojawiło się parę nowych. W końcu zza drzwi gabinetu usłyszała, jak ktoś wywołuje jej nazwisko.

Gabinet był nieduży i ubogo wyposażony – zwykła kozetka, biurko i metalowa witryna z przeszkleniami, w której leżały medykamenty i środki opatrunkowe. Lekarzem musiał być nie kto inny, jak tylko Rudke – starszy, gruby pan w obcisłej kamizelce, obficie spocony na czole i głośno oddychający. W pierwszej chwili Niemyjska pomyślała, że się wycofa – jegomość z niewytłumaczalnego powodu bardzo ją wystraszył. Po chwili jednak się opamiętała – w końcu jest dorosła, nie będzie robić scen.

– Proszę siadać. – Lekarz wskazał jej miejsce na krześle naprzeciwko niego. – Co panią do mnie sprowadza?

– Otóż... – zaczęła Stefania, nerwowo rozglądając się dokoła.

Znalazła się w takiej sytuacji po raz pierwszy w życiu – poprzednio widywała się z lekarzami głównie w domu. Pamiętała, że kiedy była dzieckiem, doktor Kramer przyjeżdżał swoim małym wolantem do jej rodzinnego domu. Tutaj czuła się nieswojo, a surowy wystrój gabinetu jeszcze potęgował uczucie lęku. Zebrała się jednak w sobie.

– Otóż od jakiegoś czasu męczy mnie taki napadowy kaszel. I ogólnie, chyba czasem za szybko się męczę... i pocę.

– Proszę się rozebrać, muszę panią zbadać – powiedział Rudke.

Sapiąc, wstał zza biurka i wziął do ręki stetoskop. Stefania rozejrzała się w popłochu za jakimś parawanem. Niestety żadnego nie było, musiała więc rozebrać się przy tym jegomościu. Zdjęła bluzkę i halkę, trzęsąc się przy tym jak w febrze, mimo że w gabinecie wcale nie było chłodno. Rudke podszedł do niej i zaczął badanie.

– Oddychać! Nie oddychać! Oddychać! Nie oddychać! – komenderował.

Stefania miała wrażenie, że badanie trwa wieki.

– Proszę się ubrać i siadać. – Wrócił za swoje biurko i stękając oraz ocierając czoło wielką białą chustką, opadł na krzesło.

– Jak długo pani ma ten kaszel?

– Och, to już trochę trwa, bodaj kilka miesięcy. – Niemyjska nie zdążyła nawet zapiąć bluzki i czuła się co najmniej dziwnie, ubierając się podczas rozmowy z mężczyzną.

– To chyba powinna pani najlepiej wiedzieć, od jak dawna pani kaszle, co za lekkomyślność – stęknął Rudke ponownie i zapisał coś w kajecie. – Zmęczenie?

– Tak, mówiłam właśnie, że ostatnio szybko się męczę.

– Gorączka? – Rudke nie przestawał notować.

– Nie... chyba nie. Chociaż czasem może miewam stany podgorączkowe...

Rudke po raz kolejny pokiwał głową z dezaprobatą, patrząc spod okularów na Niemyjską, która najchętniej uciekłaby stamtąd jak najszybciej.

– Ból pleców?

– Czasem, ale ja dużo pracuję przy maszynie, to pewnie dlatego.

Rudke przestał pytać, a ciszę między nimi przerywał tylko zgrzyt jego stalówki, którą maczał od czasu do czasu w stojącym obok atramencie.

– Pani... pani... – Spojrzał pośpiesznie w dokumenty.

– Niemyjska.

„Co za gbur”, pomyślała Stefania, „przynajmniej mógłby zapamiętać, z kim ma do czynienia”.

– Pani Niemyjska, ja u pani podejrzewam poważne choroby. Pani może mieć albo gruźlicę, albo wczesne stadium raka płuc, ale ja tego nie wiem, bo nie mam odpowiedniej diagnostyki. Pani musi się udać do jakiejś poradni przeciwgruźliczej, najbliższa jest w Jarocinie, i pani się zorientuje, czy można zrobić sobie zdjęcie aparatem rentgenowskim. Ja tu nic więcej zrobić nie mogę, ale na moje oko to jest rak płuca. Słysząc wyraźnie szmery przy wdechu, to musi być już zwłóknienie – powiedział to tak beznamiętnym głosem, że Stefania nie wiedziała, czy wpaść w histeryczny śmiech, czy wybuchnąć płaczem.

Nie wiedziała nawet, o co zapytać. Miała poczucie, że w jednej chwili jej świat się zawalił.

– Ale co ja mam robić? – wydukała w końcu i spojrzała bezradnie na Rudkego.

– No mówię pani, co ma pani zrobić. Poszukać gdzieś poradni, żeby zrobili zdjęcie, a co dalej, to oni już pani powiedzą. Ja tu nic nie zdołałam. Do widzenia pani, mam następnych pacjentów.

Stefania wyszła z opuszczoną głową, cicho zatraskując drzwi. Jeszcze piętnaście minut temu denerwowała ją ciżba kłębiąca się w poczekalni Kasy Chorych, a teraz nawet nie zwracała na nią uwagi. Przeszła wzdłuż korytarza, do wielkich drzwi, i otworzyła je ciężko. W pierwszej chwili snop dziennego światła oślepił ją tak, że musiała przyzwyczać wzrok.

„Właściwie to jakbym już znalazła się w niebie”, pomyślała i zaśmiała się nerwowo. Po chwili jednak otrząsnęła się z tych abstrakcyjnych myśli. Pożałowała, że nie wyszła z budynku przed wizytą. Nie przejęła się zbyt swoim zdrowiem, bo też nigdy specjalnie nie zwracała na nie uwagi. Co jednak zdenerwowało ją daleko bardziej, to całkowity brak empatii lekarza. O kompetencjach nawet nie chciała myśleć. Wierzyła, że mimo wszystko ów człowiek miał jako takie pojęcie o medycynie, chociaż niewiele na to wskazywało. Przecież taki jak on ma leczyć dziesiątki pacjentów w powszechnej służbie zdrowia. To sytuacja jeszcze gorsza niż w edukacji! – skonstatowała w myślach i szybkim krokiem udała się z powrotem na Piłsudskiego.

* * *

– Byłaś w końcu, ciociu, u tego lekarza? – Helena leżała na otomanie i przeglądała najnowsze wydanie „Bluszczu”, które Stefania dopiero co odebrała z poczty.

Pod brzuch podłożyła sobie poduszkę i machała w powietrzu nogami niczym mała dziewczynka. Stefania popatrzyła na nią z czułością, ale tak, by Helena przypadkiem niczego nie zauważyła.

– Tak, nic konkretnego nie powiedział, muszę zrobić dodatkowe badania – odpowiedziała wymijająco.

Siedziała jak zwykle na krześle przy stole, przed nią stała maszyna i leżał list, który otrzymała niedawno od swojej dobrej koleżanki ze Szkoły Ludwiki, Ady Eckertówny.

– Ale coś chyba powiedział? – Heleny nie dało się ot tak, po prostu zbyć.

Odłożyła magazyn i popatrzyła na ciocię.

– Oj, co tak się patrzysz, Helenko, muszę jakieś badania jeszcze zrobić, ale nie ma z tym pośpiechu. – Stefania starała się, by jej głos był stanowczy i spokojny.

Przez całe życie uczyła się, jak maskować uczucia i emocje, była w tym mistrzynią. Odkasznęła cicho i międląc list w dłoni, zapytała:

– A jak twoja potańcówka, Helenko? Udała się?

– A jakże, na medal. – Niemyjska zbyt dobrze znała swoją podopieczną, żeby nie wyczuć w jej głosie nuty ironii.

– Ależ co się stało?

– Józek mi się oświadczył, a pod naszym nosem Feliks obtańcowywał Lusię. – Helena podniosła się z otomany, a jej głos był tak pełen goryczy i wyrzutu, że w połączeniu z przedmiotem opowieści, czyli oświadczeniami, zabrzmiało to groteskowo.

– To chyba przyjdzie mi pogratulować, prawda? – Niemyjska sama nie była pewna, czy cieszy się z takiego obrotu sprawy, czy nie.

Ostatnie dni nauczyły ją jednak, żeby przestać roztrząsać kwestie, które w gruncie rzeczy są bardzo proste.

Skoro Helence jest dobrze z Józkiem Biadałą, dlaczego ma nie wyjść za niego za mąż? Co ona sobie myśli, że będzie szukać swojej wychowance księcia z bajki? A niby kogo ona sama znalazła przez te wszystkie lata?

– Jeszcze nie. Powiedziałam Józkowi, że dam mu odpowiedź po naszym powrocie z Gdyni.

Nie wiedzieć czemu, Stefanię ta odpowiedź niezmiernie ucieszyła. Uśmiechnęła się do Heleny, podeszła do otomany i usiadła na jej brzegu.

– Co tam, ciociu? – Helena odłożyła „Bluszcz”.

W oczach Stefanii było coś takiego, czego nie widziała nigdy wcześniej – ogromna czułość przemieszana z nostalgią i smutkiem.

– Posłuchaj, Helenko... – zaczęła Niemyjska, nadal trzymając list w ręce. – Właśnie wczoraj otrzymałam informację od mojej serdecznej przyjaciółki, że w najbliższych miesiącach jej znajoma planuje wejść na rynek wydawnictw kobiecych z nowym tytułem...

– O proszę, fest nowina! I jak, ciociu, będziesz miała nową pracę? – Usiadła obok Stefanii.

Była młoda, wesoła i pełna nadziei na nadchodzącą przyszłość. Niemyjska spojrzała na nią i na chwilę przerwała opowieść o liście. Tak bardzo była dumna z Heleny. W gruncie rzeczy nie zrobiła nic takiego – ot, pomagała jej babce, gdy ta próbowała związać koniec z końcem, harując od rana do nocy. Wiedziała jednak, wszak nie była naiwna, że gdyby nie ona, Helena nigdy nie miałaby szansy, by dojść do tego miejsca, w którym znajdowała się obecnie. To ona kupowała jej pierwsze książeczki, pokazywała litery, objaśniała świat i robiła wszystkie te rzeczy, których dobra, poczciwa Adela nie zdołałaby zrobić ze względu na brak czasu, doświadczenia i wykształcenia. „Cokolwiek by mówić, stworzyłyśmy z Adelą niezły tandem wychowawczy”, pomyślała i zaśmiała się w duchu. Helena Kałuża, nieślubna wnuczka prasowaczki, zdołała się dzięki nim wykształcić, a ponadto stała się pewną siebie dziewczyną, która wie, czego chce. Stefania była z niej ogromnie dumna.

– Właśnie niekoniecznie. Wiesz, pomyślałam sobie, że być może ty byłabyś zainteresowana, żeby od czasu do czasu pisywać korespondencyjnie do tego tytułu. Oni tam szukają kogoś do prowadzenia niedużej rubryczki o muzyce rozrywkowej. – Stefania wstała, odłożyła list na stół i odwróciła się do Heleny. – Myślę, że jest to dla ciebie ogromna szansa.

Helena machinalnie ugniatała poduszkę i patrzyła na Stefanię niemal tak, jakby zobaczyła ducha. Nagle poderwała się na nogi, wołając:

– Jaaa?! Ja miałabym pisać do gazety?

– A dlaczego nie? Myślisz, że to wymaga jakichś nadludzkich umiejętności? Jesteś przecież błyskotliwa, mądra i kochasz muzykę, a nawet się na niej znasz, chociaż amatorsko. Która kobieta, jeśli nie ty, mogłaby coś takiego robić?

Helena podeszła do Stefanii i mocno ją uściskała. Niemyjska czuła, że dziewczyna aż drży z ekscytacji.

– Ale, ciociu, powiedz mi coś więcej! Jak to, u nas, w Poznańskim, mamy wydawać gazetę dla kobiet? – Kałużówna nadal nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

Oczami wyobraźni zobaczyła swoje nazwisko wydrukowane w gazecie pod artykułem. Taka szansa przekraczała jej najśmielsze sny!

– Wyobraź sobie, że właśnie u nas. Niejaka Anna Krzycka, świeżo upieczona żona drukarza Alfreda Krzyckiego, chce założyć pismo pod roboczym tytułem „Nowa Przyjaciółka”^[112]. Zbiera zespół dziewcząt, które wesprą ją w tym przedsięwzięciu za niedużą kwotę. Musiałabyś jeszcze przemyśleć, jakie uposażenie cię interesuje.

– Uposażenie?! Gotowam to robić za darmo, byleby móc coś napisać! – Helena zaczęła chodzić nerwowo po niedużym saloniku Stefanii. – To niewiarygodne, wprost nie do uwierzenia! – powtarzała co chwilę.

– Spokojnie, Helenko, to dopiero przedsięwzięcie w fazie realizacji. Najpierw i tak musisz wysłać swoje próbki pisarskie. Rzecz jasna, chętnie ci w tym pomogę. Dopiero wówczas zobaczą, czy nadajesz się do tej współpracy, czy nie. – Stefania próbowała ostudzić emocje Heleny, ale nadaremno.

Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby wyrosły jej skrzydła. W pewnym momencie przystanąła, a twarz jej spoważniała. Podeszła do Stefanii i chwyciła ją za rękę.

– Ale ciociu, dlaczego ty nie chcesz tam pisać? Przecież mówiłaś ostatnio, że nie ma dla ciebie pracy, że piszesz już tylko do pisma branżowego o ustawach w sprawie edukacji i to jest bardzo nudne. Przecież to brzmi jak życiowa szansa!

Stefania delikatnie wysunęła ręce z uścisku Heleny i objęła nimi ramiona, uśmiechając się przy tym spokojnie. Nie zamierzała dzielić się z Heleną swoimi problemami zdrowotnymi, zresztą nawet gdyby nie one, i tak planowała zaproponować Kałużównie tę pracę. Ona już napublikowała się w wystarczająco wielu czasopismach i jej czas w tej materii powoli się kończył. Była tym zmęczona. Poza tym naprawdę nie wiedziała, ile czasu jeszcze jej zostało.

– To jest praca dla młodych dziewcząt, Helenko. Ja wprawdzie czuję się młodo, ale wy jesteście już innym pokoleniem, tutaj potrzeba świeżego spojrzenia, którego mi brakuje. – Usiadła za stołem.

Przypomniała sobie wiele takich chwil, kiedy malutka Helenka przypatrywała się, jak Stefania pisze kolejny artykuł do „Głosu Wielkopolanek”, na którym to zresztą periodyku Kałużówna nauczyła się czytać. Kiedy te czasy minęły? Kiedy z tej uroczej małej dziewczynki wyrosła młoda kobieta?

– Ada obiecała, że w najbliższym liście przekaże mi więcej informacji dotyczących próbnych tekstów. – Stefania wstała od stołu i podeszła do drzwi salonu. – Tymczasem myślę, że pora, byśmy powoli pomyślały o pakowaniu się na wakacje, prawda?

Helena podbiegła do niej i znowu, niczym mała dziewczynka, rzuciła jej się w objęcia.

– Tak bardzo się cieszę, że jedziemy na wakacje, a teraz jeszcze ta wiadomość! Ech, dziękuję, ciociu, z całego serca dziękuję!

* * *

Lipcowe słońce nie pozwalało od siebie odpocząć. Na szczęście w ogródku kawiarni Wielkopolanka było kilka drzew, pod którymi właściciel ustawił nieduże stoliczki. Można tu było zażyć trochę cienia i odetchnąć od upału.

Feliks wybrał stoliczek stojący całkiem z boku. Wiedział, że Lusia będzie nieco później, bo Rudke zatrzymał ją, żeby skończyła pisać jakiś nikomu niepotrzebny raport. Większość stolików była zajęta, a sam chciał trochę odpocząć od gwaru, którego aż nadto miał w Kasie Chorych.

Zamówił kawę ze śmietanką i rozłożył przed sobą najnowszy numer „Przeglądu Lekarskiego”. Po kilku liniijkach stwierdził jednak, że nie ma siły czytać literatury fachowej. Na szczęście pożyczył dziś od ojca „Tygodnik Automobilisty i Lotnika”, który dla odmiany chłonął z przyjemnością. Kto by pomyślał, że motoryzacja tak go wciągnie!

Upił łyk kawy i od razu pożałował, że nie zamówił czegoś zimnego. W taki upał nawet dobra kawa nie smakowała. Trudno, nie będzie marnować pieniędzy na kolejne zamówienia. Westchnął cicho i pomyślał, że przecież czeka go jeszcze niełatwa rozmowa z Lusią. Od potańcówki u Rembiasza minęły już dwa tygodnie, a Feliks do dziś nie mógł się zebrać, by porozmawiać z przyjaciółką. Miał żal do samego siebie, że doprowadził do sytuacji, w której Bogu ducha winna Grzybkówna zbudowała sobie jakiegokolwiek nadzieje względem jego osoby. Przecież chciał tylko, żeby miło razem spędzali czas, a ona – co było widoczne przy każdym ich spotkaniu, których Feliks zaczął unikać – z dnia na dzień angażowała się coraz bardziej.

Na wspomnienie końcówki dansingu poczuł do siebie odrazę. Wypił wtedy o kilka piw za dużo. Kiedy zobaczył, jak Józek z Heleną tańczą po tych swoich stolikowych zaręczynach, rozochocony alkoholem, czując, jak pali go urażona duma, chwycił Lusię i pocałował w usta. Pragnął wówczas,

żeby widzieli to wszyscy na czele z Kałużówną. Jak mógł tak postąpić?! To niegodne dżentelmena! Musiał to wszystko uciąć i całe szczęście, że miał ku temu pretekst.

Lusia weszła przez nieduże drzwi tarasowe, uśmiechnięta i rześka mimo dziesięciogodzinnej ciężkiej pracy u Rudkego. Odłożył gazety na wolne krzesło, wstał na przywitanie, zamówił jej lemoniadę i przez chwilę nic nie mówił. Lusia natomiast trajkotała jak najęta: o raporcie, pięknej pogodzie, o zbliżającej się kolejnej potańcówce i eskapadzie nad Prosnę, w kierunku Chocza, zorganizowanej przez Akcję Katolicką z Domu Parafialnego przy ogrodzie jordanowskim. Czy przypadkiem Feliks nie miałby ochoty jechać, bo ona zapewne pojedzie...?

– Lusi... – zaczął cicho. Położył ręce na stole, bo chciał ująć jej drobne dłonie, ale po chwili zrezygnował. Mogła to przecież zrozumieć opacznie. – Lusi, muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

Dziewczyna rzeczywiście pojęła jego słowa zupełnie na opak.

– Taaak...? – Spłonila się i popatrzyła na Szewczyńskiego, pochylając nieco głowę i zalotnie trzepocząc rzęsami.

– Nie opowiadałem ci o tym wcześniej, bo też nie było ku temu specjalnie okazji, ale od kilku miesięcy, a tak naprawdę odkąd skończyłem studia, miotam się pomiędzy wyborem pozostania w Kasie Chorych a powrotem do kliniki, by pod okiem mojego mentora robić specjalizację drugiego stopnia.

Lusia zastygła w bezruchu, a rumieńce z jej policzków zniknęły tak szybko, jak wcześniej się pojawiły.

– I co w związku z tym? – zapytała cicho.

– Otóż najprawdopodobniej już niedługo zabawię w Pleszewie, gdyż wracam do Poznania. – Postanowił nie owijać w bawełnę.

Lusia zbladła.

– Ale jak to, Feliksie, zamierzasz zostawić naszą Dzielnicę? – Wiedziała, że praca jest dla niego ogromnie ważna, i wolała zasłonić się poczuciem obowiązku Szewczyńskiego, niż pokazywać, jak bardzo zraniła ją jego decyzja.

– Nie do końca. Z tego, co wiem, mój kolega z Jarocina, który w tym roku kończy medycynę, chciałby zatrudnić się w naszej kasie, w Pleszewie. Nie pozostawię po sobie pustego miejsca. – Usiadł prosto i tym razem chwycił obydwie dłonie Lusi, które leżały bezradnie na stoliczku, a między nimi stała pełna szklanka lemoniady.

– Od początku miałem ogromne wątpliwości co do pracy tutaj, gdyż zawsze chciałem kształcić się dalej. W Pleszewie trzymało mnie poczucie obowiązku i lojalności względem mieszkańców. Teraz jednak zrozumiałem, że muszę zrobić coś więcej, co też będzie z korzyścią dla nich.

Lusia przez chwilę siedziała nieruchomo, a Feliks czuł w swoich dużych dłoniach, jak bardzo jej malutkie ręce są bezwładne.

– I czego zamierzasz się uczyć... Znaczy się, co zamierzasz studiować?

– Radiologię. Mój mentor, profesor Lubieniecki, zarekomendował mnie wybitnemu polskiemu radiologowi, panu Karolowi Mayerowi, który zgodził się, bym od nowego roku akademickiego objął posadę jego asystenta w poznańskiej Katedrze Radiologicznej.

Lusia popatrzyła na Feliksa w skupieniu, starając się przetrwać tę informację.

– Co... co to jest radiologia? – zapytała sploniona.

Przecież ona, sekretarka w biurze Kasy Chorych, powinna takie rzeczy wiedzieć.

– To dziedzina medycyny zajmująca się diagnostyką na podstawie obrazowania promieniowania rentgenowskiego. – Szewczyński poprawił się na krześle i usiadł swobodniej. Najważniejsze, że już to z siebie

wyrzucił. – Dziedzina jest bardzo młoda, niestety jeszcze nierozpowszechniona w Polsce. A szkoda, bo to ważna część diagnostyki, szczególnie w chorobach płuc, chociaż nie tylko.

Przez chwilę panowała między nimi cisza. Lusia nie wiedziała, co powiedzieć, a Feliks nie wiedział, co mógłby dodać do tego, co już jej wyjaśnił.

– Dziękuję, Feliksie, że mi to wytłumaczyłeś. A teraz zapytam ciebie albo i nie zapytam, tylko powiem, co myślę, bo co ja mam teraz do stracenia.

– Oczywiście, Lusi, pytaj.

– Ja ci powiem, Feliksie, że jakby Kałużówna z tym Biadałą nie przyszła i jakbyś ty z nią więcej mógł potańcować, to ty byś na tę... radiologię nie poszedł. – Powiedziawszy to, objęła rękami ramiona i popatrzyła w bok.

Feliks zauważył, że przygryza dolną wargę, jakby zbierało jej się na płacz. Nie przypuszczał, że cokolwiek zauważyła, przecież on jej nigdy nie mówił o Helenie. Jakim cudem kobiety są takie spostrzegawcze w materii uczuć?

– Lusi, nie mów tak, przecież objęcie posady asystenta to poważna sprawa, żadna ucieczka. – Powoli sam zaczynał w to wierzyć. Doprawdy, czemu Lusia czepia się jego uczuć.

– To pewnie coś innego byś wymyślił z tą radiologią, gdyby tylko Helena ciebie chciała – wypaliła.

– Proszę, nie mów tak. – Zirytował się, że Lusia tak wprost i obcesowo mówi o jego uczuciach.

Już nawet zaczął układać sobie w głowie, jak przemówi jej do słuchu, ale po chwili się opamiętał. Dopił kolejny łyk zimnej już kawy. Była jeszcze gorsza niż ciepła.

– Masz rację, Lusiu. Tak jest, zapewne, gdybym... gdyby inaczej potoczyły się moje losy, wówczas dwa razy bym się zastanowił. Jestem podlec i drań, że w ogóle pozwoliłem ci myśleć, iż może być inaczej. Zrozumiem, jeśli mi nie wybaczysz.

Lusia puściła swoje ramiona i spojrzała na niego. W oczach miała łzy, które dzielnie przetykała. Nie zamierzała robić melodramatu w Wielkopolance.

– Za co ty masz przeproszać, Feliksie, jak ci na innym niebie słońce zaświeciło. Szczęścia ci tylko życzę i powodzenia na tej... na tej radiologii.

Wstała od stołu i chwyciła torebkę.

– Lusiu, ale to jeszcze kilka miesięcy, ja nigdzie się nie wybieram, zostań jeszcze. – Podniósł się i ujął jej ramię.

Delikatnie, acz stanowczo wykręciła się z jego uścisku.

– Nie mam żalu, Feliksie, nie frasuj się. Do widzenia.

Szybkim krokiem, mijając malutkie stoliki, wyszła z kawiarni.

[111] Aut. Zygmunt Białostocki/Andrzej Włast, piosenka z rewii „Yo-Yo” kabaretu Morskie Oko, pierwsze wykonanie: 1932 rok.

[112] Pierwszy numer pisma ukazał się w 1934 roku. Do 1939 roku magazyn ukazywał się w nakładzie 250 tysięcy co dwa tygodnie.

IX

– Bella, Bella, ty dzikusko jedna! – zawołała Stefania.

Piesek obszczekiwał ją z całych sił, zawzięcie na nią skakał i szarpał nitki jej szala. Niemyjska wyjęła z torebki chusteczkę, w której miała zawinięty smakołyk dla ukochanej pudliczki Aleksandra – kilka kostek wołowych z rosółu własnej produkcji.

– Oj, oj, oj, a kto mi przytyki robił, że psa rozpuszczam? – Aleksander wyszedł na ganek i żartobliwie pogroził przyjaciółce.

– Kostki, mój drogi, to dla jej zdrowia są. Ty ją karmisz słodkimi rzeczami, o, zobacz, jaka jest już okrągłutka. – Poklepała pieska po boku.

Bella uwielbiała pieszczoty, a Stefania lubiła Bellę – niby zwykły piesek, a tyle radości wnosił do domu Aleksandra. Bogiem a prawdą wnosił tu też trochę życia, bo jej pedantyczny przyjaciel, samotnik i esteta, sprawiał wrażenie, jakby był kustoszem w muzeum swojego mieszkania.

Dom Aleksandra był piękny, ale z biegiem czasu Stefania nauczyła się doceniać miejsce, w którym sama mieszkała. Tam się przynajmniej żyło, nawet jeśli biedniej, skromniej i z każdego mieszkania roznosiły się różne zapachy, bynajmniej nie fiołków i lawendy. Psozna Bella w pięknej willi przy Marcinkowskiego była wręcz niezbędna.

– Bardzom rad, żeś wreszcie mnie odwiedziła, tak rzadko mamy okazję się ze sobą spotykać. – Aleksander objął przyjaciółkę, pocałował w czoło

i delikatnie popchnął ku wejściu. – Pani Zosia właśnie upiekła bułeczki z jagodami, no mówię ci, delicje, delicje!

– W takim razie wiedziałam, kiedy cię odwiedzić! – Stefania weszła do środka i natychmiast usadowiła się w swoim ulubionym fotelu.

W domu rzeczywiście roznosił się zapach pieczonego ciasta drożdżowego.

– Pani Zosia, uważasz, wdraża się w nowinki technologiczne, gdyż niedawno zakupiłem najprawdziwszą kuchenkę elektryczną z piekarnikiem! – Aleksander usiadł w fotelu naprzeciwko Stefanii i poprawił zwichrzoną przez Bellę bonzurkę.

– Doprawdy? Nigdy na własne oczy takiego cudu nie widziała.

– Och, kochana moja, to jest istny cud techniki za jakieś koszarne pieniądze. Zapłaciłem za niego pięćset pięćdziesiąt złotych! – Spojrzał na minę Stefanii.

Była zszokowana tą ceną. Jej nawet nie śniły się zakupy za taką kwotę.

– Ale za to zajmuje połowę mniej miejsca i trzyma stabilnie temperaturę. Pani Zosia jest wprost zachwycona, może ugotować obiad w dwie godziny! – Aleksander wymieniał zalety nowej kuchenki.

Prawie jakby słysząc swoje imię, pani Zosia weszła do salonu. Na tacy niosła dzbanek z herbatą i stosik bułeczek. Uśmiechała się do Stefanii – dobrze, że jej pan czasem kogoś zaprosi, a nie tylko w tych papiórach i papiórach siedzi, i czyto te nudziarstwa.

– Jak się czujesz, Stefanio? Wiem, że ostatnio odrobinę niedomagająś. – Aleksander sięgnął po bułeczkę, ostentacyjnie ją powąchał i powachlował delikatnie dłonią, by zapach wypieku rozniósł się dalej.

– Doskonale – odpowiedziała szybko i kilkakrotnie odkaszlnęła.

W gruncie rzeczy mówiła prawdę – jak na osobę, która stoi nad grobem, wcale nie czuła się najgorzej i sama nie wiedziała, kiedy rozpoznać moment

krytyczny. Owszem, kaszel męczył ją od czasu do czasu, plecy pobolewały, była osłabiona, pociła się, ale wszystko to były dolegliwości, które nie zaburzały jej codziennego funkcjonowania. Postanowiła zatem nie przeprowadzać żadnej dalszej diagnostyki. Rudke dał jej wybór między rakiem a gruźlicą, a zarówno jedno, jak i drugie jest chorobą śmiertelną, choć rak pewnie szybciej zabija. Po co więc ma się męczyć i dodatkowo badać? Czy nie lepiej normalnie pożyć w czasie, który jej jeszcze pozostał?

– Bardzo się cieszę, doprawdy. Widzisz, ja nie wiem, w co ręce włożyć, mamy kryzys, chaos prawny, cały czas dostosowujemy pozaborowe ustawodawstwo, a wielkopolskie przedsiębiorstwa jakoś muszą funkcjonować! – biadolił Miller, dla większej ekspresji machając zamasyściami rękami.

– Dla ciebie to akurat dobrze, masz dużo pracy – odparła trzeźwo.

– Niby tak, ale wiesz, jak to jest w tej naszej Rzeczpospolitej z jej prawem. Konstytucja uchwalona już ponad dziesięć lat temu, a większość zapisów jest po prostu martwa lub nie działa. – Upił łyk herbaty i ponownie sięgnął po talerzyk, zmęczony gestykulacją. – Wiesz, moja droga, czym się różni nasza obecna konstytucja marcowa od Konstytucji 3 maja?

– Aleksandrze, skąd niby miałabym to wiedzieć?

– Uważaj, kochana! Konstytucję 3 maja obchodzimy co roku, a marcową codziennie! – Rzekłszy to, zaczął śmiać się do rozpuku, tak że biedna Bella zeskoczyła mu z kolan. Usiadła i przekrzywiając kudłaty łeppek, patrzyła na pana pogrążonego w spazmach.

Oboje przez chwilę śmiali się z żartu, który był doskonale znany w gronie polskiej palestry, ale niekoniecznie w kręgach, w których obracała się na co dzień Stefania. Miller cieszył się, że udało mu się tak rozbawić przyjaciółkę.

– À propos prawa, miałabym do ciebie ogromną prośbę. – Niemyjska spoważniała.

– Zamieniam się w słuch.

Bella ponownie wskoczyła na kolana swojego pana, umościła się wygodnie i po sekundzie już spała, rozkosznie pochrapując.

– Jak wygląda w Polsce prawo rodzinne i opiekuńcze? To znaczy, jak to jest z przysposabianiem dzieci?

– O, ho, ho, a cóż to się zachciało mojej Stefanii?! – Aleksander znów się zaśmiał.

Był dzisiaj w wybornym humorze, ponieważ właśnie wygrał trudną, ciągnącą się latami rozprawę apelacyjną w sądzie gospodarczym, a jego klient – zamożny ogrodnik i ziemianin – obiecał wystawić mu dobre recenzje w swoich kręgach.

– Nie, nie, wiesz... pytam o sprawę Leosi.

Miller od dawna był wtajemniczony w sprawę Trzaskówny, jak zresztą w sprawy każdego, nad kim Stefania przez te wszystkie lata rozciągnęła pieczę.

– Chodźmy do mojego gabinetu, niech no zajrzę do jednego kodeksu. – Zdjął niezadowolonego pieska z kolan, otrzepał się z sierści i ręką wskazał Stefanii przejście do kancelarii, która znajdowała się w prawym skrzydle willi.

Aleksander zaprojektował ją tak, że można było do niej wejść zarówno od zewnątrz, jak i od strony domu, co znakomicie ułatwiało mu codzienne funkcjonowanie. Gabinet, jak wszystkie pomieszczenia w willi, urządzone były ze smakiem. W centralnym punkcie stało ogromne orzechowe biurko, a za nim do kompletu duża witryna z przeszkleniami. Za szybami były równo poukładane kodeksy prawne i inne woluminy, których Stefania nie rozpoznawała. Wokół pokoju stały półki wnękowe, szczelnie wypełnione

książkami. Całości dopełniały rzeźbione krzesła – jedno dla niego przy biurku, dwa dla klientów.

Aleksander podszedł do witryny i wyjął z niej grubą książkę. Stefania z daleka zdołała rozpoznać złożony tytuł: *Kodeks cywilny obowiązujący na ziemiach zachodnich Rzeczypospolitej Polskiej*.

Usiadł za biurkiem i począł wertować wolumin, mrużąc coś do siebie. Stefania dla zabicia czasu spacerowała po całym pokoju, czytając tytuły książek i zastanawiając się, która z nich była jeszcze na Piłsudskiego, w witrynie o wiele mniejszej niż te.

– O, mam. – Miller podniósł książkę i podszedł do Stefanii. – To zupełnie nie mój obszar działań, ale coś mi świtało, że adopcje na dawnych ziemiach zaboru pruskiego różnią się od przysposobienia dzieci na innych obszarach.

– Czy to coś utrudnia?

– Nie, ale porządkuje i słusznie, przynajmniej wszystko zostaje w aktach. Adopcja musi być formalnie zatwierdzona przez sąd, ale nie ma z tym problemu. Wszak wiesz, jak trudna jest sytuacja dzieci w ochronkach.

– Tak, wiem, niestety. – Westchnęła na wspomnienie niedawnych wizyt w okolicznych sierocińcach.

Mnóstwo dzieci, bieda i wszechobecny smutek w oczach.

– Co Eleonora zamierza zrobić? – Aleksander zamknął kodeks, odłożył go na półkę i jedną ręką oparł się o biurko.

Stefania wyobraziła sobie, że tak właśnie jej przyjaciel wygląda w sądzie. No, może bez bonżurki.

– Otóż zamierza oddać dziecko do adopcji, ale moim zdaniem jest to jej myślenie życzeniowe. Kto w tych czasach zgłosi się do sierocińca z zamiarem adopcji dziecka?

Aleksander pogładził się po brodzie, by za chwilę powtórzyć tę samą czynność na wybrylantowanych włosach.

– Zdecydowanie niewiele jest takich rodzin, ale moja droga, nie traćmy nadziei. Wszak Eleonora nie wyrzuci swojego dziecka za próg. – Uśmiechnął się do niej i otworzył drzwi prowadzące do salonu. – Ostatecznie może chwilę poczekać u niej, na pewno znajdzie się jakieś rozwiązanie.

– Na pewno to dziecko będzie rosło, a im bardziej będzie rosło, tym mniejsze będą szanse na adopcję. – Stefania w przeciwieństwie do Millera nie widziała Leosinej sytuacji w różowych barwach.

Aleksander był świetnym prawnikiem i doskonałym adwokatem, ale nie znał się na kwestiach rodzinnych czy nawet dotyczących prawa opiekuńczego.

– Nie możesz widzieć wszystkiego w czarnych barwach, moja przyjaciółko. Lepiej mi powiedz, co słyhać u twojego uroczego sąsiada?

Niemyjska popatrzyła przez chwilę na Aleksandra. Czyżby upatrzył sobie Eugeniusza jako obiekt zainteresowania?

– Czyżbyś chciał ustawić się do niego w kolejce? – Zaśmiała się filuternie.

– Gdzieżby znowu, mówiłem ci, życie w kawalerskim stanie z Bellunią jest cudowne.

Na dźwięk swojego imienia piesek podniósł głowę, ale że chwilowo nie znalazł się żaden amator drapania za uchem, położył ją z powrotem na poduszce z wyhaftowanym swoim imieniem.

– Absolutnie zmieniłam zdanie, jeśli chodzi o Eugeniusza. To zaiste czarujący człowiek. Miałaś rację i nie będę owijać w bawełnę, że czasem o nim myślę. – Nie chciała od razu mówić Aleksandrowi, że w zasadzie myśli o nim nieustannie.

– A nie mówiłem? Od początku tak mówiłem!

– Mówiłeś, mówiłeś, zresztą... – Sięgnęła po jeszcze jedną bułeczkę. – Dokonałam pewnego postanowienia. Myślę, że już najwyższy czas zacząć myśleć o sobie.

Aleksander aż podniósł się z oparcia i kiwnął z uznaniem głową.

– Masz moją uwagę, przyjaciółko. Kontynuuj.

– Postanowiłam, że Leosia będzie ostatnią osobą, którą zajmuję się z takim zaangażowaniem. Nie mam już dwudziestu lat, pora zająć się własnym życiem.

– Znakomicie, ale to na razie ogólniki. – Oparł się z powrotem i sięgnął po filiżankę. – Może zdradzisz coś konkretniej?

– Konkretniej jeszcze nie, ale mam już pewien plan. – Mrugnęła tajemniczo do przyjaciela, wpychając sobie resztkę bułeczki do ust. – Tymczasem muszę się zbierać, pojutrze wyjeżdżamy pociągiem nad morze.

Wstała z fotela, strzepnęła okruszki po bułce na podłogę i podeszła do przyjaciela.

– Nie wstawaj, bo obudzisz Bellę. Wiem, jak trafić do wyjścia.

Pocałowała go w czoło i szybko się oddaliła.

* * *

Słońce powoli zachodziło za horyzontem – w miejscu, w którym morze łączyło się z niebem. Po lewej stronie widać było kilka statków stojących na redzie gdyńskiego portu, a na wprost nieduży kuter rybacki zmierzający do brzegu. Wzdłuż plaży przechadzały się jeszcze grupki spacerowiczów, omijając kosze plażowe i liczne zamki z piasku zbudowane przez dzieci w ciągu dnia.

Widok był jak z obrazka i Helena z przyjaciółkami nie mogły oderwać od niego wzroku. Do Gdyni dotarły zaledwie przed kilkoma godzinami, po

niemal całodziennej podróży. Szybko wypakowały rzeczy, w tym prezenty dla Romana, Sary i dzieci, po czym udały się na długi spacer brzegiem morza, aż do Kamiennej Góry.

Pogoda była idealna – lekki wiatr wiał od morza, a liczne puchate obłoczki na niebie dawały chwilowe wytchnienie od ostrego słońca. Po przejściu kilku kilometrów kobiety zawróciły i usiadły, żeby wypocząć i napawać się feerią kolorów, którymi pyszniło się nadmorskie niebo. Kosze plażowe okazały się zbyt małe, by pomieścić trzy osoby, toteż usiadły na piasku, delektując się jego chłodem i jedwabistością. Letników było już niewielu, więc miały poczucie, że nie sięją zgorszenia i nie przynoszą wstydu swojemu miastu, gdy siedzą wprost na ziemi. Normy społeczne bardzo się rozluźniły ostatnimi czasy, a one nie robiły nic zdrożnego, korzystając z nadmorskiego piasku.

– Mogę powiedzieć, że spełniło się moje marzenie i więcej już nic mi nie potrzeba. – Stefania wpatrywała się w zachodzące słońce, starając się uchwycić ten moment, kiedy ostatni jego skrawek skryje się pod wodą.

– Ciociu, co ty opowiadasz, jak to więcej ci nie potrzeba? To tylko zachód słońca! – skarciła ją Helena.

Zabawne, na ogół ona była tą bujającą w obłokach, a Stefania, odkąd Kałużówna pamiętała, twardo stąpała po ziemi. Chwilowo jednak role się odwróciły, a Helena zrzuciła melancholię cioci na karb nowych wrażeń.

– Ja to jestem gliklekh[113], bo wszystkie egzaminy udało mi się zaliczyć w sesji letniej i już nie muszę się frasować tym, co będzie we wrześniu. – Gellertówna na moment zapomniała się, żeby nie wtrącać słów żydowskich.

Czuła się niemal tak zrelaksowana, jakby była w domu. Przez cały rok akademicki pilnowała się, by mówić czystą polszczyzną, ale tutaj, mając

u boku najlepszą przyjaciółkę od urodzenia i najlepszą nauczycielkę z wczesnego dzieciństwa, mogła być sobą. Była wśród swoich.

– Ja z kolei jestem zadowolona, bo mam wrażenie, że chwilowo znalazłam swoją Atlantyde. – Helena zaśmiała się, nie odwracając wzroku od zachodzącego słońca.

Podobnie jak Stefania, chciała uchwycić moment, kiedy purpurowa kula całkowicie zniknie za horyzontem.

– Atlantyde? A cóż to niby ma znaczyć, od czego uciekasz? – Ryfka spojrzała na przyjaciółkę, ale ta nie odwracała głowy od imponującego spektaklu natury.

Przez całą podróż do Gdyni nie miały możliwości spokojnie porozmawiać. Gwar i rwetes kolejnych dworców, zapełnione podróżnymi wagony drugiej klasy oraz ogromne zmęczenie nie sprzyjały rozmowom. Ryfka nie wiedziała, czy coś nowego zdarzyło się w życiu Helenki, a ta nie była specjalnie wylewna.

– Od decyzji – odpowiedziała krótko i bez ogródek. – Chcesz wiedzieć, od czego uciekam? – Spojrzała na jedną, potem na drugą i tak kilkakrotnie przeniosła wzrok, jakby chciała zbudować napięcie.

– Mowa! Oczywiście! – Ryfka zrobiła zabawny dzióbek, który miał zapewne wyrażać proces wyczekiwania na zwierzenia.

Stefania się nie odzywała, ponieważ wiedziała, co powie Helena. Od momentu, kiedy podopieczna opowiedziała jej o dziwnych oświadczeniach u Rembiasza, Niemyjska nie poruszała więcej tego tematu. To decyzja Helenki i chociaż kiedyś jej się wydawało, że Józek nie jest najlepszym wyborem, przestała się wtrącać. Ostatecznie Helena sama będzie wiedziała, co z tym zrobić, nie można przecież wszystkiego sobie w życiu zaplanować.

„Gdyby tylko Bóg miał poczucie humoru i wiedział o naszych planach życiowych, pewnie niebo trzęsłoby się non stop od jego gromkiego śmiechu”, pomyślała, patrząc, jak Helena zbiera się do opowiedzenia Ryfce o swoich planach matrymonialnych. Przez chwilę pomyślała także o własnym zdrowiu i o tym, ile jeszcze zostało jej czasu. I o tym, że oszukuje bliskich, nie mówiąc im, jak bardzo może być chora. Odrzuciła jednak tę myśl. Jej nie przyjdzie nic z tego, że będzie się zamartwiać, a obarczanie bliskich i tak w niczym nie pomoże.

Kałużówna wyjęła z kieszeni kwiecistej sukienki małe aksamitne pudełko, w którym był pierścionek ze sztucznymi brylancikami.

– Meyn Gat^[114], piękny! Od Józka? – Gellertówna sięgnęła po pudełko i zachwycała się jego zawartością. – I co? Co mu odpowiedziałaś?

– Że się jeszcze namyślę. – Helena wzruszyła ramionami, odebrała pudełko od Ryfki i włożyła je z powrotem do kieszeni.

Wolała go nie zgubić, wszak to klejnot rodowy.

– O, ho, ho, kaprysy księżniczki! – Ryfka mrugnęła do przyjaciółki.

Rozumiała Helenę, ona sama nie dałaby rady podjąć teraz takiej decyzji. Nie mówiąc już o tym, że zamążpójście wiązałoby się z rezygnacją ze studiów, a tego nawet nie mogła sobie wyobrazić.

– Bardzo dobrze, niech mężczyźni wiedzą, że nie mają nas na zawołanie – wtrąciła Stefania, nie patrząc na dziewczęta.

Cały czas przesypywała piasek z ręki do ręki. Znajdowała w tej pozornie nieistotnej czynności ogromnie dużą przyjemność. Jak to się człowiekowi może zmienić percepcja!

– Dobrze, dobrze, a jak u ciebie sprawy sercowe? Opowiadasz nam tylko o frasunkach, trudach i egzaminach, a przecież ktoś się tam przewija w twoim życiu! – Helena szturchnęła lekko Ryfkę i zaśmiała się zawadiacko.

Ryfka teatralnie ułożyła usta w podkówkę i rozłożyła ręce.

– Nijak. Przyjaźń i nie ma szansy na nic innego. – Przez chwilę nic nie mówiła, po czym plasnęła całą dłonią w piasek. – Mówię wam, dziewczęta, nie zakochujcie się nigdy w człowieku zaangażowanym w sprawy ważniejsze niż taka sobie zwykła miłość, bo to jest cios w samo serce!

– Oczywiście, lepiej zakochiwać się w łotrach, bawidamkach i pijakach, dla których taka sobie zwykła miłość jest celem samym w sobie – odparowała Stefania i wszystkie zaśmiały się w głos.

– Przynajmniej uspokoiło się tam u ciebie w sprawach tych ruchów antyżydowskich? – wtrąciła Helena, kiedy przestały się śmiać.

Ryfka spoważniała.

– Nic się nie uspokoiło, Helenko, wręcz przeciwnie – odpowiedziała smutno. – To tylko ja mam chwilowo spokój, a to dlatego, że jestem pod płaszczykiem ochronnym mojego przyjaciela oraz profesora Taylora. Tymczasem na innych wydziałach dzieje się coraz gorzej. Młodzież Wszechpolska i jeszcze druga organizacja studencka, Bratniak, coraz bardziej rozpychają się w swoich postulatach dotyczących wypędzenia Żydów z uczelni.

– Zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi? – Helenie nie mieściło się w głowie, żeby robić problem z faktu, że ktoś jest innego wyznania.

Przecież ten ktoś do niedawna był zwykłym sąsiadem czy kolegą ze studiów, a teraz nagle komuś zaczęło to przeszkadzać?

– Kryzys, dziewczęta, kryzys – wtrąciła Stefania. – Istotnie na warszawskich czy lwowskich uczelniach zawsze była nadreprezentacja młodzieży żydowskiej, ale nie dlatego, że żydzi są obdarzeni jakimiś przymiotami, tylko po prostu była to tradycyjnie grupa reprezentująca stany społeczne chcące się kształcić: mieszczenie, kupcy czy też bogaci przedsiębiorcy. – Owinęła się mocniej tiulowym szalem i patrząc przed

siebie, ciągnęła dalej: – W dobie pogłębiającej się pauperyzacji społeczeństwa dochodzi do coraz większych animozji, podsycanych aż nadto populistycznymi głosami z trybun. Zobaczcie, co się dzieje w Niemczech.

– Tak, ten Hitler, który został kanclerzem, jeszcze może tam u nich nieźle namieszać. Wygląda jak meszuga – wtrąciła się Ryfka.

Helena pomyślała w tym momencie o matce. Jaki los czeka ją w tych Niemczech? Nie utrzymywała z nią prawie w ogóle kontaktu, ot, czasem, zdawkowo, wysłała jakąś kartę pocztową. Jednak nadal była to jej matka. „Oby słowa cioci Stefanii nie okazały się prorocze”, pomyślała, wstając i otrzepując sukienkę z piasku.

– Chłodno się robi, chodźmy już może. Sara powiedziała, że poczeka na nas i na wuja z kolacją.

Słońce już niemal całkowicie schowało się za horyzontem, kiedy opuściły plażę i udały się w kierunku niedużego placu Grunwaldzkiego, by potem skręcić w ulicę Świętojańską. Była to szeroka brukowana droga, a tak naprawdę jeden wielki plac budowy. Gdziekolwiek się człowiek obejrzał, wszędzie coś stawiano.

– Zobaczycie, za kilka lat to będzie bardzo eleganckie miejsce – skonstatowała Helena, rozglądając się wokół z zachwytem.

Wuja Roman z rodziną mieszkał w jednej z pięciopiętrowych kamienic, a ich mieszkanie zajmowało niemal całe drugie piętro. Stefania, Helena i Ryfka zostały ulokowane na czas pobytu w pokoju dzieci, które przeniesiono do sypialni rodziców. Oprócz sypialni Kałużowie mieli okazały salon, kuchnię, w której rezydowała gosposia, a nawet prawdziwą łazienkę z ogromną żeliwną wanną. Dla Heleny mieszkanie wuja było synonimem prawdziwego luksusu i ogromnie się cieszyła, że ukochany syn

babci Adeli tak wygodnie ułożył sobie życie. Podobnie zresztą jak ciocia Jadzia w Poznaniu i zapewne także jej mama.

Ryfka wskazała na okna Kałużów, gdzie przez otwarty balkon widać było kręcącą się wokół stołu gosposię.

– Chodźcie szybko, nie wypada się spóźnić!

* * *

Zza drzwi rozległo się dyskretne pukanie, a tak pukała tylko mama.

– Proszę! – Feliks podniósł się z biurka i poskładał naprędce kilka książek i zeszytów.

Od kilku dni miał tutaj niezły rozgardiasz.

– Feliksie, przyszedł do ciebie list z Poznania. – Henryka wyciągnęła rękę, w której trzymała białą kopertę.

– O, świetnie, czekałem na niego. – Feliks sięgnął po kopertę, szybko ją rozerwał i przebiegł list wzrokiem. – Fantastyczne wieści! Wyobraź sobie, mamó, udało mi się z powrotem wynająć ten pokój na Jeźycach, który zajmowałem w czasach studenckich!

Henryka usiadła na otomanie, założyła nogę na nogę i spojrzała na syna.

– Czyli już postanowiłeś, że wracasz do Poznania?

– Jeszcze nie na sto procent, mamó. Dopinam pewne sprawy, na razie zorientowałem się w kwestiach mieszkaniowych, no i odbyłem długą rozmowę z profesorem Mayerem. Ale tak, coraz poważniej o tym myślę.

Henryka uśmiechnęła się do syna. To nie do wiary, jak Feliks w ostatnim roku się zmienił. Spoważniał, zmężniał i nabrał cech, których dotąd nie miał – pewności siebie, czaru... Szewczyńska sama nie wiedziała, jak to określić, ale była pewna, że ta zmiana nie wynikała z pracy i jego pasji, którą była medycyna, tylko po prostu z normalnego życia. Feliks dopiero teraz stawał się mężczyzną.

– Dobrze, a co w takim razie z tym pomysłem pracy w nowo powstającym szpitalu w Kaliszu?

– Nic, cisza i chyba wszystko stoi w powijkach. – Feliks usiadł za biurkiem i oparł głowę na dłoni. – Doktor Krzymuski, wybitny ftyzjatra^[115], zresztą mój imiennik, działa na rzecz przekazania terenów od Lasów Państwowych w podkaliskiej Wolicy pod budowę szpitala, ale to wszystko niezmiernie się ciągnie. Nie mogę tak długo czekać, okazje są po to, by je wykorzystywać.

– Oczywiście, zgadzam się z tobą w pełni.

Henryka przypomniała sobie liczne rozmowy ze starszym synem o jego przyszłości. Jak bardzo namawiała go wówczas do powrotu do Poznania. Teraz, po roku, kiedy mieszkali razem, pomyślała sobie, że jednak będzie za nim bardzo tęsknić. Ach, ta przewrotna natura matek!

– Jednak szkoda, że to się tak ciągnie. Teraz, kiedy masz już licencję szofera, mógłbyś połączyć jedno z drugim i pracować naukowo w Kaliszu, dojeżdżać samochodem i mieszkać u nas w Pleszewie.

– Na razie niestety nie jest to możliwe, chociaż rad jestem bardzo, że zrobiłem licencję. W czasie specjalizacji zupełnie nie będę miał czasu na takie sprawy. – Uśmiechnął się do matki i dopił łyk zimnej herbaty.

Henryka wstała z otomany, poprawiła wąską sukienkę i w drodze do wyjścia odwróciła się jeszcze do syna.

– A jak twoje sprawy z panną Lucyną? – zapytała niby od niechcienia. – Rozumiem, że tym wyjazdem odcinasz się od znajomości?

– Oj, mamu droga, nie dalej jak kilka dni temu pomyślałem sobie, że wy, kobiety, to jakieś wielkie czarownice jesteście, człowieka w lot przeświecicie! – Zaśmiał się, ale w jego głosie było słychać nutę smutku.

– A co myślałeś, niech wam się nie wydaje, że rządzą światem. To już Ignacy Krasicki wiedział, że my rządymy wami, a wam się wydaje, że

rządzicie resztą! – Henryka wtórowała mu w śmiechu. – No dobrze, ale w takim razie cóż... Nic?

– Ano nic, mamó, nic. – Feliks usiadł i spojrzał do tyłu, za okno.

Przypomniał sobie, jak jeszcze niedawno wypatrywał stąd jasnej głowy i kwiecistej sukienki Heleny, a teraz tak bardzo unikał tego widoku w obawie, że pojawi się ona z osobą towarzyszącą.

– Aaa... Helena? – Henryka zdobyła się na odwagę. – Wydawało mi się, że mieliście się kiedyś ku sobie, przynajmniej kiedy jeszcze byłeś w gimnazjum, a ona w szkole powszechnej.

– Mamó droga, jak my możemy mieć się ku sobie, skoro Helena ma narzeczonego? – odparł gorzko.

– Z tego, co wiem, a przecież tutaj nic się nie ukryje, to był bardziej jej przyjaciel, a Helena nie traktowała tej znajomości do końca poważnie. Chyba że Adela... – Zamyśliła się przez chwilę.

– Właśnie, nawet jeśli Helena nie traktowała tej znajomości poważnie, to pani Kałużowa na pewno tak. – Pokiwał głową i wstał od biurka. – Nie ma o czym mówić, bo też nie ma żadnej kwestii, mamó.

– Ale, ale... wybaczone pytanie... Czy ty się w niej zakochałeś? – Sama siebie nie poznawała, ale skoro Feliks tak swobodnie z nią rozmawiał, dlaczego miała nie pójść za ciosem?

Feliks milczał, a Henryka zrozumiała, że nie odpowie. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.

– Tak, mamó, zakochałem się – odparł nagle. – I dlatego jadę do Poznania. Żeby się uczyć i żeby się odkochać.

* * *

Helena, Stefania i Ryfka bawiły w Gdyni już ponad tydzień i żadna nawet nie pomyślała o powrocie do Pleszewa, mimo że ten dzień zbliżał się

nieubłaganie.

Nadto miło im było popatrzeć, jak zgodnym i szczęśliwym małżeństwem są Kałużowie. Nie przeszkadzała im dzieląca ich przepaść, jeśli chodziło o wykształcenie, bo pochodzenie społeczne mieli podobne. Roman, dzięki poznańskiemu gimnazjum, a później pobytowi w wojsku, w Błękitnej Armii, dokonał ogromnego skoku społecznego. Posada we francuskim konsorcjum była zwieńczeniem jego wieloletniej ciężkiej pracy i poświęcenia, a nierzadko nawet ryzykowania własnego życia.

Helena w obszernym liście do babci zawarła całą listę zachwyty nad wujem i Sarą. Wprawdzie Adela zdawała sobie sprawę, jak wygląda ich życie, ale każdy list był dla niej na wagę złota. Napawała się nim, czytała po wielokroć, a później jeszcze analizowała każdą linijkę z Tokarską, siedząc na ławce i plotkując.

– Popatrz no, Tokarska, ten mój Romuś taki zdolny i dobry jest, że tej, i dzieci takie mo ładne. Mówię ci, jak z obrazka, i ta jego Sara tyż jest piękna i mundra taka, ach, Boże, co za szczęście! – Wzdychała za każdym razem, kiedy tylko sąsiadka dopuściła ją do głosu.

Sara i Roman żyli w harmonijnej symbiozie. Mimo że Helenie trudno było sobie wyobrazić, że rezygnuje z pracy na rzecz rodziny, u Kałużów ten układ sprawdzał się znakomicie. Sara zajmowała się dużym domem i dziećmi, a do pomocy miała opiekunkę i gosposię. Natomiast Roman całymi dniami siedział w swoim portowym biurze lub jeździł po Polsce w interesach. Godzinami też mógł opowiadać o pracy.

– Dajecie wiarę, drogie dziewczęta, że już wkrótce nasz port osiągnie zdolność przeładunkową rzędu dwóch i pół miliona ton rocznie? – opowiadał podczas ostatniej kolacji, dolewając biesiadnikom nalewki.

– O, ho, ho! – Stefania się zaśmiała. – Piękne liczby, ale wybaczcie państwo, niewiele mi to mówi. – Odkasznęła dyskretnie i wróciła do

posiłku.

– A tak! – Roman nie wyczuł ironii, ale nawet gdyby wyczuł, nie zraziłby się tym zbytnio. – Na dodatek są plany, by już w przyszłym roku na Nadbrzeżu Francuskim zamontować kolejny dźwig do przeładunku, bo po prostu obecne już nie wyrabiają. Wszak nasz port obsługuje czterdzieści procent całego handlu Rzeczypospolitej!

– No proszę, imponujące – wtrąciła się Ryfka. – A co na to w takim razie zarząd portu w Gdańsku?

W przeciwieństwie do Heleny i Stefanii Ryfka dzięki swoim studiom miała jako takie pojęcie o stosunkach gospodarczych.

– Z tym jest gorzej. Nie ma co ukrywać, że zabraliśmy im trochę z tego tortu. – Roman sięgnął po dokładkę gęsiego pipka. Nie lubił wątróbki, ale Sara przygotowywała ją tak, że palce lizać!

– Rok temu Polska wraz z Wolnym Miastem Gdańsk podpisały porozumienie mówiące o tym, że polski rząd nie musi uznawać monopolu portu gdańskiego, ale musi go w pełni wykorzystywać. Powiem wam jednak, że topór do końca nie został zakopany.

Helena nie wtrącała się do rozmowy. Wolała patrzeć a to na kręcącą się wokół stołu Sarę, a to na Ryfkę, która zawzięcie dyskutowała z Romanem, a to w końcu na Stefanię, która co prawda raz na jakiś czas się odzywała, ale też nie zabierała głosu w sprawach, o których opowiadał wuja.

Stan Stefanii coraz bardziej ją niepokoił. Wprawdzie ciocia zapewniała, że wszystko jest w porządku, że tylko jakieś dodatkowe badania musi zrobić, ale Helena wiedziała swoje. Na Piłsudskiego nie przebywały ze sobą bez przerwy, nie mogła więc widzieć, jak ciocia funkcjonuje na co dzień. Tutaj mogła i to ją zaniepokoiło – Stefania nieraz w nocy zanosila się suchym kaszlem. Widać było też, że nierzadko podczas długiego zwiedzania, kiedy to zahaczyły nawet o Sopot i Gdańsk, była blada

i wycieńczona. Ciężko jej było rano wstać, trzymała się za plecy lub też po kryjomu wcierała w nie jakieś mazidła.

Helena wielokrotnie próbowała z nią porozmawiać, ale ta zbywała ją, mówiąc, że nic jej nie jest. Na pozór tak było. Te niepokojące sytuacje w gruncie rzeczy nie zdarzały się często, a ciocia dużo się śmiała i wyglądała na naprawdę szczęśliwą. Na kwestie zdrowotne zwróciła uwagę również Sara, która kilkakrotnie zapytała Stefanię, czy wszystko jest w porządku. Ta zapewniała, że owszem, i obie nie wracały do tematu. Helena zdecydowała, że musi wziąć sprawy w swoje ręce.

Po skończonej kolacji, kiedy towarzystwo rozeszło się po pokojach, Kałużówna udała się do kuchni. Słyszała, że Sara się tam kręci i wydaje gosposi ostatnie rozporządzenia. Dzieci już dawno ułożono do snu, więc miała czas na przygotowanie potraw na kolejny dzień. Helena spojrzała na Sarę – był w tej kobiecie cień melancholii i chociaż nie opuszczała jej wesołość, w jej wielkich ciemnych oczach malował się jakiś strach. A może Helenie tylko tak się zdawało? Niby czego miałyby się bać Sara Kałuża? To pewnie te żydowskie rzewne piosenki, które Sara czasem nuciła pod nosem, tak na nią działały.

– Czy w czym ci pomóc, Saro? – Żona Romana co prawda była jej ciocią, ale z uwagi na dzielącą je małą różnicę wieku poprosiła, by Helena mówiła do niej po imieniu.

– Nie, nie, już kończymy, ale dobrze, że przyszłaś, muszę z tobą o czymś porozmawiać. – Wskazała jej miejsce za dużym stołem kuchennym.

Helena usiadła, wpatrując się w zwinne i szybkie ruchy Sary, która kończyła mieszać ciasto na zaczyn do chleba. Sporo jeszcze co prawda robiła potraw żydowskich, ale dzięki podręcznikowi kucharskiemu Marii Disslowej nauczyła się również kuchni typowo wielkopolskiej. Dobrze

wiedziała, że dzięki temu jeszcze bardziej dogodzi mężowi. Skończyła mieszać, przepłukała ręce w cynowej miednicy, wytarła je lnianą ściereczką i usiadła naprzeciwko Heleny.

– Posłuchaj, Helena, twoja ciocia Stefania jest chora – zaczęła wprost, czym nieco przeraziła Kałużównę.

– Tak, wiem właśnie, ale ona się wzbrania i mówi, że nic jej nie jest.

– Ty słuchaj mnie, Helena, uważnie, mój tate też tak kaszlał i mój tate jak zaczął kaszleć krwią, to już była końcówka i to były suchoty.

Helena zmartwiała. Nie pomyślała o tym nigdy, bo też ciocia nie wyglądała na aż tak chorą.

– Ty musisz koniecznie namówić Stefanię, by ta się zaczęła leczyć. Teraz są jakieś możliwości, by choroby zatrzymać, ale mój tate tego nie dożył, poza tym myśmy nie mieli pieniędzy.

– Ale ciocia nie kaszle krwią... – Helena próbowała odsunąć od siebie powagę sytuacji, ale wiedziała, że Sara ma rację.

Trzeba działać.

– To dobrze, może jest jeszcze czas, żeby spowolnić chorobę. Ale ty, Helena, zajmij się tym, bo ja widzę, że Stefania to o wszystkich myśli, tylko nie o sobie. – Pochyliła się do Kałużówny, a widząc przerażenie malujące się w jej oczach, dodała: – Ty się nie bój, Helena, to jest niby zaraźliwe, ale nie jest. My byliśmy w jednym pokoju z ojcem i nikt się nie zaraził, a poza tym nie wiadomo, czy to to, czy co innego, ale leczyć się trzeba.

Helena wstała od stołu i zawyrokowała stanowczo:

– Masz rację, Saro, dziękuję. Muszę coś zrobić. I nawet wiem już co.

* * *

Po powrocie na Piłsudskiego malutkie mieszkanko Adeli i Heleny wydawało się tej drugiej jeszcze mniejsze. W Gdyni spędziła zaledwie dwa

tygodnie, ale już zdołała się przyzwyczać do przestrzeni, którą tam miała, do prawdziwej łazienki i do osobnej kuchni. Z drugiej strony, w mieszkaniu pod czwórką czekała na nią stęskniona babcia, a wraz z nią zapach kopru i ogórków, które zdążyła ukusić w wielkim glinianym słoju. Dobrze wrócić do siebie!

Nadto babcia ogromnie cieszyła się na widok wnuczki, a gdy ta zasypała ją prezentami od siebie i wuja Romana oraz zdjęciami jej małych wnucząt, Adela nawet nie kryła wzruszenia. Łzy kapały jej ciurkiem i co chwila musiała wycierać je rąbkiem fartucha.

– To za dużo, Hela, ty żeś zwariowała, to za dużo, ach, ach! – wołała przy każdej wyciągniętej wędzonej rybie.

Helena przywiozła babci także szkatułkę z muszelkami oraz piękny obrazek przedstawiający zachód słońca nad morzem. Kupiła go u obwoźnego malarza. Nie była to może wielka sztuka, ale obrazek przywodził Kałużównie na myśl wspomnienia, kiedy to siedziały z przyjaciółkami i podziwiały ten widok na żywo. Niech sobie wisi u babci nad łóżkiem, obok obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Ciocia Stefania nie najlepiej zniosła podróż. W pociągu było duszno i ciasno, musiała siedzieć przy otwartym oknie, a i tak Helena widziała, że od czasu do czasu męczą ją duszności. Nie mogła czekać, natychmiast musiała zacząć działać. Był już co prawda wieczór, ale akurat bardzo dobrze się składało. Miała większą szansę załatwić to, co zaplanowała.

– Babciu, wychodzę na chwilkę! – Nie chciała, by Adela wzięła ją na spytki, dlatego wymknęła się prawie niezauważenie.

Zbiegając po schodach, słyszała jeszcze wołanie babci:

– A ty gdzie lotosz o tej porze?

Babcia co prawda była zajęta odmawianiem codziennej dziesiątki różańca, ale to nie przeszkadzało jej w kontrolowaniu najbliższego

otoczenia, a głównie jej, Heleny. Dziewczyna z bijącym sercem wyszła z klatki schodowej i stanęła przed mieszkaniem Szewczyńskich. Czuła zarazem strach i podekscytowanie. I wstyd. Nigdy sama tu nie przychodziła, no chyba że w dzieciństwie, ale to było dawno.

Zadzwoiła krótko w obawie, że pobudzi domowników, chociaż była zaledwie dziewiąta wieczorem, a u Szewczyńskich nie było przecież małych dzieci.

Drzwi otworzyła jej Pelagia.

– Dobry wieczór, pani Pelagio, czy zastałam może Feliksa? – Chciała, by jej głos był jak najspokojniejszy.

– O, panienska Helena. Jest, jest, a jakże, panienska wejdzie i poczeka w korytarzu, jo zaraz zawołam pana Feliksa.

Weszły obie do korytarza, który Helena tak dobrze pamiętała z dzieciństwa, chociaż wówczas wydawał jej się ogromny. W rzeczywistości wcale nie był taki duży, mimo że wielka komoda w stylu art déco nadal robiła na niej wrażenie. Po chwili na schodach ukazał się Feliks. Chyba musiał się już wcześniej przebrać do spania, ponieważ naprędce wkładał koszulę w spodnie.

– Dobry wieczór, Heleno, czy coś się stało? – W jego oczach widać było zdziwienie pomieszane ze strachem.

– Dobry wieczór, Feliksie, chciałabym z tobą o czymś bardzo ważnym porozmawiać. – Zawiesiła głos i dodała: – To dotyczy Stefanii.

Stojąca obok Pelagia oddaliła się do kuchni, a Feliks ruchem dłoni wskazał jej dwuskrzydłowe wejście do salonu. Helena weszła i usiadła na niskiej kanapie. Feliks zamknął za nimi drzwi.

– Feliksie, wybacz, że tak cię nachodzę, wiem, że... że masz inne sprawy na głowie, ale tutaj chodzi o ciocię Stefanię.

– O panią Niemyjską? – Feliks otworzył oczy, ale po chwili sam siebie skarcił w myślach za głupie pytanie.

A niby ile Stefanii zna Helena?

– Tak, w istocie. Ciocia ostatnio niedomaga, właściwie niedomaga już od dłuższego czasu. Poprosiłam ją, by poszła do Kasy Chorych, i była tam, ale nie chciała mi powiedzieć, co stwierdził lekarz. Mówi, że zalecił jej jakieś dodatkowe badania, nic z tego nie rozumiem. – Helena siedziała na brzegu kanapy, ściskając jedną dłoń w drugiej, aż bieleły jej kostki.

Feliks widział, jaka jest przejęta.

– Hm, nie wiem, kiedy była w Kasie Chorych, widziałbym ją albo przynajmniej zauważyłbym coś w raporcie z dnia. Musiało to być wtedy, kiedy byłem na kilkudniowym urlopie. – Wsadził ręce do kieszeni i począł chodzić po salonie. – Ale co z tymi badaniami?

– Ona ich nie zrobiła i nikt nic nie wie. Ciocia się nie skarży, ale podczas pobytu w Gdyni moja prawdziwa ciocia, żona wuja Romana, powiedziała, że to może być... może być poważna choroba. – Słowo „suchoty” nawet nie chciało jej przejść przez gardło.

– Ale dlaczego nie zgłosiła się do mnie? – mamrotał Feliks, trochę do siebie, trochę do Heleny.

– Może właśnie dlatego, że ciebie wtedy nie było? Może poszła do kogoś innego i nie chciała ci już głowy zawracać. Ciocia nie lubi biegać do lekarzy. – Helena nieco się uspokoiła. W końcu pierwsze lody zostały przełamane. Zdała sobie sprawę, że jest z Feliksem sam na sam po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu.

– Tak, zauważyłem, z ogromnymi oporami przyjęła moją pomoc przy skręconej kostce. – Feliks bezwiednie usiadł obok Heleny, ale po chwili jak oparzony wstał i zmienił miejsce na fotel stojący naprzeciwko. – Zajmuje się wszystkimi dokoła, tylko nie sobą.

– Właśnie tak jest, odkąd pamiętam. – Helena patrzyła na Feliksa. Mimo że przyszła z tak smutną sprawą, czuła się z nim dobrze.

Jak to się stało, że będąc sobie kiedyś tak bliskimi, tak bardzo się oddalili, a każda ich rozmowa wymagała nadludzkiego wysiłku, żeby znów zachowywać się normalnie?

Feliks przez chwilę nic nie mówił, drapał się tylko po policzku. Dla niego przyście Heleny było jak uderzenie obuchem w głowę – wszystkiego by się spodziewał, tylko nie wizyty Kałużówny wieczorową porą. Ogromnie żał mu było Stefanii, wiedział, że musi działać, jednak widok dziewczyny tutaj i teraz sprawiał, że w brzuchu zrobiło mu się gorąco. Uczucie to potęgował fakt, że byli sami, chociaż gdzieś tam w głębi domu kręcili się jego rodzice, brat i służące.

– Posłuchaj, Heleno, ja muszę koniecznie zbadać Stefanię i zrobię to jutro rano, przed pójściem do pracy. Czy Stefania będzie u siebie?

– Powinna być. Są wakacje, nie pracuje, więc nie ma dokąd wychodzić – odpowiedziała Helena, po czym wstała z kanapy i skierowała się do drzwi.

Nie chciała przedłużać tej rozmowy. Nie spodziewała się, że będzie jej towarzyszyła tak wielka mieszanka uczuć.

– Dobrze, zatem jutro z rana, niestety zniemacka, nawiedzę ją, a potem zobaczymy.

– Dziękuję ci, Feliksie. – Spojrzała na niego, a on miał wrażenie, że wyciągała do niego rękę. Natychmiast ją jednak cofnęła. – Jeśli możesz, daj mi potem znać albo ja do ciebie podejść, żebyś się nie fatygował.

– Nie żartuj, oczywiście, że jak najszybciej dam ci znać.

– Do widzenia. – Kiwnęła głową i wybiegła za drzwi.

Feliks usłyszał jej szybkie kroki na klatce prowadzącej do wyjścia, a później trzask drzwi na dole.

Przez chwilę stał jeszcze w salonie. Oby diagnoza, o której pomyślał, się nie sprawdziła. Pobiegł szybko na górę, sięgnął po podręcznik medycyny z zakresu ftyzjatrii i usiadł za biurkiem. W tym momencie przypomniał sobie, że patrząc na długie i szczupłe ręce Heleny, które ścisnęła nerwowo, gdy opowiadała o Stefanii, nie zauważył drobnego szczegółu, który tak rozsierdził go u Rembiasza.

Helena Kałuża nie nosiła pierścionka zaręczynowego od Józka Biadały.

* * *

Feliks tak szybko, jak tylko mógł, zbiegł z drewnianych zewnętrznych schodów i wszedł do klatki schodowej prowadzącej do mieszkania Kałużów. Jego krok był przy tym tak zamaszysty i szybki, że widać było jak na dłoni, jak wielce młody Szewczyński jest wzburzony. Wbiegł na drugie piętro i stanął pod drzwiami mieszkania Adeli i Heleny. Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie był w środku. Kiedy byli dziećmi, bawili się na ogół na dworze bądź też u niego w pokoju. Później widywali się sporadycznie w mieście, a ostatnio... Ostatnio nie spotykali się już w ogóle.

Zapukał mocno i po chwili doszło go stękanie Adeli („A kogo tam z rana nosi, do pierona jaśnistego!”), by po chwili usłyszeć szybkie: „Babciu, to do mnie, nie wstawaj, ja otworzę!”. Faktycznie, Feliks pomyślał, że jest dopiero szósta rano. To już kolejne mieszkanie, w którym kogoś dzisiaj budzi – przed chwilą wyrwał z łóżka zaspaną Stefanię.

Po chwili drzwi lekko się uchyliły, a w nich ukazała się postać Heleny. Heleny ubranej tylko w koszulę nocną, na którą narzuciła szal w wielkie róże.

– Feluś, wejdź! – Przez moment zapomniała, że już od dawna tak się do niego nie zwracała.

Feliks był zaskoczony, w jak skromnych warunkach żyją Kałużowe. Jakaś wielka szafa, stół z prostymi krzesłami, angiółka i piec kaflowy, a w kącie mieszkania fikuśny wzorzysty parawanik, za którym znajdowały się wąskie łóżko, etażerka zapełniona książkami i dużo obrazków na ścianie. To pewnie „pokój” Heleny.

Kałużówna wskazała mu miejsce przy stole, a sama usiadła po drugiej stronie.

– Posłuchaj, Heleno, Stefania najwyraźniej trafiła do Rudkego. Z tego, co powiedziała, wizyta była bardziej niż skandaliczna. Badanie fizykalne trwało przez chwilę, po czym Rudke postawił diagnozę: rak płuca albo suchoty.

– Boże Święty, Jezusie Maryjo! – usłyszał zza pieca, a w ślad za okrzykiem wyłoniła się rozczochrana głowa Adeli. – Co też panicz Feluś godo! Jakie suchoty i rak płuca! Nasza Stefania?!

– Owszem – odpowiedział krótko. Widząc przerażenie zarówno w oczach Heleny, jak i Adeli, dodał szybko: – Ale takich diagnoz nie stawia się po badaniu fizykalnym!

– Jakie to ma znaczenie, czy po tym fizy... czy po innym, skoro mówisz „owszem”? – Helena miała bardziej niż przestraszoną minę i najwyraźniej zbladła. Szal opadł na siedzenie krzesła.

– Jezu Święty, Boże, Matko Przenajświętsza, toż to tragedia! Zara lecę do kościoła, godzinki chociaż odmówię albo i na ranną mszę trafię. – Adela wzięła poranne pantofle i w lnianej koszulinie, łapiąc po drodze fartuch, podeszła do stołu.

– Panicz Szewczyński wybaczy, jo się odziać muszę.

Feliks zrozumiał aluzję i wstał powoli.

– Poczekaj jeszcze – Helena też się podniosła.

Letnie słońce operowało już przez okno. Mocne promienie rozświetliły koszulę Kałużówny, sprawiając, że stała się ona lekko prześwitująca. Feliks przez mgnienie oka zobaczył zarys sylwetki i piersi Heleny, kiedy pochylała się, by sięgnąć po szal. Widział ją niemal tak dokładnie, jakby była naga. Zmartwił na chwilę. Ciało kobiety nie było mu obce, widział ich setki w gabinecie. Ale tym razem patrzył na nie zupełnie inaczej.

– Chodźmy na korytarz. – Helena brodą wskazała drzwi, a Feliks zabrał lekarską torbę i wyszedł.

Na klatce schodowej było jak zawsze ciemno i lekko wilgotno. Helena owinęła się szalem i oparła o ścianę.

– Co robić? – W jej oczach było przerażenie przemieszane ze smutkiem.

– Przede wszystkim zdiagnozować. To, co zrobił Rudke względem naszej Stefanii, kwalifikuje się do odebrania uprawnień. Taki brak empatii i profesjonalizmu! – Feliks pogroził pięścią w kierunku drzwi prowadzących na podrówko niemal tak, jakby Rudke miał się tam zaraz zjawić. – On już moją matkę lata temu ustawił tak, że przez długi czas myślała, iż ma śmiertelną chorobę – kontynuował, a widząc łzy w oczach Heleny, złapał ją za ramiona. – Heła, to nie jest czas na płacz, tylko na działanie. Pozwól, że najpierw pójdę do Dzielnicy, ale później coś załatwię, a przede wszystkim zadzwonię do profesora Mayera.

– Feliksie, to jest moja ciocia Stefania... Najukochańsza... Zrób coś, proszę.

Jeszcze nigdy Szewczyński nie widział jej tak zdruzgotanej. W zupełnie spontanicznym odruchu przytulił ją mocno i przez chwilę stali tak w milczeniu. Delikatnie gładził plecy dziewczyny, czując pod palcami każdy jej krąg i kości obojczykowe. Była bardzo szczupła.

– Muszę iść do pracy, ale nie wiem, jak ja się skupię. W ogóle nie mam do tego głowy. – Podniosła ku niemu twarz mokrą od łez.

Drzwi ich mieszkania skrzyknęły i stanęła w nich Adela w pełnym rynsztunku, z różańcem w jednej ręce i niedużą torebką w drugiej.

– Jo nie wiem, co wy ta robicie, ale jo się idę modlić – powiedziała. – Hela, ino zamknij drzwi, jak będziesz do roboty wychodzić.

– Babciu! – Adela najwyraźniej zapomniała, że jej wnuczka ma już dwadzieścia jeden lat.

– Bardzo dobrze, pani Kałużowa, modlitwa nigdy nie zaszkodzi. – Feliks skinął głową w kierunku Adeli, nie wiedząc nawet, jak bardzo w tym momencie zyskał w jej oczach.

– A pewnie, pewnie, niech to pan powie temu mojemu rojbrowi, co to wszystko robi, ino by do kościoła nie iść!

– Babciu!!! – Helena myślała, że zapadnie się pod ziemię.

– Dobra, już dobra, z Bogiem. – Podreptała powoli po schodach, na tyle, na ile pozwalały jej niemal siedemdziesięcioletnie nogi.

Helena i Feliks stali przez chwilę w pustym, ciemnym i wilgotnym korytarzu, bez słowa. Byli tak niebezpiecznie blisko siebie, że Kałużówna niemal krzyknęła:

– Muszę się ubrać! – I otworzyła drzwi, wpuszczając nieco światła.

– Bądźmy w kontakcie, Heleno, dam ci znać, co ustaliłem. Tymczasem naprawdę muszę już bieć. – Podeszedł do schodów, a na widok Heleny, która cały czas stała z głową opartą o futrynę, rzucił na odchodnym: – Ja się tym zajmę, nie martw się. – I tak szybko, jak tylko mógł, zbiegł po schodach, po czym wyminął przy bramie człapiącą do kościoła Adelę.

Cały czas był tak wzburzony, że nie potrafił iść spokojnie i dostojnie, toteż podróż do Kasy Chorych, która na ogół zajmowała mu jakieś piętnaście minut, dzisiaj zajęła siedem.

Wpadł do ciemnego korytarza i natychmiast udał się do kancelarii. Luscia siedziała jak zwykle w otoczeniu kwitariuszy i paprotek. Na widok

Feliksa poderwała się niemal jak uczennica w szkole, aż okulary zjechały jej do połowy nosa. Po chwili opamiętała się jednak i usiadła dostojnie.

– Pan prezes Rudke jest zajęty – wypaliła od razu.

– Lusu, nic mnie nie interesuje zajęcie pana Rudkego, i tak do niego wejdę. – Podszedł do dziewczyny, mówiąc półszepem.

Na policzki Lusi wypłynął rumieniec, ale wyraz jej twarzy pozostał kamienny.

– Już ci wytłumaczyłam, Feliksie, że nie możesz wejść, bo pan Rudke jest zajęty – powtórzyła niczym katarynka, tym razem niemal przez zęby.

– Lusu. – Odłożywszy torbę lekarską, Feliks oparł się o biurko i pochylił w kierunku sekretarki. – To nie jest kwestia boczenia się na siebie. Możesz mnie nienawidzić i ja to rozumiem, ale tutaj chodzi o sprawę zdrowia ludzkiego, a może i życia. Rudke to konował, ja zaś mam już dość jego niekompetencji.

Lusia popatrzyła przez chwilę na szczupłą i bardzo poważną twarz Feliksa. Ostatnie dni mijały jej na odchorowywaniu miłości. Jak ognia unikała spotkania z młodym doktorem. W tych nielicznych sytuacjach, kiedy się widzieli, starała się być wobec niego chłodna i profesjonalna. Nie było jej łatwo – jak głupia zbudowała sobie nie wiadomo jakie nadzieje, a przecież wiadomo było, że doktor Szewczyński nigdy się z nią nie zwiąże. Teraz stał przy niej, niemal twarz przy twarzy, ale ostatnim, o czym prawdopodobnie myślał, była ona sama.

– Rozumiem, Feliksie. Ja wyjdę na chwilę, jakby mnie tu nie było. Nie widziałam, że wszedłeś. Rudke je śniadanie. – Cichym krokiem podeszła do drzwi kancelarii i zniknęła w ciemnym korytarzu.

Feliks odczekał chwilę i zdecydowanie nacisnął klamkę gabinetu swojego pryncypała.

– Kogo tam?! – krzyknął ten zza biurka, wycierając naprędce dużą chusteczką usta.

Przed nim stały talerzyk z niedojedzonymi kanapkami i filiżanka z kawą.

– Dzień dobry panu. – Feliks wszedł i od razu bezceremonialnie usiadł na krześle, stawiając obok siebie torbę.

– Grzybkówna nie mówiła panu, że jestem zajęty?! – huknął Rudke, plując okruchami.

Odchrząknął nieco speszony, obtarł, co mógł, chusteczką i wyprostował się na krześle.

– Skoro pan tu tak sobie wchodzi, to może się dowiem, czemu zawdzięczam to najście? – Przesunął talerzyk i sięgnął po filiżankę z kawą.

– Chodzi, proszę pana, o pacjentkę, którą pan przyjął w czasie, kiedy ja byłem na urlopie. – Feliks siedział sztywno i starał się mówić najspokojniej, jak tylko się dało. – Otóż po kilkuminutowej wizycie postawił jej pan dwie diagnozy, przy czym obie w gruncie rzeczy śmiertelne.

– No i co z tego? – Rudke spojrzał przekrwionymi oczami na Feliksa.

Ten przez chwilę miał wrażenie, że zaraz mu przyłoży. Opanował się jednak, nabrał powietrza i wypalił:

– A to z tego, że wszystko, co pan zrobił podczas tamtej wizyty, jest absolutnie wbrew etyce lekarskiej!

– Co pan, panie Szewczyński, mi się tu panoszy? Czy to ja sprawiłem, że ta pani zachorowała?! – Rudke uniósł się zza biurka, ale po chwili opadł swoją ponad stukilową tuszą.

Przedmioty na biurku zatrzęśły się lekko.

– Panie Rudke, jest w naszym fachu coś takiego, co się nazywa empatia, współodczuwanie. Nawet jeśli uważa pan, że ta pani tak poważnie zachorowała, chociaż Bóg mi świadkiem, nie wiem, jak można postawić

taką diagnozę na podstawie badania fizykalnego i wywiadu, to sprawę przedstawia się zgoła inaczej i nie zostawia się pacjenta samemu sobie!

Rudke przechylił nieco głowę i popatrzył na Feliksa, a spojrzenie to wyrażało niechęć i politowanie.

– Panie Szewczyński, nie rzucaj się pan, bo to, co pan mówi, jest bez sensu. Jaka diagnoza, jaka diagnoza? Ja ją mogę wysłać tylko na badanie rentgena, sam takiego nie mogąc wykonać. Poza tym słyszałem, jak kaszle, i słyszałem w stetoskopie, jak świszczy jej w płucach. Zaawansowane zwłóknienia! – Machnął ręką, niemal jakby już postawił krzyżyk na Niemyjskiej.

– Które mogą być efektem wielu chorób, nie słyszał pan o tym?! – Szewczyński tracił już powoli cierpliwość.

Gdzie on się pchał do tego Rudkego? Kto posadził tego człowieka na tym stanowisku?

– Słyszałem, ale nie widziałem, he, he – zarechotał, a ten śmiech wydał się Feliksowi tak obrzydliwy, że aż wstał i podszedł do biurka.

– Panie Rudke, jakem tu stoję, jeszcze nigdy nie widziałem mniej kompetentnego lekarza.

– Hola, hola, żółtodziobie, bo cię zaraz pracy pozbawię! – Rudke tym razem podniósł się i przez chwilę stali tak, niemal jak bohaterowie westernu, patrząc na siebie z bliska.

Feliks odpuścił pierwszy. Zamachnął się i uderzył całą dłonią w stół. Tym razem filiżanka i talerzyk podskoczyły mocno i gdyby Rudke nie złapał jednego i drugiego, spadłyby na ziemię.

– Do licha z pańskimi zasadami! Zwalniam się. Proszę sobie kogoś innego szukać na moje miejsce! – Chwycił torbę i ruszył do wyjścia.

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko, pan odszkodowanie będzie musiał zapłacić za bezpodstawne oddalenie się z miejsca pracy!

Feliks uchylił drzwi i spojrzął na Rudkego.

– Chyba pan żartuje. Z litości nie wspomnę o tych dziesiątkach pacjentów, których leczyłem za darmo, bo pan ma systemy kwotowe i pieniądze muszą zostać na premie dla zarządu Kasy Chorych, a nie na leczenie ludzi. – Szewczyński trzasnął drzwiami i spojrzął w kierunku Lusi, która zdążyła już wrócić. – Lusi, jesteś fantastyczną dziewczyną i jeśli przestaniesz mnie kiedyś nienawidzić, w każdej chwili będziesz miała u mnie pracę. Od dzisiaj moja noga tu więcej nie postanie, ale zrobię wszystko, by założyć nową przychodnię w Pleszewie.

Nie czekając na jej odpowiedź, wyszedł szybkim krokiem i udał się na Piłsudskiego. Czekало go jeszcze mnóstwo telefonów, w tym ten najważniejszy, do profesora Mayera.

* * *

– Feliksie, nie musisz siedzieć przy samym aparacie telefonicznym, my naprawdę usłyszymy, jak zadzwoni.

Henryka podeszła do syna, który, obłożony medycznymi książkami, siedział kolejną godzinę na fotelu obok telefonu. Oddalał się od niego wyłącznie za potrzebą.

– Mamo, ja wiem, że nie muszę, ale nie jestem w stanie inaczej. W normalnym układzie pomagam chorym, tutaj pomagam bliskiej osobie i... innym bliskim osobom.

W tym momencie poczuł chęć wyrzucenia z siebie wszystkich emocji, które targały nim w ostatnich dniach: strachu o Stefanię, gniewu na Rudkego, miłości do Heleny. Po chwili namysłu jednak zrezygnował. Za dużo tego by było naraz, musi sobie poradzić sam. Nie potrafił tylko ukryć zmartwienia o zdrowie Stefanii. Poza tym nie chciał, by rodzice dowiedzieli się o tym ostatni. Poprzedniego wieczoru, zaraz po kolacji, kiedy Wiktor

już poszedł do swojego pokoju, Feliks opowiedział im o wszystkim, napomykając również o Rudkem i sytuacji w pracy.

– Ten Rudke to niech do diabła idzie – Henryka pozwoliła sobie na swobodne wyrażenie swoich emocji na głos, znajdując pełne zrozumienie zarówno u Feliksa, jak i Leona.

Rozeszli się wówczas do swoich pokoi. U młodego Szewczyńskiego lampka biurkowa świeciła się całą noc.

– Chodź, synku, napijesz się mocnej herbaty, posiedzę z tobą chwilę. – Henryka weszła do salonu, machając na Feliksa, by zrobił to samo.

Na stoliku kawowym stały już dzbanek i kilka filiżanek, przed chwilą przyniesione przez pocziwą Pelagię. Henryka usiadła pierwsza i sięgnęła po dzbanek, patrząc cały czas na syna. Widać było po nim, że nie przespał ani jednej godziny, włosy miał w nieładzie. Jego koszula, najwyraźniej z poprzedniego dnia, była całkowicie pomięta. Nawet nie przebrał się w strój nocny.

– Możesz mi zdradzić swój plan? To znaczy, co zamierzasz, bo widzę, że zaangażowałeś się w leczenie naszej Stefanii. – Podała mu filiżankę, a sama położyła głowę na oparciu i pomasowała sobie skronie.

Tak bardzo martwiła się o przyjaciółkę. Ostatnimi laty nie miały zbyt wielu możliwości kontaktu, ale tak to niestety jest w dorosłym życiu, zwłaszcza jeśli człowieka pochłoną interesy.

– Mamo... – Feliks odłożył filiżankę i przysiadł się do Henryki, niemal jakby działał w konspiracji. – Mój plan może brzmieć jak szalony, ale uwierz, wszystko tutaj jest przemyślane.

– Słucham. – Podniosła głowę i ujęła dłoń syna.

– Pamiętasz, jak rok temu we wszystkich gazetach, nawet w naszym „Orędowniku Pleszewskim”, ukazało się zdjęcie naszej znakomitej

chemiczki, pani Marii Skłodowskiej-Curie, która wraz z prezydentem Mościckim uroczyście otwierała lecznicę?

– Tak, coś mi świta. Pamiętam nawet, że w ostatnich kilku latach w wielu magazynach kobiecych można było kupować cegielki na okoliczność budowy tego instytutu, sama wpłacałam spory datek.

– Cieszę się, mamó, bo to niezwykle ważna inicjatywa. Ta lecznica nazywa się Instytut Radowy^[116] i została założona z inicjatywy profesor Skłodowskiej. To najnowocześniejsza instytucja tego typu w naszej części Europy, wzorowana na instytucie paryskim.

– A co to ma wspólnego ze Stefanią? – Henryka delikatnie puściła dłoń syna i sięgnęła po filiżankę.

– Mój przyszły mentor, profesor Karol Mayer, wybitny radiolog, w rozmowie ze mną zasugerował, że jedyną właściwą osobą, która może poprowadzić leczenie Stefanii, jest inny wybitny profesor, obecnie dyrektor tegoż instytutu, pan Franciszek Łukaszczyk.

Henryka wyprostowała się i popatrzyła na syna z podziwem. Nie przypuszczała, że jej dziecko ma tak rozległe koneksje, a do tego potrafi działać w tak racjonalny sposób pod presją zdarzeń i emocji.

– Naprawdę? Ale przecież to jest stolica, Warszawa. To zapewne elitarny instytut, miejsc dla pacjentów niewiele...

– Wiem, mamó, dlatego dziś rano zdążyłem już porozmawiać na ten temat z profesorem Mayerem, który obiecał, że zrobi wszystko, by wywieźć się w sprawie. – Feliks odetchnął i sam sięgnął po filiżankę. Herbata okazała się gorąca i mocna, właśnie takiej mu teraz było trzeba. – Jeśli tylko plan się uda, po prostu pojedziemy ze Stefanią do tego szpitala. Ja również tam pojedę, nie zostawię pani Stefanii samej sobie. Problemem może być tylko dojazd, do Warszawy trzeba jechać z przesiadką, a to nie będzie dla niej komfortowe.

Henryka wstała i bez słowa wyszła z salonu, by po chwili wrócić z kluczykami.

– Synu, nawet się nad tym nie zastanawiaj, bo to jest najmniejszy problem. Z radością użyczymy ci samochodu na tę okoliczność oraz pokryjemy koszty przejazdu i hoteli, to nie jest dla nas duży wydatek.

Położyła kluczyki na stole i objęła swojego dorosłego syna. Przez chwilę trzymała go tak, jakby znów był jej małym synkiem w marynarskim stroju i z potłuczonymi kolanami.

– A jak na to wszystko reaguje Hela? Jak ona się trzyma? – zapytała po chwili.

– Jest przygnębiona, dlatego muszę przy niej być. Ona nie ustąpi, mamó, będzie z nią cały czas, nawet kosztem swojej pracy. To dla niej prawie matka.

Henryka złożyła ręce na podołku i popatrzyła przez okno, na dachy domów naprzeciwko.

– Wiem, synku. Bądź z nią, opiekuj się również Heleną.

– Nie zamierzałem inaczej. – Pochylił się nad stolikiem i dolał sobie jeszcze herbaty. – Oczywiście, o ile pani Kałużowa nie będzie miała nic przeciwko, bo jakoś do mnie ma ogromny dystans, nie wiedzieć czemu.

– To proste, synu, i myślę, że wiesz, dlaczego tak jest. – Uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie. – Jesteśmy właścicielami kamienicy, w której ona mieszka, a podziały społeczne w ludziach są zakorzenione od wieków.

Dzonek telefonu przebił ciszę mieszkania tak, że oboje poderwali się na równe nogi.

– Ja odbiorę! – Feliks wyleciał z salonu niczym oparzony i chwycił słuchawkę aparatu.

Z salonu Henryka słyszała tylko krótkie „dzień dobry, tak, tak, rozumiem, oczywiście, dziękuję, do widzenia”, po czym Feliks wszedł do

salonu, jeszcze bledszy niż wcześniej.

– No i co?! – Henryka patrzyła w napięciu na syna.

– Jest miejsce dla Stefanii w Instytucie Radowym. Mamy się tam stawić za dwa tygodnie, to jest mniej więcej w połowie września. Zajmie się nią profesor Łukaszczyk, a ja mogę asystować w procesie diagnostyki i podczas konsylium.

* * *

Stefania wolnym krokiem szła w kierunku ulicy Piłsudskiego. Wczesnowrzesniowy wieczór zaskoczył ją lekkim chłodem, na szczęście miała na sobie wiosenne paletko. Błogosławiła samą siebie, że je zabrała, w przeciwnym razie zmarłaby na kość, a w jej stanie było to wielce niewskazane. Nawet ona, nietroszcząca się zupełnie o swoje zdrowie, miała tego świadomość. Poza tym nie chciała, by choroba pogłębiła się jeszcze bardziej do czasu jej wyjazdu do Warszawy.

Do teraz nie mogła uwierzyć, ile dobrego spotkało ją w ostatnich dniach. Helena nie odstępowała jej na krok, spała u niej od czasu do czasu i szykowała jej jak najlepsze rzeczy (choć głównie przynosiła smakołyki od Adeli, która w ten sposób wyrażała swoją troskę, gotując to, na co Stefania miała ochotę). Wspaniałomyślny gest Feliksa i Szewczyńskich zaskoczył ją do tego stopnia, że nawet nie wiedziała, jak im dziękować.

Teraz, idąc sobie spokojnie z bany do swojego mieszkania, pomyślała, że dla takich chwil, gdy tyle dobra spływa na człowieka, być może warto żyć krócej. Szybko jednak odrzuciła tę myśl – właśnie teraz musi walczyć o życie, nie może się poddać. W końcu jeszcze żyje, chodzi i ma się wcale nie najgorzej!

Postanowiła również, że nie będzie rezygnować ze swojego zwykłego życia, a że do wyjazdu pozostało jeszcze kilka dni, zamierzała wykorzystać

ten czas na wizyty u dalszych znajomych. Cały dzień zajęła jej podróż do położonego niemal sześćdziesiąt kilometrów od Pleszewa miasteczka Gostyń. Była tam na zaproszenie swojej znajomej jeszcze z czasów Towarzystwa Czytelni Ludowych, pani Teodozji Babiakowej. Towarzystwo gostyńskie działało prężnie po dziś dzień, do tego stopnia, że właśnie podpisało umowę przedwstępną na zakup parceli pod budowę okazałej siedziby biblioteki. Z tej okazji władze towarzystwa urządziły mały podwieczorek zwieńczony koncertem fortepianowym.

Stefania ogromnie żałowała, że w Pleszewie działacze towarzystwa trochę osiedli na laurach, a sama organizacja zaczęła się rozłazić. Odkąd rok wcześniej zlikwidowano powiat pleszewski, a tereny rozparcelowano na powiaty krotoszyński i jarociński, w Pleszewie duch społecznikowski nieco podupadł. Zastanawiała się, w jaki sposób przywrócić go do życia. Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że teraz to musi przede wszystkim zająć się sobą.

Doszła do ulicy Piłsudskiego, na której było zaskakująco cicho. Nawet odgłosy z karczmy nie były donośne. Fakt, przecież jest pora młócki, przypomniała sobie i nacisnęła klamkę bramy. Niemal wpadła na pochylonego Eugeniusza, który z siedzeniem wystającym w kierunku bramy majstrował przy swoich butach.

– Dobry wieczór, kochana Stefanio! – Fridman podniósł się natychmiast i pochylił, by ucałować jej dłoń.

Stefania poczuła miłe ciepło na jego widok. Tak dawno go nie spotkała!

– Dobry wieczór, Eugeniuszu, jak miło cię widzieć! – Zgodnie ze swoim postanowieniem zaczęła mówić ludziom to, co naprawdę myśli, zamiast dusić swoje emocje tak, jak czyniła to całe życie. Nagle okazało się, że jest jej z tym całkiem dobrze.

Patrzyła bacznie na Eugeniusza, próbując wysondować, czy wie cokolwiek na temat stanu jej zdrowia. Po chwili stwierdziła, że chyba jednak nie. Eugeniusz, podobnie jak niegdyś Aleksander, nie żył życiem kamienicy – był miły dla wszystkich, ale trzymał się na uboczu.

– Nawet nie wiesz, jak miło widzieć ciebie, kochana Stefanio. Ostatni raz miałem przyjemność rozmowy z tobą, czekaj, czekaj... – Zawiesił głos, zmrużył oczy i postukał się palcem wskazującym w policzek. – Zdaje się, że chyba jeszcze przed twoim wyjazdem nad morze!

– W rzeczy samej, Eugeniuszu. – Uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, co właściwie robił przy bramie tak pochylony. – Widzę, że oboje lubimy zastawać się w dziwnych pozycjach na podwórku. Jakiś ostatnio mnie widział, czołgałam się do schodów, tym razem ja widzę ciebie bezceremonialnie wypiętego do świata.

Oboje roześmiali się głośno, aż echo rozniosło się z podcienia podwórka po sam środek, zagłuszając chrumkanie świń i gdakanie kur.

– Och, po prostu wszedłem w kałużę swoimi służbowymi butami, a to nie przystoi, żeby dżentelmen chodził w uwalanych kamaszach!

Stefania spojrzała w dół i faktycznie – jeden but Eugeniusz zdążył już doczyścić, drugi był pokryty błotną mazią.

– A może zechciałbyś wstąpić do mnie na filiżankę dobrej herbaty i tam dokończyć czyszczenie? – wypaliła spontanicznie.

W jej sytuacji życiowej nie miała nic do stracenia. Nawet jeśli Eugeniusz odmówi, to żaden wstyd zaproponować miłe spędzenie czasu.

Zdziwiony Eugeniusz odchylił głowę i zaraz odpowiedział:

– Sąsiadeczka mnie zaprasza? Jestem wielce kontent, zaszczycony i szczęśliwy i oczywiście z przyjemnością skorzystam! – Stał obok Stefanii i nadstawił ramię, by mogła się na nim oprzeć.

Niemyjska uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się jednocześnie, jak zabawnie muszą wyglądać na tym skromnym podwórku, pośród gdakania i chrumkania. On – elegancki starszawy zawiadowca stacji i pianista, ona – nauczycielka w średnim wieku, kaszłająca i prychnająca, ale bardzo uśmiechnięta. Pomyślała jednocześnie, że zupełnie jej nie interesuje, co inni teraz o niej myślą.

Kiedy doszli do wytartych drewnianych schodków, puściła ramię Eugeniusza i szybkim krokiem wbiegła na górę. Przekręciła klucz do mieszkania i zaprosiła sąsiada wytwornym gestem, niemal jakby chciała oprowadzić go po pałacu.

– Miło tutaj u ciebie, Stefanio.

Eugeniusz stanął na progu salonu i rozglądał się po niedużym pokoju. Wszędzie, na każdej półce, każdym blacie, a nawet na podłodze leżały książki i papiery. Pośrodku stołu stała wielka maszyna do pisania.

Stefania naprędce uprzątnęła, co się dało, pokazała mu miejsce w zielonym fotelu, a sama podreptała do kuchni, by rozpaścić ogień i nastawić herbatę. Szczapki, jak na złość, nie chciały się palić szybko i po kilku minutach Stefania machnęła ręką na angielkę. Z lekką zazdrością przypomniała sobie o kuchence elektrycznej, którą miał Aleksander. Wzięła z kredensu kryształową karafkę z pigwówką – tę samą, którą degustowały z dziewczętami na Wielkanoc – i weszła do pokoju.

– No proszę, to jednak nie herbatka? Wiesz, ostatnio się oszczędzam, skłoniło mnie ku temu kilka okoliczności. – Eugeniusz podszedł do Stefanii, wyjął jej z rąk karafkę i sprawnie rozlał ciemnożółty płyn do niedużych kieliszków. – No, ale twoje zdrowie i dziękuję jeszcze raz za zaproszenie!

– Oszczędzasz się? Mam nadzieję, że to nie problemy zdrowotne? – To by dopiero było, gdyby okazało się, że Fridman też niedomaga.

– Ależ bynajmniej, droga Stefanio, bynajmniej! – Wypił wszystko jednym haustem, odstawił kieliszek, założył ręce z tyłu i przez chwilę patrzył w okno, które wychodziło na niedużą uliczkę Tyniec.

– No więc co takiego? – Stefania sięgnęła po swój kieliszek i idąc w ślady Eugeniusza, również wypila całość. Zapieкло, a chwilę później przyjemne ciepło rozeszło się po całym ciele.

– Mam, niestety, problemy w pracy.

Odwrócił się do niej, a jego twarz była poważna, niemal tak poważna jak w dniu, w którym ona skręciła kostkę. Stefania podeszła do niego i stanęła tuż obok.

– Jak to, czy coś się stało? – Czyżby Eugeniusz znowu zabalował, a Tokarska miała rację, że nie porzucił hulaszczego trybu życia, które wiódł we Lwowie, a później w Poznaniu?

– Na razie jeszcze nie, ale może się stać. Otóż Pleszewska Kolej Dojazdowa w ramach cięcia kosztów planuje zredukować zatrudnienie, a ja, widzi pani... – Wskazał na siebie, uśmiechając się smutno. – Ja jestem pierwszą osobą, z którą można się pożegnać. Bezdzienny, nieżonaty, do tego zabawowy, no i teoretycznie mam inny zawód, więc mogę się utrzymać, robiąc coś innego.

Stefania usiadła za stołem i podparła twarz na rękach.

– Ale jeszcze niczego nie wiesz, prawda? Jeszcze nic nie postanowione?

Eugeniusz wrócił na fotel, usiadł i rozparł się w nim wygodnie. Sięgnął po papierośnicę, jednak po chwili zrezygnował. Ostatecznie był z wizytą u damy, a nie w jakimś wyszynku.

– Jeszcze nic pewnego nie wiem, ale skłaniam się ku podjęciu ważnych decyzji życiowych.

Stefania zmartwiała.

– Jakich...?

– Widzisz, droga Stefania, kiedy byłem młody, zanim wyrzucili mnie ze studiów, grałem amatorsko na pianinie w studenckim teatrzyku Różowy Monokl^[117]. Tam poznałem sporo osób ze świata artystycznego, z którymi do dziś utrzymuję kontakty.

Stefania spojrzała na Eugeniusza z niekłamanym podziwem. Ilu jeszcze rzeczy dowie się o tym niezwykłym człowieku, który wolał, by inni myśleli, że tylko się bawi i pije?

– Otrzymałem niedawno list od znajomego, Wiktora Budzyńskiego, w którym informuje mnie, że na falach Polskiego Radia Lwów ruszył program rozrywkowy *Wesoła Lwowska Fala*^[118]. I, krótko mówiąc, zaproponował mi współpracę przy produkcji tego programu.

Stefania spodziewała się nowiny, ale nie aż takiej. Eugeniusz miałby wrócić do Lwowa?!

– Ale to by oznaczało, że wracasz do swojego rodzinnego miasta? – zapytała cicho, a w jej głosie słychać było niedowierzenie.

– Niestety tak. Nie planowałem tego, ale nie mogę utrzymać się wyłącznie z grania w hotelach. O pracę coraz trudniej, bezrobocie rośnie i jeśli stracę posadę na kolei, będę musiał coś ze sobą zrobić.

Przez chwilę zapanowała cisza. Stefania przyglądała się Eugeniuszowi, próbując odgadnąć jego myśli. On zaś patrzył milcząco w okno i rytmicznie uderzał palcami w oparcie fotela, niemal jakby coś grał.

– Jest mi niezwykle trudno, gdy choćby pomyślę, że miałbym rozstać się z... tym miejscem. Pokochałem Pleszew i tych ludzi, nawet panią Tokarską. – Uśmiechnął się blado.

Niemyjska oczami duszy wyobraziła sobie, jak Fridman wpada w objęcia pani Zosi, i uśmiechnęła się bezwiednie.

– I nic już cię tutaj nie zatrzyma? – Sięgnęła po kolejny kieliszek i nie bacząc na konwenanse, sama dołała sobie nalewki.

– Nie wiem, a co miałoby tu zatrzymać mnie, beztroskiego batiara, który nigdy nigdzie nie zapuścił korzeni?

Niemyjska pomyślała, że to w sumie niezły pomysł na opowiadanie tudzież piosenkę, ale po chwili odrzuciła tę myśl. Oni przecież rozmawiają o prawdziwym życiu. Wychyliła kolejny kieliszek nalewki.

– Zostań – powiedziała wprost.

– Jak to? – Eugeniusz wyglądał na zaskoczonego.

Musiało to być miłe zaskoczenie, bo zaczął się uśmiechać.

– Zostań dla mnie, proszę. – Niemyjska postanowiła iść za ciosem.

– Dla ciebie? A kimże ja dla ciebie jestem, jeśli nie swawolnym Dyziem? – Eugeniusz nie przestawał się uśmiechać.

– Jesteś dla mnie kimś znacznie więcej, choć zapewne nie zdajesz sobie z tego sprawy. Odkąd zrozumiałam, jaki z ciebie dobry człowiek, bardzo cię polubiłam. Nie jestem osobą, która się uzewnętrznia. Zawsze na końcu stawiałam samą siebie, swoje pragnienia, emocje... Dopiero od... niedawna zaczęłam myśleć o sobie, stąd moja prośba. Zostań. Zostań, bo ja tego potrzebuję, a razem coś wymyślimy.

Eugeniusz wstał z fotela, nadal nie dowierzając temu, co słyszy. Usiadł przy stole, naprzeciwko Stefanii, i chwycił ją za rękę.

– Ale cóż byś chciała wymyślić w tej sytuacji, pomijając fakt, że jestem zaszczycony twoją deklaracją i bardzo szczęśliwy, że padła z twoich ust? – Nie odrywał od Stefanii wzroku, a ta, z lekkimi rumieńcami na twarzy i płonącymi oczami, wyglądała jak młoda dziewczyna.

– Pobierzmy się – wypaliła znenacka. – Pobierzmy dla samego papierka. Ty będziesz miał żonę i widmo zwolnienia się oddali, a ja będę miała za męża człowieka, którego lubię i podziwiam. To obopólna korzyść. Możemy nawet zachować swoje mieszkania i żyć osobno. Czasami.

Fridman wstał i począł przechadzać się po pokoju. Już prośba Stefanii dotycząca jego pozostania wprawiła go w nie lada zdumienie, a propozycja matrymonialna była wręcz szokiem. W życiu by nie pomyślał, że tak potoczy się to wrześnieowe popołudnie.

– Rozumiem, że to oświadczyzny? – Zatrzymał się pośrodku salonu i włożył ręce do kieszeni.

W tej sytuacji przydałby się srogi bimber od Gellerta, nie nalewka z pigwy.

– Możesz to tak potraktować... Eugeniuszu. – Uśmiechnęła się do niego, nie wstając z krzesła. – Oczywiście zrobisz, co uważasz.

– Ależ oczywiście, że zrobię, co uważam. – Wyjął ręce z kieszeni i usiadł naprzeciwko niej. – Dasz mi chwilę do namysłu? Czy jeśli zbyt długo będę się zastanawiał, to dostanę harbuza^[119]?

– Dostaniesz, dostaniesz! – Stefania się roześmiała.

Napięcie zeszło z niej całkowicie. Ostatecznie Eugeniusz nie wyszedł z jej mieszkania zgorszony, co więcej, nawet miło się uśmiechał.

– Zresztą masz sporo czasu, bo wyjeżdżam do Warszawy w ważnych dla mnie sprawach.

– To chyba najdziwniejsze oświadczyzny, o jakich kiedykolwiek słyszałem! – Fridman wstał, chwycił dłoń Stefanii i pocałował ją delikatnie. – Muszę szykować się do kolejnej pracy, tymczasem do rychłego zobaczenia... przyjaciółko!

Stefania wstała, by zamknąć za nim drzwi. Na odchodnym Eugeniusz się odwrócił.

– Ale właściwie po co jedziesz do Warszawy? Jako narzeczony rad bym wiedzieć. – Mrugnął do niej, uśmiechając się szelmowsko.

– Jadę załatwić coś bardzo ważnego, ale niezwiązanego z życiem uczuciowym. – Stefania odwzajemniła uśmiech i otworzyła mu drzwi. Na

odchodnym dodała: – Ale wróć, wróć na pewno.

[113] Szczęśliwa (tłum. z jidysz).

[114] Mój Boże (tłum. z jidysz).

[115] Dawna nazwa dziedziny zajmującej się diagnostyką i leczeniem chorób płuc, głównie gruźlicy. Obecnie pulmonologia.

[116] Obecna nazwa to Narodowy Instytut Onkologiczny im. Marii Skłodowskiej-Curie.

[117] Teatryk amatorski założony przez żydowską młodzież akademicką, dla którego teksty pisał m.in. Emanuel Szlechter, autor późniejszych przebojów, takich jak *Odrobinę szczęścia w miłości* czy *A mnie jest szkoda lata*.

[118] Najpopularniejszy program radiowy w II RP. Pierwszy odcinek został wyemitowany 16 lipca 1933 roku, a w szczytowych momentach audycji słuchało ponad 6 mln osób.

[119] Dostać kosza, typowe określenie z terenów kresowych.

X

Drzwi do warsztatu stolarskiego na ulicy Kaliskiej były nieco uchylone, dzięki czemu Helena niepostrzeżenie mogła zajrzeć do środka.

Zobaczyła kilkoro młodych mężczyzn, którzy w pocie czoła obrabiali jakieś drewno. Każdy stał przy swojej strugnicy^[120]. W środku pachniało żywicą i lasem. Józek pracował w najbardziej oddalonym od wejścia rogu pomieszczenia. Szlifował coś z zapamiętaniem, a nad nim unosił się kłęb pyłu.

Kałuzówna chciała wejść, ale po chwili się wycofała. Poczekaj, aż ktoś będzie wychodził. Być może właściciel, starszy pan Graja, będzie się kręcił koło bramy i podwórka. On sam już nie pracował w warsztacie, ale nadzorował młodych majstrów, w tym jej Józka.

„To znaczy Józka Biadałę”, poprawiła się w myślach i przysiadła na niskim murku, który odgradzał roboczą część podwórka od tej wypoczynkowej, na której pani Grajowa hodowała kwiaty i założyła mały ogródek. Serce waliło Helenie jak oszalałe, ale kładła to na karb ostatnich wydarzeń. Wszak sytuacji podnoszących ciśnienie miała w ostatnich dniach aż nadto. Dzisiejsze przyjscie tutaj wydawało jej się znacznie mniej stresujące niż zabiegi wokół zdrowia Stefanii, ale nie mogła się uspokoić.

– Dzień dobry paniencie! – usłyszała za sobą i zobaczyła pana Graję.

Był w stroju roboczym, na głowie miał kaszkiet i niósł jakąś wielką księgę. Jej wprawne oko panny księgowej rozpoznało książkę bilansów. No tak, każdy zakład usługowy, każda firma musi przecież prowadzić taką dokumentację, nawet jeśli uproszczoną.

Kałużówna zerwała się z murku i lekko kiwnęła głową.

– Dzień dobry panu. Czy mogłabym prosić pana o to, by z warsztatu wyszedł na chwilę Józef Biadała?

– Niech wyjdzie, ale aby nie na długo, bo Józek, to ło panie, łon majster jest nie do źdźarcia^[121], a my tu mamy duże zamówienie na komplet łokien.

Pan Graja postękał trochę, przełożył księgę do drugiej ręki, przekroczył murek i skierował się w kierunku warsztatu. Zajrzał do niego, nie wchodząc, tylko wsuwając głowę przez próg. Helena usłyszała:

– Biadała, odłóż tego fukszwanca^[122] i fyrej za drzwi, sprawa jest. – Po czym Graja machnął na Józka i oddalił się bez słowa w głąb podwórka.

Helenę obleciał strach, ale było już za późno, by się wycofać. Stała jak najbardziej z boku, byleby nikt z towarzyszy Józka jej nie widział. Nie chciała mu robić sceny przed kolegami, to dla młodych mężczyzn jest poruta^[123].

Józek wyszedł po chwili, otrzepując dłonie i naprędce wycierając je w robocze spodnie. Tak jak większość majstrów w warsztacie miał na sobie kraciastą koszulę z podwiniętymi rękawami, a włosy w lekkim nieładzie. Helena pomyślała, że nawet w takim roboczym wydaniu – a przecież nigdy go takim nie widziała – wygląda niezwykle przystojnie.

– Heła, co ty tu robisz? – Biadała uśmiechnął się na widok dziewczyny i szybko do niej podszedł.

Chciał ją pocałować w policzek, jednak lekko się odsunęła, ale w końcu dała się pocałować.

– Dzień dobry, Józku. – Uparcie patrzyła na czubki swoich pantofelków, przez dłuższy czas nie podnosząc głowy.

– Hela, ja się tak cieszę, żeś ty do mnie przyszła. My to się tygodnie całe nie widzieli, ja stracił już nadzieję. Ty miałaś do mnie przyjść zara po tych twoich wywczasach, a tu nic. Na chór nie chodzisz, co się dzieje? – Ujął ją pod brodę i podniósł jej głowę.

Helena była smutna i wystraszona.

– Wybacz mi, Józku, że się nie odzywałam, ale przecież ty też mogłeś przyjść i zapytać, co się u mnie dzieje – odpowiedziała przekornie.

– Ja nie mogłem, boś ty mi, Hela, nie kazała, tylko czekać kazałaś, a ja się nie będę pchoł. – Głos Józka był twardy, ale Helena wyczuła, że Biadała jest zestresowany.

– To prawda, tak mówiłam. Już sama zresztą nie wiem, co mówiłam, a czego nie mówiłam. – W duchu zaczęła siebie ganić za to roztrzepanie. – Przepraszam cię jeszcze raz, ale wydarzenia ostatnich dni nie pozwalały mi racjonalnie myśleć.

– Ale co się stało, coś z panią Kałużową szanowną? – Józek powoli zaczynał się niecierpliwić.

– Z nią dzięki Bogu wszystko dobrze, ale moja kochana ciocia Stefania niedomaga i ostatnie tygodnie zeszły mi na tym, by współorganizować jej pomoc.

Znów poczuła się niezręcznie, mówiąc półprawdę. Przecież to nie ona organizowała pomoc, tylko Feliks. Z drugiej strony, gdyby nie ona, Feliks o niczym by nie wiedział. Nadto była u Stefanii, żeby pomagać jej w codziennym życiu, niemal każdego dnia.

– Z panią Niemyjską twoją? Uuuu, bracie, to niedobrze. Ale coś poważnego? – Józek podrapał się po zapyłonej brodzie, by potem tę samą czynność powtórzyć na torsie.

– Obawiam się, że tak. Na dniach wyjeżdżam z nią do Warszawy, do szpitala, i właśnie... – Helena stwierdziła, że jeśli teraz mu tego nie powie, to zaraz ucieknie jak ostatni tchórz. Sięgnęła do kieszeni palta i wyjęła z niej aksamitne pudełeczko. – I właśnie dlatego, Józku, przysłałam ci to zwrócić. Nie mogę przyjąć tego pierścionka.

Józek popatrzył najpierw na rozłożoną dłoń dziewczyny, na której leżało pudełeczko, a później na jej twarz.

– Ale, Hela, co to ma wspólnego, moje zaręczyny i choroba pani Niemyjskiej? Jo rozumiem, że jedziesz z nią do Warszawy, ale chyba się tam nie przeprowadzisz, tej. – Rozłożył ręce w pytającym geście i tak zastygł.

– Nie, nie wyprowadzam. – Helena nadal trzymała rozłożoną dłoń, a Józek nie kwapił się, by sięgnąć po pudełeczko. – Właściwie to źle się wyraziłam, Józku. Ostatnie wydarzenia nie pozwoliły mi na kontakt z tobą, ale to, co robię teraz, zrobiłabym i tak.

Sięgnęła po rękę Józka – pociętą od narzędzi stolarskich, pełną drzazg i spracowaną – i wsadziła mu do niej pudełeczko.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem i pewnie gdyby nie różne okoliczności, z radością bym za ciebie wyszła. Ale nie mogę tego zrobić, nie umiem – powiedziała wprost.

– Hela, co ty godoisz? Jak to nie umiesz? To trzeba umieć? – Józek mówił spokojnie, ale coraz bardziej podnosił głos.

– Nie, nie trzeba umieć, ale trzeba kochać. Nie Kocham ciebie, Józek. Po prostu – wyrzuciła z siebie, spodziewając się karczemnej awantury.

Jednak nic takiego się nie stało. Józek stał jak wryty przez kilka chwil, patrząc na Helenę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– To ten pan doktor, tak? Idziesz do pana doktora? – zapytał z ironią w głosie.

– Do nikogo nie idę, Józku. Po prostu nie kocham ciebie, a co dalej postanowię... znaczy się: co dalej się wydarzy, to pan Bóg jeden wie. Teraz myślę o cioci Stefanii.

Józek powstał przez chwilę, zastanawiając się, co ma zrobić. Kątem oka sprawdził, czy aby nikt z warsztatu na niego nie patrzy. Był zdenerwowany na Helenę, że tak długo trzymała go w niewiedzy, do tego stopnia, że ostatnimi tygodniami zaczął już sobie odpuszczać, a nawet gniewać się na nią, że stroi takie fochy. Ostatecznie i Józia Dybiona, i Kaśka Walasiakówna czy nawet ta elegancka Marcelina Hoffmanowa, co to u Zarzyckiego pracuje za kelnerkę, one wszystkie słodkie oczka do niego robiły, a on nic, czekał na tę hrabiankę jedną!

– To po coś mnie tak długo trzymała, Hela? Bo co, miałaś fefry^[124], że sama zostaniesz i bydziesz stara panna jak pani Niemyjska?! – Włożył ręce w kieszenie i ściągnął brwi.

Helena spojrzała mu w twarz. Nigdy go takim złym nie widziała.

– Nie mów tak, to jest nieładnie. Możesz sobie mówić o mnie, co chcesz, ale nie o cioci Stefanii! – podniosła głos, niemal krzyczała.

Przestało już ją interesować, czy robi wstyd Józkowi. Ten spoważniał, wyjął ręce z kieszeni i założył je za siebie.

– Mosh racje, łatus^[125] ze mnie, pani Stefania Bogu ducho winna – przytaknął. – Ale Hela, bierz ten pierścionek, to prezent był, co ty tam zrobisz, to se zrobisz, ale fest chłop nie odbiera kobiecie prezentów.

– Nie, Józku, nie mogę tego przyjąć, to jest klejnot rodowy. – Helena pokiwała głową. – Nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi przykro, że w taki sposób zachowałam się względem ciebie. Nasze drogi się krzyżują, śpiewamy w jednym chórze, nie chcę, by przez to, co się między nami stało, teraz było tylko źle.

– Hela, łatwo nie będzie, ale co ja na to mogę, jak nic nie mogę? – Machnął ramionami i ponownie wsadził ręce do kieszeni. – Ja miał uczciwe zamiary i ja ciebie chciał za żonę brać, co byś mieszkała jak królowo.

– Wiem, Józek, wiem. Ale ja nie mogę, po prostu nie mogę. – Helena małymi kroczkami przesuwała się w kierunku bramy wyjściowej. – Może kiedyś mi wybaczysz. Teraz muszę lecieć do pani Stefanii, bywaj zdrów!

Przyspieszyła kroku, a Józek podszedł kawałek za nią.

– Hela, ty powiedz pani Niemyjskiej, że ja się jej kłaniam. To jest fest kobita, nie ma takiego chyba, co by jej w Pleszewie nie lubiał, chyba że jakaś łajza.

I bez pożegnania pobiegł z powrotem do warsztatu.

* * *

Podróż do Warszawy zajęła niemal dwanaście godzin.

Feliks wraz z ojcem przygotowali automobil już dzień wcześniej. Załadowali kanistry z paliwem, sprawdzili poziom oleju i stan opon. Feliks co prawda nieco się krygował, było mu niezręcznie, że rodzice wszystko finansują, ale ojciec pozostawał nieugięty:

– Synu, tu chodzi o ludzkie życie, i to życie przyjaciółki twojej matki. Nie mamy o czym dyskutować. – Tymi słowami uciął rozmowę.

W przeddzień wyjazdu w domu Szewczyńskich pojawiła się Stefania. Henryka otworzyła jej drzwi i obie przyjaciółki rzuciły się sobie w objęcia, przez dłuższy czas nic nie mówiąc. Stefania nie dała się jednak zaprosić na herbatę, wykręcając się jeszcze ogromem pakowania, ale na odchodnym, po licznych podziękowaniach i kolejnym uścisku, poprosiła krótko Henrykę:

– Czy mogłabyś, proszę, zatelefonować do Aleksandra i poinformować go o zaistniałej sytuacji? Ja jakoś nie chcę mówić mu tego wprost, a...

– Nie ma o czym mówić, Stefanio, oczywiście, że zadzwonię – odpowiedziała krótko. – A Eugeniusz?

Stefania spojrzała ze zdziwieniem na Henrykę. Skąd ona wie o jej relacji z Eugeniuszem? Chyba jednak wiedziała niewiele, ot tyle, że się znają.

– Eugeniusz wie tylko, że wyjeżdżam do Warszawy, nic nie wie o mojej chorobie... Jemu tym bardziej trudno było mi mówić.

– Rozumiem – odpowiedziała tylko Henryka, a Stefania wiedziała, że za tym jednym słowem kryje się prawdziwe zrozumienie.

Wyjechali w kierunku Warszawy wczesnym rankiem, kiedy to wrześnie noc, zimna i wilgotna, powoli ustępowała miejsca brzaskowi dnia. Feliks z początku chciał posadzić Stefanię z przodu – tam było więcej miejsca, mógłby też nieco pochylić oparcie jej siedzenia – ale zaproponowała, a on przesadnie się nie upierał.

– No co ty, Feliksie, z tyłu będzie mi daleko wygodniej, o patrz, leżeć nawet mogę! – I zademonstrowała mu, jak to wygodnie może się ułożyć, kładąc się plackiem na kanapie i podwijając nogi, a młody Szewczyński tylko kiwnął głową i więcej nie oponował.

W bramie żegnały ich cała rodzina właścicieli kamienicy oraz Adela, która od momentu, gdy dowiedziała się o chorobie Stefanii, nie rozstawała się z różańcem. Do tego jej wnuczka ma jechać tą „żelazną bestią”, co to konia nawet przytwierdzonego nie ma, więc Adela podwójnie miała za co się modlić.

Stefania rozglądała się nerwowo za Eugeniuszem. Nie to, żeby chciała się z nim w tym momencie żegnać, wręcz przeciwnie. Jak ognia chciała uniknąć sytuacji, w której zjawiłby się przed domem. Nie potrafiła wyjawić mu sam na sam prawdziwego powodu swojego wyjazdu, a co dopiero teraz, przy tylu ludziach. Choć wszyscy dobrze jej życzyli, krępowałyby się.

Na szczęście Eugeniusz się nie pojawił – albo spał, albo miał nocną zmianę na kolei – a oni spokojnie ruszyli w kierunku Kalisza, by potem obrać kurs na północ, ku szosie poznańsko-warszawskiej.

Nazwa „szosa” była nadana nieco na wyrost. Większość dróg, którymi jechali, była po prostu utwardzoną ziemią. Tylko na niektórych odcinkach lokalne władze wysypały tłuczeń. Asfalt natomiast wylano wyłącznie przy Koninie oraz za Sochaczewem, ale to było już niedaleko rogatek stolicy.

Feliks musiał kilkakrotnie zatrzymać się po drodze – a to trzeba było dolać paliwa, a to iść za potrzebą, a to wreszcie coś zjeść. Na szczęście Henryka i Adela zaopatrzyły ich tak obficie w suchy prowiant, że mogliby z nim dojechać nawet do Nowosybirsk, gdyby tylko mieli porządne drogi i wystarczającą ilość paliwa.

Niewiele się do siebie odzywali podczas tej wspólnej drogi. Ot tyle, żeby zabić krępującą ciszę. Każde z nich myślało tylko o jednym – o zdrowiu Stefanii, o tym, co zastaną na miejscu, jak wyglądają nowe terapie i jaka wreszcie jest właściwa diagnoza.

Stefania niewiele spała, a z perspektywy tylnego siedzenia mogła swobodnie obserwować, w jaki sposób odnoszą się do siebie Helena i Feliks. Był między nimi rodzaj napięcia, ledwie widoczny, ale jednak. Zwracali się do siebie bardzo grzecznie, ale nic ponadto. A przecież ona specjalnie usiadła z tyłu, bo czuła, że być może chcieliby sobie porozmawiać. Oni jednak raczej milczeli bądź też, od czasu do czasu, odwracali się do niej z zapytaniem o samopoczucie.

– Wy już tak przestańcie patrzeć na mnie tym baranim wzrokiem, bo zaraz naprawdę poczuje się chora. – Zaśmiała się Stefania po tym, jak Helena po raz kolejny odwróciła się z pytaniem, czy aby nie powinni zatrzymać się na krótki odpoczynek.

Do Warszawy dotarli grubo po zmroku. Feliks jechał ulicami stolicy z duszą na ramieniu. Bądź co bądź nigdy nie poruszał się samochodem w tak dużym mieście. Niestety musieli dojechać do centrum, gdyż mieli rezerwację w niedużym hotelu Terminus na Chmielnej, w samym sercu Warszawy. Feliks nie chciał, żeby Helena i Stefania widziały jego zdenerwowanie, dlatego postanowił skupić się wyłącznie na jeździe i za rogatkami Warszawy w ogóle przestał się odzywać.

Ulica Chmielna nie była szeroka, ale za to miała przyzwoite chodniki, przy których dało się zaparkować auto. Widać było, że to typowo handlowa ulica – na parterze każdej kamienicy znajdował się jakiś sklep, głównie z konfekcją, ale także obuwem i kapeluszami. Helena patrzyła jak urzeczona na witryny, które mijali, jadąc powoli w kierunku hotelu. Ach, jakaż by była szczęśliwa, gdyby z Feliksem u boku mogła pospacerować po ulicach rześście oświetlonych latarniami elektrycznymi! Jaka szkoda, że znaleźli się w stolicy w tak smutnych okolicznościach.

Hotelik znajdował się w niedużej pięciopiętrowej kamienicy. Niestety zarezerwowane pokoje miały okna wychodzące na podwórko, ale podróżni byli tak wykończeni, że nawet o tym nie myśleli. Feliks z pomocą lokaja wniósł bagaże. W aucie pozostała tylko walizka Stefanii – wszak jutro, z samego rana, muszą stawić się na izbie przyjęć w instytucie. Nie było sensu wnosić wszystkich rzeczy oprócz tych, których naprawdę potrzebowała na jedną noc. Helena również chciała, by jej bagaż został. Miała nadzieję, że zostanie w instytucie z ukochaną opiekunką. Feliks jednak był sceptyczny wobec tego pomysłu. Wiedział też, jakie zasady panują w szpitalach.

– Życzę paniom spokojnej nocy. Pamiętajcie, że jutro musimy wstać o szóstej rano. – Postawił ostatnią walizkę, uklonił się i zniknął w korytarzu.

Jego pokój mieścił się tuż obok ich klitki, w której na szczęście stało podwójne łóżko. Zarówno Helena, jak i Stefania nie zwlekały długo z wieczorną toaletą. Zmęczone, po trudach podróży, położyły się niemal natychmiast. O ile Helena zasnęła od razu, o tyle Stefania prawie nie zmrużyła tej nocy oka. Leżała, wpatrując się tępo w sufit oświetlony lampą podwórkową. Bała się.

Po raz pierwszy od momentu, kiedy Rudke zarzucił ją strasznymi diagnozami, obleciał ją zwykły strach. Co ją czeka w instytucie? Co to za nowoczesne leczenie? A może będzie królikiem doświadczalnym?

Przypomniała sobie twarz Eugeniusza, uśmiechniętego i rozbawionego jej dziwnymi oświadczeniami. Czy dobrze zrobiła, że nie powiedziała mu o chorobie? Cały czas myślała, że go chroni, tak jak – wydawało się jej – chroniła Aleksandra. Ale tutaj, w ciemnym pokoiku warszawskiego hotelu, pomyślała, że zachowała się dziecinnie. Dorośli rozmawiają o takich sprawach, nawet jeśli są one bolesne. Oby się nie okazało, że swoim milczeniem popsuka wszystko, co udało się między nimi zbudować przez ostatnie miesiące.

Kiedy budzik zadzwonił o szóstej, miała wrażenie, że dopiero co usnęła. Od długiej jazdy bolały ją głowa i całe ciało. Nadto była przygnębiona, a za oknem z ołowianych chmur siąpił jesienny deszcz. Najchętniej schowałaby się pod kołdrę i nie wychodziła stamtąd cały dzień, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Miejsce w instytucie czekało, a była przecież jednym ze szczęśliwców, którzy w ogóle się tam dostali.

Niemal bez słowa zjedli skromne śniadanie w hotelowej restauracji i również bez słowa udali się do samochodu. Helena dzierżyła ze sobą mapę, dzięki której miała pokierować Feliksa do instytutu. Z Chmielnej na Wawelską nie było bardzo daleko, ale ulica ta mieściła się w dzielnicy

Ochota i trzeba było porządnie się skupić, by małymi uliczkami wyjechać ze Śródmieścia.

Okazały budynek Instytutu Radowego stał niemal w szczerym polu, przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy ulicy. Otwarty zaledwie rok wcześniej, nie miał zbyt ładnego otoczenia. Szewczyński zatrzymał się przed głównym wejściem i wszyscy udali się na izbę przyjęć. Nie czekali długo – dosłownie po kilku minutach zeszła do nich młoda pielęgniarka z informacją, że profesor Łukaszczyk oczekuje ich w swoim gabinecie.

Profesor, biorąc pod uwagę jego staż i dorobek, był zaskakująco młodym człowiekiem. Miał surowe góralskie rysy i łagodny uśmiech.

– Dzień dobry państwu, proszę, usiądźcie. – Wskazał im niedużą kanapę i dwa fotele. – Mam nadzieję, że podróż do Warszawy nie była uciążliwa.

– O nie, nie licząc tego, żeśmy się prawie dwa razy zakopali pod Koninem i Kutnem, reszta przebiegała jak z płatka. – Szewczyński uśmiechnął się do profesora, a ten odwzajemnił uśmiech.

Stefania i Helena usiadły na kanapie, a Feliks stanął obok profesora. W duchu podziwiał jego skromność i urok. Cieszył się, że mimo tak smutnych okoliczności ma zaszczyt poznać go osobiście. Profesor Mayer zdążył mu sporo o nim opowiedzieć.

Łukaszczyk przez chwilę uśmiechał się, patrząc na Helenę i Stefanię, które oprócz zdawkowego „dzień dobry” nic jeszcze nie powiedziały.

– Zdaje się, że to pani będzie naszą pacjentką, prawda? – zwrócił się bezpośrednio do Niemyjskiej, a ta odwzajemniła uśmiech.

– Na to wychodzi, że to ja przywiozłam ze sobą problemy.

– Proszę mi wierzyć, w zawodzie lekarskim nie uznajemy chorób za problemy, tylko za wyzwania. Medycyna jest niezwykle dynamicznie

rozwijającą się dziedziną nauki, zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy jesteśmy świadkami tak szybkich postępów technologicznych.

Lekarz usiadł na jednym z foteli, a drugi wskazał wciąż stojącemu Feliksowi.

– Czy ma pani ze sobą jakieś badania?

Stefania z paniką w oczach spojrzała na Szewczyńskiego.

– Otóż nic ze sobą nie mamy, panie profesorze, pacjentka była tylko... ekhm, wstępnie zdiagnozowana u nas, w małej Kasie Chorych, a wie pan, jakie mamy tam możliwości.

– No tak. – Łukaszczyk zamilkł na chwilę, najwyraźniej nie chcąc komentować stanu wyposażenia lokalnych Kas Chorych. – A jak z badaniem przedmiotowym i w wywiadzie?

– To nie ja przyjmowałem pacjentkę, zajrzałem tylko do dokumentacji, ale rozmawiałem z nią później. W badaniu stetoskopowym słycać świsty świadczące o zwłóknieniu płuc, objawy są również dość typowe dla zaawansowanej choroby płucnej, która może wskazywać na coś poważnego związanego z nowotworami, ale też na gruźlicę. – Szewczyński wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie z rękami założonymi z tyłu. – Co mnie tylko zastanawia, to przede wszystkim czas trwania objawów. Stefania, przypomnij mi, proszę, kiedy zaobserwowałaś je po raz pierwszy.

– Myślę, że kaszlę już od niemal roku, to samo z osłabieniem – cicho odpowiedziała Niemyjska.

Cały czas była oszołomiona tym, że znajduje się w centrum zainteresowania. Zwykle znajdowała się po tej drugiej stronie, zajmując się kimś bądź też coś dla kogoś organizując.

– Dlatego, panie profesorze, uważam, że potrzebna jest pogłębiona diagnostyka. Coś mi się tutaj nie zgadza. Objawy, które ma pacjentka, zbyt

długo się nie nasilają, a czasem nawet, z tego, co mówiła, znikają na chwilę.

– Hm... no tak. To niestety możliwe przy nowotworach. A czy było krwioplucie?

– Nie. – Stefanii na samą myśl o tym, co powiedział profesor, zrobiło się słabo.

– A gorączka? Chudnięcie?

– Też nie. – Popatrzyła na Helenę ze strachem.

Skoro robiło jej się słabo od takich tematów, to co dopiero ma powiedzieć jej podopieczna? Ale nie, Helena siedziała prosto, twarz miała skupioną i nie wyglądało na to, jakby miała mdleć bądź też jakby w jakimkolwiek stopniu sprawa wydawała jej się odrażająca.

– Dobrze, w takim razie za chwilę zawołam pielęgniarkę i położymy panią na oddziale. Zaczniemy od zrobienia szeregu badań. – Odwrócił się do Feliksa. – Zapewne będę musiał zrobić to interdyscyplinarnie, badania krwi, nawet najprostsza biochemia i morfologia, muszą być wykonane gdzie indziej. U nas zrobimy badanie rentgenem, a przede wszystkim muszę poobserwować pacjentkę i najpierw dogłębnie ją zbadać.

– Czy mógłbym jakoś pomóc, panie profesorze?

– Na tym etapie nie będzie to konieczne. Potrzebujemy dwóch, trzech dni na zupełnie wstępną diagnostykę, ale na którymś etapie na pewno poproszę, żeby pan przyszedł, nawet w celach dydaktycznych.

Łukaszczyk wyszedł na chwilę z gabinetu i wrócił z pielęgniarką, tą samą, która przyjmowała ich na izbie.

– Widzą państwo, kadra u nas skromna, z lekarzy jesteśmy tylko ja i doktor Laskowski, ale zamierzamy znacząco zwiększać nasze grono. W najbliższych dekadach będzie to jedna z ważniejszych dziedzin medycyny.

– Przepraszam bardzo, a czy ja mogę zostać z ciocią... to znaczy z pacjentką? – Helena wstała i spojrzała błagalnie na profesora.

– Niestety to wykluczone, takie są zasady, ale w drodze wyjątku będzie pani mogła ciocię codziennie odwiedzać. – Uśmiechnął się do Heleny i jednocześnie wskazał Stefanii ręką drzwi, by szykowała się do wyjścia.

Pielęgniarka podeszła do niej, zabrała jej walizkę, a Helena bez słowa przytuliła swoją opiekunkę, ściskając ją niemal tak mocno jak kiedyś, gdy była mała, a Stefania obiecywała jej wyjście na lody bądź do ogrodu jordanowskiego.

– Do zobaczenia, ciociu! – Puściła Stefanię, a ta podeszła do Feliksa, by go uściskać.

– My tutaj jesteśmy. I będziemy – powiedział cicho, klepiąc ją po plecach.

Stefania i pielęgniarka poszły jedną częścią korytarza, a Helena i Feliks, po krótkim pożegnaniu z profesorem i obietnicy, że mogą przychodzić codziennie w godzinach popołudniowych, powolnym krokiem udali się do wyjścia. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

W milczeniu minęły im również podróż na Chmielną do hotelu oraz krótkie przejście do swoich pokoi. Helena dopiero teraz zaczęła odczuwać, jak bardzo jest zmęczona. Powoli schodziło z niej napięcie ostatnich godzin i trudnej podróży. Patrząc na Feliksa, miała wrażenie, że on czuje się tak samo, jeśli nie gorzej.

Feliks jednak fizycznie trzymał się całkiem nieźle, chociaż widać było od razu, że głowę ma zaprzątniętą myślami o Stefanii. Pożegnali się pośpiesznie, rezygnując nawet z obiadu.

Helena weszła do pokoju, zdjęła pantofle i płaszcz, położyła się na łóżku i niemal natychmiast zapadła w kamienny sen. Na moment przed zaśnięciem przed oczami stanął jej zgrabny profil Feliksa widziany

z perspektywy pasażerki. Pomyślała o jego umiejętnościach organizatorskich, a przede wszystkim o tym, jak jej zaimponował, gdy rozmawiał fachowo i spokojnie na tematy medyczne. W takich rolach widziała go po raz pierwszy w życiu.

* * *

Henryka odłożyła słuchawkę aparatu telefonicznego i przez chwilę stała zamyślona przy komodzie, patrząc tępo w ścianę.

– Jakież wieści? – Leon podszedł do małżonki i objął ją ramieniem.

– Na razie nic nie wiadomo, robią Stefanii podstawowe badania. Leży tam sama, chociaż można ją odwiedzać, tyle wiem. – Westchnęła i spojrzała do góry, na twarz męża. – To wszystko wydaje mi się jakimś strasznym snem i cały czas mam nadzieję, że się z niego obudzę.

– Miła moja, takie jest życie, czasem ktoś choruje, ktoś gdzieś się rodzi, ktoś umiera. Nie możemy zatrzymywać swojego życia z tego powodu. – Uśmiechnął się do niej krzepiąco i pocałował w czoło. – No, a jak nasz Feliks się miewa w Warszawie? Wszak pojechali z Heleną, przecież nie siedzą cały czas w instytucie.

– Nic mi Feliks nie mówił, niestety. Myślę, że oboje mają głowy zajęte Stefanią. – Westchnęła ponownie i zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi wejściowych. – Chyba pójde do tego Eugeniusza, porozmawiam z nim.

– Eugeniusza? A po co? – Leon Szewczyński był człowiekiem mocno stąpającym po ziemi i bardzo zaangażowanym w swoją pracę i pasję, ale na ogół nie widział nic, co się działo dookoła, chyba że Henryka go wtajemniczyła.

– Przyjaźnią się ze Stefanią, ale ona bała mu się powiedzieć o chorobie – odpowiedziała krótko.

– Bała się? A niby dlaczego się bała, jeśli to jej przyjaciel? I to niby ty masz wyręczyć panią Niemyjską? – Na twarzy Szewczyńskiego malowało się zdziwienie.

Henryka podeszła do męża. W jej oczach dostrzegł lekkie pobłażanie.

– Oj, kochany, kochany, ty może znasz się na tych swoich automobilach i przeszedłeś z generałem Hallerem całą Europę, ale nie wiesz nic o sercu kobiety. – Mrugnęła do niego, pocałowała go w policzek i szybko oddaliła się do drzwi. – Zaraz wracam! – krzyknęła na odchodnym.

Przebiegła szybko przez podwórko w półcieniu i wbiegła do klatki naprzeciwno. Udała się na drugie piętro. Już na dole dobiegły ją dźwięki jakiegoś szlagieru jazzowego. Eugeniusz grał wprawnie i chociaż pianino nie brzmiało najlepiej, przyjemnie się tego słuchało. Zapukała głośno do drzwi.

– Dzień dobry, szanowna pani Henryko, czyżbym z czymś zalegał?

Eugeniusz miał na sobie tylko spodnie i koszulę z podwiniętymi rękawami, był rozczochrany, a w całym pokoju – łącznie z podłogą – były porozrzucane nuty.

– Nie, nie, wszystko w najlepszym porządku. – Uśmiechnęła się do lokatora i uprzytomniła sobie, że faktycznie, jak dotąd rozmawiali ze sobą wyłącznie na temat rozliczeń.

– Panie Eugeniuszu, nie będę owijać w bawełnę. Przyszłam tutaj, żeby panu przekazać pewne nowiny. Nasza Stefania... znaczy się: pani Niemyjska pojechała do Warszawy, do szpitala. Jest bardzo poważnie chora.

Eugeniusz zbladł i rakiem przesunął się do tyłu. Oklapł na krześle przy pianinie.

– Jak to: poważnie chora?! Przecież kilka dni temu ją widziałem... Byłem u niej! – niemal krzyknął. – Nic mi nie mówiła!

– Nie chciała pana martwić. – Nie czekając na zaproszenie, Henryka weszła w głąb pokoju i usiadła na otomane. – Mnie również nie upoważniła do przychodzenia do pana, ale zdecydowałam, że to zrobię, bo znam moją przyjaciółkę od lat i wiem, jak bardzo w pewnych sprawach jest skryta.

Eugeniusz siedział, nic nie mówiąc, a po chwili zaczął stukać w politurę pianina, jakby to go uspokajało.

– Długo tam będzie?

– Nie wiadomo, na razie nic nie wiadomo, jest w procesie diagnostycznym.

– To coś bardzo... bardzo poważnego?

Henryka spodziewała się, że Fridman się zmartwi, ale nie przypuszczała, że aż tak. Był naprawdę przybity.

– Też nie wiadomo, ale obawiam się, że tak. Nie możemy się okłamywać.

Eugeniusz nic nie mówił, a ona wstała, dyskretnie poprawiając wąską sukienkę.

– Jeśli będzie chciał się pan z nią skontaktować, myślę, że najlepiej będzie zrobić to za pośrednictwem Heleny i mojego syna. Są przy niej, zamieszkali chwilowo w hotelu Terminus w Warszawie.

– A... a w jakim szpitalu leży Stefa.... to znaczy: pani Niemyjska?

– W Instytucie Radowym na ulicy Wawelskiej.

– Dziękuję, dziękuję bardzo – odpowiedział zdawkowo, ale Henryka widziała, że jest w innym świecie.

Kiwnęła głową i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Pani Szewczyńska szanowno, wie coś pani, co z naszą Stefanią? – Z mieszkania naprzeciwko wychyliła się głowa Adeli.

– Dzień dobry, pani Adelo, nic na razie nie wiem, badają ją.

– Jezusie Maryjo, ile to będzie trwać? – Otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając nieco światła na ciemną klatkę.

– Pani Kałużowo kochana, potrwa tyle, ile musi, proszę się nie martwić na zapas. – Udała się w kierunku schodów, ale po chwili zawróciła. –

Jeszcze jedna sprawa, kochana pani Adelo. – Kałużowa przesunęła się, jakby chciała zaprosić Szewczyńską do środka, ale ta nie wchodziła. –

Mamy dwudziesty wiek, wiele zmieniło się w społeczeństwie, w ludziach i w nas samych – zaczęła, a Adela patrzyła na nią jak sroka w gnat, nie wiedząc, do czego „szanowna pani Szewczyńska” zmierza. – Otóż, pani Adelo, my z mężem nigdy nie oburzaliśmy się i nie będziemy się oburzać na jakiegokolwiek wybory naszych synów, ponieważ to są ich wybory i nic nam do tego. My możemy być tylko szczęśliwi, kiedy oni są szczęśliwi. – Powiedziawszy to, Henryka odwróciła się i skierowała do schodów.

Widząc, że Adela nadal stoi skonsternowana, odwróciła się jeszcze raz.

– Mówię również o ich wyborach w sprawach sercowych. Niech po prostu będą szczęśliwi. – Zeszła dostojnie na dół, a Adela jeszcze chwilę stała w drzwiach, zastanawiając się, czy Henryka nadal miała na myśli wyłącznie swoich synów.

Weszła z powrotem do mieszkania, bez Heleny cichego i pustego. Kręciła się, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Adela była prostą kobietą, której życie ograniczało się do dbania o bliskich, zarabiania na chleb i rozmów na podwórkowej ławeczce. Dzieci wychowała sama, bo jej Zdzychu zginął w wypadku w pracy, kiedy były jeszcze małe.

Podeszła do komody, na której niezmiennie od lat stało jej zdjęcie ślubne. Czy była wtedy szczęśliwa? Chyba bardziej wystraszona. Zdzisław Kałuża, zdolny robotnik, który miał pracę w niemieckich młynach, i ona, sierota wychowana przez najemnych robotników w czworakach, w majątku

Malinie. Zamążpójście ze Zdzichem było dla niej szansą, by doskoczyć do poziomu robotniczego, mieć małe mieszkanie, stałą pracę i pieniądze na chleb.

Ale czy ona myślała wtedy o miłości...?

Podeszła do kąta Heli, wygładziła nieistniejące fałdki na kapie łóżka i przez chwilę stała zapatrzona w półkę, na której wnuczka trzymała książki. Po chwili jej wzrok zatrzymał się na tej jednej, bardzo ważnej, kiedyś ulubionej książce Heleny.

Na *Sercu* Edmunda de Amicisa, które przed laty dostała od Feliksa.

* * *

– Poczekajcie tutaj, ja pójdę do profesora, może już coś wie. – Feliks wstał z niedużego krzesła obrotowego, które stało obok łóżka Stefanii, i uśmiechnął się do niej krzepiąco.

Obok łóżka siedziała również Helena, która przyniosła opiekunce kilka soczystych jabłek, gruszki i całą siatkę śliwek. Zakupy udało jej się zrobić z samego rana u przekupki, która stała z owocami na Chmielnej.

– Rozumiem, że mam zacząć tutaj robić przetwory. – Stefania wybuchła śmiechem na widok owoców, które naznosiła Helena. – Helenko, przecież ja tyle nie zjem do końca roku!

– Musisz jeść owoce, to na wzmocnienie – zawyrokowała, a Feliks tylko kiwnął głową i oddalił się do wyjścia.

Szczęśliwie zastał profesora Łukaszczyka w jego gabinecie.

– Proszę, Feliksie, wejdź. – Machnął przyjaźnie ręką, kiedy zobaczył młodego Szewczyńskiego w drzwiach.

Od przyjęcia Stefanii do szpitala minęły już dwa dni, ale nadal nic nie było wiadomo.

– Właśnie przed chwilą otrzymałem wyniki badań krwi pani Stefanii. – Profesor trzymał w jednej ręce dużą kartkę, a drugą drapał się po głowie.

Feliks nie dał po sobie poznać, jak bardzo się denerwuje. Usiadł naprzeciwko biurka Łukaszczyka i założył ręce na kolana.

– I co z nich wynika?

– Właściwie nic – odpowiedział krótko profesor. – Badania krwi są w większości w normie, jedyne, co widzę, to podwyższony poziom wapnia...

– Hiperkalcemia? – wtrącił Feliks, a profesor spojrział na niego i uśmiechnął się lekko.

– Tak, proszę wybaczyć, zapomniałem, że mam do czynienia z lekarzem.

– Ech, panie profesorze, ja dopiero zaczynam.

Łukaszczyk usiadł za stołem i popatrzył bacznie na Feliksa.

– Miał pan rację, wszystkie te objawy mogą świadczyć o każdej chorobie i o żadnej chorobie, sporo się tutaj nie zgadza. Próby tuberkulinowe, które natychmiast przeprowadziliśmy, wyszły ujemne. Świadczy to o chorobie płuc, ale wcale niekoniecznie o gruźlicy, ponieważ badania mikrobiologiczne nie wykazały obecności prątka gruźlicy.

– Czyli nowotwór? – Feliks miał kamienną twarz, ale czuł, jak mocno bije mu serce.

– Badania laboratoryjne z krwi tego nie wykazały, ale kluczowy będzie wynik badania promieniami rentgena, który będziemy mieć dzisiaj. – Odłożył dokumentację medyczną, wstał, podszedł do Feliksa i poklepał go po ramieniu. – Mój przyjaciel, profesor Mayer, miał rację, uparty z pana zawodnik!

– Dziękuję, ale to naprawdę komplement na wyrost, na razie jestem zwyczajnym prowincjonalnym lekarzem. – Feliks poczuł się skrępowany

tym, że profesor nad nim stoi, toteż również wstał i skłonił się Łukaszczykowi.

– Kiedy otrzymam już zdjęcie, przeanalizuję je i najdalej jutro poproszę doktora Laskowskiego i pana o konsylium. Wówczas zdecydujemy, co dalej.

– Oczywiście, rozumiem. – Szewczyński ukłonił się ponownie i skierował do drzwi. – Bardzo panu profesorowi dziękuję.

– Nie ma za co, panie doktorze, to moja praca. I muszę jeszcze jedno panu powiedzieć – pani Niemyjska to naprawdę niezłomna i odważna pacjentka.

– Wiem, ale to też rodzi problemy, panie profesorze. Nigdy nikomu na nic się nie skarżyła. – Uśmiechnął się na odchodnym i wyszedł za drzwi.

Przez chwilę chodził po korytarzu pod gabinetem profesora, starając się poukładać to, co przekazał mu Łukaszczyk. Hiperkalcemia, negatywne próby, nic nie wiadomo, zdjęcie rentgena – w głowie zaczęło mu pulsować od domysłów, obaw i jednocześnie nadziei do tego stopnia, że musiał zażyć świeżego powietrza.

Zszedł szerokimi schodami ku wyjściu i usiadł z boku, na niedużych stopniach prowadzących do instytutu

– Dzień dobry, panie doktorze.

W pierwszej chwili myślał, że ze zmęczenia się przesłyszał, ale gdy głos powtórzył powitanie, odwrócił się, spodziewając się ujrzeć niemal ducha.

Za nim, w garniturze i z bukietem przywiedłych astrów stał Eugeniusz Fridman.

– Co pan tu robi?! – Feliks był tak zdziwiony, że zapomniał się nawet przywitać.

– Przyjechałem do Stefanii. Dlaczego nic mi nie powiedziała? – Lokator spod piątki był najwyraźniej zmęczony, widocznie dotarł tu prosto z pociągu.

Garnitur miał wymięty bodaj bardziej niż kwiatki. Był jednocześnie bardzo rozemocjonowany. Feliks nigdy go takim nie widział, chociaż prawdę mówiąc, nie wiedział, jak Fridman zachowuje się na co dzień, być może właśnie tak. Przecież ledwie go znał.

– Zapewne chciała pana chronić.

Podczas pamiętnej Wigilii Feliks zauważył, że Fridman ma słabość do Niemyjskiej. Od tego czasu jednak nie widywał ich nigdy razem. A teraz on tutaj, niemal trzysta kilometrów od domu... I jeszcze te kwiaty.

– Aleś mnie pan zaskoczył! – Uśmiechnął się do Eugeniusza i wreszcie wyciągnął rękę na powitanie. – Proszę wybaczyć, że tak zareagowałem, ale po prostu zabrakło mi słów. W życiu się pana tutaj nie spodziewałem!

– Widzi pan, ja też się siebie tutaj nie spodziewałem, jeszcze w czasach siebie sierpniowego. Ale ja wrześnieowy stwierdziłem, że choroba Stefanii to dla mnie cios. – Usiadł na schodach, a Feliks przysiadł się do niego. – Proszę pana, ja mam swoje lata i swoje przeszedłem, swoje wypięłem, swoje się wybawiłem i poznałem mnóstwo ludzi, w tym oczywiście kobiet, a wśród nich mnóstwo pięknych kobiet. I kiedy już po oświad... znaczy się, w pewnym momencie, kiedy dotarło do mnie, że mógłbym gdzieś zapuścić korzenie, kiedy ta świadomość mnie uszczęśliwiła, usłyszałem nagle to. – Fridman pochylił głowę, a smętnie zwisające astry ocierały się zwiędłymi główkami o schodek.

Nagle się poderwał, otrzepał wymięty garnitur i niemal zakrzyknął:

– Ja muszę iść do Stefanii!

Szewczyński również się podniósł i podszedł do drzwi wejściowych.

– Proszę za mną. – Popchnął jedno skrzydło i wszedł do ciemnego wnętrza.

Musiał gonić Eugeniusza, który zachowywał się, jakby szedł w malignie.

Stefania leżała w jednoosobowej sali na pierwszym piętrze, na samym końcu korytarza. Feliks zapukał cicho.

– Proszę! – usłyszał jednocześnie wołanie Heleny i Stefanii.

Ruchem ręki dał znać Eugeniuszowi, by ten poczekał, po czym wszedł i po chwili wyszedł z Heleną, która na widok Fridmana niemal krzyknęła. Zasłoniła usta w absolutnym zdziwieniu. Feliks przyłożył palec do ust i wskazał jej ręką, by się oddalili, tymczasem Fridman wsunął się do niedużej salki, w której na samym środku, na wielkim metalowym łóżku, leżała Stefania. Jej krótkie ciemne włosy były rozsypane na poduszce, co przydawało jej wyglądu świętej z aureolą.

Eugeniusza ten widok rozczulił i jednocześnie rozłożył na łopatki. Zawczasu przygotował sobie piękną mowę, ba, wymyślił ją nawet wierszem. Pomyślał, że będzie dowcipny, elokwentny i żartobliwy, ale widok Stefanii leżącej w tym wielkim gmachu w stolicy, tak bezradnej i bladej, ścisnął go za gardło. Łzy same zaczęły napływać mu do oczu. Przełknął je, otrząsnął się, a na widok zdziwionej i – widział to wyraźnie! – jednocześnie radosnej miny Stefanii podszedł do niej, położył kwiatki na kołdrze, pochylił się, uśmiechnął lekko i zdołał tylko powiedzieć:

– Dzień dobry, przyjechałem sprawdzić, jak się czuje moja narzeczona.

* * *

TELEGRAM

Przyjęto: Urząd Warszawa C, dnia 15 września 1933 roku, godzina

18.30

Hotel Terminus
Sz.P. Feliks Szewczyński

Eleonora urodziła córkę. Za wcześnie, ale z dzieckiem wszystko w porządku, leży z ciepłą butelką. Ma na imię Eliza.

Przekazano: Urząd Pleszew, dnia 15 września, nadawca Henryka Szewczyńska

* * *

Taksówka powoli przemierzała ulice otulonej wieczorną poświatą Warszawy. Po popołudniowym deszczu miasto zdawało się lśnić jesienną wilgocią.

Światła elektrycznych lamp odbijały się od asfaltu i kocich łbów, lizały okna taksówki, w której siedział Feliks z Heleną. Szewczyński błogosławił swoją wcześniejszą decyzję, żeby tego dnia nie jechać do instytutu samochodem rodziców.

Nie byłby w stanie teraz prowadzić.

Popatrzył na Helenę siedzącą w drugim końcu kanapy. Oczy miała półprzymknięte i nadal była nieco blada. Na wspomnienie momentu, w którym dziewczyna osunęła się na miękkiego dywan w gabinecie profesora Łukaszczyka, jeszcze teraz chwycił go ból w okolicy serca. Jak mógł dopuścić do tego, że przez ostatnich kilka dni prawie w ogóle nie jadła! Miał się nią przecież zajmować! Na szczęście było to tylko wyczerpanie i brak solidnego posiłku. Helena szybko doszła do siebie – szklanka wody i położenie na kanapie przy otwartych oknach pomogły niemal natychmiast.

Po raz kolejny przed oczami stanął mu moment, kiedy pielęgniarka profesora zawołała go na konsylium i kiedy zobaczył na negatoskopie szaro-białe zdjęcie płuc Stefanii zrobione aparatem rentgena. W uszach

miał słowa profesora Łukaszczyka, który odwrócił się do niego, nie przestając wodzić wskaźnikiem po zdjęciu.

– Proszę zobaczyć, to są liczne zmiany ziarninowe, niecharakterystyczne dla gruźlicy, a już tym bardziej dla raka.

– W takim razie co to jest? – Feliks podszedł do obu panów, patrząc cały czas na zdjęcie.

Był jednocześnie wystraszony i podekscytowany, że może uczestniczyć w konsylium tak znakomitych lekarzy. Patrzył na negatoskop, ale obraz niewiele mu mówił – zajęcia z diagnostyki radiologicznej miał na studiach pierwszego stopnia w bardzo okrojonym zakresie.

– Ponad wszelką wątpliwość mogę stwierdzić, że jest to choroba odkryta stosunkowo niedawno przez badacza Schaumanna^[126], która ma znamiona gruźlicy, ale nią nie jest.

Feliks patrzył przez chwilę na zdjęcie, potem na profesora Łukaszczyka i Laskowskiego. Nigdy nie słyszał o takim schorzeniu.

– Co to oznacza dla Stefanii Niemyjskiej?

– Życie – odpowiedział krótko Łukaszczyk i poszedł do swojego biurka, przy którym leżało anglojęzyczne pismo lekarskie. – Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa choroba za jakiś czas cofnie się samoistnie. Tylko w rzadkich wypadkach rozwija się w postać ciężką, ale na zdjęciu płuc pani Niemyjskiej nie widzimy przesłanek, by tak się stało.

Feliks milczał przez chwilę, stojąc i patrząc na skupionego Łukaszczyka.

– To znaczy...

– To znaczy, panie doktorze, że pani Niemyjska zostanie jutro wypisana do domu, a jedynymi zaleceniami będą zdrowa dieta, ruch oraz obecność bliskich osób. – Podszedł do Szewczyńskiego, objął go i potrząsnął po przyjacielsku, uśmiechając się krzepiąco, po czym odwrócił się do stojącej

w drzwiach pielęgniarki. – Proszę wezwać do mnie pacjentkę wraz z opiekunką.

Feliks do końca życia nie zapomni wystraszonej twarzy Heleny i bladej Stefanii, które wchodziły do gabinetu, oraz poruszonego Eugeniusza, którego pielęgniarka musiała wyprosić niemal siłą.

Dopiero w taksówce poczuł, jak bardzo jest zmęczony i jak lekko się czuje, jak gdyby ktoś zdjął mu z serca stukilowy kamień. Wracali teraz sami, gdyż Eugeniusz uparł się, że nigdzie nie jedzie, zresztą nie miał nawet zarezerwowanego pokoju hotelowego, a na sugestię Feliksa, że przecież zarezerwuje mu cokolwiek, wszak to tylko jedna noc, ten stanowczo odmówił. Profesor Łukaszczyk zgodził się, by Eugeniusz w drodze wyjątku został ze Stefanią, prosząc jednocześnie, by nie kręcił się po szpitalu.

– Bo wtedy, proszę pana, ja będę miał problem, nie pan. – Uśmiechnął się, mrugając do niego porozumiewawczo.

Taksówka dojechała na Chmielną, a Feliks z Heleną, ledwo powłócząc nogami, weszli do recepcji. Tam czekał ich kolejny szok – telegram od matki Feliksa, która poinformowała ich o narodzinach córeczki Leosi.

– Co jeszcze?! I skąd moja matka o tym wie? Gdyby Stefania dowiedziała się o tym teraz, jestem przekonany, że wróciłyby do Pleszewa bodaj natychmiast, w koszuli nocnej.

Feliks trzymał wymięty kawałek papieru i patrzył a to na telegram, a to na Helenę, oczyma duszy ujrzał zaś Niemyjską gnającą przez błotniste drogi Polski w białej koszuli i z rozłożonymi rękami, jak zwykle gotową, by nieść pomoc. Wybuchł histerycznym śmiechem.

– Heleno, to za dużo na dziś. Ja po prostu muszę się napić wina, a ty musisz zjeść porządną kolację i nawet nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu!

Skierowali się za recepcję, gdzie mieściła się mała restauracja. W pomieszczeniu panował lekki półmrok rozświetlony punktowo

niedużymi lampkami, ustawionymi na każdym stoliku. Z kąta lokalu rozniósł się dźwięk muzyki jazzowej granej na żywo na fortepianie, a dwóch kelnerów w liberii uwijało się, obsługując licznych gości.

Feliks znalazł przytulny stolik tuż przy oknie. Zamówił karafkę dobrego wina i dwie zupy rakowe oraz kotlety cieleące.

– Tylko proszę wszystko zjeść, Helenko, ja ciebie dzisiaj zapraszam. – Uśmiechnął się do dziewczyny, widząc, jaka jest skonsternowana podczas oglądania karty dań z zawrotnymi jak na pleszewskie realia cenami.

Kelner szybko przyniósł posiłek i przez chwilę nie mówili nic, jedząc z przyjemnością.

– Dopiero teraz czuję, jak bardzo byłam głodna. – Helena odsunęła talerz po zupie. – Dziękuję ci, Feliksie, to było naprawdę niezwykle smaczne.

– Cóż, nie ja gotowałem. – Zaśmiał się i podniósł kieliszek z czerwonym winem.

Słabe światło stołowej lampki rzucało refleksy na dziewczynę, rozmiękczać kontury i potęgować uczucie intymności. Wyborne wino, pełen żołądek i pomyślna diagnoza Stefanii wprawiły Feliksa w poczucie, że wraz z tym stolikiem i ukochaną dziewczyną odpływa gdzieś daleko, do miejsca, w którym nie był od miesięcy. Czuł się jak w narkotycznej wizji, a jednak nie potrafił porozmawiać z nią o rzeczach najbliższych sercu. Wpatrywał się w jej dłonie, na których nie widział pierścionka, i czekał, kiedy wreszcie zdobędzie się na odwagę, by z nią o tym porozmawiać.

– Tam wtedy, u Rembiasza – zaczął, zastanawiając się, co ma dalej powiedzieć.

– Tak, u Rembiasza było niezręcznie – odpowiedziała szybko Helena.

Na policzkach miała mocne rumieńce spotęgowane zapewne kieliszkiem wina i ciepłem panującym w restauracji.

– Zaiste, było dziwnie. – Feliks odstawił kieliszek i położył ręce na stoliku.

Tak bardzo chciał chwycić jej małe dłonie, a miał wrażenie, że jakiś niewidzialny mur nie pozwalała mu przesunąć rąk nawet o centymetr. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, popijając wino i kończąc posiłek. Milczenie przerwała Helena.

– Co słyhać u panny Lucyny? – Pytanie o Lusię, ostatnią osobę, o której myślałby w tym momencie, zbiło go z pantałyku.

– U Lucyny? Chyba dobrze, nie mam zresztą pojęcia. – Zdjął dłonie ze stołu i ścisnął je między nogami. – Heleno, jeśli myślisz, że ja... i panna Lusia, że my jesteśmy razem, to się mylisz.

– Naprawdę? Cała kamienica o tym trąbiła. – Helena uśmiechnęła się tajemniczo, a Feliks nie mógł widzieć, że serce podskoczyło jej niemal do gardła.

– Ech, ludzkie gadanie, zupełnie nie wiem, kto takie plotki rozsiewał. Tokarska pewnie. – Popatrzył w okno na przechodniów. U nich w Pleszewie o tej porze miasto jest niemal puste. No, chyba że w Victorii albo u Gellerta.

– Sama was przecież widziałam właśnie u Rembiasza – ciągnęła Helena, nadal uśmiechając się tajemniczo i wodząc palcem po rancie kieliszka.

– A ja widziałem ciebie z Józkiem. I nie tylko u Rembiasza, ale i na podwórku. Pani Kałużowa tyle mówiła o waszym narzeczeństwie!

– A co, to moja babcia chodziła z Józkiem? Przecież to nie jej życie, ale moje! – Kałużówna ścisnęła brwi, lekko zezłoszczona.

– Twoje, ale babcia jest bliską ci osobą – odpowiedział przekornie.

– Ale nie siedzi w mojej głowie i to, co jej się wydaje, że jest dla mnie dobre, to nie jest dobre dla mnie, chociaż może w jednym ma rację...

– Niby w czym? – Feliks upił resztę wina i ponownie położył ręce na stół.

– Że... że jestem wnuczką prasowaczki – odpowiedziała bardzo cicho.

– I co z tego? – Oparł się na krzesło, szczerze zaskoczony. – To wyłącznie stwierdzenie faktu, nic odkrywczego.

– Ale sporo się za tym kryje. – Helena westchnęła, patrząc przez chwilę, tak jak Feliks, w okno restauracyjne. – Chciałabym już się położyć, jestem wyczerpana. I ty też, Feliksie, musisz się położyć, jutro znów czeka nas podróż.

– Owszem, tak. – Nie pokazał po sobie, jak bardzo jest zły, przede wszystkim na siebie.

Dlaczego to takie trudne?! Dlaczego potrafił rozwiązywać zagadki medyczne, stawiać trafne diagnozy i bez ogródek rozmawiać z pacjentami o wszystkim, a o sobie i własnych rozterkach nie potrafi? W dodatku z osobą, którą znał od lat!

Zapłacił kelnerowi i wolnym krokiem przeszli w kierunku pokoi. Przed drzwiami pożegnali się szybko i formalnie, choć niezwykle grzecznie.

Feliks wszedł do pokoju i przez chwilę chodził od okna do drzwi, myśląc intensywnie. Wnuczka prasowaczki? A co to niby ma znaczyć?! Położył się na łóżku całkowicie ubrany i leżąc, tępo patrzył w sufit. Ogrom myśli i emocji zalewał go do tego stopnia, że nawet nie potrafił mrugać. Dzisiejszy stres związany z diagnozą, zdjęcie rentgena, z którego tyle można było wyczytać, istny cud techniki, wyrozumiałe spojrzenie profesora Łukaszczyka. Zdenerwowany Eugeniusz, szczęśliwa na jego widok Stefania i wreszcie mdlejąca Helena, która wystraszyła go bodaj bardziej niż chora Niemyjska – za dużo było tego naraz.

Nagle poderwał się niczym sprężyna, wyszedł z pokoju i zapukał do pokoju Heleny.

Otworzyła mu w nocnym stroju, owinięta tylko cienkim hotelowym szlafrokiem.

– Heleno, ja ci coś powiem i ja to muszę powiedzieć teraz. – Nieproszony wszedł do jej pokoju.

Zamknął drzwi i popchnął ją delikatnie w stronę wnętrza. Usiadła na małym szezlongu, owijając się mocniej szlafrokiem, ale i tak mógł dostrzec zarys jej głębokiego dekoltu oraz fragment gołej łydki.

– Zrezygnowałem z pracy w Kasie Chorych, ponieważ za dwa tygodnie rozpoczynam asystenturę w Poznaniu – zaczął, a Helena słuchała uważnie.

Położyła ręce na podolku i splótła palce.

– Ale teraz jestem tylko prostym lekarzem i chociaż brak mi ogłady w kwestiach towarzyskich, bo przez ostatnich pięć lat siedziałem tylko w książkach, a w zasadzie siedziałem w nich całe swoje życie, to wiem z całą pewnością, że kocham cię jak szalony, nie dbam o konwenanse i jedyne, o czym teraz marzę, to żebyś została moją żoną. Chciałem ci to powiedzieć już pierwszego dnia, kiedy zobaczyłem cię na dziedzińcu, jak biegłaś na chór w sukience w groszki, ale potem zobaczyłem tego sympatycznego Biadałę, a honor nie pozwala mi wchodzić innym w drogę. Jednak teraz, w tym momencie, skoro już wiem... – Zawiesił na chwilę głos, łamiąc palce i szukając odpowiednich zwrotów. – Nie mogę dać ci wiele, ponieważ pensja asystenta nie jest duża, ale mogę ci obiecać, że będę kochał cię do końca życia i zrobię wszystko, byś była szczęśliwa. Czy to w Poznaniu, czy w Pleszewie, czy gdziekolwiek, gdzie życie by nas zaniósło. A to, że jesteś wnuczką prasowaczki, obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Aha, i nie mam przy sobie żadnego pierścionka, ale obiecuję, że to nadrobię.

Helena siedziała nieruchomo. Nie uśmiechała się i podobnie jak wtedy, gdy opowiadała o Stefanii, ścisnęła obie dłonie aż do białości.

– Feliksie...

Dłużej już nie mógł wytrzymać. Podeszedł do dziewczyny i po chwili szlafrok i koszula nocna leżały porzucone na podłodze, a on po raz pierwszy i niezdarnie całował jej twarz, chwilę później zaś każdy fragment ciała i miał wrażenie, że cały świat odsuwa się od nich i są tylko oni, orbitujący gdzieś na własnej planecie. Upajając się nią w całej rozciągłości, chciał, by ta chwila trwała wiecznie.

– Feliksie... – Leżeli nadzy i spoceni w wymiętej pościeli niedużego i skromnego hoteliku Terminus, przytuleni do siebie tak mocno, że czuł na swoim ciele każdą jej krągłość, każdą kostkę i słyszał szybkie i miarowe bicie serca.

– Słucham?

– Ja ciebie też.

* * *

– Ale rozumieją państwo, że jest to statystycznie niemożliwe, taki splot okoliczności, że cztery osoby się spotykają i razem wracają jako pary, i to osoby przybyłe z jednego miejsca! – Feliks śmiał się w głos, próbując utrzymać w koleinach skaczący na prawo i lewo samochód.

Dojeżdżali już do Pleszewa, a że droga z szosy konińsko-kaliskiej do ich miasta prowadziła przez wioski, trzeba było jechać przez błota spotęgowane ostatnimi deszczami. Feliks wyobraził sobie, jak teraz musi wyglądać samochód, i na samą myśl o minie ojca zaśmiał się w duchu. Zapewne przez tydzień auto będzie stać w warsztacie Foltyńskiego, aż całkowicie je wypucują!

– Właśnie, drogi Feliksie, to jest statystyka, która zakłada również skrajności oraz wyjątki – odpowiedziała Stefania, która siedziała z tyłu, za Heleną.

Obok niej zajmował miejsce Eugeniusz, który od czasu do czasu wtrącał się do rozmowy. Był oszołomiony dwudniową eskapadą. Przez większość czasu patrzył na Niemyjską, nucił pod nosem i grał na wyimaginowanym pianinie na własnych kolanach.

Helena siedziała z przodu na miejscu pasażera. Ona również była zmęczona, ale nie odczuwała tego zupełnie. Wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że późnowrzesniowy świat, deszczowy i ciemny, z nisko wiszącymi chmurami, pustymi rzyskami po żniwach i zmokłymi ptakami siedzącymi smętnie na drzewach, z których spadały już pierwsze liście, jest najpiękniejszym światem, jaki dotąd widziała.

– Ja tylko jestem ciekawa, co u Leosi i jej córeczki, bardzo się niepokoję. – Stefania przekierowała dyskusję na inne tory.

Dla niej rozmów o niej samej było zdecydowanie zbyt dużo w ostatnich tygodniach.

– Ciociu, mówiłaś coś ostatnio, że zamierzasz zająć się wyłącznie sobą. – Helena odwróciła się do opiekunki.

– Och, człowiek nie takie rzeczy mówi w afekcie! Ileż można zajmować się sobą? – Roześmiała się, klepiąc dziewczynę po ramieniu.

– Ciociu, nawet nie wiesz, jak ja się cieszę, żeś w końcu zauważyła pana Eugeniusza, mówiłam ci...

– Dobrze, już dobrze, co mówiłaś, to mówiłaś i co ja mówiłam, to mówiłam, ale już nie mówię. – Niemyjska zrobiła groźną minę, ale oczy jej się śmiały.

– Dojeżdżamy do Pleszewa – oznajmił Szewczyński, naciskając mocniej pedał gazu.

Przynajmniej w mieście droga była wyasfaltowana i dało się poczuć możliwości samochodu.

Minęli ulicę Kaliską, przejechali rynek, o tej porze już opustoszały, i wjechali w ulicę Piłsudskiego. Stefanię ścisnęło za gardło na widok kamienicy. Wszak kilka dni temu, kiedy stamtąd wyjeżdżała, miała poczucie, że jedzie po wyrok, żeby wrócić i powiedzieć Fridmanowi, by jej wybaczył i został z nią w ostatnich dniach jej życia. Tymczasem wraca zdrowa – no, może nie zdrowa, ale z perspektywami na wyzdrowienie – z Eugeniuszem u boku i wizją zupełnie innego życia, niż wiodła dotąd. Jak to się mogło stać?!

Przed karczmą Gellerta widać było niewielki ruch, ale sklep kolonialny był już zamknięty i całe szczęście – ostatnią osobą, którą Niemyjska miałaby ochotę spotkać, była pani Tokarska. Lisiak zamiatał chodnik przed bramą, co wydawało się zajęciem bezcelowym, ponieważ co chwila zrywała się niewielka ulewa. Ale Lisiak to Lisiak, niech sobie zamiata.

Feliks zatrzymał się przed bramą i oznajmił wszystkim, że mają wejść prosto do mieszkania Szewczyńskich. Mama zaprasza na herbatę po podróży, a on z ojcem zajmie się bagażami. Rozmawiał z nią przed wyjazdem z Warszawy, chciał ją przygotować na nowiny, sądząc, że będzie zdziwiona. Ale mama jak to mama, zachowała się jak zwykle z dystansem, jakby dokładnie znała scenariusz jego życia uczuciowego. Była podekscytowana głównie Stefanią i jej dającą nadzieję diagnozą.

Drzwi otworzyła im Pelagia.

– Jezusie Maryjo, Józefie Święty, są, są, szanowna pani Henryko, jest nasz Feluś i naszo pani Stefania, i naszo Helenka i nawet pan Fridman jest! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Witajcie! – W korytarzu pojawiła się Henryka, a za nią stali Leon i Adela Kałużowa, która ocierała łzy rąbkiem swojego codziennego fartucha.

Wiktor Szewczyński stał nieco z boku i z zainteresowaniem spoglądał a to na brata, a to na Helenę. Taka draka, jego brachol, który tylko w książkach siedział, przyprowadził narzeczoną, i to kogo?! Hełę spod piątki!

Helena rzuciła się w objęcia Adeli i przez chwilę stały mocno przytulone, babcia i wnuczka, nic nie mówiąc. Każda w tym uścisku wyraziła to, co chciała przekazać drugiej. Podobnie zrobiła Henryka z Feliksem, Leon natomiast podszedł do syna i poklepał go po plecach.

– Synu, pozwól, że złożę ci gratulacje. Rozmawiałem z mamą, która wszystko mi opowiedziała. – Uśmiechał się do pierworodnego, nie przestając go klepać.

Stefania i Eugeniusz stali nieco na uboczu, zadowoleni, że chwilowo nie są w centrum uwagi. Fridman czuł się wręcz onieśmielony tak serdecznym przyjęciem, chociaż wiedział, że jest ono na cześć młodych. Poza tym po raz pierwszy gościł w domu państwa Szewczyńskich.

Uściski i uprzejmości trwały chwilę, po której towarzystwo przeszło do salonu, z którego widać było stół jadalniany, suto zastawiony i ozdobiony. Najwyraźniej Henryka zaplanowała coś więcej niż herbatę.

– Henryko, wybaczone, zapytam od razu, skąd wiesz o Leosi i co u niej? – Stefania usiadła na kanapie, a przy niej Eugeniusz.

Szewczyńska siedziała w fotelu naprzeciw i nadal nie mogła uwierzyć w szczęście przyjaciółki. Przypomniła sobie, jak przed laty Niemyjska płakała w tym samym salonie, sponiewierana uczuciowo przez Millera. Jak to losy człowieka potrafią się czasem odmienić!

– Zanim powiem ci o Leosi, pragnę jeszcze dodać, że poinformowałam Aleksandra o twoim powrocie do zdrowia. I bardzo dobrze, bo biedaczek siedział przy telefonie dzień i noc, nawet gospodyni Zosia bardzo się o niego martwiła. – Henryka wyrozumiale uśmiechnęła się do przyjaciółki.

Wiedziała, że Stefania w porywie serca chciałaby biec i wszystkich powiadamiać, żeby się nie martwili, a przecież teraz musi przede wszystkim odpoczywać.

– Natomiast co do Leosi, wiem wszystko od hrabiego Żychlińskiego, właściciela majątku Twardów, a tak naprawdę od jego żony – wyjaśniła. – Zatelefonowałam do niej w zupełnie innej sprawie, w interesach, a że wiem, iż w tym majątku mieszkają Trzaskówny, wszak sama to dla nich organizowałam, zapytałam o zdrowie Eleonory. Powiedziała mi, że ta dopiero co powiła córkę.

– Dziękuję ci bardzo, żeś się zainteresowała, natychmiast jutro tam pojedę. – W Stefanii obudził się jak zwykle duch społecznika i działacza.

Najchętniej pojechałaby natychmiast, wiedziała jednak, że nikt z tutaj zgromadzonych jej na to nie pozwoli. Było to dla niej zupełnie nowe uczucie, do którego musiała przywyknąć. Wszak przez ponad czterdzieści lat życia – może z wyłączeniem dzieciństwa – sama sobie była sterem, żeglarzem i okrętem.

– Nie frasuj się, droga Stefanio, nie ma takiej potrzeby, sama u niej byłam wczoraj. – W tym momencie Henryka odwróciła się, bo Pelagia podeszła do niej, żeby usłyszeć dyspozycje.

Chwilę porozmawiały po cichu, po czym Szewczyńska znów zwróciła się do Niemyjskiej.

– Leosia faktycznie urodziła przedwcześnie, baby we wsi powiedziały Rózi, by położyć dziecko w pierzu, bo takie małe i delikatne, ale wiadomo, że to nie do końca jest zdrowe. Poleciałam zatem, by do kosza, w którym leżało, włożyć ciepłą butelkę, takie maleństwo ma przecież problem z utrzymaniem temperatury.

– Brawo, mamó, skąd u ciebie znajomość położnictwa? – odezwał się Feliks, który siedział na drugiej kanapie.

Cały czas trzymał dłoń Heleny i patrzył na swoją wybrankę ciełym wzrokiem ku ucieście młodszego brata, który nigdy nie widział Feliksa w takim stanie.

– Wybacz, synu, ale pozwoliłam sobie wejść do twojego pokoju i po prostu sięgnęłam po podręcznik o położnictwie i pielęgnacji noworodka – zwróciła się do niego jak zwykle z lekkim uśmiechem na ustach. – Zawieźliśmy z Leonem, co najpotrzebniejsze dla dziecka. Rózia ma się zwrócić do fundacji „Kropla Mleka”, która działa w Jarocinie. Niech Leosia się doksztalci, jak zająć się dzieckiem w tych pierwszych dniach. Byliśmy również w sierocińcu, by porozmawiać z przełożoną, ale niestety nikt nie zgłasza się z zamiarem adopcji. – Westchnęła z rezygnacją.

– I to może być największy problem – wtrącił Leon, a widząc zafrasowane miny kobiet, zmienił temat. – Proszę państwa, z perspektywy seniora i głowy rodziny chciałem powiedzieć, że jestem niezwykle rad, iż mój syn przyprowadził do domu swoją wybrankę. Jednocześnie muszę przyznać się do czegoś nie do końca dla mnie miłego.

Zgromadzeni spojrzeli bacznie na Leona, zastanawiając się, co takiego może powiedzieć pan Szewczyński, człowiek uczynny i spokojny, choć swoich interesów pilnujący twardą ręką, a nadto dość wycofany w kontaktach towarzyskich.

– Otóż, kiedy wróciłem po kilkuletniej tułaczce wojennej i osiadłem z powrotem tutaj, w Pleszewie, u boku mej pięknej żony, bez której interesy rozsypałyby się w drobny mak, miałem ugruntowaną wizję życia moich synów. Była to wizja życia wielkomiejskiego, a w kwestii matrymonialnej połączenia dużych mieszczańskich rodów.

Henryka zaczęła oponować, kręcąc stanowczo głową.

– Mój drogi, nie przesadzaj, nigdy tego nie mówiłeś...

– Owszem, ale myślałem, a tyś mnie sprowadziła na ziemię – przerwał żonie i zwrócił się do wszystkich zebranych. – Krótko mówiąc, trochę czasu zajęło mi, by przemyśleć sobie sytuację mojego syna, i teraz wiem, że kiedy mówię mu, iż będę go wspierać w każdej decyzji, nie jest to pustosłowie, tylko szczerą prawdą.

Podszedł do oszołomionego Feliksa i nie mniej oszołomionej Heleny, stanął przed nią i chwycił jej dłoń.

– Pozwól, synu, że powitam twoją narzeczoną w naszych progach.

Ucałował jej rękę i przez chwilę atmosfera w pokoju zrobiła się podniosła i uroczysta. Ciszę przerywało tylko chlipanie Adeli.

– Jeśli państwo pozwolą, coś nasunęło mi się na myśl – do rozmowy wtrącił się dotąd milczący Eugeniusz.

– Taak? – usłyszał chór gości, przy czym każdy swoje powiedział w innym momencie, a całość stworzyła zabawną kakofonię.

– Od początku lubiłem tutaj mieszkać, a życie na dodatek przyniosło mi niespodziewane szczęście. – Popatrzył na Stefanię i uścisnął jej dłoń. – Od początku darzyłem sympatią wielką moją śliczną sąsiadkę z naprzeciwka i jej dobrze życzyłem, choć oczywiście nie byłem wtajemniczony w jej życie uczuciowe. – Puścił oko do Heleny, a ta zbladła, przypominając sobie moment, kiedy Fridman widział ją półnagą w towarzystwie zbiegającego po schodach Biadały. – Dlatego pozwólcie, że zanucę wam piosenkę, która zdaje mi się bardzo stosowna do tej chwili, a którą napisał poeta, autor tekstów, którego miałem przyjemność poznać podczas występu kabaretu Qui Pro Quo^[127].

Fridman podniósł się, stanął koło okna i jedną rękę położył na piersi, a drugą skierował ku Helenie i Feliksowi.

Powróćmy jak za dawnych lat

*W zaklęty bajek świat
Miłością swoją w piękną baśń
Me życie zmień
I w bajce to nie będzie cud
Że księcia los z Kopciuszkiem splótł
Że nagle jakiś dobry duch
Obudził miłość w sercach dwóch*

– Panie Fridman, pan już nie śpiewo tego, bo się smutno zrobiło i ja się zapłaczę. – Śpiew Fridmana przerwała nagle Adela, która miała całe czerwone oczy, a róg fartucha mokry od łez.

– Babciu, ale to piękne jest – zaproponowała Helena, patrząc na śpiewającego Eugeniusza, jakby go widziała po raz pierwszy.

– Coś w tym jest. – Stefania zaśmiała się, machając na Fridmana, by ten powrócił na miejsce koło niej, co o choczko uczynił. – Dziś, proszę państwa, śmiejmy się, a na wzruszenia przyjdzie jeszcze czas!

– Zgadzam się, poza tym chciałabym zaprosić was do stołu, Pelagia podała wyśmienity rosół. – Henryka wstała i szerokim gestem zaprosiła wszystkich do jadalni.

[120] Stół stolarski.

[121] Nie do zastąpienia, rewelacyjny .

[122] Piła.

[123] Wstyd.

[124] Bać się.

[125] Człowiek niewiele wart.

[126] Do lat sześćdziesiątych nazywana chorobą Besniera-Boeckea-Schaumanna od nazwisk badaczy, którzy ją odkryli. Dzisiaj określana jako sarkoidoza.

[127] Chodzi o Jerzego Jurandota, poetę, dramaturga i autora tekstów oraz przebojów przedwojennego kina. Utwór *Jak za dawnych lat* powstał wcześniej, ale publiczność poznała go szerzej za pośrednictwem filmu *Manewry miłosne* w 1935 roku, w którym wykonał go aktor Aleksander Żabczyński.

Epilog

Potańcówka dla sąsiadów z okazji rychłego wesela Gieni Białas była przygotowana z rozmachem, mimo że wesele miało się odbyć dopiero za kilka dni, i to nie na Piłsudskiego 10, ale w oddalonej o siedem kilometrów od Pleszewa wiosce Dobra Nadzieja.

Mama Gieni, Stasia Białasowa, w obawie przed wczesnojesiennymi deszczami zamówiła zawczasu u Grajów drewniane paliki oraz deski z odpadów, które jej mąż Czesio z synem Bolkiem pozbijali w całkiem zgrabne altanki. Josif pożyczył ze swojego składzika stare stoły, które Gienia przykryła nieużywanymi prześcieradłami i ozdobiła bukietami pomarańczowych nagietków posadzanych w butelki po bimbrze. Żeby dodatkowo zadać szyku, zakupiła również kilkadziesiąt arkuszy kolorowej bibuły i pocięła ją w paseczki, które przykleiła do kilkumetrowej dratwy i tą prowizoryczną girlandą oplotła całe podwórko, łącznie z częścią, w której zamknięte były świnie i kury.

Zabawę zaplanowano na ostatnią sobotę września i wszyscy mieszkańcy – nawet państwo Szewczyńscy – obiecali, że się zjawią, toteż Białasowie dwoili się i troili, żeby na stołach nie zabrakło kiełbasy, galartu^[128] i dobrej wódki. Narzeczony Gieni, Kazio Paszkowiak, wykosztował się również na kapelę złożoną z członków pleszewskiej orkiestry.

Podwórko przy Piłsudskiego 10 wyglądało niczym sala balowa i Gienia była niezmiernie zadowolona z efektu. Skoro już ma się wyprowadzać z miejsca, w którym spędziła ponad dwadzieścia lat, to z fasonem!

– Ino popatrz, Kałużowa, już kolejne maludy idą w świat, a my tu w miejscu siedzimy na tym naszym podwórku, jak jakie psy w budzie – filozoficznie skonstatowała Tokarska.

Siedziała za stołem obok ulubionej sąsiadki i nieustannie kiwała głową w geście podziwu oraz aprobaty.

– Jo ta nawet myśleć nie chcę ło tym, moja Hela w świat z młodym panem Szewczyńskim idzie, robotę u Grolewskiego rzuco, kolejna ode mnie bydzie w dużym mieście, ech. – Ukradkiem otarła oczy fartuchem, ale tak, żeby Tokarskiej przypadkiem nie umknęło, jak jest wzruszona i nieszczęśliwa.

Jednak nawet Tokarska się domyśliła, że Adelę rozpierało szczęście. Dopiero teraz, po kilku dniach, odkąd Hela z Feliksem stanęli w drzwiach Szewczyńskich, trzymając się za ręce, do Kałużowej powoli docierało, że jej ukochana wnuczka, którą wychowała i z którą mieszkała ponad dwadzieścia lat pod jednym dachem, wychodzi za mąż i wyprowadza się, jak niegdyś Jadźka, do Poznania, bo młody pan Szewczyński na jeszcze ważniejszego doktora bydzie się uczył.

– No to tera, Kałużowa, ty to bydziesz niezła pani, do państwa Szewczyńskich pójdziesz?

– A idź ta, co ty godosz, ja się nie ruszom ze swojego fyrtila^[129].

Kapela pogrywała pierwsze skoczne melodie, przy stole siedzieli cała rodzina Białasów oraz Kazio Paszkowiak z rodzicami. Tokarska wraz z Tereską wystroiły się w niedzielne sukienki i teraz również siedziały za stołem, podjadając smaczny galart. Nawet Gellertowie zamknęli wcześniej

wyszynk, a Josif przyniósł kilka dodatkowych butelek oprócz tych, które zakupił stary Czesio Białas.

– Wielkie mi aj waj, to jest tsu gezunt^[130], kochany panie Białas, jedną córkę pan ma, to i jedno wesele będzie, mit Gott's hilf^[131], no to co my mamy, panie Białas, sobie żałować? – tłumaczył zaskoczonemu sąsiadowi.

Na zabawie zabrakło jedynie Ryfki, która musiała wrócić do Poznania na rozpoczęcie roku akademickiego. Za to Dawid Gellert przyprowadził swoją narzeczoną, Petronelę Janiakównę, córkę znanego budowniczego z Pleszewa. Po wychyleniu kilku kieliszków opowiadał wszystkim, łącznie z Szewczyńskimi, o swoich rozległych planach założenia spółdzielni mieszkaniowej i budowy mieszkań, bo to, „proszę państwa, tate nie rozumie, że teraz to tylko w mieszkaniówkę trzeba iść, a nie gastronomię czy jakiś tam handel”.

Przy okazji Dawid co rusz ukradkiem spoglądał na Hełę, czy ona słyszy, jaki on zaradny, czy widzi, jak świetnie tańczy i jaką ma fest narzeczoną. W głowie mu się nie mieściło, że Kałużówna wybrała sobie Feliksa, który niegdyś słabo grał w klipy, biegał najwolniej ze wszystkich chłopaków z podwórka i któremu matka na nic nie pozwalała.

„Pewnie przez to, że ma bejmów sporo”, tłumaczył sobie i to podnosiło go na duchu.

Helena i Feliks również pojawili się na potańcówce i nawet zatańczyli kilka razy. Henryka na widok niezdarnych ruchów syna stwierdziła, że Feliks zdecydowanie musi się podszkolić, żeby z fasonem zatańczyć walca na własnym weselu. Młodzi jednak szybko wymknęli się z zabawy i poszli gdzieś na spacer, ale nikt tego nie zauważył, bo wszyscy byli zajęci wyłącznie sobą.

Stefania i Eugeniusz siedzieli w rogu stołu pod czujnym okiem Tokarskiej, którą aż język świerzbił, żeby cokolwiek skomentować. Na

szczęście Kałużowa mitygowała sąsiadkę.

– Idź ta, nie lotej, szczęśliwi są, to co ci do tego?! – Klepała ją po ramieniu za każdym razem, gdy ta chciała coś powiedzieć.

– Jo ci mówię, on jakiś numer wywinie, to hadzaj jest przycież! – oponowała Tokarska.

– Przecie nie z tobą chce się żenić. Zocha, dej spokój i cicho być!

Jednak wbrew obawom Tokarskiej o stan trzeźwości Eugeniusza ten nie wychylił z towarzystwem ani kieliszka. Siedział przy Stefanii, popijając herbatę i zastanawiając się, jakim dziwnym zbiegiem życiowych okoliczności znalazł się tutaj, na małym podwórku prowincjonalnego miasteczka w Wielkopolsce. Przecież jeszcze kilka lat temu grywał z najlepszymi artystami we Lwowie.

– Eugeniuszu. – Z toku myślenia wyrwała go Stefania, która pochyliła się nad nim, szepcząc.

Ta ostrożność była niepotrzebna, bo hałas był taki, że nawet gdyby do niego krzyknęła, nikt by jej tutaj nie słyszał.

– Słucham cię, pani mojego serca? – Odwrócił się do niej i popatrzył na jej drobną, bladą twarz, na której malowała się jakaś determinacja.

– Posłuchaj mnie teraz, ale mi nie przerywaj, dopóki nie dokończę.

– O, ho, ho, zaczyna się poważnie.

– Bo jest poważne. Otóż, Eugeniuszu, żebyś nie pomyślał, że chcę cię wystraszyć czy coś... Ale ta myśl chodziła mi w głowie od dawna, tylko ta choroba przeklęta i potem tyle zdarzeń, nie miałam jak do niej wrócić.

Niemyjska trzymała szklanekę z herbatą w dłoniach, ogrzewając je, bo wieczór był dość chłodny i wilgotny, nawet w zamkniętym podwórku i pod prowizorycznym zadaszeniem.

– Otóż myślałam o tym, żebym to ja zaadoptowała córkę Leosi – wypaliła.

– Ty?! – Było to ostatnie, co Eugeniusz spodziewał się usłyszeć.

– Tak, ja. Zrozumiałam w kilku sytuacjach, że... brakuje mi jednak własnego dziecka, chociaż zrozumiałam to dopiero niedawno. I wiesz, ja nie wiem, czy mogę mieć jeszcze dzieci po tym wszystkim, co chorobowo przechodzę. I nawet nie myślałam o własnych, nie ten wiek.

– Nie przesadzaj, Stefanio kochana, jaki wiek? – Uśmiechnął się do niej.

– Już ja wiem jaki. I wiesz, nawet jeśli nie byłaby to adopcja na stałe, to przynajmniej przysposobienie, opieka na czas uzyskania pełnoletności Leosi. Rozmawiałam niegdyś na ten temat z Aleksandrem, są możliwości prawne, by to zorganizować. Leosia miałaby kontakt z córką, a ja... Ja chyba trochę tego potrzebuję. Dla siebie samej. Ale nie zrobię tego, jeśli ty się nie zgodzisz, wszak jesteś moim narzeczonym, chociaż pani Tokarska pewnie by padła jak nieżywa, gdyby się dowiedziała o naszych zaręczynach.

– O tak! – Eugeniusz zaśmiał się w głos.

Siedzieli przez dłuższą chwilę, nic nie mówiąc, pozornie zajęci oglądaniem Gieni i Kazia, którzy nie schodzili z parkietu, sztywno siedzących państwa Szewczyńskich, którzy najwyraźniej zbierali się już do domu, oraz rozbawionych rodzin przyszłych państwa młodych.

– A nie obawiasz się tego dziecka? To znaczy: nie wiadomo, kto jest jego ojcem, a może ta dziewczynka jakąś złą krew odziedziczyła?

– Eugeniuszu, gdybyśmy mieli tak myśleć, to z każdego dobrego człowieka rodziłby się drugi dobry człowiek, z geniusza – geniusz, z łotra zaś – łotr. A przecież tak nie jest. Kiedyś zapewne Leosia powie, kto jest ojcem jest dziecka, tymczasem ono po prostu potrzebuje opieki i miłości, dojrzałej miłości. Leosia musi się kształcić dalej i ja mogę jej w tym pomóc.

Eugeniusz odwrócił się do Stefanii i ujął jej drobne dłonie w swoje duże, mocne, choć smukłe ręce pianisty. Popatrzył na nią, uśmiechając się, choć twarz miał poważną.

– Wiesz co, Stefano, właściwie dlaczego nie? – powiedział po chwili. – Skoro mam już zapuścić gdzieś korzenie, dlaczegóż by nie w tak dziwnie posklejanej rodzinie?

– Tylko wiesz, Eugeniuszu, że to się wiąże z bałaganem, nieprzespanymi nocami i opieką nad niemowlęciem? – Spojrzała na niego nieśmiało, jakby jeszcze nie dowierzała, że to powiedział.

– Nie wiem, ale chętnie się dowiem. Poza tym zawsze mogę zostawić swoje mieszkanie jako pracownię oraz azyl i zapewne tak uczynię. Przecież nie przeniosę się do tych twoich stosów książek z pianinem. – Roześmiał się ponownie, uderzając ręką w stół. – Toś mnie, kochana, zaskoczyła, jeszcze tydzień temu nie spodziewałem się takiego obrotu spraw. Najpierw mi się oświadczasz, a teraz oznajmiasz, że bierzesz przysposobioną córkę, no, no! – Pokiwał głową w geście aprobaty.

– Pamiętasz moje oświadczenia i deklarację wówczas ci złożoną?

– Tego nie da się zapomnieć. – Nie przestawał się uśmiechać.

– Powiedziała ci wówczas, że coś razem wymyślimy na twoje kłopoty w pracy. Otóż teraz, kiedy władze Pleszewskiej Kolei Dojazdowej dowiedzą się, że nie tylko masz żonę, lecz także będziesz mieć przysposobioną córkę, nie dość, że cię nie zwolnią, to jeszcze zwiększą ci pobory!

Eugeniusz przestał się śmiać i przechylił głowę w geście udawanego zdziwienia.

– No popatrz, ty to jesteś łebska kobieta, oddała się ode mnie wizja bezrobocia!

– Owszem, a myślę nie tylko o tobie, kochany. – Stefania sięgnęła do niedużej torebki i wyciągnęła z niej list. – Kiedy byłam w szpitalu, przyszedł do mnie list od przyjaciółki, Ady Eckertowej, która zaproponowała mi współpracę przy nowo powstającym piśmie „Moja Przyjaciółka”. Podsunęłam tę posadę Helenie i zanim pojechaliśmy do szpitala, moja podopieczna napisała kilka tekstów pod moim okiem, a ja je wysłałam. – Schowała list z powrotem, nawet go nie otwierając, i zawiesiła na chwilę głos.

– Wygląda na to, że Helena mogła sobie utorować drogę do pisma, ponieważ wstępnie chcą, by prowadziła rubryczkę o muzyce rozrywkowej.

– Kochana moja, to wspaniale, będę jej służył pomocą, nawet na odległość pleszewsko-poznańską! – Odsunął się od stołu, wstał i wyciągnął przed siebie prawą rękę. – Jest piękny wrześnieowy wieczór i naprawdę nie musimy cały czas rozmawiać o tak poważnych sprawach.

Stefania patrzyła zaskoczona, a Eugeniusz skłonił się głęboko, nie zabierając wyciągniętej przed siebie ręki.

– Czy mógłbym prosić piękną panią do tańca?

Dziekanów Nowy 2022

[128] Nóżki w galarecie.

[129] Okolica, w tym kontekście mieszkanie.

[130] Na zdrowie.

[131] Z bożą pomocą.

Posłowie

W każdą sobotę, od samego rana, w moim rodzinnym domu odbywało się wielkie sprzątanie. Od tego rytuału nie było odstępstw, chyba że akurat trafił się wyjazd czy też przybyli goście z wizytą. Wówczas sprzątanie odbywało się już w piątek.

Odkąd sięgam pamięcią, wraz z moimi dwiema siostrami same sprzątałyśmy nasze pokoje. Znudzone ścierałyśmy kurze z kolejnych półek zapchanych zabawkami i książkami. Jakaż to była radość, gdy na ścierce pojawiła się warstewka kurzu, co było namacalnym dowodem na to, że machanie ścierką ma jakikolwiek sens! Tymczasem z pokoju rodziców dochodziła głośna krzątania, a w tle, z radiomagnetofonu marki Jola (a później Sanyo), snuła się muzyka.

Przez całe lata były to wyłącznie przeboje z lat trzydziestych.

Kolejna półka, kolejna zdjęta książka, szast-prast przejechane ścierką w takt *Ja się boję sama spać*, *Ta ostatnia niedziela*, *Umówiłem się z nią na dziewiątą* czy też *Powróćmy jak za dawnych lat*. I cały repertuar od nowa, aż pokój lśnił czystością i znów można było w nim bałaganić.

To sobotnie pucowanie na ogół i tak czystego mieszkania ze starą muzyką w tle zostało we mnie do dzisiaj. I chociaż organicznie nie znoszę sprzątania, dozgonnie pokochałam muzykę okresu międzywojnia.

Wraz z miłością do muzyki przysła fascynacja tamtym okresem, który poznałam z opowieści swoich Babć i Dziadków oraz imponującego zbioru starych fotografii, który po nich pozostał.

Kiedy usiadłam do pisania drugiego tomu, którego akcja toczy się właśnie w latach trzydziestych, miałam więc poczucie, że w porównaniu z pracą nad pierwszym będzie to bułka z masłem. Wszak tak dobrze znam ten okres, czytałam o nim wielokrotnie, a powstały współcześnie. Do tego w zanadrzu miałam już historie opowiedziane przez moją babcię Irenę, a przecież przy pierwszym tomie musiałam działać po omacku, domyślać się, łączyć kropki. Tutaj wszystko było podane niemal na tacy!

Jednak pisanie drugiego tomu okazało się znacznie trudniejsze.

Zbyt dużo emocji, zbyt dużo wrażeń, smaków i zapachów, które zostały po Dziadkach. Zbyt wiele kontrastujących ze sobą obrazów, które przez całe lata wdrukowałam sobie w głowę – z jednej strony bogata, lśniąca neonami, tętniąca rewiową muzyką i pełna eleganckich kobiet Warszawa, po której ulicach suną wypucowane na błysk auta. Z drugiej strony biedna Polska pogrążona w kryzysie gospodarczym, skłócona politycznie i zbliżająca się nieuchronnie do ciosu w postaci agresji niemieckiej, a później sowieckiej w 1939 roku.

Musiałam sobie to wszystko poukładać w głowie, dopasować wątki, odcedzić emocje od rzetelnej pracy. Dopiero później książka zaczęła nabierać coraz bardziej konkretnych kształtów.

Podobnie jak w pierwszym tomie, wiele zdarzeń jest prawdziwych. Historia warsztatu samochodowego Forda w Pleszewie, przeprowadzka wuja Romana do Gdyni czy też spotkania młodzieżowe na kąpielisku u Rembiasza – to wszystko fakty.

Również wiele postaci jest autentycznych, choć w większości są one drugoplanowe – profesor Lubieniecki, majster Foltyński, profesor

Laskiewicz, wreszcie profesor Łukaszczyk. Notabene, na podstawie życiorysu tego ostatniego można by było nagrać niezły film sensacyjny. Każda z tych osobistości zapisała się na kartach historii, zarówno tej mniejszej, lokalnej, jak i tej większej, krajowej.

Jedyna postać, która pojawia się w tym tomie i jest przeze mnie całkowicie wymyślona, to Eugeniusz Fridman, człowiek spajający w sobie wiele cech i mający wiele pierwowzorów. Eugeniusz „powstał” niejako przypadkiem. Siadając do pisania książki, nie planowałam, że ktoś taki się pojawi. Jednak kiedy dyrektor Zajeźdni Kultury, Przemysław Marciniak, podczas rozmowy na temat sagi zapytał: „Ciekawe, czy byłabyś w stanie wprowadzić do książki kogoś, kto pracuje na kolei, a jest niespełnionym muzykiem?”, musiałam podnieść rzuconą rękawicę. I tak powołałam do życia nowego mieszkańca Piłsudskiego 10, lwowskiego batiara i kolejarza w jednym.

Tak jak pierwszy tom był hołdem złożonym historii rodziny mojego Taty, tak drugi jest hołdem dla wszystkich wspomnień Babci Ireny oraz innych osób, które jeszcze ten okres mgliście pamiętają. Przede wszystkim zaś jest to hołd złożony moim własnym wyobrażeniom na temat tego niezwykle obiecującego i barwnego czasu, jakim był rozkwit Drugiej Rzeczypospolitej. Jest to również pokłon oddany ludziom, którzy swoje życie poświęcili medycynie, zwłaszcza w tak niesprzyjających czasach, kiedy o każde badanie, każdą diagnostykę było tak trudno.

Ponownie mam nadzieję, że udało mi się ocalić tę małą historię, która jak miliony innych składa się na tę wielką, podręcznikową i powszechnie znaną.

Dagmara Leszkowicz-Zaluska

Podziękowania

Elizie Wile za wspomnienia, które stały się inspiracją do wielu postaci i wydarzeń, Adamowi Staszakowi za konsultacje związane z historią Pleszewa, pani Irenie Kuczyńskiej za piękne opowieści z jej bloga traktujące o dziejach miasta, Przemkowi Marciniakowi za pomysł na postać, księdzu Wojciechowi Szulczyńskiemu, panu Hirkowi Foltyńskiemu, burmistrzowi Pleszewa Arkadiuszowi Ptakowi, pracownikom Zajezdni Kultury (szczególnie Patrycji) za cierpliwość i piękne zdjęcia, doktorowi Łukaszowi Ostrowskiemu za konsultacje medyczne oraz rekomendacje literatury fachowej w zakresie radiologii i diagnostyki ogólnej, panu profesorowi Rafałowi Witkowskiemu za konsultacje z języka jidysz, wszystkim, którzy mnie wspierali (a niektórzy demotywowali) do napisania tej książki, mojej rodzinie – Tacie i Danusi za opiekę, synom – Filipowi, Ignacemu i Konstantemu oraz przede wszystkim Karolowi, który już dawno temu wierzył, że w końcu zacznę pisać.

Specjalne podziękowania dla Zajezdni Kultury za wsparcie przy pisaniu sagi.

kompaktowy
Pleszew

ZAJEZDZIA KULTURY

STACJA BIBLIOTEKA

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Epilog

Posłowie

Podziękowania

Karta redakcyjna

Copyright for this edition © 2022 by Burda Media Polska Sp. z o.o.

Copyright for the text © Dagmara Leszkowicz

Burda Media Polska Sp. z o.o.

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy:

tel. (48) 22 360 38 38

Redakcja: Dąbrówka Gujska

Korekty: Olga Gorczyca-Popławska, Malwina Łozińska

Projekt graficzny okładki: Urszula Gireń

Redaktor prowadząca: Agnieszka Radzikowska

Redaktor techniczny: Mariusz Teler

Zdjęcia na okładce: Veronica Gradinariu/Trevillion Images;

Ethiriel/Shutterstock;

Lia Koltyrina/ Shutterstock

ISBN 978-83-8251-300-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.slowne.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek